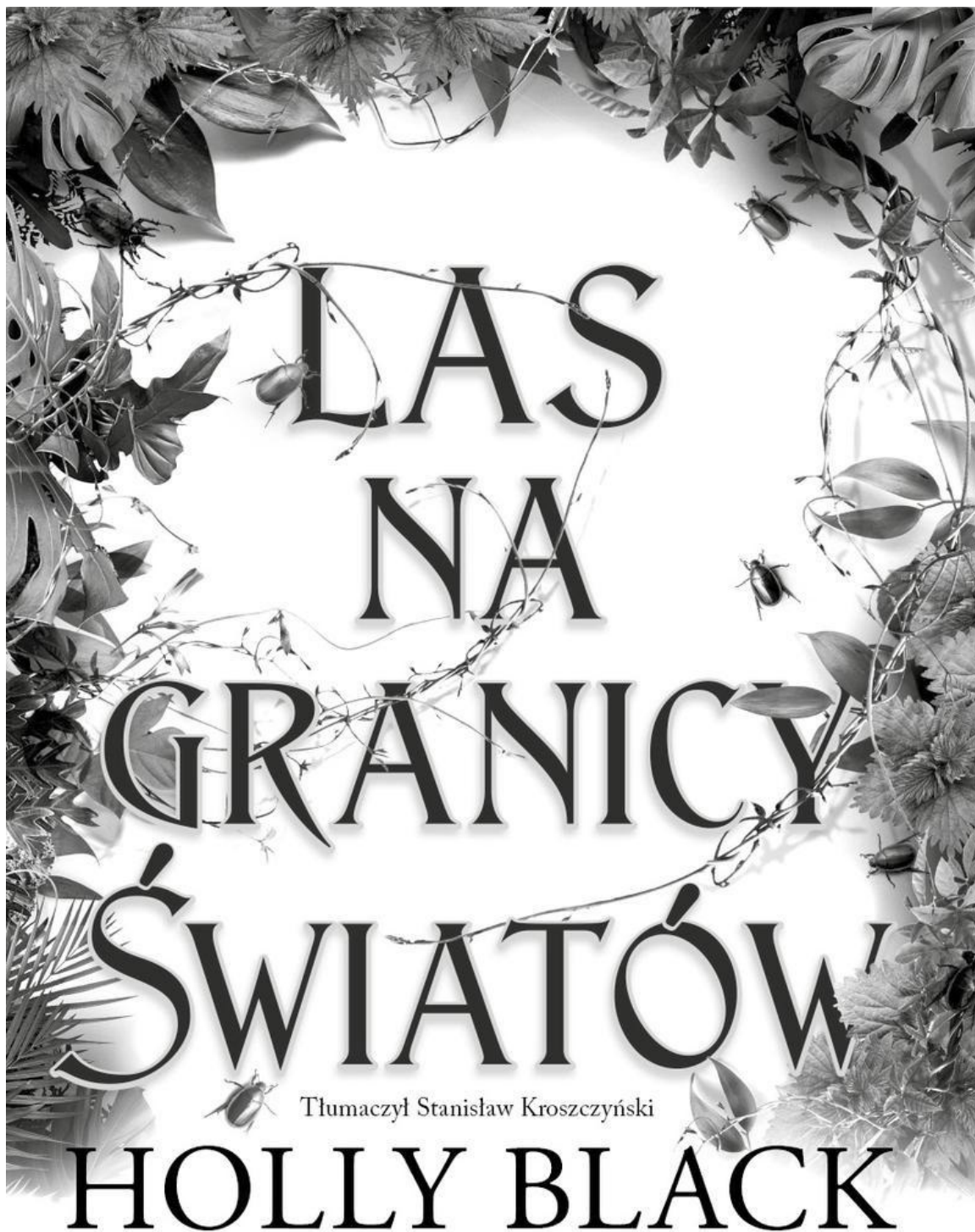




LAS
NA
GRANICY
ŚWIATÓW

AUTORKA #1 NA LISTACH BESTSELLERÓW NYT

HOLLY BLACK



LAS
NA
GRANICY
ŚWIATÓW
Tłumaczył Stanisław Kroszczyński
HOLLY BLACK



Jaguar



Tytuł oryginału: *The Darkest Part of the Forest*

Redakcja: Justyna Techmańska

Korekta: Renata Kuk

Skład i łamanie: Robert Majcher

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright © 2015 by Holly Black

Illustrations by Kathleen Jannings

Cover art copyright © 2019 by Sean Freeman. Image of foliage © Chansom

Pantip/Shutterstock.com; image of vines © Venus Kaewyoo/Shutterstock.com;

images of leaves © KETriKET/Shutterstock.com; image of nettles © Tetiana

Rostopira/Shutterstock.com; image of flower bud © JasminkaM/Shutterstock.com;

images of beetles © Zety Akhazar/Shutterstock.com

Cover design by Karina Granda

Cover copyright © 2019 by Hachette Book Group, Inc.

Copyright for the Polish edition © 2020 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-7686-887-5

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2020

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2020

SPIS TREŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Polecamy



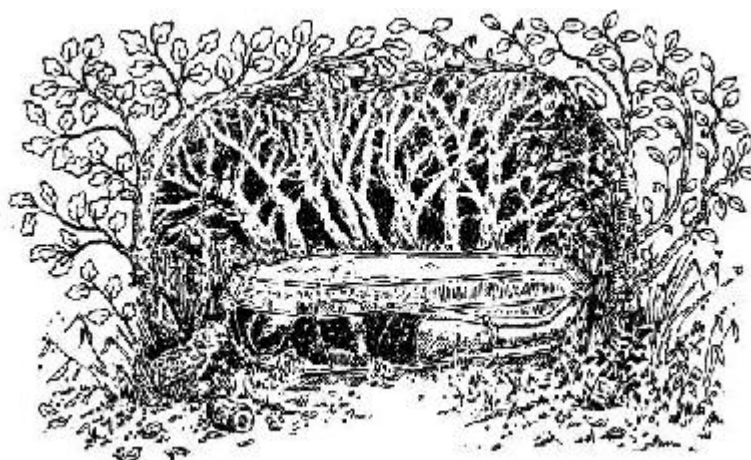
*Sarze Rees Brennan, wspaniałej przyjaciółce
w podziękowaniu za inspirację.*



*Pójdź ku nam, dziecię; gdybyśmy cię skrzywdzić zamierzali,
czy byśmy czatowali u skraju ścieżki wiodącej
przez ten las na granicy światów?
– Kenneth Patchen*



ROZDZIAŁ 1



Ścieżką wydeptaną w lesie, gdy minęło się strumień i wydrążony pień drzewa pełny chrząszczy i termitów, można było dojść do szklanej trumny. Stała bezpośrednio na ziemi, a w niej spał rogaty chłopiec o uszach spiczastych jak ostrza noży.

O ile Hazel Evans wiedziała – od swoich rodziców, a jej rodzice wiedzieli to od swoich – zawsze tam był. I cokolwiek by ktokolwiek wyprawiał, wcale się nie budził.

Nie budził się przez długie letnie miesiące, kiedy Hazel i jej brat Ben przychodzili, by położyć się na trumnie i wpatrywać przez kryształowe szybki, zostawiając na nich mgiełkę swoich oddechów i snując przedziwne marzenia. Nie budził się, kiedy nadciągali turyści, by się na niego gapić i nie budził się, kiedy różni cwaniacy zapewniali, że wcale nie jest prawdziwy. Nie budził się w jesienne weekendy, kiedy dziewczyny na nim tańczyły, gibając się w rytm metalicznych dźwięków, płynących z podłączonych do iPodów głośniczków. Nie zwrócił uwagi na to, że Leonie Wallace wzniosła piwo nad głowę w toaście, jakby w pozdrowieniu dla całego nawiedzonego lasu. Nawet nie drgnął, kiedy najlepszy przyjaciel Bena, Jack Gordon, napisał na jednym z boków trumny flamastrem **W RAZIE NIEBEZPIECZEŃSTWA ZBIĆ SZYBĘ**. Ani kiedy Lloyd Lindblad przytaszczył młot i rzeczywiście próbował tego dokonać. Wokół rogatego chłopca przez lata odbywały się niezliczone imprezy, aż całą przestrzeń wokół usiały pokolenia potłuczonych butelek w odcieniach zieleni i bursztynu, aż krzaki lśniły od zgniecionych puszek aluminiowych,

srebrzystych, złocistych i przerdzewiałych – i cokolwiek działo się podczas tych wszystkich imprez, nigdy nie wydarzyło się nic, co byłoby w stanie obudzić chłopca śpiącego w szklanej trumnie.

Kiedy Ben i Hazel byli dziećmi, splatali dla niego wianki z kwiatów i opowiadali mu historie o tym, jak go uratują. To były czasy, kiedy w ogóle zamierzali ocalić w Fairfold wszystkich, którzy by tego potrzebowali. Kiedy Hazel podrosła, najczęściej odwiedzała trumnę tylko nocą, wraz z rzeszą imprezowiczów, jednak zawsze na widok dziwnej i pięknej twarzy chłopca coś ścisnęło ją w piersi.

Nie uratowała go i nie uratowała też Fairfold.

– Cześć, Hazel – zawołała Leonie. Nie przestając tańczyć, przesunęła się na bok, żeby zrobić miejsce, gdyby Hazel chciała dołączyć do tańczących na trumnie rogatego chłopca. Płasała już tam Doris Alvaro, której nie chciało się przebrać, więc nadal miała na sobie strój cheerleaderki przywdziany na dzisiejszy, przegrany zresztą, mecz; wymachiwała głową, aż kasztanowy kucyk trzepotał w powietrzu. Obie dziewczyny były zarumienione od alkoholu i dobrej zabawy. Hazel pomachała na powitanie Leonie, ale nie wskoczyła na trumnę, chociaż trochę ją kusilo. Zamiast tego jednak wmieszała się w tłum.

Liceum w Fairfold było na tyle małą szkołą, że chociaż oczywiście istniały kliki oraz elity (co prawda niektóre złożone tylko z jednej osoby, na przykład na całą społeczność metali składała się niejaka Megan Rojas), wszyscy po prostu musieli bawić się razem, w przeciwnym wypadku było po prostu za mało ludzi, żeby taką zajawkę nazwać imprezą. Melanż melanżem, nie znaczyło to jednak, że każdy z każdym się przyjaźnił. Jeszcze miesiąc wcześniej Hazel należała do towarzystwa dziewczyn paradujących dumnie po szkole w wyzywającym makijażu i biżuterii równie ostrej jak ich uśmiechy. Przysięgały sobie wierność na zawsze, nie obyło się bez chlastania kciuków żyletami i wysysania krwi. Wymiksowała się z nich po tym, jak Molly Lipscomb poprosiła ją, żeby zaczęła wyrywać jej dawnego faceta, a kiedy Hazel spełniła prośbę, Molly się na nią wściekła.

Wkrótce okazało się, że również inne przyjaciółki Hazel to po prostu przyjaciółki Molly. Co prawda były we wszystko wtajemniczone, ale wmawiały każdemu, że nie, skądże znowu. Zachowywały się tak, jakby to była wina Hazel i to ona powinna za wszystko przeproszać. I jeszcze przyznać się, że zrobiła to, żeby sprawić Molly przykrość.

Hazel całowała się z chłopakami z bardzo wielu różnych powodów – na przykład dlatego, że byli fajni, że była trochę nastukana, że się nudziła, bo mogła, bo to było spoko, bo któryś tam był samotny, bo przez to na chwilę zapominała o swoich lękach; bo nie wiedziała, ile jeszcze pocałunków pozostało jej w życiu. Jednak tylko raz całowała się z chłopakiem, który był chłopakiem innej dziewczyny i pod żadnym pozorem nie zamierzała nigdy więcej tego zrobić.

Przynajmniej tyle, że zawsze pozostawał jej do towarzystwa brat, chociaż akurat w tym momencie był na randce z jakimś kolesiem poznanym przez internet. No i był jeszcze najlepszy kumpel Bena, Jack, chociaż trochę nieswojo się czuła w jego obecności. No i jeszcze Leonie.

Podsumowując, mnóstwo przyjaciół. Aż za wielu, prawdę mówiąc, biorąc pod uwagę, że prędzej lub później, ale raczej wkrótce, będzie musiała odejść, pozostawiając ich zapewne w nieutulonym smutku.

Nie chcąc zawracać głowy żadnemu z nich, nikogo nie poprosiła o podwiezienie na imprezę, w związku z tym musiała przejść kawał drogi pieszo, najpierw przez rzadki zagajnik, następnie minąć kilka farm i stary skład tytoniu, by potem zagłębić się w las.

Była wczesna jesień, zapadał wieczór, w powietrzu pachniało dymem z palonych drewn i wilgotną, słodkawą zgnilizną opadłych liści, i wszystko wydawało się możliwe. Miała na sobie nowy zielony sweter, swoje ulubione brązowe glany, w uszach tanie kolczyki – kółka pokryte zieloną emalią. W jej rozpuszczonych rudych włosach połyskiwało złoto minionego lata, a kiedy przed wyjściem spojrzała na siebie w lustrze, by rozsmarować na ustach nieco szminki, uznała, że wygląda całkiem, całkiem w porządku.

Muzyką zajmowała się Duża Liz, puszczała kawałki z telefonu podłączonego do głośników swojego vintage'owego fiata: dansowa muzyka łomotała tak głośno, że aż drzewa się trzęsły. Martin Silver gadał jednocześnie z Lourdes i Namią, najwyraźniej mając nadzieję na trójkącik z najlepszymi kumpelami, czyli coś, do czego nigdy, ale to przenigdy z pewnością nie dojdzie. Molly zaśmiewała się, otoczona wianuszkami lasek. Stephen siedział na masce swojej półciężarówce, nawet nie zgasił świateł. Miał na sobie pochłapaną farbą koszulę i walił z flachy bimber taty Franklina, zbyt zajęty jakimś tajemnym smutkiem, by się martwić, czy od tego zajzajeru nie oślepie. Jack siedział z Carterem, swoim (w pewnym sensie) bratem, na pniaku opodal szklanej

trumny. Śmiali się, więc Hazel chciała pójść do nich i też się pośmiać, tylko że jednocześnie miała ochotę potańczyć, a także wrócić do domu.

– Hazel – odezwał się ktoś.

Odwróciła się, ujrzała Robbiego Delmonico. Uśmiech zastygł na jej twarzy.

– Dawno cię nie widziałem. Ładnie wyglądasz.

Powiedział komplement w taki sposób, jakby miał jej to za złe.

– No, dzięki.

Robbie przecież musiał zdawać sobie sprawę, że go unika, przez co czuła się parszywie, ale odkąd kiedyś coś tam się między nimi wydarzyło na jakiejś imprezie, łąził za nią, jakby się zakochał po uszy, a to było naprawdę okropne. Nie rzuciła go ani nic w tym rodzaju, nigdy nie byli ze sobą, nawet zresztą nie próbował się z nią umówić. Gapił się tylko na nią, strasznie nieszczęśliwy i zadawał dziwaczne, wieloznaczne pytania w rodzaju: „Co robisz po szkole?”. Kiedy odpowiadała: „Ja wiem? Chyba nic”, nie podejmował tematu, nigdy nie próbował jakoś się zbliżyć.

Właśnie dlatego, że Hazel całowała się z takimi kolesiami jak Robbie Delmonico, zyskała sobie opinię laski, która gotowa jest całować się z każdym.

Co może zresztą nie było wcale takim głupim pomysłem.

– No dzięki, dzięki – powtórzyła trochę głośniejszym głosem. Zaczęła już się odwracać.

– Masz nowy sweter, nie?

Obdarzył ją przy tym tym smutnym uśmiechem, który miał dać jej do zrozumienia, że on wie, jakie to miłe z jego strony, że to zauważył i że wie, że najfajniejsi kolesie mają w życiu najgorzej.

Najzabawniejsze było to, że nigdy przedtem nie sprawiał wrażenia szczególnie nią zainteresowanego, to znaczy zanim się do niego dobrała. Natomiast łącząc swoje wargi z jego ustami – no i coś tam jeszcze poza tym – przekształciła się mimowolnie w jakąś okrutną boginię miłości.

– Tak, chyba nowy – odpowiedziała, znów kiwnęła głową. W jego obecności czuła się tak oziębła, jak najwyraźniej jemu się wydawało. – To co, na razie.

– No – odpowiedział przeciągle.

Potem zaś, w krytycznym momencie, w chwili, gdy miała właśnie odejść, ogarnęło ją poczucie winy i powiedziała tę jedną rzecz, której mówić nie należało, za którą będzie ganić się i winić przez resztę nocy:

– Pewnie jeszcze się zobaczymy.

W jego oczach zajaśniała nadzieja, a Hazel zbyt późno zdała sobie sprawę, że nieszczęśnik potraktował to jak obietnicę. Mogła zrobić już tylko jedno, dać nogę i dołączyć do Jacka i Cartera.

Jack, w którym Hazel kochała się, kiedy była młoda i głupia, zdziwił się na jej widok, co właściwie było dziwne, bo rzadko kiedy okazywał zaskoczenie. Jak kiedyś powiedziała jego matka, Jack potrafił dosłyszeć grom, jeszcze zanim raczyła się pojawić błyskawica.

– Hazel, Hazel, oczy niebieskie, a przez te oczy życie chłopców wiejskie – odezwał się Carter, bo Carter potrafił zachować się jak fiut.

Carter i Jack byli do siebie bardzo podobni, jakby byli bliźniakami. Takie same ciemne, kręcone włosy. Bursztynowe oczy. Tak samo śniada skóra i pełne usta oraz wydatne kości policzkowe, których pożądały wszystkie dziewczyny w mieście. Nie byli jednak bliźniakami. Jack był podmieńcem – podmieńcem za Cartera, podrzuconym, kiedy elfy ukradły prawdziwego Cartera.

Fairfold było dziwnym miastem. Położone w samym sercu puszczy Carling, nawiedzonego lasu, w którym aż roiło się od tych, których dziadek Hazel nazywał zielonym ludkiem, jej mama zaś mówiła na nich „oni we własnych osobach” lub „powietrzne elfy”. W tych lasach nie dziwił nikogo widok czarnego zająca przepływającego przez strumień, chociaż wiadomo, że długouchy nie przepadają za wodą – albo jelenia, który w mgnieniu oka przeistacza się w biegnącą dziewczynę. Każdej jesieni sporą część zebranych jabłek pozostawiano dla okrutnego i kapryśnego Króla Olszyn. Każdej jesieni wyplatano dlań kwietne girlandy. Mieszkańcy miasta wiedzieli, że lękać się należy przyczajonego w sercu lasu stwora, który wabi turystów odgłosami przypominającymi kobiecy płacz. Powiadano, że owa jędrza czy strzyga ma palce z patyków, włosy z mchu, a żywi się rozpaczą i rozsiewa ziarna rozkładu. Można ją przywołać specjalną rymowanką, którą dziewczynki z miasta powtarzały sobie szeptem podczas urodzinowych noclegów u koleżanek. Rósł tam też pośrodku kamiennego kręgu głóg, do którego należało w razie potrzeby przywiązać podczas pełni księżyca kawałek swojego odzienia i czekać, aż pojawi się ktoś z Małego Ludku, z kim będzie można się potargować o spełnienie swoich najskrytszych pragnień. Poprzedniego roku Jenny Eichmann zażyczyła tam sobie, aby ją przyjęto do Princeton, obiecując, że zapłaci każdą cenę, jakiej zażądają elfy. Owszem, dostała się, ale tego samego dnia, kiedy przysłała wiadomość, jej matka dostała zawału i umarła.

Z tej to przyczyny, dzięki dziwnym zjawiskom i spełniającym się życzeniom, w małym Fairfold wprost roiło się od turystów, chociaż była to tak skromna miejscina, że maluchy chodziły do przedszkola w tym samym budynku, w którym mieściła się szkoła, a żeby kupić nową lodówkę czy choćby pochodzić sobie po sklepach, trzeba było jechać trzy miejscowości dalej. Inne miasta miały swoje atrakcje w rodzaju największego kłębu sznura lub wytwarzano w nich ogromne kręgi sera albo tamtejsi stolarze wykonali krzesło jak dla giganta. Zjawiskowe wodospady, lśniące jaskinie pełne stalaktytów, albo nietoperze śpiące pod przęsłami mostu. Fairfold miało swojego chłopca w szklanej trumnie.

Oraz elfy.

Dla elfów zaś turyści stanowili atrakcyjną zwierzynę.

Może właśnie dlatego elfowie w taki sposób potraktowali rodziców Cartera. Tymczasem owszem, jego ojciec był przyjezdny, ale mama z pewnością nie była turystką. Już pierwszej nocy zorientowała się, że skradziono jej niemowlę. I wiedziała, co trzeba zrobić. Poprosiła męża, żeby wyniósł się z domu na jeden dzień, następnie zaprosiła dobrane kумы z sąsiedztwa. Upiekły chleb, narąbały drewno, nasypały soli do glinianej misy. Potem, kiedy wszystko było gotowe, mama Cartera wetknęła do paleniska pogrzebacz.

Rozzarzył się do czerwoności, a ona czekała. Dopiero gdy metal stał się biały od gorąca, przytknęła koniuszek pogrzebacza do ramienia podmieńca.

Zaniósł się tak przejmującym wrzaskiem, że pękły szyby w obu kuchennych oknach.

Rozszedł się zapach, jakby ktoś wrzucił garść świeżej trawy do ognia, a skóra niemowlęcia w miejscu oparzenia poczerwieniała gwałtownie i pokryła się bąblami. Blizna pozostała na zawsze, Hazel widziała ją, kiedy zeszłego lata poszła z Jackiem, Benem i Carterem popływać – rozciągnęła się w okresie dorostania, ale wciąż pozostała wyraźnie widoczna.

Przypalanie żywcem podmieńca to najlepszy sposób, by przywołać jego matkę. Stała na progu w kilka chwil później, niosąc w ramionach zawiniątko. Jak głoszają opowieści, była chuda i wysoka, miała brązowe włosy koloru jesiennych liści a skórę barwy drzewnej kory, jej oczy zaś mieniły się bezustannie, to żywym srebrem, to sowym złotem, czasem zaś robiły się szare i matowe niczym kamień. Nikt o zdrowych zmysłach nawet przez chwilę nie wzięłby jej za ludzką istotę.

– Nie odbieracie nam dzieci – powiedziała wtedy matka Cartera, a przynajmniej tak głosiła opowieść, którą Hazel słyszała, zresztą wielokrotnie.
– Nie porywacie nas i nie przyprawiacie o choroby. Tak tu się rzeczy miały od pokoleń i tak pozostanie.

Elfka jakby skurczyła się w sobie. W odpowiedzi wyciągnęła ramiona, w których trzymała dziecko owinięte kocykiem i śpiące tak słodko, jakby leżało we własnym łóżeczku.

– Weź go.

Matka chwyciła łapczywie dziecko, przycisnęła je do piersi, rozkoszując się jego mlecznym zapachem. Mówiła potem, że tego jednego elfy powietrzne nie potrafią podrobić. Drugie dziecko po prostu nie pachniało tak jak Carter.

Jednak potem, kiedy elfka chciała wziąć sobie własne niemowlę, sąsiadka trzymająca je na rękach cofnęła się o krok, a matka Cartera zastąpiła elfce drogę.

– Nie, nie dostaniesz go – powiedziała. Oddała swoje dziecko siostrze, sięgnęła po żelazne opiłki, jagody jarzębiny i sól dla obrony przed czarami elfów. – Skoro przystałaś na to, żeby go oddać, choćby na godzinę, to znaczy, że na niego nie zasługujesz. Obaj u mnie zostaną, wychowam go jak własne dziecko i niech to będzie dla ciebie karą za złamanie przymierza.

Elfka odpowiedziała głosem, który brzmiał jak wiatr i deszcz, i szelest zbutwiałych liści pod nogami:

– Nie tobie nas pouczać ani osądzać. Nie macie mocy i prawa. Oddaj mi moje dziecko, a pobłogosławię twój dom, jeśli jednak je zachowasz, nadejdzie dzień, w którym tego pożałujesz.

– Do wszystkich diabłów z konsekwencjami i do wszystkich diabłów z tobą – powiedziała wtedy mama Cartera, co zgodnie powtarzają wszyscy, którzy opowiadają tę historię. – Wynoś się stąd.

Tak więc, choć niektóre kumy z sąsiedztwa sarkały, że matka Cartera sama prosi się o kłopoty, Jack zamieszkał u swojej ludzkiej rodziny jako brat Cartera, a także najlepszy przyjaciel Bena. Tak przywykli do jego obecności, że już dawno nikt nie zwracał uwagi na jego spiczaste uszy i na to, że w jego oczach czasami pobłyskuje srebro oraz że umie przepowiedzieć pogodę znacznie lepiej niż jakakolwiek pogodynka w telewizji.

– To co, myślisz, że Ben bawi się w tej chwili lepiej niż my? – spytał ją Jack, przepędzając w ten sposób myśli o przeszłości, bliźnie i jego urodziwej twarzy.

O ile Hazel podchodziła do kwestii całowania się z chłopakami raczej zbyt lekko, o tyle Ben, wręcz przeciwnie, traktował te sprawy bardzo poważnie. Pragnął być zakochany, zawsze gotów oddać swoje serce. Taki był od niepamiętnych czasów, chociaż kosztowało go to więcej, niż Hazel chciało się o tym myśleć.

Tak się bowiem składało, że jakoś nie miał szczęścia.

– Przypuszczam, że ten nowy chłopak Bena to nudziarz. – Hazel wzięła puszkę piwa z dłoni Jacka i pociągnęła łyk. Było kwaśne. – Większość z nich to nudziarze, nawet ci, którzy kłamią. Właściwie ci są najgorsi. Nie rozumiem, po co zawraca sobie nimi głowę.

Carter wzruszył ramionami.

– Seks?

– On lubi historyjki – wyjaśnił Jack z konspiracyjnym uśmiechem skierowanym w jej stronę.

Hazel oblizwała pianę z górnej wargi. Powoli wracał jej dobry humor.

– No, chyba tak.

Carter wstał, zerkając z ukosa na Megan Rojas, która właśnie się pojawiła, z włosami świeżo zafarbowanymi na fioletowo oraz butelką cynamonówki w ręce; ostre obcasy jej wysokich butów wyszywanych w pajęczynę pograżały się z wolna w miękkiej ziemi.

– Idę po następny browar. Chcecie coś?

– Hazel pozbawiła mnie mojego – odpowiedział Jack, spoglądając na nią. Grube srebrne kółka połyskiwały księżycową poświatą w jego uszach. – Więc najlepiej zgarnij kolejkę dla nas obu.

– A ty nie łam zbyt wielu serc pod moją nieobecność – rzucił Carter do Hazel, niby żartem, ale w tonie jego głosu usłyszała coś niezbyt przyjaznego.

Hazel usiadła na miejscu, które Carter właśnie zwolnił. Patrzyła na tańczące dziewczyny i alkoholizujących się facetów. Czuła się wyłączona z tego wszystkiego, pozbawiona sensu i celu. Kiedyś, dawno temu miała misję i gotowa była dla niej wszystko poświęcić, tymczasem jednak okazało się, że niektórych misji nie da się wypełnić. Nic nie pomoże poświęcanie cegokolwiek.

– Nie słuchaj go – powiedział Jack, gdy tylko jego brat znalazł się przy becce, poza zasięgiem głosu. – Niczego złego nie zrobiłaś. A ktoś taki jak Rob jest sam sobie winien, jeżeli podtyka ci serce na srebrnej tacy. Zasłużył na to, co go spotkało.

Hazel znów pomyślała o Benie i że nie chciałyby, żeby to było prawdą.

– Wciąż popełniam ten sam głupi błąd – odpowiedziała. – Idę na imprezę i potem całuję się z jakimś kolesiem, na którego w szkole nawet bym nie spojrzała. Wiesz, to są faceci, którzy mi się nawet tak naprawdę nie podobają, ale tutaj, w lesie, pojawia się złudzenie, że objawią jakąś sekretną stronę swojego jestestwa. No i nie, zawsze są tacy sami.

– To tylko faceci – stwierdził z półuśmiechem, w którym drgnął i uniósł się jeden koniuszek jego ust. W odpowiedzi zaś na to w Hazel także coś drgnęło. Jego uśmiechy wcale nie były podobne do uśmiechów Cartera. – Przecież to tylko zabawa. Nikomu nie robisz krzywdy. Przecież nie wbijasz im noża w plecy, żeby coś zaczęło się tu wreszcie dziać.

To ją zaskoczyło i rozbawiło.

– Może powinieneś to wyjaśnić Carterowi.

Nie uściśliła, że nie tyle życzyłyby sobie, żeby coś się zaczęło dziać, co chciałyby nie być jedyną osobą, która coś ukrywa przed światem. Jack objął ją ramieniem, niby flirtując, ale tak naprawdę dla zabawy i po przyjacielsku.

– Jest moim bratem, więc z całą pewnością wiem, co mówię: to idiota. A ty powinnaś się bawić i już, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w gronie nudziarzy z Fairfold.

Potrząsnęła głową z uśmiechem, potem odwróciła się do niego. Umilkł, nagle Hazel zdała sobie sprawę, jak blisko siebie znajdują się ich twarze.

Tak blisko, że czuła na policzku ciepło jego oddechu. Blisko na tyle, żeby dostrzec, jak czarna krawędź jego rzęs staje się złota w odbitym świetle, oraz widzieć łagodną krzywiznę jego ust.

Serce Hazel zabiło mocniej, nagle powróciło wspomnienie, jak się w nim bujała, kiedy miała dziesięć lat. Poczowała się tak samo bezbronna i głupia jak wtedy. Nie cierpiała tego uczucia. Teraz to ona łamie serca, nie odwrotnie.

Każdy, kto mi wręcza swoje serce na srebrnej tacy, zasługuje na to, co go spotyka.

Jest tylko jeden sposób, żeby wybić sobie faceta z głowy. Tylko jeden sposób, który faktycznie działa.

Wzrok Jacka był trochę nieobecny, wargi nieco rozchylone. W tej chwili wydało jej się czymś oczywistym, żeby zbliżyć się jeszcze bardziej, zamknąć oczy i dotknąć wargami jego ust. Delikatnie odwzajemnił pocałunek i trwało to przez jeden wspólny oddech.

Potem odsunął się, zamrugął.

– Hazel, nie chcę, żebyś myślała...

– Nie, nie – przerwała mu. Zerwała się na równe nogi. Paliły ją policzki. Przecież to jej przyjaciel i najlepszy kumpel jej brata. Nie byle kto, tylko ktoś ważny. To nie w porządku, żeby się z nim całować, nawet gdyby miał ochotę, a najwyraźniej nie miał, co jeszcze pogarszało sprawę. – Jasne, że nie. Sorry. Wybacz! Mówiłam ci, że nie powinnam się tak ze wszystkimi całować, no i masz, znowu.

Cofnęła się o krok.

– Zaczekaj... – zaczął, wyciągnął do niej rękę, ale Hazel nie chciała wysłuchiwać, jak będzie próbował znaleźć dla niej jakieś wytłumaczenie, żeby się za bardzo nie przejmowała.

Uciekła więc. Po drodze minęła Cartera, ale nie spojrzała na niego, żeby nie dostrzec na jego twarzy tryumfального wyrazu w rodzaju „a nie mówiłem?”. Czowała się megagłupio, i dobrze jej tak, zasłużyła na odrzucenie. Natychmiastowa karmiczna sprawiedliwość. To rzadko się zdarza w prawdziwym życiu, w każdym razie nie tak od razu.

Hazel poszła prosto do Franklina.

– Dasz się napić? – spytała, spoglądając na metalową manierkę.

Zerknął na nią przekrwionymi oczami nie całkiem przytomnie, ale podał manierkę.

– Nie będzie ci smakować.

Rzeczywiście, bimbler jej nie smakował. Palił w gardle, ale Hazel zmusiła się do dwóch kolejnych łyków w nadziei, że dzięki temu zapomni o wszystkim, co się zdarzyło od jej przybycia na imprezę. W nadziei, że Jack nie powie Benowi, co zrobiła. W nadziei, że Jack będzie udawał, że to się nigdy nie stało. Chciałaby móc wszystko cofnąć, spruć splot wydarzeń jak wydziergany z włóczki sweter.

Tymczasem na środku polany w świetle reflektorów wozu Stephena pojawił się Tom Mullins, wspomagający w obronie i generalnie świr. Niespodziewanie wskoczył na szklaną trumnę, płosząc dziewczyny. Był kompletnie nawalony, czerwony na twarzy, włosy miał zlepione potem.

– Te! – wrzasnął. Zaczął podskakiwać, tupiąc, jakby próbował stłuc szkło. – Budź się, budź się, pora wstawać, dupy nie dawać! No, rusz się!

– Daj sobie spokój – powiedział Martin, machając na Toma, żeby zlął. – Pamiętasz, co przydarzyło się Lloydowi?

Lloyd był typem bandziora, który lubił to i owo podpalić i zawsze miał przy sobie nóż, także w szkole. Kiedy nauczyciele sprawdzali listę, nigdy nie mogli skojarzyć, czy jego nieobecność wynika z wagarów, czy z tego, że znów został zawieszony. Otóż wiosną Lloyd przyniósł wielki młot i próbował rozbić nim szklaną trumnę. Bezskutecznie, na szkłe nie powstała nawet najmniejsza rysa, natomiast następnym razem, kiedy Lloyd usiłował wzniecić pożar, uległ ciężkiemu poparzeniu. Nadal przebywał w szpitalu w Philadelphii, gdzie mieli mu przeszczepić skórę z dupy na twarz.

Niektórzy ludzie twierdzili, że rogaty chłopak załatwił w ten sposób Lloyda, bo nie lubi, jak ktoś próbuje mu się dobrać do trumny. Inni zaś utrzymywali, że ktoś, kto rzucił klątwę na rogatego chłopca, przeklął też szkło. Ktokolwiek więc spróbuje je rozbić, ściąga na siebie zły los. Tom Mullins dobrze o tym wiedział, ale w tej chwili mało go to obchodziło.

A Hazel wiedziała, jak Tom musi się czuć.

– Wstawać! – wrzeszczał, kopiąc, tupiąc i skacząc. – No już, śpiochu, pobudkaaaaa!!!

Carter chwycił go za ramię.

– Tom, wyluzuj. Zaraz będziemy pili drinki. Chyba nie chcesz, żeby cię to ominęło?

Tom zawahał się.

– No – ponaglił go Carter. – Chyba że już masz dosyć.

– Właśnie – wtrącił Martin, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. – Bo może masz za słabą głowę. Co, Tom?

To załatwiło sprawę. Tom zlął na ziemię, zatoczył się, po czym zapewnił wszystkich, że jest w stanie wypić więcej niż oni obaj razem.

– No – powiedział Franklin do Hazel. – Kolejny nudny wieczór w Fairfold, każdy albo wariat, albo elf.

Upiła jeszcze trunku ze srebrzystej manierki. Zaczęła już się przyzwyczajać do uczucia palenia w przełyku.

– Coś w tym jest.

Uśmiechnął się, jego zaczerwienione oczy tańczyły.

– Chcesz się całować?

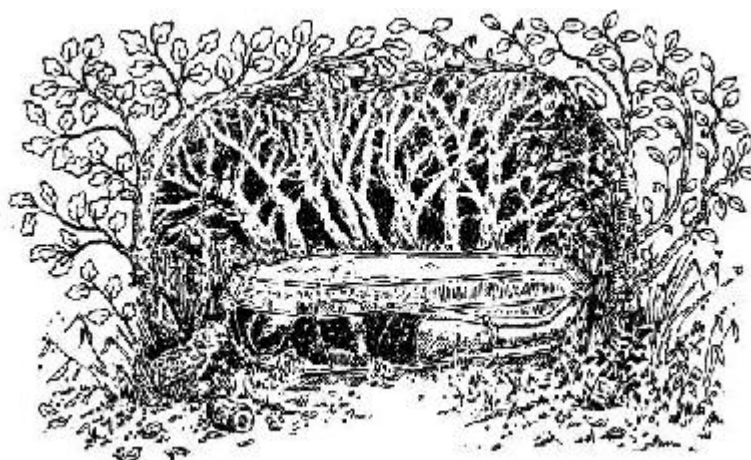
Patrząc na niego, Hazel stwierdziła, że jest tak samo godny pożałowania jak ona. Franklin, facet, który przez pierwsze trzy lata podstawówki właściwie nie mówił, a wszyscy byli pewni, że od czasu do czasu żywił się mięsem rozjechanych zwierzaków. Franklin, który nie podziękowałby jej, gdyby go

spytała, co go dręczy; gotowa była się założyć, że ma prawie tyle samo do zapomnienia co ona. Trochę jej się kręciło w głowie, miała to wszystko gdzieś.

– Okej.

Wyszli spoza zasięgu świateł samochodów, poszli do lasu. Hazel zerknęła za siebie na rozwijającą się imprezę. Jack przyglądał jej się z dziwnym wyrazem twarzy. Kiedy trzymając się za ręce z Franklinem przechodzili pod dębem, Hazel wydało się, że jedna z gałęzi porusza się, jakby to były długie palce, ale kiedy przyjrzała się uważniej, dostrzegła tylko cienie.

ROZDZIAŁ 2



Tamtego lata Ben był niemowlakiem, a Hazel jeszcze przebywała w brzuchu swojej mamy, która pewnego dnia wybrała się na leśną polanę, żeby malować w plenerze. Rozłożyła na trawie koc i usadziła na nim Bena, wysmarowała go kremem z filtrem 50, posmarowała sucharka konfiturą, po czym sama zaczęła smarować płótno kadmium oranżowym i karmazynem alizarynowym. Malowała prawie godzinę, gdy zauważyła, że przygląda jej się jakaś kobieta stojąca w cieniu pobliskich drzew.

Kiedy mama opowiadała tę historię, mówiła, że kobieta miała spięte do tyłu brązowe włosy i trzymała w ręce koszyk pełny młodych zielonych jabłek.

– Jesteś prawdziwą artystką – powiedziała.

Podeszła i przykucnęła, żeby przyjrzeć się z bliska. Uśmiechała się, zachwycona. Wtedy mama zwróciła uwagę, że jej luźna suknia jest ręcznie tkana, w najlepszym gatunku. Przez chwilę mama myślała, że to jedna z takich pań, które zajmują się gospodarstwem domowym, robią przetwory z uprawianych przez siebie w ogródku owoców, hodują kury i same sobie szyją ubrania. Potem jednak zobaczyła, że jej uszy są delikatnie spiczaste i pojęła, że ma do czynienia z powietrzną elfką, czyli istotą niebezpieczną i podstępą.

Jak to niestety bywa z artystami, mama, zamiast się bać, była zafascynowana.

Od urodzenia mieszkała w Fairfold i słyszała mnóstwo historii o elfach. Wiedziała o czerwonych kapturach, które nurzają swoje nakrycia głowy w świeżej ludzkiej krwi, podobno mieszkały w pobliżu starego podziemnego

magazynu po drugiej stronie miasta. Słyszała o kobiecie-wężu, którą widywano o zachodzie słońca na skraju lasu. Wiedziała o jędzy z suchych gałęzi, drzewnej kory, ziemi i mchu, która przemienia krew swoich ofiar w roślinny sok.

Doskonale pamiętała rymowanekę, którą dziewczynki skandowały, skacząc przez skakanekę:

*W naszym lesie jest potwora,
przyjdzie, wrzuci cię do wora,
pod suche liście zawlecze
i nikt przed nią nie uciecze;
brudny kołtun, żłuta kość,
nigdy, nigdy nie ma dość.
I nie mów, nie mów nikomu
bo nigdy nie wrócisz do...*

Darły się na cały głos, ale nigdy nie wypowiadały ostatniego słowa. Gdyby to zrobiły, przywołałyby jędzę z lasu, w końcu przecież do tego służyła ta rymowanka. Jednak jeśli tylko nie wypowie się do końca wszystkich słów, zaklęcie nie działa.

Zresztą nie wszystkie opowieści były straszne. Szczodrość elfów dorównywała ich okrucieństwu. W grupie przedszkolnej Bena była dziewczynka, której jakaś nixie ukradła lalkę. Tydzień później ta sama dziewczynka obudziła się w swoim łóżeczku we wspaniałym naszyjniku ze słodkowodnych pereł. Właśnie dlatego Fairfold miało ten niezwykły urok, tak blisko było stąd do magii. Magii niebezpiecznej, ale przecież magii.

Ludzie twierdzili, że w Fairfold wszystko lepiej smakuje, bo tak działa czar tego miejsca. Sny były wyrazistsze. Artyści łatwiej znajdowali natchnienie i tworzyli piękniejsze dzieła. Kiedy ktoś się w kimś kochał, kochał się bardziej; muzyka łatwiej wpadała w ucho, pomysły przychodziły częściej niż gdzie indziej.

– Mogę cię narysować? – spytała mama, wyjęła z torby szkicownik i węgiel. Też uważała, że w Fairfold lepiej jej się rysuje.

Kobieta machnęła ręką.

– Lepiej narysuj moje śliczne jabłuszka. One wkrótce zgniją, a ja pozostanę taka, jaka jestem, jeszcze przez długie lata mojego życia.

Te słowa sprawiły, że mamę przeszedł zimny dreszcz. Elfka dostrzegła jej lęk, zaśmiała się.

– O tak, widziałam żołądź, nim stała się dębem. Widziałam jajo, nim stało się kurą. I jeszcze nieraz je zobaczę.

Mama wzięła głęboki wdech, nie dawała za wygraną.

– Jeżeli pozwolisz mi się narysować, podaruję ci potem ten portret.

Elfka zastanawiała się dłuższą chwilę.

– Naprawdę będę mogła go sobie wziąć?

Mama skinęła głową. Umowa została zawarta, a mama zabrała się do pracy. Podczas gdy rysowała, opowiadały sobie nawzajem o swoim życiu. Elfka powiedziała, że kiedyś była damą pewnego dworu, ale udała się w ślad za jednym z elfów wysokiego rodu na wygnanie. Opowiedziała mamie, jak pokochała leśne ostępy, ale też o tęsknocie za dawnym życiem. W zamian mama zwierzyła jej się z obaw o swoje pierwsze dziecko, które nudziło się coraz bardziej na kocyku, a poza tym chyba już potrzebowało świeżej pieluszki. Czy Ben nie wyrośnie na kogoś zupełnie innego niż ona, obojętnego na piękno i sztukę, kogoś nudnego i pospolitego? Mama była ogromnym rozczarowaniem dla swoich rodziców, którzy ubolewali, że była inna niż oni. Czy teraz czeka ją to samo z Benem?

Kiedy mama skończyła rysunek, elfka aż westchnęła z zachwytu, bo był wyjątkowo udany. Uklękła na kocyku obok dziecka i dotknęła kciukiem jego skroni. Natychmiast zaczęło wrzeszczeć.

Mama chwyciła ją za rękę.

– Coś ty zrobiła?

Na czole jej synka widniała czerwona plama w kształcie czubka palca.

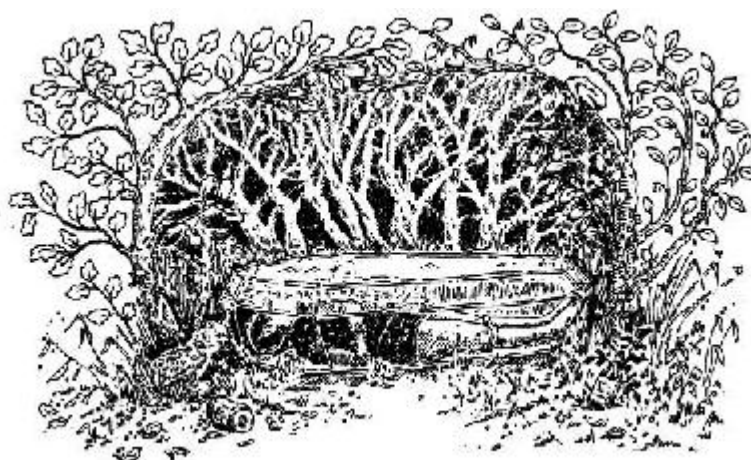
– Za podarunek winna ci jestem podarunek. – Stała nad mamą, wydawała się dziwnie wysoka, mama tymczasem objęła Bena, starając się utulić jego płacz. – Nie mogę zmienić jego natury, ale mogę zapewnić mu dar naszej muzyki. Będzie grał tak pięknie, że nikt, słysząc go, nie będzie w stanie myśleć o niczym innym, bo to będzie muzyka pełna elfowej magii. To będzie trudne brzemię, odmieni go i uczyni z niego artystę, choćby pragnął czegoś innego. Każde dziecko potrzebuje cierpienia, bo inaczej nic ciekawego zeń nie wyrośnie. To jest mój dar dla ciebie; czy będzie chciał, czy nie, sztuka jest w nim.

To rzekłszy, elfka wzięła swój rysunek i zostawiła moją matkę zapłakaną, niepewną, czy jej synka spotkało błogosławieństwo czy klątwa.

Z czasem okazało się, że i jedno, i drugie.

Tymczasem Hazel, która unosiła się wtedy w oceanie wód płodowych, była zupełnie zwyczajna. Jej nieszczęście, o ile było to nieszczęście, polegało na tym, że była przeciętna, taka jak każde dziecko.

ROZDZIAŁ 3



Hazel wróciła z imprezy dosyć późno, zastała Bena w kuchni. Jadł zupełnie mleczną, odławiał łyżką ostatnie płatki. Było nieco po północy, ale rodzice nie spali, nadal zajęci pracą. W oknach ich wspólnej pracowni w głębi podwórza paliło się światło. Czasami któreś z nich tam sypiało – gdy szło im wyjątkowo dobrze albo zbliżał się termin oddania roboty.

Hazel nie miała nic przeciwko temu. Dumna była, że nie są tacy jak inni rodzice, bo tak ją wychowali. Powtarzali: „Normalni ludzie, brrr! – i wzdrygali się. – Normalni ludzie myślą, że są szczęśliwi, ale to z głupoty, bo są za tępi, by pojąć, że wcale tak nie jest. Już lepiej cierpieć, ale za to być kimś, zgadza się?”. Potem śmiali się. Jednak czasami, kiedy Hazel buszowała po ich pracowni, wdychając znajomy zapach terpentyny, werniksu i schnących farb, nie mogła się nie zastanawiać, jak by to było mieć szczęśliwych, normalnych, głupich rodziców – a potem doskwierało jej poczucie winy za te myśli.

Ben podniósł na nią spod czarnych rzęs spojrzenie chabrowych oczu, takich jak jej oczy. Rude włosy miał w większym nieładzie niż zwykle i dostrzegła w nich liść.

Podeszła, żeby go wyciągnąć, rozbawiona. Była na tyle nietrzeźwa, że niezbyt ostro widziała kontury, a usta miała trochę poodcierane, bo Franklin wpił się w jej wargi... I te wszystkie detale, o których chciała nie myśleć. Nie miała ochoty pamiętać niczego z tej nocy, ani Jacka, ani tego, jaką idiotkę z siebie zrobiła, ani nic. Wyobraziła sobie wielką skrzynię, do której wrzuca te

wspomnienia, owija łańcuchem, zamyka na kłódkę, a potem skrzynia ląduje na dnie morza.

– No i jak randka? – spytała Hazel.

Ben westchnął i odsunął od siebie miskę, marszcząc wyblakły obrus.

– W zasadzie beznadziejnie.

Hazel oparła głowę o stół, wciąż patrząc na brata. Widziany pod tym kątem stał się jakiś nierealny, jakby wystarczyło zmrużyć powieki, żeby przejrzeć go na wskroś.

– A co, okazał się zbokiem? Gumowe ciuszki? Strój klauna? Gumowe ciuszki klauna?

– Nie.

Ben nie roześmiał się. Jego uśmiech stał się jeszcze trochę bardziej wymuszony.

Hazel spoważniała.

– Ty, nic ci nie jest? Czy coś...

– Nie, nie w tym sensie – przerwał jej pośpiesznie Ben. – Nic złego się nie stało, tylko że poszliśmy do jego mieszkania, a tam kto? Jego były. No wiesz, dalej z nim mieszka.

Otworzyła szeroko usta, bo to rzeczywiście było wyjątkowo słabe.

– Poważnie? Nie raczył wcześniej o tym wspomnieć?

– Mówił, że z kimś był. Każdy z kimś był, nawet ja! A ty, nie wiem, masz chyba z milion tych eksów? – Uśmiechnął się, żeby wiedziała, że nie chce jej urazić.

Hazel nie była jednak w nastroju na takie akurat żarty.

– Nie mam żadnych eksów, bo z nikim się nie umawiam – sprostowała.

– No, w każdym razie. Wchodzimy do środka, a tam koleś siedzi przed telewizorem i rozpacza. Widać wyraźnie, że mu przeszkadza, że przyszedłem i tak samo doskonale widać, że nie jest na to gotów. A mój koleś papie i przekonuje, że ten jego były jest taki spoko i nawet zgodził się spać na kanapie, żebyśmy mogli się zabawić w sypialni. Wtedy dotarło do mnie, że w mieszkaniu jest tylko jedna sypialnia. W tym momencie stwierdziłem, że muszę wiać. Tylko jak to zrobić? Nie mogę przecież nic powiedzieć, bo to by było chamstwo. Wiesz, uzgodniona rzeczywistość, ugoda społeczna, coś tam, coś tam. Nie mogę tego zrobić.

Hazel prychnęła gniewnie, ale Ben ją zignorował.

– No więc mówię, że muszę do toalety i tam się chowam, próbuję to wszystko ogarnąć. A potem biorę głęboki wdech, wychodzę i idę, idę, aż dochodzę do drzwi i na schody. Na ulicy ruszyłem biegiem.

Roześmiała się, widząc oczami wyobraźni realizację tego niezbyt wyszukanego fortelu.

– Aha, bo jak zniknąłeś bez słowa, to postąpiłeś bardzo kulturalnie i uprzejmie.

Ben pokręcił głową.

– To było mniej krępujące.

Roześmiała się jeszcze głośniej.

– A sprawdzałeś pocztę? Bo przecież facet do ciebie napisze i spyta, gdzie znikłeś. I to nie będzie krępujące?

– Chyba żartujesz. Już nigdy więcej nie otworzę mejla – odparł Ben z przekonaniem.

– No i dobrze – odpowiedziała Hazel. – Chłopcy w internecie kłamią.

– Wszyscy chłopcy kłamią – stwierdził Ben. – I wszystkie dziewczyny. Ja kłamię, ty kłamiesz. Tylko nie mów, że nie kłamiesz.

Hazel nie odezwała się, bo miał rację. Kłamała. Dużo kłamała, a najczęściej okłamywała właśnie Bena.

– A co tam u ciebie? Jak się dziś miewa nasz śpiący królewicz? – spytał Ben.

Od lat Hazel i Ben wymyślali najrozmaitsze historie o rogowym chłopcu. Rysowali w nieskończoność jego cudną twarz i zakręcone rogi markerami taty, węglem mamy, a wcześniej własnymi kredkami. Gdy Hazel zamknęła oczy, potrafiła przywołać jego obraz – granatowy kaftan wyszywany ciemnozłotą nicią w feniksy, gryfy i smoki; blade dłonie założone jedna na drugą, obie przyozdobione lśniącoymi pierścieniami; wyjątkowo długie paznokcie, równo spiłowane na delikatny szpic; skórkowe buty koloru kości słoniowej z wysokimi cholewami, no i twarz tak piękną, o tak perfekcyjnych rysach, że gdy patrzyło się zbyt długo, człowiek odnosił wrażenie, że wszystko inne jest miałkie i brzydkie.

Z pewnością był królewiczem, a przynajmniej księciem. Tak stwierdził Ben, kiedy pierwszy raz go zobaczyli. Jak w bajkach: królewicz, na którego ktoś rzucił klątwę, a przełamać ją może tylko prawdziwa miłość. W tamtych czasach Hazel była przekonana, że to ona go obudzi.

– Nasz królewicz bez zmian – powiedziała Hazel. Nie chciała opowiadać wydarzeń tego wieczoru, ale nie chciała też zniżać się do banału. – Wszyscy

bez zmian. Wszystko bez zmian, tak samo jak zawsze.

Przecież Ben nie był niczemu winny, jej frustracja brała się zupełnie skądinąd. Decyzje dawno zostały podjęte, klamka zapadła. Nie było sensu niczego żałować, a tym bardziej mieć Benowi czegokolwiek za złe.

Po jakimś czasie do kuchni wmaszerował znużony tata, żeby zrobić sobie herbatę, przy okazji zaś pogonił ich do łóżek. Miał pilną robotę, musiał skończyć ilustracje, które miał zawieźć do miasta w poniedziałek. Należało się spodziewać, że będzie pracować całą noc, co oznaczało, że zauważy, jeśli i oni nie pójdą spać.

Należało też się spodziewać, że mama dotrzyma mu towarzystwa. Mama i tata zaczęli chodzić ze sobą, gdy uczęszczali do szkoły artystycznej w Philadelphii; połączyła ich miłość do książek dla dzieci, za których sprawą Ben i Hazel dostali imiona – o hańbo! – na cześć słynnych królików. Wkrótce po dyplomie mama i tata przenieśli się do Fairfold; byli bez grosza, mama w ciąży i gotowa wyjść za mąż, jeśli w zamian rodzina taty pozwoliłaby im za darmo mieszkać w domu jego ciotecznej babki. Tato przebudował szopę na pracownię i w swojej połowie malował ilustracje, a mama w swojej malowała pejzażyki, widoki lasu Carling, które sprzedawała w mieście, najczęściej turystom.

Wiosną i latem w Fairfold roiło się od turystów. W Railway Diner opychali się pankejkami z prawdziwym syropem klonowym, w Curious obkupowali się T-shirtami oraz czterolistną koniczyną zatopioną w pleksi, dawali sobie powróżyć w Mystical Moon Taret, robili selfiaki, siedząc na szklanej trumnie królewicza, kupowali posiłki na wynos w Annie's Luncheonette, by wybrać się na piknik w okolicy jeziora Naci; przechadzali się, trzymając za ręce po ulicach miasteczka, tak jakby Fairfold było superprzytulnym miejscem dla nieszkodliwych wariatów.

Każdego roku jacyś turyści znikali.

Niektórych topiły w jeziorze Naci wodne wiedźmy, ich ciała rozkładały się w gęstej płataninie wodorostów, uwięzione na zawsze pod płaszczem rzęsy wodnej. Innych tratowały o zmierzchu rumaki pobrzękujące dzwonkami wplecionymi w grzywy, których grzbietów dosiadali sami Promieniści. Niektóre ciała znajdowano w wydrążonych pniach drzew: do góry nogami, wykrawawione i nadgryzione. Czasem widywało się kogoś siedzącego na parkowej ławce, z wyrazem tak bezbrzeżnego przerażenia na martwej twarzy, że stawało się jasne, że umarł ze strachu. A niektórzy po prostu znikali.

Niewielu. W każdym sezonie jedna czy dwie osoby. Dość jednak, by też ktoś spoza Fairfold zwrócił na to uwagę. Dość w każdym razie, aby w przewodnikach pojawiły się ostrzeżenia, dobre rady na stronach internetowych, cokolwiek. Dość, żeby turyści bali się przyjeżdżać. Ale nie, nie bali się.

Jeszcze pokolenie temu Mały Ludek bardziej dawał się we znaki. To znaczy, przejawiał większe skłonności do psot. A to nagły podmuch wiatru porwał zabłąkaną turystkę, niósł ją przez przestworza, by bez żadnej szkody odstawić ją kilka mil dalej. Niektórzy turyści po suto zakrapianej imprezie wracali do hotelu, by przekonać się, że minęło właśnie sześć miesięcy, odkąd go opuścili. Od czasu do czasu ktoś budził się z włosami splątanymi w kołtun. Z kieszeni turystów znikały rzeczy, które z całą pewnością tam włożyli, a na ich miejsce pojawiały się dziwne i zupełnie nowe przedmioty. Niewidoczne języki wylizowały masło, prosto z maselniczki. Pieniądze zmieniały się w liście. Sznurówki się rozsznurowywały, cienie były dziwnie poszarpane, tak jakby miały ochotę urwać się i też się zabawić.

Z drugiej jednak strony, wtedy bardzo rzadko się zdarzało, żeby za sprawą elfów ktoś poniósł śmierć.

Turyści – powiadali miejscowi z lekceważeniem. Tak mówili wtedy i tak mówią do dzisiaj – w przekonaniu, bo przecież musieli w to wierzyć, że turyści sami są sobie winni, że popełnili jakiś błąd, przez który zginęli. Jeśli zaś zupełnie wyjątkowo zniknął ktoś z mieszkańców Fairfold, to cóż, z pewnością dlatego, że zachowywał się jak głupi turysta. A trzeba było słuchać dobrych rad! Mieszkańcy Fairfold przywykli myśleć o elfach jak o żywiole, nieuniknionym i naturalnym zagrożeniu, czymś takim jak gradobicie albo gwałtowny przypływ morski, który też przecież porywa ludzi.

To był dziwny przykład dwójmyślenia.

Leśne istoty należało szanować, ale się ich nie bać. Turyści się bali.

Należało trzymać się od elfów z daleka i zawsze mieć przy sobie odpowiednie amulety. Turyści pod tym względem za mało się bali.

Kiedy Ben i Hazel przez krótki czas mieszkali w Philadelphii, nikt nie wierzył w ich opowieści. To były dziwaczne dwa lata. Musieli się kryć, żeby nie wyjść na dziwadła. Jednak i powrót był niełatwy, bo przecież wiedzieli, jak niezwykle jest Fairfold w porównaniu z innymi miastami. A także dlatego, że wtedy Ben postanowił całkowicie porzucić swoją magię, swoją muzykę.

To zaś znaczyło, że nigdy, przenigdy nie dowie się, jaką cenę zapłaciła Hazel za to, żeby mógł pójść do tej szkoły. Bądź co bądź nie była głupią turystką. Powinna była słuchać rad. Jednak czasem, w takie noce jak właśnie ta, pragnęła móc o tym komuś opowiedzieć. Trudno jej było się pogodzić ze skazaniem na wieczną samotność.

Tej nocy, kiedy ona i Ben udali się do łóżek, kiedy zrzuciła ubranie i włożyła piżamę, wyszczotkowała zęby i upewniła się, że ususzone resztki posolonej owsianki nadal znajdują się pod jej poduszką jako zabezpieczenie przed sztuczkami elfów, wtedy Hazel nie miała już czym się zająć i powróciły wspomnienia powodującej zawrót głowy chwili, kiedy jej usta dotknęły warg Jacka. Tylko że kiedy zapadała w sny, nie całowała już Jacka, lecz rogatego chłopca. Miał otwarte oczy, a kiedy przyciągnęła go do siebie, on jej nie odepchnął.



Hazel obudziła się nieswoja, zmęczona i przygnębiona. Uznała, że to wpływ wypitego poprzedniego wieczoru alkoholu, łyknęła więc aspirynę i popiła ją resztką pomarańczowego soku z kartonu. W wielkiej glinianej wazie stojącej pośrodku kuchennego stołu i służącej do przechowywania wszystkiego Hazel znalazła banknot dziesięciodolarowy oraz przypiętą do niego agrafką notkę od mamy: trzeba kupić chleb i mleko.

Hazel stęknęła głucho, powlekła się na górę, by włożyć legginsy i wypchaną czarną bluzę. W uszy wetknęła zielone kółka kolczyków.

Z pokoju Bena dobiegała muzyka. Co prawda sam już nie grał, ale muzyka towarzyszyła mu zawsze, nawet kiedy spał. Może jednak już wstał. Hazel liczyła, że uda się go namówić na zrobienie zakupów dla mamy, a wówczas ona mogłaby jeszcze się położyć.

Zastukała do drzwi pokoju Bena.

– Wchodzisz na własne ryzyko – zawołał.

Hazel otworzyła drzwi i ujrzała go, jak jedną ręką trzyma przy uchu komórkę, a drugą usiłuje włożyć obcisłe dzinsy w musztardowym kolorze.

– Cześć – powiedziała. – Mógłbyś...

Machnął na nią ręką i powiedział do telefonu:

– Tak, już wstała. Właśnie jest w moim pokoju. Dobra, spoko, widzimy się za piętnaście minut.

Hazel znów jęknęła.

– Na co ty się znów zgodziłaś?

Wyszczrzył do niej zęby w uśmiechu i pożegnał się z tym kimś, z kim rozmawiał. Czyli prawie na pewno z Jackiem.

Ben i Jack przyjaźnili się od lat, ich przyjaźń przetrwała coming out Bena i jego obsesyjny związek z jedynym w szkole chłopakiem innej orientacji, co zresztą zakończyło się potężną bójką przy wszystkich podczas ogniska na rozpoczęcie roku. Przetrwała też czarna dół depresji, w który stoczył się Jack, kiedy rzuciła go Amanda Watkins, w dodatku mówiąc mu, że spotykała się z nim tylko dlatego, że właściwie to chciała chodzić z Carterem, a on był dla niej czymś w rodzaju cienia Cartera. Przyjaźń niezakłócona mimo że słuchali zupełnie innej muzyki, czytali inne książki i przy lunchu zadawali się z zupełnie innymi ludźmi. Jasne, że taki drobiazg, jak przelotny pocałunek, takiej przyjaźni nie zakłóci. Nie znaczyło to jednak, żeby z niecierpliwością wyczekiwała momentu, w którym Ben dowie się, co narozrabiała. I niespecjalnie też marzyła o tym, żeby Jack przyglądał jej się ostrożnie przez całe popołudnie, tak jakby miała rzucić się na niego czy coś.

Jednak mimo woli cieszyła się na myśl o spotkaniu. Właściwie nie mogła uwierzyć, że się całowali, choćby przez chwilę. To wspomnienie nieoczekiwane i ku jej zawstydzeniu powodowało przypływ euforii. Tak jakby zrobiła coś naprawdę odważnego, pierwszy raz od niepamiętnych czasów. Rzecz jasna, był to fatalny błąd, bo mogła wszystko zepsuć. Na razie miała nadzieję, że jednak nie zepsuła. Nigdy więcej nie będzie mogła tego zrobić. Nawet nie była w stanie wyobrazić sobie, w jakich okolicznościach byłoby to możliwe.

Hazel nie potrafiła określić, kiedy pojawiła się u niej ta słabość do Jacka. Narastała powoli, począwszy od wzmożonej świadomości jego istnienia, od cieszenia się, gdy zwrócił na nią uwagę; na jakimś etapie pojawiła się nieustanna nerwowa paplanina Hazel w jego obecności. Pamiętała jednak dobrze, kiedy ta słabość stała się naprawdę silna. Hazel wkroczyła do kuchni Gordonów, żeby przypomnieć Benowi, że zaraz ma lekcję muzyki z jednym z alternatywnomuzycznych kumpli taty. Zastała tam całą paczkę chłopaków, robili sobie kanapki i wygłupiali się. Jack zrobił jej tosta z kurczakiem i równiutko pokrojonym pomidorkiem. Kiedy odwrócił się, żeby sięgnąć po

precle dla niej, gwizdnęła częściowo przeżutą gumę, którą przykleił do spodu swojego talerza, po czym natychmiast wetknęła ją do ust. Smakowała truskawką i jego śliną, a dała jej krótki przypływ takiego samego dojmującego szczęścia jak pocałunek.

Ta guma nadal tkwiła przyklejona do ramy jej łóżka jako talizman, z którym nie potrafiła się rozstać.

– Idziemy do Lucky's – oznajmił Ben beztroskim tonem. Aż nie miała sumienia mu wytknąć, że przecież wcale się na to nie zgodziła. – Łykniemy sobie po kawce i posłuchamy płyt. Zobaczymy, może są jakieś nowości. No weź, pan Schröder na pewno bardzo za tobą tęskni. Poza tym, jak sama w kółko powtarzasz, co innego można robić w tym mieście w niedzielę?

Hazel westchnęła. Powinna odmówić, ale widocznie już taki jej los, żeby pakować się w kłopoty przy każdej nadarzającej się okazji; nie odpuścić żadnemu chłopakowi, nie zapominać o młodzieńczej miłości, a za to natychmiastowo wprowadzić w życie najgłupsze ze swoich głupich pomysłów.

– No nie wiem, może kawa dobrze mi zrobi – odpowiedziała. Brat sięgnął po czerwony blezer, chcąc zapewne dostosować kolor swojego stroju do wschodu słońca.



Lucky's to wielki, stary, lecz odnowiony magazyn w brzydszej części Main Street, wznoszący się obok banku, przychodni dentystycznej i sklepu z zegarami. Pachniało tam starą książką, kulkami na mole i pieczystym. Niedopasowane do siebie regały o różnych rozmiarach pokrywały ściany i dzieliły wnętrze. Niektóre z tych regałów wykonano z rzeźbionego dębu, inne zbito gwoździami z palet, a wszystkie pochodziły z garażowych wyprzedaży, kupione za bezcen przez państwa Schröderów, gospodarzy tego lokalu. Dwa zapadające się fotele i gramofon ustawiono obok wielkich okien wychodzących na szeroki strumień. Goście sklepu mieli prawo odtwarzać dowolne winylowe płyty znajdujące się w ofercie. W dwóch wielkich termosach czekała na nich organiczna kawa ze zrównoważonego handlu. Na malowanym stole stały wyszczerbione kubki, napis obok głosił: SAMOBSŁUGA. 50 CENTÓW ZA KUBEK.

Po drugiej stronie dawnego magazynu ciągnęły się półki ze starymi ciuchami, butami, torebkami i innymi skarbami. Hazel zatrudniła się tu w lecie, a jej praca w znacznym stopniu polegała na przebieraniu zawartości setek plastikowych worków na śmieci, by oddzielić towar nadający się na półki od rzeczy podartych, poplamionych czy śmierdzących. Myszkując w tych torbach, znalazła dla siebie mnóstwo fajnych szmatek. W Lucky's było o wiele drożej niż w Goodwill; jej rodzice woleliby, żeby tam robiła zakupy, ponieważ uważali, że zaopatrywanie się w nowe ciuchy to okropnie burżujska przypadłość – ale tu było przyjemniej i miała stały rabat.

Jack, którego rodzina w oczach rodziców Hazel zdecydowanie zaliczała się do burżujskich, który kupował nowiutkie ubrania w galerii handlowej, przychodził do Lucky's przeglądać stopy książek w poszukiwaniu biografii sławnych zapomnianych, którymi zaczytywał się z takim zapałem, z jakim niektórzy odpalają jednego papierosa od drugiego.

Ben przychodził tu po stare płyty, które uwielbiał, chociaż przeskakiwały i trzeszczały, i z czasem brzmiały jeszcze gorzej; on jednak twierdził, że rowki w nich nadal oddają oryginalną falę akustyczną. Co więcej, dzięki temu zyskują prawdziwszy, bogatszy dźwięk. Hazel jednak sądziła, że tak naprawdę uwielbia ten rytuał – wyciąganie czarnej płyty z koperty, układanie jej na dysku gramofonu, przesuwanie ramienia z igłą dokładnie we właściwe miejsce, a potem zaciskanie dłoni w pięści, żeby nie wystukiwać rękami rytmu na udach.

Cóż, tego ostatniego pewnie akurat wcale nie lubił, ale robił to. Zawsze to robił.

Dzień był jasny i chłodny, wiatr chłostał ich policzki, aż poróżowiały. Gdy Hazel i Ben weszli do sklepu, z pobliskiej jodły zerwało się stadko kilkunastu wron; wzbily się w niebo z głośnym krakaniem. Pan Schröder, który drzemał w swoim fotelu, zerknął na nich, zbudzony dzwonkiem u drzwi, po czym puścił oko do Hazel, która odpowiedziała mu tym samym. Właściciel uśmiechnął się i opadł z powrotem w objęcia pluszowego giganta.

W przeciwnym końcu pomieszczenia Jack słuchał płyty Nicka Drake'a z gramofonu. Dźwięczny głos wypełniał wnętrze szeptem o złotych koronach i ciszy. Hazel zerknęła na niego z ukosa, tak żeby nie zauważył; próbowała się zorientować, w jakim jest nastroju. Wyglądał jak zawsze, trochę niechlujnie, w dżinsach, dwukolorowych oksfordach i pogniecionej zielonej koszuli, której barwa jakby uwydatniała srebrny połysk jego oczu. Na widok Hazel i Bena

uśmiechnął się, ale czy Hazel przypadkiem nie wydawało się, że ten uśmiech był trochę na siłę i nie całkiem sięgnął kącików oczu? Tak czy inaczej, to było bez znaczenia, bo spojrzenie Jacka prześlizgnęło się po niej i spoczęło na jej braciszku.

– No więc jak to było? Porzuciłeś swojego niedoszłego niczym Bruce Wayne na widok Znak!

Ben roześmiał się.

– Nie tak było!

Co też przyszło jej do głowy, żeby się z nim całować? Tylko dlatego, że się w nim kochała, kiedy byli dziećmi? Tylko dlatego, że akurat miała na to ochotę?

– Taa – zmusiła się, żeby coś powiedzieć. – Batman nigdy od nikogo nie zwiął.

Ben był zachwycony, bo miał okazję jeszcze raz opowiedzieć o swojej katastrofalnej randce. Uzbierali drobniaki na kawę z samoobsługowej dystrybucji, a tymczasem nowa wersja opowieści Bena nabierała kolorów i dramaturgii. Były niedoszłego kochał się jeszcze bardziej na zabój w niedoszłym Bena i jeszcze bardziej wściekał na intruza. Ben jeszcze komiczniej wykaraskał się z niezręcznej sytuacji. Pod koniec Hazel nie wiedziała już, co z tego jest właściwie prawdą, nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Przypomniała za to sobie, jak pięknie Ben potrafi opowiadać i jak wiele jej ukochanych baśni o roгатym chłopcu było właśnie jego autorstwa.

– A co u was? – spytał w końcu Ben. – Hazel nic nie mówiła, czyżby wczoraj nie wydarzyło się naprawdę zupełnie nic interesującego?

Jack przestał się śmiać.

– Hm – powiedział po pauzie, która trwała odrobinę zbyt długo. W jego bursztynowych oczach pojawił się dziwny błysk. – Nic ci nie powiedziała?

Hazel zamarła.

Brat przyglądał się im z zaciekawieniem.

– No? Co?

– Tom Mullins nawalił się, wlaź na szklaną trumnę i próbował ją rozbić. Jak nic ściągnął na siebie klątwę, biedny głupek.

Uśmiech Jacka był jakiś dziwny, niewyraźny. Przesunął palcami przez burzę brązowych włosów, wprawiając je w jeszcze większy nieład.

Hazel odetchnęła, lekko kręciło jej się w głowie.

Ben potrząsnął głową.

– Nie wiem, po co ludzie to robią. Przecież zawsze, jak ktoś próbuje dobrać się do trumny, przydarza mu się nieszczęście. Akurat Tom ma gdzieś naszego królewicza, więc co go podkusiło?

Wyraźnie się przejął, pewnie dlatego, że kiedyś Ben i Tom Mullins byli kumplami, jeszcze zanim Ben wyjechał, a Tom zaczął chlać.

– Może znudziły mu się wiecznie takie same imprezy, na które przychodzą ciągle ci sami ludzie – podsunął Jack. Oparł się o stół, na którym leżały stosy książek, paski i chusty. Patrzył na Hazel. – Może chciał, żeby coś się wreszcie wydarzyło.

Wzdrygnęła się.

– Dobra, dosyć tego wydziwiania – powiedział Ben, pochylił się, trzymając kubek w obu rękach. W świetle wpadającym przez przybrudzone szyby jego rude kędziory połyskiwały złotem. – Hej, co się z wami dzieje? Gapicie się na siebie, jakbyście się pierwszy raz zobaczyli.

– Słucham? Nie – odpowiedział Jack półgłosem. – Nic się nie stało. Nic złego.

Hazel też pokręciła głową. Wstała, żeby dolać sobie kawy.

– Oho – powiedziała, by jak najprędzej zmienić temat. – Coś mi wpadło w oko, czyżby cekinowy topik?

Owszem, tak właśnie było. Obok zaś wisiała wspaniała powiewająca muślinem suknia w kolorze jasnomorskim, w której Hazel w następnej chwili tańczyła po sklepie. A obok obcisły garniturek, który wyglądał jak żywcem wzięty z wczesnych odcinków *Mad Men*. Jack puścił płytę Bad Brainsów, Ben przymierzył garnitur, pojawili się jacyś turyści i kupili kilka pocztówek. Krótko mówiąc, wszystko pomału zaczęło się układać jak w każde niedzielne popołudnie.

Jednak potem Ben wsadził ręce do kieszeni marynarki, w której paradował po sklepie i zażądał, by powiedzieli, że garnitur wcale nie jest na niego za ciasny. Hazel podniosła jego czerwony blezer i przewiesiła sobie przez ramię, a wtedy z kieszeni coś wypadło. To coś odbiło się, podskoczyło i potoczyło, aż zatrzymało się przy bucie Jacka. To był orzech włoski obwiązany cienką kokardką z trawy.

– Zobacz – powiedział Jack, przyglądając się znalezisku. – Co to może być?

– To było w mojej kurtce? – upewnił się Ben.

Hazel przytaknęła.

– No, to trzeba otworzyć.

Jack wstał, pochylił się, nie zdejmując z głowy przekrzywionego melonika. Poruszał się ze swobodą, niespiesznie, co przyprawiało Hazel właśnie o takie myśli, jakie wpędzały ją potem w kłopoty.

Żdźbło dało się łatwo rozwiązać, skorupka rozpadła się na dwie połowy. Wewnątrz znajdował się maleńki zwitek papieru.

– Pokaż – zażądała Hazel. Rozwinęła kawałek pergaminu, a po jej plecach przeszedł zimny dreszcz, gdy zobaczyła pajęczaste litery: *Rad, nie rad, siedem lat długu spłat.*

Milczeli przez dłuższą chwilę, przy czym Hazel skupiła się na tym, żeby nie wypuścić karteczki z ręki.

– To chyba nie ma sensu – stwierdził Jack.

– Pewnie jakaś tandeta dla turystów – powiedział Ben, ale trochę niepewnym głosem. – Ściema i lipa. Lipa w orzechu!

Rzeczywiście, na samym końcu Main Street znajdował się sklep U Widzącej, w którym sprzedawano tego rodzaju pamiątki dla miłośników elfowych tajemnic. Kadzidła, torebki soli zmieszanej z jarzębiną dla ochrony przed czarami, mapy „świętych” miejsc w pobliżu miasta, kryształy, ręcznie malowane karty tarota, zasłonki do okien mieniące się wszystkimi kolorami tęczy. Tajemnicze wróżby w skorupce orzecha to było akurat w ich guście.

– Tylko co to ma być za wróżba? – spytał Jack.

– Właśnie – powiedziała Hazel, starając się to powiedzieć w taki sposób, żeby nikt się nie zorientował, że jej serce wali niczym szalone i próbując zachowywać się w taki sposób, jakby wcale nie wiedziała, dla kogo jest ta wiadomość, i udawać, że wszystko jest w porządku, tak jak zawsze.

– Fakt. – Ben włożył łupiny orzecha i notkę do kieszeni, zaśmiał się. – I śmieszne, i straszne.

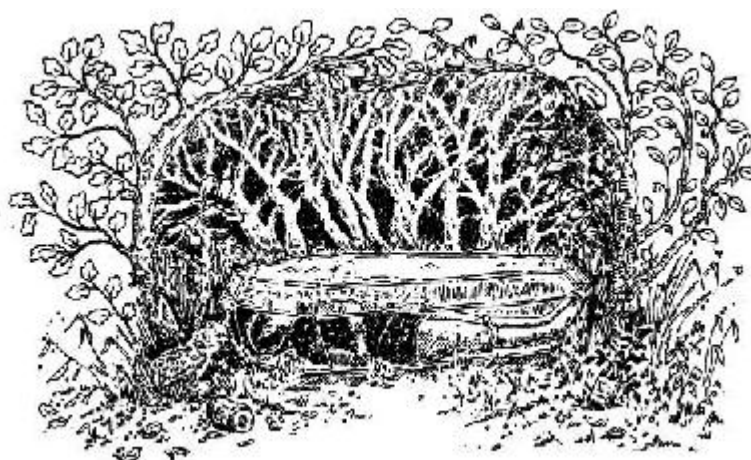
Potem Hazel mogła już tylko udawać, że się dobrze bawi. Przyglądała się Benowi i Jackowi, starając się ich zapamiętać. Zapamiętać ludzi i zapamiętać miejsce, zapach starych książek i odgłosy normalności.

Ben kupił sobie muchę w kropki, po czym udali się do sklepu spożywczego, gdzie Hazel nabyła karton mleka i bochenek chleba. Jack szedł do rodziców na obiad, bo mieli taką niedzielną tradycję, że grają całą rodziną w gry planszowe i chociaż zarówno Jack jak i Carter uważali to za straszne nudziarstwo, nie wolno im się było od tego wykręcić. Hazel i Ben też poszli do domu. Hazel zatrzymała się przy drzwiach, żeby nalać trochę mleka do ceramicznej miseczki, która zawsze stała pod kamienną ścianą. Wszyscy w Fairfold

zostawiali jedzenie dla skrzatów i elfów, chcąc w ten sposób okazać im szacunek, a kto wie, może i zyskać przychyłność.

Jednak tym razem mleko wpadało do naczynia grubymi farfocłami – już zdążyło się skwasić.

ROZDZIAŁ 4



Tej nocy Hazel przewracała się z boku na bok, rozkopywała pościel. Próbował się zmusić do niemyślenia o poczynionych obietnicach i długach do spłacenia. Wyobrażała sobie, że nie istnieją, że zamknięte są w skrzyniach zatrzaśniętych na sto spustów, w tysiącach zakopanych kufrów, każdy z nich opleciony ciasno łańcuchami.

Rano czuła ociężałość. Kiedy przewróciła się na bok, żeby wyłączyć budzik, piekły ją końce palców. Wnętrza dłoni były zaczerwienione, z widocznymi otarciami. W zagięciu kciuka znalazła szklaną drzazgę długości szpilki i jeszcze kilka krótszych wbitych w palce. Jej serce waliło jak młot.

Kopnęła na bok kołdrę i znieruchomiała: zobaczyła, że ma ubłocone stopy. Zaschnięte błoto odpadało już od nich, kiedy wstała. Nogi miała ubłocone aż po kolana, a dół koszuli nocnej sztywny i brudny. Kiedy spojrzała na łóżko, miejsce, w którym spała, wyglądało jak gniazdo, pełne trawy i patyków. Próbowała cofnąć się myślą do minionej nocy, ale w głowie miała tylko niejasne wspomnienia snów. Im bardziej próbowała się na nich skupić, tym bardziej umykały.

Co się wydarzyło? Co zrobiła i dlaczego nic z tego nie pamięta?

Hazel zmusiła się, żeby wziąć prysznic w wodzie tak gorącej, jak tylko mogła wytrzymać. Pod wodą powyciągała szkło z ręki, cienkie strużki krwi zawirowały w odpływie brodzika. Zmyła błoto i przestała wreszcie się trząść. Wciąż jednak nie pojawiła się odpowiedź na najważniejsze pytanie: *co ja takiego zrobiłam?*

Bolały ją wszystkie mięśnie, jak po jakimś ogromnym wysiłku, lecz ani zakwasy, ani błoto i odłamki szkła nie tworzyły żadnej spójnej całości. Oddychała zbyt szybko, na nic się zdało powtarzanie, że powinna się uspokoić i że przecież wiedziała: prędzej lub później musiało do tego dojść. Najgorsze było czekanie i powinna być zadowolona, że wreszcie z tym skończy.



Pięć lat wcześniej, kiedy Hazel miała niespełna jedenaście lat, zawarła z elfami układ.

Pewnej księżycowej nocy tuż przed nastaniem świtu zakradła się do sławetnego głogu. Było jeszcze ciemno, na niebie lśnił gwiazdny pył. Strzępki odzienia powiewały na gałązkach jak duchy życzeń. Miecz zostawiła w domu, przez szacunek i w nadziei, że chociaż polowała na elfy – te złe – te inne zawrą z nią uczciwy układ. Była wtedy bardzo młoda.

Dobrze pamiętając, czego pragnie, Hazel wkroczyła w krąg białych kamieni i czekała pod głogiem, siedząc na mokrej od rosy trawie, a jej serce tłukło się prędiutko jak u myszki. Nie musiała czekać długo. Po kilku minutach z lasu wyłonił się stwór, dla którego nie znalazła nazwy. Miał bladą skórę i przemieszczał się na czworakach, szpony jego łap były dłuższe od jej palców. Trupioblada skóra stawała się różowa wokół oczu i zbyt szerokiej paszczy pełnej spiczastych, rekinich zębisk.

– Przywiąż swoją wstęgę do drzewa – syknęła istota, ukazując przy tym długi różowy język. – Wypowiedz swoje życzenie. Zawrę z tobą ugodę w imieniu Króla Olszyn i otrzymasz to, czego pragniesz.

Hazel przyniosła pasek tkaniny wydarty z podszewki swojej ulubionej sukienki, trzepotał się na wietrze, kiedy wyjęła go z kieszeni.

– Chcę, żeby mój brat poszedł do szkoły muzycznej w Philadelphii. Żeby wszystko było opłacone, tak żeby mógł tam się uczyć. W zamian, dopóki nie powróci, przestanę polować.

Stwór zarechotał.

– Śmiała jesteś, to mi się podoba. Ale nie. Obawiam się, że to nie jest wystarczająca cena za to, czego chcesz. Oddaj mi dziesięć lat swojego życia.

– Dziesięć? – powtórzyła Hazel niczym zdumione echo. Myślała, że gotowa jest do targów, nie spodziewała się jednak, że zażądadają czegoś takiego. Chciała, żeby Ben lepiej sobie radził z muzyką. Potrzebowała tego, bo potrzebowała go, żeby znów mogli skutecznie współdziałać. Kiedy szła na polowanie bez niego, czuła się zagubiona. Musiała zawrzeć tę umowę.

– Przecież jesteś jeszcze taka młoda, masz bez liku lat przed sobą. Nie oddasz nam kilku? – spytał stwór. Przyczłapał bliżej, tak że dostrzegła, że jego oczy są czarne jak atrament. – Nie będzie ci ich brakować.

– A czy wy nie żyjecie bez końca? – spytała Hazel. – Po co wam jeszcze czyjeś lata?

– Nie, nie „czyjeś”. – Stwór usiadł, pazurzystkami gmerał w ziemi w taki sposób, że wyglądał na znudzonego, a zarazem budził strach. – Nie czyjeś. Twoje.

– Siedem – powiedziała wtedy Hazel, pamiętając, że elfy lubią niektóre liczby bardziej od innych. – Mogę wam dać siedem lat.

Stwór uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Uгода zawarta. Przywiąż swoją szmatkę do drzewa i wracaj do domu z naszym błogosławieństwem.

Hazel podniosła rękę, wstążka trzepotała między jej palcami. Zawahała się jeszcze. To wszystko zdarzyło się tak prędko. Stworzenie zgodziło się bez żadnych negocjacji czy dalszych targów. Ogarnął ją zimny, paskudny strach i coraz silniejsze przekonanie, że popełniła fatalny błąd.

Czy jednak rzeczywiście tak było? Zrozumiała, że umrze o siedem lat wcześniej, niż umarłaby bez tego, jednak kiedy ma się dziesięć lat, równie odległa przyszłość wydaje się bliższa do nigdy niż do teraz.

Dopiero wracając w ciemności do domu, uświadomiła sobie, że wcale nie ustalono, iżby te lata miały zostać jej odebrane z końca życia. Tak jej się tylko wydawało. A to znaczyło, że mogą się o nią upomnieć, kiedy tylko zechcą, biorąc zaś pod uwagę, co powiadają, jak zupełnie inaczej biegnie tam czas, siedem lat spędzonych u elfów może zająć całą resztę jej życia w śmiertelnym świecie. Nie wyszła więc na targach z elfami ani trochę lepiej niż ktokolwiek, kto wypowiadał życzenia pod tym drzewem. Elfy jak zwykle postawiły na swoim.



Od tamtej nocy starała się zapomnieć, że żyje w czasie użyczonym, zatracając się w zabawie. Chodziła na wszystkie imprezy, całowała się ze wszystkimi chłopakami, przeciwstawiając rozkosz rozpaczy, dławiącemu ją przerażeniu, czyhającemu na nią nieuchronnemu losowi.

Tylko że też od tamtego czasu właściwie nic ją już nie bawiło.

Stojąc pod prysznicem, Hazel przypomniła sobie orzech i ukrytą w nim wiadomość: *Rad, nie rad, siedem lat długu spłat.*

Zrozumiała ostrzeżenie, chociaż nie miała pojęcia, dlaczego elfowie zadali sobie trud, by przekazać jej taką wiadomość. Nie rozumiała też dlaczego, skoro nadszedł czas, żeby ją sobie zabrali, wciąż znajduje się w swoim pokoju. Czyżby porwano ją zeszłej nocy i oddano? Czy znów ją zabiorą? Czy siedem lat minęło w ciągu jednej śmiertelnej nocy? Niemożliwe, nikt nie miał tyle szczęścia, a już szczególnie ona.

Owinęła się ręcznikiem i podeszła do szafy, wciąż zastanawiając się, co może zrobić.

Jednak kimkolwiek był autor notki, ujął rzecz trafnie: „rad, nie rad”. Nic się nie da zrobić, próżne żale. Już za późno.

Hazel wybrała na ten dzień granatową sukienkę w różowiućki i zielone pterodaktyle, do tego zielone kalosze i przezroczystą parasolkę. Miała nadzieję, że ten radosny ubiór pozwoli jej utrzymać wesoły nastrój. Jednak kiedy usiadła na łóżku, żeby włożyć buty, dostrzegła, w jakim stanie jest okno. Cały parapet umazany błotem, błoto na szybach – do tego coś napisane błotem na ścianie obok: AINSEL.

Podeszła, żeby przyrzeć się z bliska. To mogło być imię kogoś, kto chciał jej pomóc, ale równie dobrze mogło oznaczać kogoś, kogo powinna się obawiać – zwłaszcza że nabazgrano je jak w horrorach, błotem na jasnoblękitnej ścianie.

To była przerażająca myśl, bo jakiś nieznaną stwór przyszedł za nią do pokoju, jedno z elfowych dziwadeł zakradło się, żeby nabazgrać litery kościstym paluchem albo ostrym szponem.

Miała przez chwilę ochotę pobiec na dół i opowiedzieć o wszystkim bratu – o układzie, o wiadomości, że obudziła się z błotem na stopach i że boi się, bo może ją porwą i nawet nie będzie mogła się pożegnać. Kiedyś był kimś, komu

ufała najmocniej na całym świecie, jej drugą połówką, współkonspiratorem. Mieli zamiar naprawić całe zło w mieście. Może gdyby nie dzieliły ich już żadne sekrety, znów staliby się sobie tak bliscy? Jednak gdyby mu o tym powiedziała, mógłby stwierdzić, że to wszystko przez niego.

Tymczasem ona miała przecież sama się pilnować i dbać o siebie. Obiecała mu to. Nie chciała, żeby się dowiedział, jaką klęskę poniosła. Nie chciała, żeby stało się jeszcze gorzej, nie po porażce, jaką okazał się pobyt w Philadelphii.

Odetchnęła głęboko, postanowiła z całą mocą, że nic nikomu nie powie, po czym poszła na dół. Ben już był w kuchni, pakował do plecaka jedzenie na lunch. Mama zostawiła na talerzu domowej roboty batoniki z rodzynkami, granolą i jarmużem. Hazel zgarnęła dwa, Ben nalał kawę do zakręcanych słoików.

Po drodze do szkoły Ben i Hazel prawie nie rozmawiali; jedli śniadanie, a trzeszczące głośniki garbusa wypełniały wnętrze samochodu poranną punkową playlistą najbliższego college'u. Ben ziewał, był zaspany i nie chciało mu się gadać; Hazel spoglądała na niego i gratulowała sobie samej, że zachowuje się normalnie.

Kiedy dojechali do szkoły, niemal już zdołała sobie wmówić, że nie zostanie w trybie natychmiastowym porwana przez elfy. Jeśli zaś postanowiły sobie z nią igrać, jak wyjątkowo wredny kot z myszką, to przejmowanie się tym niczego nie zmieni. Utwierdziwszy się w tym przekonaniu, weszła do budynku. Korytarzem szli Jack i Carter, z tej odległości wyglądali jak prawdziwi bliźniacy; z tym wyjątkiem, że Carter obejmował ramieniem bardzo z siebie zadowoloną Amandę Watkins. A więc Amanda w końcu dorwała swojego Cartera. Cień odszedł w cień i jakoś udało jej się zdobyć oryginał.

Pierwsza myśl Hazel była taka, że Carter jest hipokrytą, bo czepia się jej, Hazel, że łamie serca, podczas gdy sam jest współwinny temu, co Amanda zrobiła jego bratu.

Druga myśl była taka, że może Carter nie wiedział, może Jack nie opowiadał mu o tej historii z cieniem. Hazel widziała starannie upozowaną obojętność wyrazu twarzy Jacka idącego obok nich i gotowa była się założyć, że faktycznie, akurat z tego nie zwierzył się bratu.

Hazel wściekała się na myśl, że Jack tęskni za Amandą, podczas gdy Amanda jest tuż obok, tylko trzepocze rzęsami dla Cartera. Hazel miała ochotę przekierować własne poczucie bezradności na Amandę w taki mianowicie sposób, żeby walnąć ją w brzuch. Oraz znów pocałować Jacka i to

tak, żeby moc tego pocałunku wybiła mu raz na zawsze z głowy Amandę, pocałować go do szaleństwa, by wszyscy inni faceci, nawet Carter, nie posiadali się z zazdrości, że Jack jest taki pociągający.

Potem jednak wyobraziła sobie, że mogłaby przejść korytarzem i rzeczywiście to zrobić, a wtedy przypomniał jej się dziwny, zbolały wyraz twarzy, z którym Jack odsunął się od niej podczas imprezy. Nie chciała, by kiedykolwiek więcej tak na nią spojrział.

– Ty, co tam się dzieje? – spytał Ben, wrywając ją z rozmyślań. Przy wejściu do wielkiej sali audytorium wokół kościółkowych zgromadził się już spory tłumek, który wciąż narastał.

– Po prostu już go nie było – mówiła właśnie Charlize Potts z ramionami skrzyżowanymi na szmatławej bluzie od Hollistera, którą nosiła do różowych jegginsów. Na jej plecy opadały długie włosy platynowego koloru. – Byliśmy w lesie rano, przed szkołą, żeby pozbierać trochę butelek. No wiecie, po was, imprezowiczach od siedmiu boleści. Potem przychodzą turyści i widzą ten bajzel, a pastor Kevin się za was wstydzi. No i trumna była pusta. Rozbita. Czyli ktoś się nie bał i roz...

Hazel stanęła jak wryta. Wszystkie inne myśli odpłynęły.

– Niemożliwe, żeby tak normalnie zniknął! – wyraził ktoś swoją opinię.

– Ktoś ukradł ciało, na pewno.

– E tam, to jakiś wygłup.

– Co tam się działo w sobotę wieczorem?

– Tom jest w szpitalu, połamał obie nogi. Spadł z jakichś schodów, czy coś, więc to na pewno nie on. Nie mógł tam pójść.

Serce Hazel głucho łomotało. Niemożliwe, żeby mówili o tym, o czym jednak najwyraźniej właśnie mówili. To nie do pomyślenia. Ostrożnie, powoli podeszła bliżej, z poczuciem, że przemieszcza się w substancji gęstszej od powietrza. Długie nogi Bena poniosły go dalej, w głąb zgromadzenia.

Kilka chwil potem odwrócił się w stronę Hazel, jego oczy lśniły. Nie musiał tego mówić, ale powiedział. Chwyił ją za ramiona i wyszeptał do ucha, niczym sekret, coś, o czym wszyscy głośno mówili.

– Obudził się – powiedział cicho, lecz z naciskiem, poczuła jego oddech w swoich włosach. – Słyszysz? Rogaty chłopiec, królewicz. Jest wolny. Wydostał się i może być dosłownie wszędzie. Musimy go znaleźć, zanim znajdzie go ktoś inny.

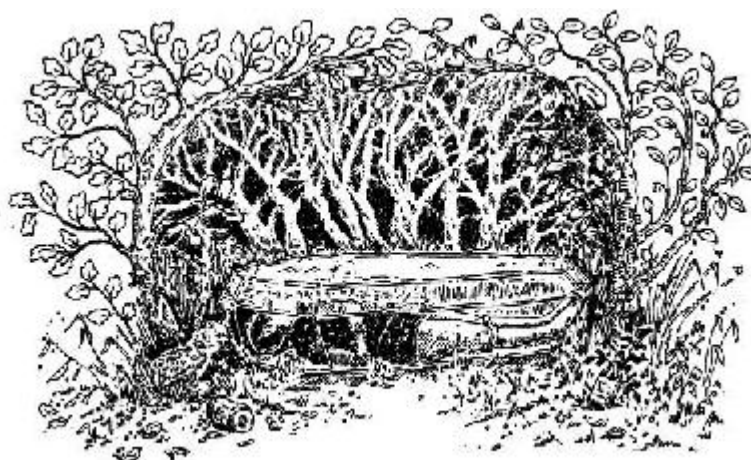
– Czy ja wiem – odpowiedziała Hazel. – Przecież już się tym nie zajmujemy.

– To będzie jak za dawnych czasów – powiedział Ben, na jego ustach jaśniał błogi uśmiech. Jego oczy od lat tak nie lśniły. – Wiesz, samotny kowboj, który powraca po latach, żeby rozegrać ostatnią walkę, a u jego boku niezawodny towarzysz, tak jak kiedyś. A wiesz dlaczego?

– Bo jest naszym królewiczem – odparła Hazel i czuła, że tak właśnie jest. To oni mieli go ocalić. Ona miała być tą, która go uratuje. I może rzeczywiście czeka ją jeszcze jedna, ostatnia przygoda, którą przeżyje razem z bratem.

– Bo jest naszym królewiczem – powtórzył Ben takim samym tonem, jakim owieczki z trzódki pastora zakończyłyby znaną na pamięć modlitwę słowem AMEN.

ROZDZIAŁ 5



Byla sobie raz dziewczynka, która znalazła w lesie trupa. Rodzice zaniedbywali tę dziewczynkę, i jej braciszka też, tak samo jak z pobłażliwą bez troską traktowali jamnika noszącego imię Whiskey oraz trójkę kotów zaludniających ich mały domek. Odwiedzali ich długowłosi przyjaciele słuchający alternatywnego rocka, pijący wino, jamujący na gitarach i gadający o sztuce do późna w nocy, a tymczasem chłopczyk i dziewczynka biegali bez pieluch. Rodzice malowali całymi godzinami, choć rzecz jasna od czasu do czasu przerywali, żeby napełnić butelki mlekiem i zrobić pranie, które jakimś cudem nawet zaraz po wyjęciu z pralki pachniało terpentyną. Dzieciaki wyjadały resztki z talerzy po dorosłych, wymyślały coraz to nowe zabawy rozgrywane się nieodmiennie w błocie i kałużach, a kąpały się tylko wtedy, kiedy ktoś zdołał je złapać i przemocą wsadzić do miednicy.

Kiedy ta dziewczynka wspominała dawne czasy, dzieciństwo jawiło jej się jako nieustanna radosna gonitwa z braciszkiem i psem, przez las, w byle jakich ciuszkach i wiankach ze stokrotek na głowach. Biegali aż do miejsca, gdzie spał rogaty chłopiec, śpiewali piosenki i układali historyjki o nim przez całe popołudnia, a wracali do domu dopiero na noc, wygłodniali i zmęczeni, jak dzikie zwierzątka wracające do swojej nory.

Uważali się za dzieci lasu, włóczyli się po nim, chowali w dziuplach martwych drzew. Czasem widywali elfy, coś poruszało się na skraju ich pola widzenia, albo słyszeli śmiechy, które dochodziły jakby ze wszystkich stron i jednocześnie znikąd. Dobrze wiedzieli, że trzeba zawsze mieć przy sobie

talizmany, w kieszeni trochę ziemi z grobu, zawsze ostrożnie i grzecznie odzywać się do obcych, bo niekoniecznie będą to istoty ludzkie. Jednak wiedzieć, że elfy potrafią być niebezpieczne to jedno, a znaleźć zwłoki Adama Hicksa to coś zupełnie innego.



Tego akurat dnia Hazel miała na sobie strój rycerza: wokół szyi zawiązała dużą niebieską ścierkę – swoją pelerynę – i przepasała się szalem – pasem, za który można było zatknąć oręż. Złocistorude włosy powiewały za nią, gdy biegła, lśniły w słońcu leniwego, późnego popołudnia.

Ben walczył z nią na miecze przez cały dzień. Miał plastikowy miecz He-Mana, który mama kupiła mu w lumpeksie, razem z książeczką o rycerzach króla Artura – o sir Pellinorze, który ponoć wywodził się z elfów, o sir Gawainie i klątwie ciężącej na nieładnej damie. W książeczce wielokrotnie pisano również o przymiotach rycerzy: sile, odwadze, lojalności, dworności, współczuciu i oddaniu.

Hazel dostała wtedy lalkę, można było nalać do niej wody, a kiedy nacisnęło się na brzusek, lalka sikała... A Hazel też chciała miecz. Ben, zadowolony, że dostał lepszy prezent, gonił za siostrą i plastikową klingą wytrącał patyki z jej dłoni. Aż wreszcie Hazel rozzłościła się, poszła do składziku na narzędzia i znalazła w nim zardzewiałą starą maczetę ojca. Rozcięła nią plastikowy miecz Bena na pół. Chłopczyk pobiegł do domu po klej, a Hazel, jak przystało na dziarską dziewięciolatkę, odtańczyła na podwórzu taniec tryumfalny.

Spędziła nieco czasu, siekąc ostrzem suche paprocie – w jej oczach były strasznym potworem z legend, tym właśnie, który czaił się w sercu lasu. Nuciała sobie przy tym pod nosem rymowanekę i czuła się bardzo odważna. Potem znudziła jej się ta zabawa i poszła szukać jagód. Maczetę zatknęła za pas. Zaszła daleko w gęste krzaki; Whiskey przez jakiś czas biegł za nią, ale potem się oddalił. Chwilę później usłyszała jego szczekanie.

Adam Hicks leżał w błocie na brzegu jeziora. Usta miał sine. Puste oczodoły gapiły się w niebo, wiły się w nich robale białe jak masa perłowa. Dolna część jego ciała tkwiła pod wodą. I właśnie ta część została już nadjedzona. Widać było białą kość, a strzępki truchła poruszały się w jeziorze jak nitki podartej

tkaniny. W powietrzu unosił się taki sam zapaszek jak wtedy, gdy Hazel kiedyś w lecie zapomniała schować hamburgera do lodówki i przeleżał na kuchennym blacie całą upalną noc.

Whiskey biegał tam i z powrotem, obwąchiwał trupa i wył wniebogłosem, jakby mógł w ten sposób obudzić Adama.

– Chodź, idziemy stąd – zawołała Hazel do psa, lecz jej głos rozbrzmiał zaledwie szeptem. Wiedziała, że nie minęło jeszcze dość czasu, by jej brat zdążył wrócić. Wiedziała więc, że jest tutaj samiuteńka, tylko z psem.

Drżała na całym ciele.

Rodzice Adama wprowadzili się do Fairfold zaledwie przed rokiem, nie był więc może tak zupełnie turystą, ale z pewnością jeszcze nie miejscowym. To oznaczało sytuację niedookreśloną, a zatem nader kuszącą dla przedstawicieli leśnego ludu. Są wszak istotami zamieszkującymi półmrok i półcień, świt oraz zmierzch, zawsze gdzieś między jednym a drugim, między prawie a nie całkiem, na skraju i na pograniczu.

Hazel odwróciła się, żeby nie patrzeć już na wstrętne oczodoły Adama i na zieloną wodę, pomyślała o wszystkich rycerzach z książeczki, którą czytała rankiem. Skoro miała być jednym z nich, nie wolno jej było zwymiotować.

Whiskey ujadał coraz gwałtowniej, histeryczniej.

Hazel znów go zawołała, a wtedy za kostkę chwycił ją mokry szpon. Wrzasnęła, po omacku sięgnęła po maczetę, drugą stopą próbowała przydeptać trupioblądę dłoń. Jęzda wynurzyła się z błotnistej wody, ukazując twarz zapadłą jak czaszka i chmurne oczy, długie zielone włosy, tak długie, że unosiły się na powierzchni wody. Jej dotyk palił skórę niczym lodowaty ogień. Hazel udało się ciąć zardzewiałym ostrzem rękę czarownicy. Zyskała w ten sposób tyle, że ta szarpnęła ją mocno i Hazel twardo upadła na plecy. Z truchła Adama wzbił się czarny rój much. Hazel poczuła, że potężna siła wlecze ją w stronę wody, stwierdziła jednocześnie przy tym z mętną i okropną satysfakcją, że jęzda krwawi z rany na policzku. Hazel musiała ją zranić, wymachując na oślep maczetą.

– Śliczna dziewczynka – odezwała się wiedźma. – Tylko maleńki kąsek, ale jędrny. Dziewczynka dużo biegała. Przestań się rzucać, maleńki kąsku.

Hazel zacisnęła oczy, znów zamachnęła się na oślep maczetą. Wiedźma syknęła jak rozwścieczony kot i pochwyciła drugą dłoń ostrze. Rozcięło jej paluchy, ale nie puściła, zdołała wyrwać broń z ręki Hazel, a potem rzucić

maczetę na sam środek jeziora. Rozległ się plusk, od którego Hazel zrobiło się słabo.

Whiskey wbił zęby w rękę potwory.

– Nie! – zawołała Hazel. – Nie, Whiskey! Uciekaj!

Pies nie puścił, szarpał w lewo i w prawo. Jędza uniosła długie zielone ramię wysoko nad głowę, podnosząc też jamnika, jego krótkie łapki straciły oparcie, zęby wbiły się jeszcze mocniej, próbując dogryźć się do kości. Potem zaś ramię czarownicy opadło, trzasnęło o ziemię, jakby nic nie ważyło, jakby w ogóle było niczym. Piesek znieruchomiał, leżał na brzegu niczym zepsuta zabawka.

– Nienienienie – jęknęła Hazel. Wyciągnęła rękę do Whiskeya, ale był na tyle daleko, że nie była w stanie go dosięgnąć. Palce dziewczynki wbiły się w błoto, tworząc głębokie bruzdy.

Z daleka napłynęły dźwięki muzyki. Fletnia Bena zrobiona z trzciny. Sporządził ją sobie sam i od tygodnia nosił na szyi, na brudnym sznurku, i mówił, że jest teraz bardem. *Za późno. Za późno.*

Hazel próbowała czołgać się w stronę zamordowanego Whiskeya, kopiąc i szarpiąc, by wyswobodzić się z lodowatego uścisku jędzy. Próżny wysiłek, poczuła, że jej stopa pogrąża się w jeziorze. Broniła się desperacko, wzbijając fontanny wody.

– Ben! – zawołała głosem łamiącym się z przerażenia. – Ben!

Dźwięk fletni zbliżył się, ale nie milkł; piękny tak, że drzewa schylały się, by lepiej słyszeć, i całkowicie bezużyteczny. Łzy napłynęły do oczu Hazel, sparaliżowało ją przerażenie i ogarnęła frustracja. Dlaczego on nie przestanie grać i nie pomoże? Czy jej nie słyszy? Już obie jej nogi były w wodzie, czuła szlam na skórze. Hazel zaczerpnęła tchu, by utrzymać w płucach powietrze tak długo, jak tylko zdoła. Nie wiedziała, czy to bardzo boli, kiedy się tonie. Nie wiedziała, czy ma jeszcze choć trochę sił, żeby się bronić.

A potem nagle uścisk palców jędzy zelżał. Hazel wygramoliła się na brzeg, wcale nie dbając o to, jakim sposobem udało jej się wyrwać, dopóki nie wspięła się wyżej i nie oparła o pień wiązu, dysząc ciężko. Ben stał blisko brzegu, był blady i wystraszony, grał na fletni, jakby tym graniem walczył o swoje życie.

Nie. Hazel rozumiała: on tym graniem walczył o jej życie. Wodna jędza wpatrywała się w niego, urzeczona. Jej rybie ślepia nie mrugały. Tylko paszcza poruszała się nieznacznie, tak jakby próbowała nucić te same dźwięki, które grał Ben. Hazel wiedziała, że elfy kochają muzykę, zwłaszcza tak piękną

muzykę jak muzyka Bena, nie zdawała sobie jednak sprawy, jaki wpływ taka muzyka może na nie wywierać.

W pewnej chwili Ben zauważył ciało Whiskeya; widać to było po nim, bo zachwiał się i postąpił krok, ale tylko zacisnął powieki i grał dalej.

Hazel omiotła spojrzeniem brzeg jeziora, bruzdy, które zostawiła na piasku, wrywając się jędzy, rozkładające się ciało Adama i bezwładne zwłoki psa, brzęczące muchy i zobaczyła jeszcze coś, coś, co w świetle słońca połyskiwało jak rękojeść. Czyżby to był nóż? Czyżby Adam miał broń i ją zgubił? Powoli, ostrożnie, Hazel zakradła się z powrotem na sam brzeg, z powrotem w stronę wodnej jędzy.

Ben spojrzał na nią, otworzył szerzej oczy, potrząsnął głową, dając znać, żeby tego nie robiła.

Hazel zignorowało go, obolała i rozwścieczona dotarła do noża. Chwyliła za rękojeść, pociągnęła. Błoto wydało ssący odgłos, gdy wydobyła z niego klingę. Była metalowa, poczerniała jakby w ogniu, ale pod czernią złota. Okazała się znacznie dłuższa niż jakiś tam nóż, a nawet dłuższa od najdłuższego z kuchennych noży mamy; wzdłuż klingi biegła strudzina. Prawdziwy miecz. Miecz prawdziwego dorosłego rycerza.

W głowie Hazel szaleńczo kłębiły się myśli, ale szła dalej, starając się skupić na jednym, powtarzała w kółko: *Jestem rycerzem. Jestem rycerzem. Jestem rycerzem.* Lepszy rycerz zdołałby ocalić Whiskeya, ale mogła przynajmniej go pomóc. Brodząc w mętnej wodzie, zamachnęła się ciężkim mieczem jak kijem do bejsbola i cięła ostrzem w obmierzły łeb. Czaszka jędzy pękła na pół jak rozkrojony zgniły melon.

Jędza zwała się do wody, już martwa.

– Nieźle – stwierdził Ben. Podszedł bliżej, fletnia znowu zwisała na jego szyi. Przechylił głowę na bok, przyglądając się czerwonym od posoki szczątkom, ułamkom kości i pokrytym pleśnią zębom, długim pasmom włosów unoszącym się na wodzie. Trącił zewłok butem. – Nie myślałem, że ją naprawdę zabijesz.

Hazel nie wiedziała, co odpowiedzieć. Właściwie nie była jeszcze pewna, czy jego zdaniem postąpiła źle, czy po prostu był zaskoczony, że się udało.

– Skąd to masz? – spytał, spoglądając na miecz.

– Znalazłam – odpowiedziała Hazel i wybuchnęła płaczem. Łzy spływały po jej policzkach, chociaż usiłowała je powstrzymać, z całej siły mrugając powiekami.

Ben wyciągnął rękę, jakby chciał jej odebrać broń. Może przypomniał sobie swój zepsuty miecz He-Mana i pomyślał, że ten mógłby go zastąpić. Hazel cofnęła się o pół kroku. Ben zrobił naburmuszoną minę, żeby dać do zrozumienia, że i tak wcale tego miecza nie chciał.

– Z twoim mieczem i moim graniem moglibyśmy czegoś dokonać. Moglibyśmy zwalczać zło. Jak w baśniach.

Pomimo śmierci psa, pomimo łez i śmiertelnego strachu, pomimo wszystkiego, uśmiechnęła się i otarła rękawem krew ciekącą z nosa.

– Tak myślisz?

Dzieci miewają okrutne, bezwzględne poczucie sprawiedliwości. Dzieci mogą zabijać potwory i być z tego naprawdę dumne. Nawet dziewczynka, która wynosi pająki na dwór, żeby ktoś ich nie rozdeptał; dziewczynka, która kiedyś karmiła małego liska zakraplaczem co dwie godziny, aż przyjechało po niego pogotowie dla dzikich zwierząt – otóż ta sama dziewczynka może zabić, a potem chętnie zabije znowu. Może zanieść zabitego psa do domu, pochować go i płakać nad jego zimnym, sztywnym ciałkiem i składać obietnice, wykopując głęboki dół na podwórku. Może uwierzyć, że razem z braciszkiem, jako rycerz i bard, będą unicestwiać zło, a pewnego dnia może nawet wytropić i pokonać potworę czającą się w sercu lasu. Mała dziewczynka może znaleźć na wpół zjedzonego chłopca, stracić psa i wzbudzić w sobie przekonanie, że dzięki niej już nikt więcej nie zginie.

Hazel wierzyła, że znalazła ten miecz nie przez przypadek.

Nim zdążyła ukończyć dziesięć lat, razem z Benem unieszkodliwiła jeszcze dwa potwory, jeszcze dwie istoty elfowego rodu, które miały na swoich łapskach krew turystów, dwie nieczne i podstępne kreatury. Ben hipnotyzował je swoją muzyką, a Hazel zakradała się, by się z nimi rozprawić za pomocą miecza – wówczas już wyczyszczonego i wypolerowanego, lśniącego od oliwy, pomalowanego na czarno, żeby ukryć złoty połysk.

Czasem w drodze powrotnej ze szkoły słyszeli za sobą chrzęst kroków któregoś z elfów, podążającego skrajem lasu w ślad za nimi. Wtedy Hazel zatrzymywała się, czekała, ale leśne istoty nigdy im się nie naprzykrzały. To dlatego, że moralność elfów różni się od ludzkiej moralności. Elfy zawsze gotowe są ukarać za brak dobrych manier i arogancję, dokuczyć samochwałom i oszustom, ale nie tykają odważnych – ani tricksterów-figlarzy, ani bohaterów. Tych uważają za swoich. Tak więc o ile Król Olszyn zwrócił uwagę

na dzieci, o tyle postanowił powstrzymać się od działania, aby poczekać, co z nich wyrośnie.

Dzięki temu Hazel i Ben nadal polowali na potwory oraz snuli marzenia o ocaleniu śpiącego królewicza i tak aż po dzień, gdy muzyka zawiodła. Szli przez las, nagle rzucił się na nich czarny barghest o ognistych ślepiach świecących pośród czarnych kudłów. Hazel stawiała mu czoło; dobyła miecza z pochwy, którą sobie sporządziła, zacisnęła zęby, gotowa do walki. Ben sięgnął po fletnię, lecz wtedy po raz pierwszy popłynęły dźwięki niepewne i urywane. Zaskoczona Hazel spojrzała w jego stronę. Trwało to jedynie ułamek chwili, tylko nieco zmieniła pozycję, to jednak wystarczyło, by barghest wykorzystał jej nieuwagę. Zdążył wbić kieł w jej ramię, cięła go o sekundę za późno, trafiając w bok zamiast w łeb. Oddychając ciężko, krwawiąc z rany, starała się ustać na nogach, unieść miecz, by móc znowu uderzyć.

Spodziewała się, że Ben zagra swoją pieśń, ale on stał jak sparaliżowany. Stało się coś bardzo, bardzo złego. Czowała gorące sapanie barghesta, cuchnące starą krwią. Jego długi ogon trzepał o ziemię.

– Ben... – zawołała drżącym głosem.

– Nie mogę... – z trudem wykrztusił przerażony Ben. – Uciekaj! Uciekaj! Nie mogę...

Ruszyli biegiem, barghest deptał im po piętach, przemykał między drzewami niczym puma. Biegli i biegli, aż wreszcie udało im się skryć w wydrążonym pniu starego dębu; tam, wstrzymując oddech, z sercami w gardłach, nasłuchiwali, czy nie zbliża się człapanie ciężkich łap, czy nie słychać potężnego ogona bijącego o poszycie. Pozostali w ukryciu aż do późnego popołudnia, opuścili schronienie, gdy słońce chyliło się ku zachodowi. Lepiej już było podjąć to ryzyko, niż narażać się na to, że barghest wytropi ich w lesie po zapadnięciu ciemności.

– Musimy przestać, przynajmniej dopóki nie będziemy starsi – zdecydował Ben później tego samego wieczoru, kiedy siedzieli na stopniach swojego domu i przyglądali się, jak mama smaży burgery na grillu, ubrana w wystrzępione szorty i dziurawą koszulkę z napisem CBGB's. – Okazuje się, że to trudniejsze, niż myślałam. Co będzie, jeżeli znowu coś pójdzie nie tak? Jeżeli zrobią ci krzywdę? To byłaby moja wina.

Sam to zacząłeś – tak miała ochotę mu odpowiedzieć. – Przekonałeś mnie, że możemy wspólnie tego dokonać. Nie możesz tak po prostu się wycofać.

Powiedziała jednak tylko:

– To nie ja spieprzyłam.

Potrząsnął głową.

– No właśnie. I to jest jeszcze gorsze. Mogę znowu spieprzyć i wtedy po nas obojgu. I pewnie tak się stanie. Może gdyby udało mi się dostać do tej szkoły, gdybym trochę się nauczył, jak kontrolować tę muzykę, może wtedy...

– Dobra, o mnie się nie martw – powiedziała mu wówczas, gmerając palcami stóp w ziemi, z kosmykiem własnych rudych włosów w ustach. – Ja tam jestem rycerzem. To znaczy, że mam sama o siebie zadbać. I dobrze, ale nie chcę przestać.

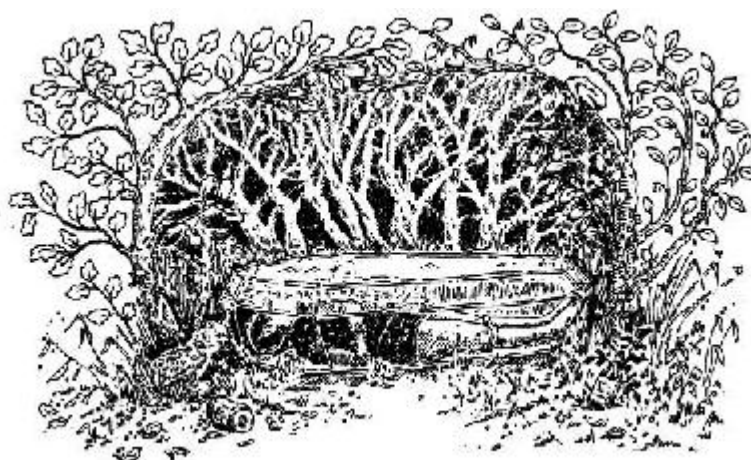
Odetchnął głęboko. Nerwowo stukał palcami w nogę.

– Ale na razie przerwijmy. Tylko na trochę. Dopóki nie będę lepszy w muzyce. Muszę stać się lepszy.

Hazel skinęła głową. Jeśli tego było trzeba, żeby mogła pozostać rycerzem, żeby dalej pełnili swoją wspólną misję, aby ocalić wszystkich, aby mogli stać się bohaterami z baśni, w takim razie jej zadaniem jest znaleźć sposób, żeby mógł pójść do tej szkoły. Przysięgła sobie, że tego dokona.

I dokonała.

ROZDZIAŁ 6



Wte upajające, niekończące się popołudnia, podczas których Hazel i Ben włączyli się po okolicy, bawiąc się w rycerskie uczynki i zarazem stawiając czoło prawdziwemu niebezpieczeństwu, Ben snuł opowieści o tym, jak pewnego dnia przebudzą królewicza. Ben powiedział Hazel, że mogłaby go obudzić, całując szkło jego trumny. To nie był bardzo oryginalny pomysł. Gdyby ktoś przeprowadził stosowne badania, prawdopodobnie znalazłby tysiące śladów DNA od tysięcy warg, które z pokolenia na pokolenie przyciskano do szkła. Wtedy jednak nie zdawali sobie z tego sprawy. W tych opowieściach Hazel całowała królewicza, który budził się i oznajmiał, że jego prawdziwie ukochana może zdjąć klątwę, jedynie spełniając trzy zadania – najczęściej było to coś łatwego, wystarczyło wypatrzeć odpowiedni gatunek ptaka, wybierać wszystkie jagody i potem je zjeść, albo siedmiokroć przeskoczyć przez strumień i się przy tym nie zamoczyć.

Nigdy nie wypełniała do końca wszystkich wyznaczonych przez Bena zadań. Zawsze zostawiała na krzaczku ostatnią jagódkę albo specjalnie moczyła nogę, chociaż nigdy by się do tego bratu nie przyznała. Wiedziała, że te zadania nie mają nic wspólnego z prawdziwą magią, jednak gdy zbliżało się ich spełnienie, Hazel traciła odwagę.

Czasem Ben opowiadał, że to on uwolni królewicza za pomocą trzech magicznych słów. Słów, których nigdy przy niej na głos nie wypowiedział. W tych opowieściach królewicz zawsze był zły. Ben musiał go powstrzymać, by nie unicestwił całego Fairfold – i Ben dokonywał tego potęgą czystej miłości.

A to dlatego, że pomimo serca z kamienia, kiedy królewicz dostrzegł, jak wielka jest miłość Bena, postanowił ulitować się nad miasteczkiem i jego mieszkańcami.

W tamtych czasach Hazel wydawało się to naturalne, że ona i brat mają tego samego, wyimaginowanego chłopaka.

Kochali się w nim, bo był królewiczem, bo był elfem, był magiczny... A w końcu kogo się kocha, jak nie królewiczów, elfów i magiczne istoty? Kochali go w taki sam sposób, jak kochali Bestię, gdy ten porwał do tańca Bellę odzianą w żółtą suknię. Tak samo, jak kochali Jedenastego Doktora z jego muchą i szaloną grzywką opadającą na czoło, oraz Dziesiątego Doktora z jego szalonym śmiechem. Kochali go tak samo jak wokalistów ulubionych kapel i aktorów w filmach, kochali go w taki sposób, że współdzielona miłość zbliżała ich do siebie. Nie traktowali go jak prawdziwej osoby. Przecież on nie mógł odpowiedzieć miłością na ich miłość. Nie miał przecież kiedykolwiek między nimi wybierać.

Tylko że akurat teraz się obudził. I to zmieniało wszystko.

Brzemie przeszłych rojeń wisiało w powietrzu między Benem a Hazel, gdy po pierwszej lekcji szli razem do samochodu.

Hazel w dodatku nie dawała spokoju uporczywa myśl, nie dający się odgonić głosik, który szeptał jej, że to nie może być przypadek: obudziła się z zabłoconymi nogami tego samego ranka, kiedy okazało się, że ktoś zbudził królewicza. Trzymała tę sekretną nadzieję dla siebie, nie pozwalając sobie o tym myśleć dłużej niż przez chwilę albo dwie, bo chodziło o coś równie cennego, jak niepojętego.

– Czekaście! – usłyszeli za sobą głos.

Hazel odwróciła się. Jack zbiegał po schodach. Koszulkę miał poplamioną deszczem, tam gdzie padały krople, pojawiały się ciemne punkty. Najwyraźniej zostawił kurtkę w budynku.

Poszli razem za róg, schronili się pod okapem, tak żeby nauczyciele ich nie widzieli i żeby na nich nie padało. Znali dobrze to miejsce, bo tam wszyscy woźni chodzili na papierosa, a jeżeli się na nich nie doniosło, można było w zamian liczyć na ich dyskrecję, gdy przyszło zająć się czymś podejrzanym i zakazanym. Hazel nie przypuszczała, że taki grzeczny chłopak jak Jack będzie znał to miejsce, ale najwyraźniej w tym względzie myliła się co do niego.

– Znajdziemy go – zapewnił Ben, szczerząc zęby w uśmiechu. Zabrzmiało to, jakby zapowiadał rozpoczęcie jakiejś gry i to wyśmienitej.

– Nie róbcie tego – powiedział Jack. Westchnął, spojrzał w stronę boiska. Bardzo ostrożnie ważył słowa. – Nie wiem, czego się po nim spodziewacie, ale... No, nie okaże się on tym, za kogo go braliście. – Wypowiedzenie następnych słów przyszło mu z jeszcze większym trudem. – Nie możecie mu ufać. On nie jest człowiekiem.

Zapadło milczenie, które trwało przez dłuższą chwilę. Ben uniósł brwi.

Jack skrzywił się.

– Tak, wiem, wiem. Dziwne, że wam to mówię, bo przecież sam nie jestem człowiekiem.

– To chodź z nami – zaproponowała Hazel. Wręczyła mu parasol. – Przydadzą nam się twoje nieludzkie zalety.

Jack potrząsnął głową z lekkim uśmiechem.

– Mama obdarłaby mnie ze skóry, gdybym nie poszedł na sprawdzian. Przecież wiecie, jaka ona jest. Nie możecie z tym trochę poczekać i wybrać się po lekcjach?

Oprócz obowiązkowych niedzielnych gier planszowych, życie Jacka i Cartera upływało pod troskliwą pieczęą mamy, która pakowała im lunchy do eleganckich pudełeczek marki Bento, doskonale wiedziała, jak radzą sobie ze wszystkimi przedmiotami i kontrolowała, ile czasu spędzają przed telewizorem, w trosce, by nie zabrakło go na pracę domową. Zamierzała posłać zarówno jednego jak i drugiego do uczelni z Ivy League, najlepiej gdzieś blisko Fairfold, a potem w weekendy przyjeżdżać do nich i zabierać rzeczy do prania. Nie życzyła sobie, żeby cokolwiek unicestwiło te plany.

Gdyby Jack zerwał się ze szkoły, dostałby szlaban na całą wieczność.

– Przecież to jest jedyne i niepowtarzalne wydarzenie, do którego w tym mieście kiedykolwiek doszło – sprzeciwił się Ben, wzdychając z politowaniem.

– Walić sprawdzian. W życiu czeka cię jeszcze milion klasówek.

Jack wysunął podbródek, uwidaczniając wydatne kości policzkowe i srebrzysty błysk w oku. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał obco, z dziwnym zaśpiewem:

– Wielu rzeczy nie wolno mi wam wyjawić, wiążą mnie bowiem zarówno obietnice jak i zakazy. Po trzykroć was ostrzegę, więcej zrobić mi nie wolno, więc słuchajcie uważnie: coś jeszcze groźniejszego niż wasz królewicz kryje się w jego cieniu. Nie próbujcie go odnaleźć.

– Jack? – odezwała się Hazel zaniepokojona. Stała naprzeciw niego. Chociaż o mało nie straciła życia za sprawą stworzeń takich jak wodna jędra i

barghest, przemawiające wytwornymi zagadkami piękne elfy przejmowały ją jeszcze większym lękiem. W tej chwili zaś Jack tak właśnie się zachowywał. Jakby nagle przestał być sobą. – Co to znaczy, że ci na coś pozwolono? Dlaczego tak dziwnie mówisz?

– Na rogatego chłopca poluje sam Król Olszyn. Król Olszyn we własnej osobie poluje na tego, kto przełamał klątwę, kimkolwiek jest. I nie on jeden. Jeśli pomożecie chłopcu, narażacie się na srogi gniew. Żaden królewicz nie jest wart takiej ceny.

Hazel pomyślała o swoich dłoniach i odłamkach szkła, o tym, jak wypadła jej z życiorysu cała noc, po której obudziła się z zabłoconymi nogami.

– Zaraz, chcesz powiedzieć, że elfy z lasu chcą go zamordować? – spytał Ben. – To znaczy, że przez cały ten czas wszystko o nim wiedziałeś, ale nie raczyłeś nam nic powiedzieć?

– Powiadam, co wolno mi powiedzieć. Waszemu królewiczowi zagraża niebezpieczeństwo, lecz i on jest niebezpieczny. Zostawcie go w spokoju.

– Ale dlaczego? Co takiego królewicz zrobił? – spytała Hazel.

Jack pokręcił głową.

– To było trzecie ostrzeżenie i więcej mi rzec nie wolno.

Hazel odwróciła się w stronę brata.

– Może... – zaczęła.

Ben był zmieszany, ale nie zdziwiony. Ten niezwykle nowy Jack najwyraźniej nie był dla niego aż tak niezwykle czy nowy.

– Dzięki, że mówisz nam to wszystko, Jack. Będziemy bardzo uważać, obiecuję, ale chcę spróbować go znaleźć. Chcę mu pomóc.

– Niczego innego nie oczekiwałem.

Jack uśmiechnął się i znów był sobą, przynajmniej powierzchownie. Jednak teraz ten znajomy uśmiech sprawił, że Hazel przeszedł zimny dreszcz. Dla niej Jack zawsze był grzecznym chłopcem z dobrej rodziny, do tego dobrze wychowanym, choć czasami rzucił jakąś kąśliwą uwagę. Owszem, zaczytywał się w dziwacznych biografiiach dziwnych ludzi, ale raczej wszystko wskazywało na to, że zostanie albo prawnikiem jak jego mama, albo lekarzem jak ojciec. Jasne, zdawała sobie sprawę, że jest podmieńcem i przez to musi być trochę odmienny, ale jak na miasto pełne dziwactw wcale nie wydawał się taki niezwykle. Jednak gdy stała w deszczu, patrząc na niego, nagle stał się o wiele niezwyklejszy.

– Cóż – dodał Jack. – Spróbujcie nie dać się zabić jakiemuś pięknemu paranoidalnemu elfowi, który myśli, że jest postacią z ballady. A ja spróbuję nie zawalić fizy.

– Jak to możliwe... Dlaczego to wszystko powiedziałaś? – spytała Hazel. – Skąd możesz cokolwiek o tym wiedzieć?

– A jak myślisz? – odpowiedział cicho.

Odwrócił się i ruszył przez deszcz w stronę wejścia do budynku; rozległ się odgłos szkolnego dzwonka. Hazel patrzyła, jak mięśnie poruszają się pod jego mokrą koszulką.

Zostawił ją z zagadką i weź tu teraz zrozum...

No tak. Pytanie, skąd mógł wiedzieć, było raczej głupie. Wyłącznie od swoich krewnych z lasu, to oczywiste. Spoglądała w ślad za Jackiem, aż zniknął za drzwiami szkoły i zastanawiała się, jak to możliwe, że zna go od tak dawna i na to nie wpadła. Sądziła, że odpowiada mu życie ludzi. To znaczy, sądziła, że żyje wyłącznie tym jednym, ludzkim życiem.

– Chodź już – Ben przywołał ją do rzeczywistości. Szedł do samochodu. – Bo jeszcze ktoś nas przyłapie na wagarach.

Hazel usiadła na fotelu pasażera, złożyła parasolkę i rzuciła ją na tylne siedzenie. Jack wyprowadził ją z równowagi, ale bardziej niż niebezpieczeństw, przed którymi ich ostrzegał, obawiała się, że po prostu nie znajdą nawet śladu rogatego chłopca, że będzie to kolejna tajemnica, której nikt nigdy nie rozwikła; mieszkańcy Fairfold będą to roztrząsali latami, a nikt spoza miasta nawet im nie uwierzy. *Pamiętacie tamtego chłopca? Taki był śliczny, po prostu nieludzko śliczny i spał w szklanej trumnie* – tak będą mówili. Inni będą kiwali głowami, no bo przecież pamiętają. – *Ciekawe, co się z nim stało.* Takie historyjki są jak błędne ognie połyskujące w najgłębszych, najmroczniejszych partiach lasu, prowadzą zbłąkanych podróżnych coraz to dalej na manowce po rozwidlających się w gęstwinie ścieżkach.

Hazel widziała już niejedno elfowe okropieństwo, wciąż jednak pociągały ją historie o pięknie i cudowności Małego Ludku. Polowała na nich i bała się ich, ale, podobnie jak wszyscy inni w Fairfold, także ich kochała.

– Czy Jack już kiedyś tak z tobą rozmawiał? – spytała Hazel, gdy Ben wyjeżdżał z parkingu. Wycieraczki tworzyły falę za falą na powierzchni przedniej szyby. Niebo miało jednostajny jasnoszary kolor, tak jednolity, że nikt nie umiałby powiedzieć, gdzie kończy się jedna chmura, a zaczyna druga.

Ben zerknął na nią z ukosa.

– Niezupełnie.

– Dziwne to było. – Hazel nie bardzo wiedziała, co jeszcze ma powiedzieć. Wciąż próbowała jakoś ogarnąć to wszystko, co się wydarzyło. Jack zdjął maskę, najwyraźniej z pełną świadomością, że to robi, a jej było głupio, że dopiero teraz zdała sobie sprawę, że w ogóle nosił jakąś maskę. – To znaczy, że on się z nimi kontaktuje?

Ben wzruszył ramionami.

– Ze swoją drugą rodziną, tak? No pewnie.

Hazel nie zamierzała pokazać, jak bardzo ją to zaskoczyło. Skoro Jack ma swoje tajemnice, ma do tego prawo, a skoro Ben coś o tym wie, ma prawo i obowiązek strzec tajemnic swojego przyjaciela.

– No, dobrze. Skoro mamy znaleźć królewicza, choć Jack nam to odradza, to gdzie będziemy go szukać?

Ben pokręcił głową, potem się zaśmiał.

– Nie mam bladego pojęcia. Gdzie się szuka kogoś, kto w zasadzie nawet nie jest kimś?

Hazel zastanowiła się, przygryzając wargę.

– Raczej nie w mieście, tam by się czuł obco. Wiesz, światła, samochody.

– Za to jeżeli wróci do swoich, to już po nim.

Ben westchnął i pochylił się nad kierownicą, pewnie myśląc o tym, nad czym ona zastanawiała się wcześniej – dręczyła go obawa, że nic z tego nie wyniknie, że to dziecinna zabawa i że już dawno powinni z tego wyrosnąć. A może przypominał sobie, jak jego własna magia go zdradziła i że w każdej chwili znowu może się to zdarzyć. Raz jeszcze naszła ją pokusa, żeby opowiedzieć, jak się obudziła z błotem na stopach i szklanymi drzazgami w dłoniach, ale teraz brzmiałoby to niemal jakby się tym chełpiła. A żeby wyjaśnić, dlaczego tak nie było, musiałaby powiedzieć o wiele za dużo.

Ogólnie rzecz biorąc, rozmawianie o ważnych sprawach nie było specjalnością rodziny Hazel. A już ona sama była w tym najslabsza. Kiedy próbowała, miała uczucie, jakby wszystkie łańcuchy na jej wymyślonych sejfach i skrzyniach zaczynały grzechotać. Gdyby zaczęła mówić, mogłaby już nie przestać.

– U swoich nie ma czego szukać, bo to jego pobratymcy rzucili tę klątwę. Na pewno ma dość rozumu, żeby nie wracać do elfów – zastanawiała się na głos Hazel, obserwując taniec wycieraczek. Czuła, jak budzi się w niej coś z dawna zapomnianego: dreszczyk łowiecki. Tropienie, planowanie, odkrycie kryjówki,

odnalezienie obcego stwora. Hazel zdawało się, że już lata temu wyrzekła się marzeń o zostaniu rycerzem, ale być może jednak nie wyrzekła się ich aż tak zupełnie, jak sądziła.

Ben skinął głową.

– Zgadza się. W takim razie gdzie?

Zamknęła oczy, próbowała w wyobraźni zobaczyć siebie na miejscu rogatego chłopca. Budzi się z tak długiego snu, z początku nie pamięta, gdzie jest. Najpierw panika, ręce wyciągnięte do szkła. Potem ulga, która go ogarnia, gdy zdaje sobie sprawę, że szkło zostało rozbite. Mruga powiekami w liściastej ciemności, a potem po głowie zaczynają się tłuc wspomnienia z czasów przed klątwą. Jednak potem...

– Na jego miejscu chciałabym coś zjeść – stwierdziła. – Przecież on pościł przez całe dekady, musi być potwornie głodny. Nawet jeżeli nie musi, to na pewno bardzo tego pragnie.

– On nie jest taki jak my.

– Jack jest taki jak my – zauważyła Hazel. Mogła tylko mieć nadzieję, że to prawda. – A on jest taki jak Jack.

Ben sapnął głośno.

– No, niech będzie. Ale przecież nie poszłabyś na jego miejscu do McDonalda. Choćby dlatego, że on nie ma żadnej kasy. To co może jeść?

– Na jego miejscu poszukałabym kasztanów. – Lata wcześniej Hazel kupiła za dwadzieścia pięć centów książkę o jadalnych roślinach, zdobyła ją na bibliotecznnej wyprzedaży zorganizowanej z intencją pozbycia się z bibliotecznych regałów wszystkich książek, które były zbyt stare, zbyt zniszczone lub zbyt dziwne. Dzięki temu zakupowi wiedziała, czym żywić się w lesie – razem z Benem opychali się dziką cebulą albo listkami mniszka, omijając szerokim łukiem wilczą jagodę czy bieluń. – Chociaż nie, musiały je najpierw upiec. Ptasię jajka byłyby dobre, tylko skąd je wziąć o tej porze roku?

Ben znów pokiwał głową, głęboko zamyślony. Skierował auto w stronę tej części lasu, gdzie jeszcze niedawno spał rogaty chłopiec.

– Może poszukałby orzechów. Ciekawe, że nie ty na to wpadłaś¹. – dodał i zachichotał.

Hazel parsknęła gniewnie, ale знаła miejsce, w którym można było nazbierać orzechów laskowych, zanim zjedzą je robaki. Chodziła tam czasem i suszyła potem swoje zbiory w słońcu na kamieniu.

– Mam pomysł.

Zaparkowali przy jeziorze, dalej ruszyli piechotą. Leszczyna rosła niedaleko ruin starego kamiennego domu, całkowicie teraz porośniętego pnączami. Było to mniej więcej ćwierć mili od brzegu lasu i dwie mile od szklanej trumny; w sumie kryjówka tak doskonała, że Hazel aż ścierpła skóra na myśl, że faktycznie mogą go tam zastać.

Deszcz nadal padał, chociaż teraz chroniły ich przed ulewą korony drzew. Hazel była zadowolona, że rankiem zdecydowała się na kalosze, bo teraz brnęli przez błoto i wilgotny mech. Przełazili oboje przez powalone, zeschnięte pnie drzew, przedzierali się przez krzaki, które czepiały się kolcami ich ubrań. Brnęli przez rokitniki i ligustry; psiezęby, które zamknęły na noc swoje kwiatki i kępy trujących miesięczników, na których szerokich liściach zbierała się woda; kolcorośle o sputnikowatych kwiatach przyginane do ziemi przez wiatr, glicynie, pysznogłówki, niecierpki, trojeście, skłębione rdesty, wieczorniki i pióropusze pełzających paproci. Hazel osłaniała się parasolką, zarówno po to, żeby odgarniać na boki zieloną gęstwinię, oraz by chronić się od przemoczenia.

Potem ich oczom ukazał się kamienny budynek pokryty bluszczem. Jego dach już dawno się zapadł, a choć przerdzewiałe zawiasy trzymały się jeszcze framugi, reszta drzwi już nie istniała. Ben wybiegł przed Hazel, ta zaś zwolniła.

Odruchowo sięgnęła do boku.

Ben właśnie obejrzał się na nią, zmarszczył czoło.

– Co ty wyprawiasz?

Hazel machnęła ręką. Sięgała po coś – do pasa? Do kieszeni? Niczego tam nie było.

– Chciałaś dobrać miecza, co? – spytał Ben, zaśmiał się i ruszył naprzód.

Hazel nie wiedziała, co kazało jej się zatrzymać, jak i nie zdawała sobie sprawy, po co chciała sięgnąć. Pamiętała jednak, że Jack nakazywał im ostrożność, pamiętała też o skwaszonym mleku, o karteczce w kieszeni marynarki Bena i dobrze pamiętała, jak to było, gdy polowali na cudaczne stwory. Pamiętając o tym wszystkim, ostrożnie zamknęła parasol.

Ben schylił się, dał nura do środka, a po minucie jak bomba wypadł z powrotem na zewnątrz, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Ty, miałaś rację. Chyba naprawdę miałaś rację.

Hazel weszła za bratem do domu. Bywała już kiedyś w tej ruderze razem z nim, wiele lat wcześniej, kiedy udawali czarodziejki i czarowników z

Hogwartu, sporządzali z ziół mikstury warzone w kotłach, które w rzeczywistości były przerdzewiałymi wiadrami, do których nabierali wody.

Krople deszczu sączyły się przez resztki dachu. Pod jedną z kamiennych ścian stał poszarzały, przeżarty przez termyty drewniany stół.

Na jego blacie leżały skórki trzech persymon, rozerwane i wyjedzone do czysta, ale w powietrzu czuć jeszcze było ich upojny, korzenny zapach. Obok spoczywała kiść pogniecionych ziół, Hazel rozpoznała spośród nich tylko mięętę. Oprócz tego blat usiany był jagódkami dzikiego bzu i małymi pieczarkami – rozsypanymi jak koraliki z zerwanego naszyjnika.

I leżał tam jeszcze nóż o kościanej rękojeści i zakrzywionej klindze ze złotego metalu. Przypominał jej miecz, który znalazła w dzieciństwie.

– O, cholera – powiedziała Hazel i wyciągnęła rękę, powstrzymując się w ostatniej chwili, zanim palce dotknęły noża. Spojrzała na Bena. Szcherzył się w uśmiechu, zachwycony. – On naprawdę tu był – stwierdziła.

– No i musi tu wrócić, nie? – podjął Ben. – Jeżeli zaczekamy, możemy go przydybać.

Hazel bez słowa skinęła głową, oszołomiona. Znalazła suchy kawałek w pobliżu dawnego paleniska i tam przycupnęła. Ben oparł się o ścianę. Po kilku minutach od kamienia zaczęło jej być zimno w tyłek. Przyglądała się strużkom wody spływającym do powiększającej się kałuży obok pustego oczodołu okna, starając się uspokoić nerwy.

– Słyszałaś, że gdy ktoś raz spróbuje elfowego jada, już nic innego go nie zaspokoi? – spytał nagle Ben.

– Jasne – odpowiedziała Hazel. Spojrzała na stół i rozsypane na nim jagody.

– Właśnie się zastanawiam, czy nie na tym polega istota Fairfold. Nie wiem, czy mógłbym mieszkać gdziekolwiek indziej. Albo ty. Mam wrażenie, że inne miejsca mogłyby dla nas nie istnieć.

Hazel drgnęła nerwowo. Nigdy nie mówił o swoich dalszych planach, na przykład o studiach. Nie miała pojęcia, co jej brat zamierza robić po skończeniu szkoły.

– Jeżeli wyjedziesz i ci się nie spodoba, zawsze możesz wrócić – powiedziała. – Tak jak mama i tato.

Wydął usta.

– Wolałbym nie podążać śladami naszych rodziców. Wciąż mam nadzieję, że spotkam kogoś, kto ma wspaniałe życie, i właśnie wtedy się okaże, że akurat ja w sam raz do tego życia pasuję.

Hazel pamiętała, jak gra porannego światła sprawiła, że przynajmniej z pozoru potrafiła przejrzeć go na wskroś – następnego dnia po jego powrocie z nieudanej randki. Czyżby naprawdę coś w tym było?

– Wielkie miasto bardzo przypomina te mroczne, baśniowe lasy wokół Fairfold, nie sądzisz? – mówił dalej Ben. – We wszystkich filmach zawsze w mieście zawiązuje się akcja. To tam udają się ludzie, by ulec transformacji. Tam zaczynają nowe życie. I myślę, że tam mógłbym być kimkolwiek. Może nawet zupełnie normalnym facetem.

Hazel nie mogła nie pamiętać, co o byciu normalnym w kółko powtarzali rodzice. Miała też świadomość, że Ben mówi jej o tym w środku lasu, kiedy właśnie szukają elfowego królewicza. Jeśli Ben poważnie aspiruje do normalności, będzie musiał się trochę bardziej postarać.

Wiatr na zewnątrz szarpał gałęziami drzew. Z oddali dobiegały jakby nikłe dźwięki muzyki.

– Słyszysz to? – spytała Hazel.

Ben wpatrywał się w tę samą stronę.

– Jutro mamy pełnię.

Każdy, kto dorastał w Fairfold, wiedział doskonale, że w noc księżycowej pełni należy trzymać się z daleka od lasu; na wszelki wypadek zresztą także w noc poprzedzającą i następną. Wtedy Król Olszyn urządzał biesiady, wtedy wszystkie nixie i pixie, wszystkie chochliki, wszystkie gobliny, rzeczne jędze, puki i driady ściągały z bliska oraz daleka, by tańczyć w kręgach i ucztować aż po świt.

Chyba że Król Olszyn akurat teraz był zbyt zajęty polowaniem na rogatego chłopca, żeby się bawić. Może to nie były odgłosy uczyty, lecz łowów.

Siedzieli dwie godziny w lodowatej mżawce, czekali. W końcu muzyka ucichła.

Ben ziewnął, przygładził wilgotne włosy. Na mokrej, bladej skórze piegi stały się wyraźniejsze.

– Nie wiem, chyba jednak już nie wróci. To co teraz?

– Może mu coś zostawimy – zaproponowała Hazel po chwili namysłu. – Możemy przynieść mu jakieś jedzenie, czy ja wiem...? Jakies ubrania. Żeby wiedział, że może nam zaufać.

Ben zaśmiał się krótko.

– No, może. Bo wiesz, nie wiem, czy wolałbym dresową bluzę od wyszywanego kaftana, nawet gdybym w nim przeleżał kilkaset lat. Ale fakt,

warto zrobić cokolwiek, żeby przestał wariować ze strachu. Niech zrozumie, że jesteśmy przyjaznymi świrami, że nic mu z naszej strony nie grozi.

– Myślisz, że on wariuje ze strachu?

Hazel dźwignęła się z niejakim trudem. Ruszyła w stronę drzwi. Spojrzała przez ramię na brata, który wciąż opierał się o ścianę z surowego kamienia, ścianę, do której zieleń mchu przylegała niczym cień.

– Ja bym wariował – stwierdził.

Hazel uniosła brwi.

– Sądziłam, że on nie jest taki jak my.

Ben potrząsnął głową, uśmiechnął się do niej.

– Daj spokój. Chodź, pojedziemy po te rzeczy.

Hazel wyrwała z zeszytu kartkę w linie, napisała na niej długopisem:

Cześć, jesteśmy Hazel i Ben. Niedługo wrócimy, przywieziemy dla Ciebie trochę jedzenia i jakieś inne rzeczy. Jeśli zechcesz, możesz je sobie wziąć. Nie żądamy niczego w zamian. Cieszymy się, że się wreszcie obudziłeś.

W drodze powrotnej milczeli. Hazel w myśli sporządzała listę rzeczy, które mogliby dostarczyć królewiczowi. Kanapki z serem, musztardą, pomidorami i papryką; trzeba je zawinąć w folię aluminiową. Puskę coli. Duży zakręcany słój z kawą, chyba najlepiej z mlekiem i mnóstwem cukru. Ze dwa mamine batony z granolą i rodzynkami. Pamiętała, że gdzieś na strychu leży stary śpiwór; jeśli nie przeszedł za bardzo stęchlizną i nie zeżarły go mole, też może się przydać. Ben mógłby mu odstąpić jakieś ciuchy, poza tym przypomniawszy sobie o starych glanach taty. Z pewnością nie będzie mu ich brakowało.

Słabe podarki dla elfowego królewicza, ale co innego mogli zrobić?

Ben zaparkował garbusa na podjeździe. Było około wpół do czwartej, na schodkach domu siedział Jack. Uniósł dłoń w pozdrowieniu. Przestało padać, ale trawa na podwórku wciąż lśniła od kropelek wody.

Ben opuścił okno.

– No hej. Co tu robisz? – zawołał. – Słyszałem, że nie wolno ci nam pomagać.

– Ależ ja wcale nie pomagam, tylko ostrzegam – odparł Jack. Jego oczy połyskiwały srebrem, lśniły na tle śniadej skóry i dużo od niej ciemniejszych włosów. – Przecież wpadam do ciebie raz po raz i to jest raczej normalne, nie? Więc uznałem, że to jest przecież taki normalny dzień i pozwoliłem sobie zajrzeć.

Hazel wysiadła z samochodu.

– I jak tam, macie jakiś trop? – odezwał się znowu Jack, tonem sugerującym, że zupełnie się nie spodziewa, by mogli cokolwiek znaleźć.

Ben wzruszył ramionami.

– Kto wie?

– Chcę tylko, żebyście zrozumieli – powiedział Jack, spoglądając też na Hazel, żeby było jasne, że zwraca się do nich obojga – że jego przebudzenie nie nastąpiło przypadkiem i cokolwiek nastąpi potem, też nie wydarzy się przypadkowo.

– Oj tam, oj tam – odparł Ben, nie zatrzymując się, tylko idąc w stronę domu. – To przecież jasne. Kres i krach.

Zewnętrzne, obciążone siatką drzwi zatrzasnęły się za nim.

– Co mu jest? – spytał Jack.

– Zakochał się – wyjaśniła Hazel, zmuszając się do uśmiechu, bo też była zdumiona, że Ben tak obojętnie reaguje na jego ostrzeżenia.

– Wszyscy się zakochaliście – rzekł Jack półgłosem, tak jakby mówił do siebie. – Całe miasto się zakochało.

Hazel westchnęła.

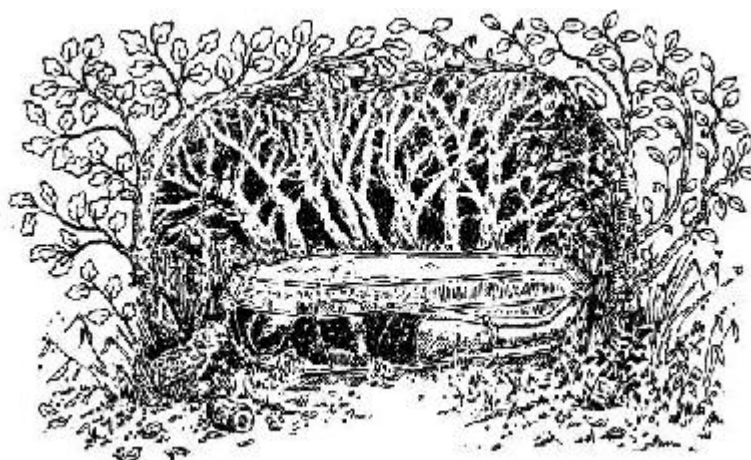
– Oj tam, oj tam. Chodź, pomożesz mi robić kanapki. A ja przygotuję kanapkę specjalnie dla ciebie.

Wszedł i pomógł. Kroił ser, a ona smarowała kanapki musztardą; Ben tymczasem grzebał w swoich rzeczach, żeby znaleźć coś, co mogłoby się przydać rogowemu chłopcu. Zszedł na dół, niosąc szarą bluzę z kapturem, parę dżinsów i dwie pary czarnych bokserów. Podniósł jedną i drugą do góry, żeby uważnie im się przyjrzeć. Hazel znalazła na strychu śpiwór i buciory; starannie wytrząsnęła z nich pająki. Zaparzyli świeżą kawę, którą wlewali do sporego słoika, dodali śmietany i cukru dla rogowego chłopca, napełnili też mniejsze słoiki dla siebie. Ben znalazł koszyk, do którego to wszystko się zmieściło, łącznie z pożywnymi batonikami mamy, napojem, paczką zapalek, zawiniętych troskliwie przez Jacka w plastikową folię, oraz torbą precli.

Kiedy wszyscy troje weszli do kamiennej chaty, na stole nie było już złotego noża. A więc rogowy chłopiec wrócił, po czym znowu zniknął.

Zabrał ze sobą list, który do niego napisali.

ROZDZIAŁ 7



Ma dar, tak mówili o Benie, odkąd elfka dotknęła jego czoła, pozostawiając na nim odcisk koloru ciemnego wina i odkąd chłopiec zyskał zdolność pojmowania elfowej muzyki oraz jej tworzenia. *Ma dar*, tak mówili, kiedy układał na dziecinnym ukulele piosenki, których dorośli muzycy nie potrafili powtórzyć na swoich profesjonalnych instrumentach. *Ma dar* – kiedy na cymbałkach zagrał melodię, od której poryczała się ich babysitterka. *Ma dar* – tak myślała o nim siostra, kiedy zaklinał muzyką leśne stwory, ratując jej życie (a może i sprowadzając na nią zły los).

Tylko że on lękał się swojego daru. Nie potrafił nad nim panować. Ich rodzice, podobnie jak inni tego rodzaju rodzice, zapominali niekiedy zapłacić rachunki, w porę zrobić zakupy na weekend czy przedłużyć prawo jazdy, ale nie zapomnieliby o czymś takim. Co z tego, że czasem obiad w ich wykonaniu składał się głównie z płatków kukurydzianych, ewentualnie z jajkami na twardo; co z tego, że zapominali podpisać zgodę na udział w wycieczce albo nie przejmowali się, o której dzieciaki pójdą spać. Wiedzieli za to doskonale, że mają do czynienia z cudownie uzdolnionym chłopcem. Nawiązali kontakt ze znającymi się na rzeczy znajomymi, dzięki czemu, kiedy Ben miał dwanaście lat, a Hazel jedenaście, chłopak został skierowany do wyjątkowej szkoły, bo ponoć tylko tam mógłby „w pełni zrealizować swój potencjał”. Podczas przesłuchania Ben grał na pianinie; wszyscy członkowie komisji egzaminacyjnej zamarli i słuchali jak zaczarowani przez całe pół godziny. Jak później Ben zwierzył się swojej siostrze, czuł się okropnie, to było, jakby grał

dla umarłych. Dopiero kiedy przestał, zaczęli wykonywać jakieś ruchy oraz powiedzieli mu, jak cudownie gra. A jemu chciało się rzygać.

Poczuł się jeszcze gorzej, kiedy mama i tata stwierdzili, że nie stać ich na wysłanie go do takiej szkoły. On zaś chciał tam pójść bardziej, niż pragnął czegokolwiek, bo choć to wstępne przesłuchanie było dla niego ciężkim przeżyciem, miał świadomość, a może tylko mu się zdawało, że nauka muzyki to dla niego jedyna szansa, by zapanować nad swoim darem.

Kiedy po kilku miesiącach przyszła wiadomość o przyznaniu stypendium, od dawna już był przekonany, że o nim zapomnieli, poczuł się więc, jakby wygrał na loterii. Całą rodziną wybrali się na lody, żeby to uczcić, zjadł wtedy całą swoją porcję oraz połowę porcji Hazel.

Cieszył się nie tylko z tego, że pójdzie do tak wspaniałej szkoły i będzie się uczył muzyki. Cieszył się, że wyjadą. Bał się, że Hazel coś się stanie – coś naprawdę złego i nieodwracalnego, a wtedy będzie to jego wina. Wciąż pamiętał, jaką moc poczuł, gdy zdał sobie sprawę, że jego muzyka dosłownie zaczarowała wodną jędrę i jak zachwycił go widok siostry z mieczem w dłoniach. Wydawało mu się wtedy, że przyszli oboje na świat, aby zostać bohaterami. Jednak w rzeczywistości polowanie na istoty z nieludzkiego wymiaru było czymś strasznym. Wiedział, że nawet jeśli udało mu się ją namówić, żeby na chwilę odpuściła, prędzej czy później Hazel przestanie się na niego oglądać i samotnie wyruszy na łów.



Dom w Fairfold został podnajęty, po czym wszyscy przeprowadzili się do taniego mieszkania w Philadelphii. Mogli przywieźć ze sobą tylko niewielką część swoich rzeczy. Hazel pod każdym względem czuła się tam źle. Przeszkadzało jej, że słyszy przez ściany rozmowy i kroki sąsiadów. Przeszkadzało jej, że wiecznie czuje się zmęczona, chociaż mama tłumaczyła, że to tylko wiek dojrzewania, każdy tak ma i to minie. Przeszkadzały jej odgłosy wielkiego miasta, smród spalin i śmietników za oknami. Źle się czuła w nowej szkole, gdzie jej nowe przyjaciółki wyśmiewały się z niej, bo opowiadała im bajki o jakichś tam elfach. Czuła się źle, bo już nie wolno jej

było włączyć się samotnie po okolicy. Przede wszystkim przeszkadzało jej, że nie może być rycerzem.

Kiedy zawarła układ z elfami, zakładała, że do szkoły pójdzie tylko Ben. Nie przyszło jej do głowy, że będzie musiała pojechać do miasta razem z nim i z rodzicami.

– Pomyśl tylko, jaką tam można mieć wyzerkę – zachęcała mama, najwyraźniej przywołując wspomnienia z własnych studenckich czasów. – Jednego dnia objadasz się zupą pho, następnego dnia wciągasz tacos, a zaraz potem opychasz się injerą z dorowat.

Hazel zrobiła naburmuszoną minę.

– Nie chcę tego jeść. Nawet nie wiem, co to jest.

– Pomyśl przynajmniej o swoim bracie – zabrał wtedy głos ojciec, nawet nie bardzo zasadniczym tonem, mierzwiąc za to włosy Hazel, jakby była jeszcze słodkim dzieciaczkiem. – Gdybyś miała jakieś najskrytsze marzenie, Ben na pewno chciałby ci pomóc w jego zrealizowaniu.

– Moje marzenie jest takie, żeby wrócić do domu – oznajmiła wówczas Hazel, krzyżując ramiona na piersi.

– Ty po prostu jeszcze nie odkryłaś swojego powołania – oznajmiła jej mama z uśmiechem. I na tym się skończyło.

Hazel doskonale wiedziała, jakie ma powołanie. Nie potrafiła jednak im tego wyjaśnić. *Jak to nie?* – miała ochotę wykrzyknąć. – *Moje powołanie polega na tym, żeby zabijać potwory!* Jednak rodzice nie powinni tego wiedzieć i byłoby głupotą im o tym mówić. Mama zaraz by się wystraszyła albo nawet wpadła w panikę. Zaczęłyby jej pilnować, zwracać uwagę, dokąd Hazel chodzi i czym się zajmuje. Pomijając już fakt, że rozkosznie było mieć swoją tajemnicę. Lubiła to poczucie tak samo, jak rozkosz, jaką sprawiał jej ciężar miecza w dłoni.

I chociaż gdzieś w skrytości duszy mogłaby sobie życzyć, aby jej rodzice zaliczali się do takich, którzy ją powstrzymają od samotnych wypraw i śmiertelnych zmagania z potworami, miała już jedenaście lat, więc zdawała sobie sprawę, że na to zupełnie nie może liczyć. Nie żeby rodzice jej nie kochali, po prostu byli okropnie roztrzepani i zapominali także o całkiem ważnych sprawach.

Tak więc przez całe dwa lata Ben w elitarnej szkole uczył się grać na rozmaitych instrumentach (łącznie z grą na kieliszkach i na tubie), Hazel zaś

nabierała nowych umiejętności w zupełnie innej dziedzinie, mianowicie w podrywaniu facetów.

Hazel nie była najlepszą uczennicą w swojej klasie, choć też i nie była najgorszą. Pewnie byłaby niezła w sporcie, ale nigdy jej się nie chciało należeć do żadnej drużyny. Zapisła się za to na zajęcia z samoobrony, prócz tego ćwiczyła poznane z YouTube'a techniki walki mieczem. Jednak przede wszystkim w wieku dwunastu lat Hazel odkryła, w czym jest tak naprawdę dobra – w doprowadzaniu chłopaków do szaleństwa.

Patrzyła na nich i uśmiechała się, kiedy dostrzegli jej spojrzenie.

Owiją rude loki wokół palca i przygryzała wargę.

Uwydatniała biust, opierając się o blat lub wykorzystywała do tego push-upy, na które zdołała naciągnąć mamę – wszystkie były jedwabne i w jaskrawych kolorach.

Rozповідаła każdemu, jak ciężko idzie jej nauka – raz czy drugi dlatego, że to była prawda, a potem dlatego, że wtedy wszyscy chcieli jej pomagać.

Flirtowanie nie miało dla niej żadnego znaczenia.

Nie miała w tym żadnego planu ani celu. Trochę ją to kręciło, trochę chodziło o to, żeby wyróżnić się w miejscu, w którym tak łatwo było zginąć pośród tłumu. Nie chciała nikogo krzywdzić. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że to możliwe. Miała po prostu dwanaście lat, nudziła się i w gruncie rzeczy nie miała pojęcia, co robi.

Podczas gdy tak się zabawiała, Ben po raz pierwszy naprawdę się zakochał. Chłopak nazywał się Kerem Aslan. Spotykali się każdego dnia po szkole, szeptali ze sobą, wspólnie odrabiając lekcje i całowali się ukradkiem, kiedy myśleli, że nikt ich nie widzi. Czasami Ben grywał mu urywki pieśni, nad którą akurat pracował; dotąd dzielił się swoją muzyką tylko z Hazel. Aslan, jak ten lew z Narnii. Kerem rzeczywiście trochę przypominał z wyglądu lwa, miał złocistobrązowe oczy i grzywę czarnych włosów.

Hazel i Ben, których dotąd łączyło prawie wszystko, właściwie przestali mieć ze sobą cokolwiek wspólnego. Chodzili do innych szkół, mieli więc innych przyjaciół, co innego działo się w ich życiu, wszystko było inne. Hazel była potwornie nieszczęśliwa, a Ben zachwycony jak nigdy dotąd.

Potem jednak rodzice Kerema dowiedzieli się o związku chłopców i nie omieszkali zadzwonić do taty. Odbyli bardzo nieprzyjemną rozmowę zakończoną tym, że tata Bena rzucił słuchawką. A Ben płakał przy stole w

kuchni, z głową skrytą w ramionach, chociaż tato raz po raz ścisnął go i powtarzał, że wszystko będzie dobrze.

– Nieprawda – odpowiedział w pewnej chwili Ben; szeptem, przekonany, że już nigdy nie będzie czuł się lepiej niż w tamtej chwili. Czuł, że jego serce zostało złamane na zawsze.

Następnego dnia na dużej przerwie Hazel dostała od Bena wiadomość, że Kerem go unika i jeszcze rozpowiada jakieś świństwa ich wspólnym przyjaciółom. Po lekcjach Hazel, zamiast udać się prosto do domu, postanowiła pójść do szkoły Bena. Wiedziała, że brat będzie miał jeszcze długie zajęcia indywidualne z gry na flecie. Potem mogliby pójść do tej włoskiej lodziarni, w której wylewają na gelato nieco świeżego espresso i może Benowi poprawiłby się trochę humor.

Do budynku dostała się bez przeszkód, po prostu minęła ochroniarza, następnie zaś poszła do sali, w której Ben miał lekcję i usiadła na ławce. Ku swojemu zdumieniu po krótkiej chwili ujrzała Kerema Aslana o lwich oczach i grzywie. Szedł prosto ku niej.

– Hej, siostrzyczko – odezwał się. – Ładnie dziś wyglądasz.

Hazel uśmiechnęła się. To był odruch, częściowo w odpowiedzi na komplement, a trochę dlatego, że była przyzwyczajona, zawsze się do niego uśmiechała. Zdarzyło się to już co najmniej tysiąc razy.

– Wiesz, zawsze mi się podobałaś. I kiedy przychodziłem do was, ciągle pytałem Bena, czy nie chciałabyś się pokazać, ale Ben powtarzał, że jesteś mega zajęta. I że masz chłopaka.

Kerem niby to ją podrywał, ale wyraz jego twarzy trochę za dużo był bliski strachu, żeby był to przekonujący podryw.

– To nieprawda – zaoponowała Hazel.

Przecież widziała go z Benem, jak siedzieli blisko siebie, stykali się czołami, szeptali i chichotali, nie zwracając uwagi na całą resztę świata.

– Aha, to znaczy, że nie masz chłopaka? – stwierdził Kerem. Z jego tonu zorientowała się, że specjalnie udaje, że ją źle zrozumiał, ale i tak ją to ubodło.

– Nie, chodzi mi o to... – zaczęła.

A wtedy on zerknął niespokojnie na boki, pochylił się i ją pocałował.

To był jej pierwszy pocałunek, jeżeli nie liczyć pocałunków babci i starych ciotek oraz rodziców i brata. Pomimo całego jej flirtowania. Wargi miał

miękkie i ciepłe, i chociaż nie odwzajemniła tego pocałunku, to przecież jednak nie od razu mu się wyrwała.

Tylko chwila wahania, ale to nie było w porządku, że w ogóle się zawahała. Owszem, tylko przez krótką chwilę, lecz w ten sposób wszystko zepsuła.

– Odwal się – syknęła i odepchnęła go.

Inne cudowne, muzykalne dzieci obserwowały ich z zaciekawieniem. Otworzyły się drzwi jednej z klas, wyjrzała nauczycielka i spytała, czy wszystko jest w porządku. Widocznie głos Hazel rozbrzmiał głośniejsz, niż jej się wydawało.

I nie, nic nie było w porządku, bo gapił się na nich Ben. Potem zobaczyła już tylko plecak brata, podeszwy jego czarnych chucków, trzasnęły drzwi sali muzycznej.

– Specjalnie to zrobiłeś – warknęła Hazel. – Chciałeś, żeby to zobaczył.

– Mówiłem ci, że mi się podobaś – powiedział Kerem, ale zabrzmiało to wyjątkowo fałszywie.

Trzęsły jej się ręce, kiedy czekała na Bena pod drzwiami, słuchając dźwięków, które zdołały przeniknąć przez warstwę wyciszenia. Chciała wytłumaczyć bratu, co naprawdę się wydarzyło i że wcale nie chciała, by tamten debil ją całował. Nie zdołała jednak tego zrobić, bo kilka minut później jego nauczycielka doznała rozległego zawału, który omal jej nie zabił. Pojawiło się pogotowie, wkrótce potem też rodzice Bena i Hazel. Ben nie chciał z nikim rozmawiać, ani wtedy, ani w drodze do domu.

Grał, chociaż był wściekły i zrozpaczony, i od tego serce nauczycielki przestało bić. Hazel wiedziała, że Ben obwinia się z tego powodu, obwinia z tego powodu magię i z pewnością przypisuje też za to winę jej, Hazel.

Kiedy zdobyła się na odwagę i poszła do pokoju Bena, chcąc spróbować go przeprosić, drzwi były otwarte. Jej brat siedział na podłodze, trzymając się za lewą dłoń.

– Ben?

Spojrzał na nią nieprzytomnymi, przekrwionymi oczami.

– Nie będę już więcej grać – odpowiedział łamiącym się głosem i wtedy zrozumiała, co sobie zrobił: z całej siły przytrzasnął dłoń drzwiami. I chyba więcej niż raz. Dłoń Bena nie była po prostu zaczerwieniona, była fioletowa, a palce wyginały się pod jakimś dziwnym kątem.

– Mamo! – wrzasnęła Hazel. – Mamo!!!

– To musi się skończyć – powiedział Ben. – Muszę z tym skończyć. Ktoś musi mnie powstrzymać.

Zawieźli go taksówką do szpitala. Lekarze na oddziale ratunkowym potwierdzili: liczne i bardzo skomplikowane złamania. Nauczyciele też wkrótce potwierdzili, że przez dłuższy czas nie będzie mógł na niczym grać, jeśli w ogóle jeszcze kiedykolwiek zagra. W każdym razie wszystko najpierw musiało się zrosnąć, potem konieczna była rehabilitacja i ćwiczenia, by przywrócić jaką taką sprawność dłoni. Trzeba to było robić bardzo ostrożnie i stopniowo, należało bardzo uważać na połamana dłoń.

Choć Ben nie powiedział rodzicom, co zrobił i dlaczego to zrobił, Hazel także milczała, ale i tak zrozumieli. Wkrótce cała rodzina powróciła do Fairfield, do zagraconego domu i dawnego życia.

Ben całkowicie zaniedbywał zalecone ćwiczenia i wcale nie uważał na swoją uszkodzoną rękę.

Słuchał muzyki bez przerwy, chłonał ją. Jednak od tamtego dnia nawet nie zanucił ani urywka melodii, nie mówiąc już o graniu, a to znaczyło, że kiedy znów zaginął jakiś turysta, Hazel musiała samotnie wyruszyć na łowy.

Bez niego było zupełnie inaczej, poza tym niełatwy był ten powrót do lasu – po tak długim czasie spędzonym gdzie indziej. Szarfa, która umożliwiała jej noszenie miecza na plecach, już się nie nadawała. Musiała ją dopasować w taki sposób, by móc nosić broń u boku, do czego nie była przyzwyczajona, a pochwa wciąż obijała się o jej udo, co rozpraszało ją i przeszkadzało. Poza tym czuła się głupio, była w zasadzie nastolatką, a właśnie wróciła do zabawy z czasów dzieciństwa. Nawet las nie był już ten sam. Inaczej biegły ścieżki, więc wciąż gubiła się, gdy próbowała pomykać nimi jak za dawnych czasów. Była za to wyższa i silniejsza, a poza tym nie brakowało jej determinacji; zamierzała udowodnić swojemu bratu, że go nie potrzebuje, a także udowodnić sobie samej, że nadal może być rycerzem. Wiedziała, że polowanie na leśne istoty wymaga przytomności umysłu. Trzeba pamiętać, że są podstępne, że trawa pod stopami może nagle się rozstąpić, że potrafią zwodzić człowieka na manowce. Zawsze przed wyjściem Hazel wywracała skarpetki na lewą stronę i napełniała kieszenie owsem, tak właśnie, jak pokazała jej i Benowi babcia, kiedy oboje byli jeszcze bardzo mali. Była gotowa. Musiała tam wrócić. Musiała znaleźć poczwary. Musiała walczyć z potworami, ze wszystkimi, dopóki nie dopadnie strzygi kryjącej się w samym sercu puszczy i nie położy kresu rozpacy oraz zwątpieniu, a wtedy wszyscy będą na zawsze bezpieczni.

Czasami, gdy zbyt wiele o tym myślała, jej serce zaczynało bić jak oszalałe, wpadała w panikę. Przecież wyznaczyła sobie niewykonalne zadanie, w dodatku nie wiedząc, ile czasu jej pozostało.

Paniki należało się wystrzegać bardziej niż czegokolwiek, a zbyt łatwo było jej ulec, kiedy przypominała sobie, że obiecała oddać elfom siedem lat swojego życia. Po panice nadchodziła rozpacz, a gdy ta ją ogarniała, otrząsnąć się było coraz trudniej i trudniej. Właściwy trik polegał na tym, aby nie pozwalać sobie na podobne rozmyślenia, przynajmniej bez przesady. Chwytała się wszystkiego, co pozwalało jej odpędzić od siebie takie myśli. Wszystkiego, co ją powstrzymywało od przyciskania dłoni do piersi, by poczuć dudnienie własnego oszalałego serca i wiedzieć, że każde jego uderzenie oznacza kolejną straconą chwilę.

Trzy długie dni zajęło jej odszukanie zaginionej dziewczyny, chudej i wysokiej nastolatki o imieniu Natalie. Kiedy ją wreszcie znalazła, dziewczyna była jeszcze żywa, ale nieprzytomna, wisiała głową w dół na gałęzi kolczastej akacji. Cienka strużka krwi spływała z jej ramienia do drewnianej misy. Dwa karłowate elfy o długich zaczerwienionych nosach i bladych oczach poprawiały właśnie liny, poruszali dziewczyną, żeby resztki krwi spływały prędzej. Hazel nigdy wcześniej nie znalazła ofiary żywej.

Czym są te stwory, wiedziała z opowieści, ale nigdy ich jeszcze nie widziała. Czerwone kaptury, dosyć straszne potwory lubujące się w rzezi, barwiące swoje szaty krwią.

Przez chwilę Hazel przyglądała im się i jednocześnie zastanawiała, co ona właściwie, do ciężkiej cholery, wyprawia. Przywykła już do życia w mieście. Przyzwyczała się do świata, w którym nie ma potworów. Zrobiła się słaba i strachliwa. Czowała, że pomalowany czarną farbą złoty miecz drży w jej spoconych dłoniach.

Jestem rycerzem. Jestem rycerzem. Jestem rycerzem. Powtarzała te słowa, bezgłośnie poruszając wargami, ale nie była już pewna, czy jeszcze wie, co one znaczą. Wiedziała jednak na pewno, że jeżeli nie pozbiera się do kupy, ta dziewczyna umrze.

Hazel wypadła na polanę, zadając jednocześnie cięcie. Pierwszy z czerwonych kapturów wrzasnął i padł, milknąc na zawsze. Hazel czuła nieznośny ucisk w żołądku, ale odwróciła się do drugiego, gotowa natychmiast odeprzeć atak, gotowa przeciąć go na pół. Nawet mogła wygrać. Była silna i szybka, miała wspaniały złoty miecz, a przeciwnicy byli całkowicie

zaskoczeni. Tyle że był też trzeci, którego przedtem nie dostrzegła i ten właśnie jednym potężnym uderzeniem powalił Hazel na ziemię. Poderżnęli gardło Natalie. Stwierdzili, że i tak już niewiele w niej pozostało, a ta nowa jest świeża i będzie z niej mnóstwo krwi. Związali liną stopy Hazel, by powiesić ją w taki sam sposób jak poprzedniczkę. Była półprzytomna, mdliło ją i bała się bardziej niż kiedykolwiek w całym życiu. Chciałaby móc zawołać Bena, ale Bena nie było. Miała tylko siebie i właśnie zawiodła. Nikogo przy tym nie ocaliła.

Wisiała głową w dół przez trzy godziny, krew napływała jej do głowy. Potem kaptury poszły nabierać więcej drewna. Wzięła się w garść, rozkołysała, aż sięgnęła do ciała Natalie. Strasznie było dotknąć świeżych zwłok, ale wspięła się po ciele dziewczyny, aż zdołała dosięgnąć gałęzi, a potem rozwiązać linę. Policzki miała mokre od łez, chociaż nie pamiętała, żeby płakała. Odnalazła swój miecz razem z całą kolekcją innych skradzionych przedmiotów, po czym wróciła do domu kompletnie roztrzęsiona, aż ogarniał ją strach, że rozpadnie się od tego na kawałki.

Tego dnia musiała przyznać przed samą sobą, że zapalczywość trzynastolatki to za mało, by sprostać pradawnym potworom. Nie dokona tego w samotności. Musiała wreszcie przyznać, że jej rycerska chwała przepadła razem z muzyką Bena. Kiedy wreszcie dowlekała się do domu, długo stała pod drzwiami pokoju brata, przyciskając dłonie do drewna. Jednak nie zapukała.

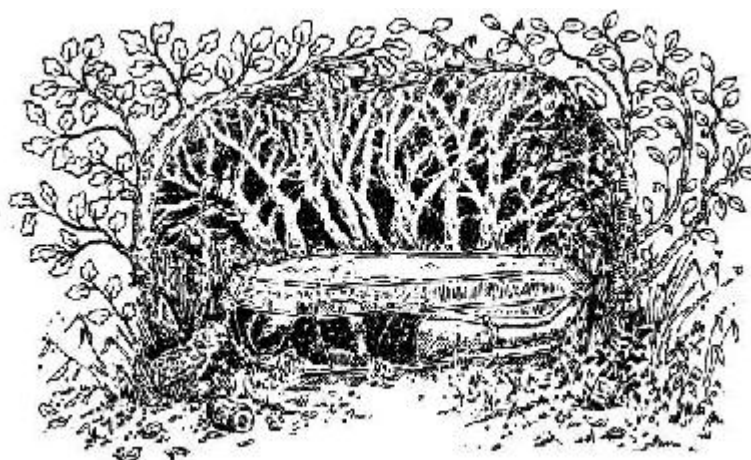
Już mu mówiła, że jest jej przykro, że wcale nie chciała, żeby Kerem ją całował, wcale nie tak miało być. Powtarzała te zapewnienia tysiące razy. Owszem, tylko że w głębi serca wiedziała, że to nieprawda. Nie cała prawda. Przecież kokietowała Kerema wyłącznie dlatego, że był przystojny, a Ben miał wszystko. Akurat kiedy doszło do pocałunku, wcale tego nie chciała, natomiast wcześniej zdarzało jej się o tym myśleć. I jednak do tego dopuściła. A może, gdyby zareagowała chwilę wcześniej, Ben nie utraciłby swojej muzyki. Może wtedy mogliby znów wyruszyć na łowy razem. I może Natalie nadal by żyła.

Zapewniała Bena, że ten pocałunek nie miał żadnego znaczenia. I bardzo chciała, aby nie miał.

Pragnęła udowodnić, że nic nie znaczył.

Tymczasem jednak niezależnie od tego, z iloma innymi chłopakami się zadawała, nie była w stanie sprawić, by muzyka Bena powróciła.

ROZDZIAŁ 8



Wieczorem tego dnia, w którym królewicz zniknął z trumny, mama zrobiła na kolację spaghetti z koncentratem pomidorowym, posypane mielonym serem z puszki, do tego był jeszcze rozmrożony groszek. Typowa kolacja na czas tuż przed terminem oddania fuchy klientowi; smak tak dobrze znany, że Hazel tęskniła za nim, kiedy była chora, tak samo jak inne dzieci marzą o rosole z kury. Tata już wyjechał, miał zostać w Nowym Jorku tydzień, żeby pospotykać się z różnymi ludźmi. Mama wypytywała, jak minął dzień, ale Ben i Hazel tylko wpatrywali się w talerze, odpowiadali półsłówkami, zbyt zamyśleni i zaprzątnięci wszystkim, co się wydarzyło, żeby zdobyć się na normalną rozmowę. Dowiedzieli się w każdym razie od swojej matki, że burmistrz już skontaktował się z lokalnym rzeźbiarzem – zresztą jej znajomym – zwracając się do niego z pytaniem, czy dałoby się wykonać kopię królewicza, tak żeby jego brak nie spowodował spadku dochodów z turystyki. W oficjalnej wersji lokalna atrakcja padła ofiarą wandalii.

– Za moich czasów wszystkie się w nim kochałyśmy. Pamiętam, była taka jedna... A zresztą ją znacie, to mama Leonie... No, w każdym razie co sobotę przychodziła z płynem do mycia szyb i rolką papierowych ręczników, żeby czyścić trumnę do połysku. Do tego stopnia ją opętało.

Ben westchnął z zażenowania.

Mamę najwyraźniej bawiły te wspomnienia.

– A Diana Collins, teraz Diana Rojas, próbowała go obudzić, odgrywając scenę z teledysku Whitesnake na jego trumnie, tak jakby to była maska

transama, a miała na sobie tylko skąpe bikini i oliwkę dla niemowląt. Ech, piękne lata osiemdziesiąte. – Wstała, przeszła przez pokój, żeby wydobyć z dolnej szuflady mocno sfatygowany szkicownik. – Chcecie coś zobaczyć?

– Jasne – odpowiedziała trochę zakłopotana Hazel. Wyobrażenie matki Megan wysmarowanej oliwką dla niemowląt zrobiło na niej trochę zbyt duże wrażenie.

Mama przerzuciła kilka kartek, nieco pozółkłych z upływem czasu. Były tam portrety śpiącego królewicza wykonane ołówkiem numer B2, długopisem BIC i kolorowymi markerami. Rysunki były znośne, ale nie wybitne, toteż Hazel dopiero po chwili zdała sobie sprawę, na co patrzy.

– Ty to narysowałaś – stwierdziła, lekko oskarżycielskim tonem.

Mama roześmiała się.

– Pewnie że ja. Chodziłam do lasu po lekcjach, udając, że będę szkicować drzewa i coś tam jeszcze, ale zawsze rysowałam właśnie jego. Namalowałam też duży portret olejny. To był jeden z obrazów, które pokazałam podczas rekrutacji na akademię.

– A co się stało z tym obrazem? – spytała Hazel.

Mama wzruszyła ramionami.

– Sprzedałam komuś za parę dolców jeszcze podczas studiów w Philly. Przez jakiś czas wisiał w knajpie, ale nie wiem, co się teraz z nim dzieje. Może namaluję kolejny, póki jeszcze pamiętam jego twarz. Szkoda, że już go nie ma.

Hazel pomyślała o nożu wbitym w drewniany blat starego stołu, zastanawiając się jednocześnie, do jakiego stopnia królewicza rzeczywiście już nie ma. Po kolacji mama otworzyła laptopa, usiadła przed telewizorem i coś dłubała, oglądając jednocześnie program kulinarny, Hazel i Ben zostali zaś w kuchni, spożywając deser w postaci tostów z marmoladą grejpfrutową.

– I co teraz? – spytała brata.

– Trzeba znaleźć królewicza, zanim przestrogi Jacka zaczną się sprawdzać.

– W tej chwili Ben zwrócił uwagę na jej dłonie. – Przewróciłaś się?

Przyjrzała się swoim rękóm. Nie były już zaczerwienione. Ranki od szkła wyglądały jak drobne zadrapania. *Coś się stało zeszłej nocy.* Miała te słowa na końcu języka, ale nie mogła się zdobyć, żeby wypowiedzieć je na głos.

Po tym, jak lata temu czerwone kaptury omal jej nie uśmierciły, gdy zobaczył ślady na jej skórze i usłyszał, co się stało, błagał, żeby nigdy więcej nie szła sama na łowy. Coś wymyślimy – zapewniał, ale nigdy niczego nie wymyślili.

Gdyby wiedział, jaki układ zawarła z elfami, zaczęłyby się obwiniać. Czułby się parszywie, a tymczasem nic już nie dało się na to poradzić.

– Pewnie w lesie zadrapałam się o jakieś kolce. Nic takiego.

– Aha – odpowiedział roztargnionym tonem. Wstał, włożył talerz do zlewu.

– Więc myślisz, że on tam gdzieś jest i śpi sobie w naszym starym śpiworze? I zajada nasze czerstwe precle?

– I chłepcze kawę instant rodem z dwudziestego pierwszego wieku? Miło by było. Mam nadzieję, że tak – odpowiedziała Hazel. – Nawet jeśli jest tym złym królewiczem z naszych bajek.

Ben ożywił się.

– O, pamiętasz?

Odwróciła się, starając się zmusić do uśmiechu.

– Pewnie. Doskonale pamiętam.

Roześmiał się.

– Rany, te wszystkie historie. Tak długo o tym nie myślałem. Niezły obłęd... no bo pomyśl, właśnie nam się to trafiło. Obudził się właśnie w naszych czasach.

– To na pewno nie przypadek – stwierdziła Hazel. – Z pewnością coś się dzieje w lesie. Słyszałeś, co mówił Jack.

– Może po prostu już nadszedł czas. Może wypełniła się klątwa i on sam rozbił trumnę.

Ben potrząsnął głową, lekko się uśmiechając.

– Gdyby nasz królewicz miał olej w głowie i chciał zabezpieczyć się przed Królem Olszyn, udałby się prosto do centrum miasteczka. Od drzwi do drzwi. Dostałby więcej zaproszeń na kolację niż kaznodzieja w niedzielę.

– Raczej zostałyby zaproszony do łóżka więcej razy niż kaznodzieja w niedzielę – sprostowała Hazel, co rozbawiło Bena, ponieważ pastor Kevin budził dzikie żądze małolatek jako członek jakiegoś tam, ponoć trochę sławnego, zespołu grającego chrześcijańskiego rocka. Tymczasem przecież rogaty chłopiec o wiele bardziej zasługiwał na miano lokalnego celebryty. Gdyby pokazał się na Main Street, Stowarzyszenie Pań z Fairfold na mur zorganizowałyby z myślą o nim superseksowny jarmark dobroczynny. Ben miał rację, gdyby królewicz zdecydował się skryć przed gniewem Króla Olszyn w pościeli nadobnych mieszkańek Fairfold, zapewne nic by mu nie groziło.

Po chwili, właściwie dlatego, że trzeba było coś powiedzieć, Hazel spytała:

– A co cię właściwie naszło, żeby tak nagle znowu rzucić się w wir przygód?

Ben pokiwał głową, spojrzał na nią dziwnie.

– Wiem, to może nie w moim stylu, tylko rozumiesz, chodzi o naszego królewicza, a to zupełnie co innego.

Odsunęła się od kuchennego stołu.

– Dobra, to jak wpadniesz na jakiś świetny pomysł, możesz mnie obudzić. Idę spać.

– Dobranoc – rzucił wesoło Ben, trochę jakby za wesoło, po czym też wstał, ale zamierzał jeszcze zajrzeć do salonu. – Posłucham wiadomości. Ciekaw jestem, czy nadal trzymają się wersji, że to sprawka wandalii.

Wspinając się po schodach, Hazel podjęła postanowienie: nie zaśnie tak długo, jak tylko zdoła. Chodziło jej o to, żeby przyłapać tego kogoś, kto zeszłej nocy wywołał ją z łóżka. Słyszała przecież opowieści o ludziach, na których rzucono czar, tak że wymykali się ze swoich domów, by tańczyć z elfami podczas pełni księżyca i o takich, którzy budzili się ze stopami zdartymi do krwi, pośród grzybnych kręgów, z sercem rozdartym niewysłowioną tęsknotą za czymś, czego już nie mogli sobie przypomnieć. Jeżeli elfowie postanowili zabawiać się nią w jakiś sposób, chciała o tym wiedzieć.

Rzecz jasna, istniała też możliwość, że skoro już raz w jakimś celu się nią posłużono, potem przez dłuższy czas żadnego wezwania nie będzie, jednak na wszelki wypadek postanowiła czuwać. Zamknęła drzwi swojego pokoju, kucnęła przy łóżku i wysunęła spod niego starą drewnianą skrzynię. Drewno było spękane, miejscami spaczone. Kiedy oboje byli bardzo mali, Ben wchodził do tej skrzyni i udawał Draculę w trumnie, czasami także śpiącego królewicza. Kiedy była jeszcze mniejsza, mama chowała do tej skrzyni zabawki i kocyki. Teraz Hazel trzymała tam swój miecz i trochę pamiątek z dzieciństwa: kamienie lśniące miką, które zawsze uwielbiała i zgarniała do kieszeni podczas spacerów przez las; sreberko od gumy do żucia, które Jack poskładał na kształt żaby; sporządzoną własnoręcznie pelerynę z zielonego welwetu, która stanowiła część jej kostiumu Robin Hooda. Naszyjnik ze stokrotek, ususzony i tak kruchy, że bała się go dotknąć, bo wiedziała, że w każdej chwili może rozsypać się w proch.

Te oto rzeczy spodziewała się ujrzyć po otwarciu skrzyni. Miała zamiar wyjąć z niej pomalowany czarną farbą miecz i wetknąć go między materac a sprężyny łóżka.

Tylko że miecza tam nie znalazła.

Drewniana skrzynia była teraz pusta, jeśli nie liczyć książki i poskładanej bluzy oraz spodni z dziwnego, srebrnoszarego materiału, których nigdy przedtem nie widziała. Do tego jeszcze karteczka zapisana tym samym dziwnym pismem, co wiadomość w orzechu: 241.

Sięgnęła po książkę. *Baśnie angielskie* – przeczytała tytuł na grzbiecie. Zajrzała na stronę dwieście czterdziestą pierwszą i zaczęła czytać.

Była to opowieść o chłopie, który kupił sobie kawałek ziemi, ale mieszkał tam już wielki, kudłaty i kłótlivy boggart i twierdził, że ta ziemia należy do niego. Spierali się przez jakiś czas, aż w końcu postanowili podzielić się tym, co ziemia urodzi. Boggart zażądał wszystkiego, co wyrośnie nad ziemię, a rolnik może sobie zabrać wszystko, co będzie pod nią. Chłop łatwo przechytrył boggarta, bo posadził ziemniaki i marchewkę. Gdy przyszło do zbiorów, boggart dostał tylko bezużyteczne zielsko. Rzec jasna, bardzo się rozzłościł. Wrzeszczał i tupał, i miał za złe, ale zawarł układ, dał słowo i jak wszystkie elfowe stwory, musiał go dotrzymać. W następnym roku boggart zażądał wszystkiego spod powierzchni ziemi, ale i tym razem wieśniak bez trudu sobie poradził, po prostu posiał zboże, więc boggart dostał tylko sznurkowate korzonki. Boggart znowu się rozjuszył, jeszcze bardziej niż poprzednio, ale cóż, był związany danym słowem. Trzeciego wreszcie roku boggart zażądał, żeby chłop posiał pszenicę, a orać będą razem i co który zaorze, to z tego pola będzie zbierał. Chłop wiedział, że boggart jest o wiele silniejszy, więc nieco wyrównał szanse w ten sposób, że po stronie, od której orkę miał zacząć boggart, pozakopywał żelazne pręty. Przez to pług boggarta ciągle się tępił, natomiast nasz bohater orał jak się patrzy. Po wielu godzinach ciężkiej pracy boggart dał za wygraną, powiedział, że wieśniak może sobie wziąć to pole, a on nie chce mieć z tym wszystkim nic wspólnego!

Słowa „marchewka” oraz „żelazne pręty” zostały zakreślone palcem unurzonym w błocie.

Hazel przyglądała się tej książce i nie rozumiała. Cała ta historia nic jej nie mówiła. Zdezorientowana i zagubiona Hazel zajęła się zmianą pościeli; ubłoconą wepchnęła do kosza, potem rozłożyła czyste, chociaż pomarszczone prześcieradło i stary koc, wyciągnięty ze schowka w sieni. Na koniec przebrała się w piżamę (wzorek w statki kosmiczne), położyła się na łóżku, sięgnęła po pierwszą z brzegu książkę ze stolika nocnego.

Chciała się czymś zająć, by się utwierdzić w przekonaniu, że zniknięcie miecza jest tak samo nieistotne jak jej stara peleryna, łącznie z całym strojem

Robin Hooda.

Tę książkę już czytała, była o zombiakach. Nieumarli prześladowali brata i siostrę, którzy razem usiłowali przed nimi uciekać. Po kilku stronach, znużona grafomaństwem autorki, odłożyła książkę na bok. Nie była w stanie się skupić. Fikcja nie mogła dorównać wspomnieniu omszałej rudery, w której pośrodku starego stołu można było podziwiać nóż wykuty przez elfy. Książka nijak się miała do rzeczywistości – pokaleczonych dłoni, ubłoconych stóp i gdzieś zapodziaanej nocy.

I jeszcze coś realniejszego od książkowej fikcji: podwójne życie Jacka. Wiedziała, że z elfami należy postępować ostrożnie, choćby nie wiadomo jak byli piękni, dowcipni czy uroczy, ale Jack zawsze wydawał jej się wyjątkiem. Teraz nie mogła opędzić się od myśli o jego połyskujących srebrem oczach i dziwnych słowach. Wszystko to w dodatku jakoś łączyło się ze wspomnieniem ich pocałunku, przez co było jej jeszcze bardziej głupio.

Leżała więc z zamkniętymi oczami, udając, że śpi, aż usłyszała skrzypienie desek podłogi. Ktoś wchodził po schodach, potem szedł korytarzem. Ben idzie spać? A może Ben już śpi i ktoś skrada się do niej? Hazel usiadła, sięgnęła po komórkę, żeby sprawdzić godzinę: druga nad ranem.

Zsunęła się bezgłośnie z łóżka; w tej samej chwili usłyszała, że ktoś zbiega po schodach.

Szybko wciągnęła kalosze, zgarnęła telefon i ruszyła w ślad za tym kimś tak dyskretnie, jak tylko umiała. Jasne, skoro elfowie mogli wywabić ją z łóżka, mogli też wywabić Bena. Czemu nie? Nawet jeśli nie miał wobec nich żadnych zobowiązań, nie zawierał z nimi układów, to by znaczyło tylko tyle, że nie mają do niego żadnego prawa. Wielkie rzeczy. Elfowie bardzo chętnie sięgają po coś, do czego nie mają żadnego prawa.

Nim zdążyła włożyć kurtkę i dojść do drzwi, Ben był już na dworze. Szedł całkiem pewnym krokiem w stronę swojego volkswagena. Hazel nagle spanikowała, niemożność podjęcia decyzji sparaliżowała ją w cieniu dębu. Wiadomo, pieszo nie dogoni samochodu. Mogłaby natomiast podbiec i zapukać do okna. Jeżeli był pod wpływem czaru, być może uda jej się go przywrócić do rzeczywistości.

Ale co, jeżeli to nie był żaden czar? Jeżeli wybrał się na poszukiwanie rogatego chłopca, tylko po prostu wolał być sam? Można zrozumieć, że nie chce, żeby ciągle czepiała się go młodsza siostrzyczka.

Ben wjechał na podjazd powoli, przy wyłączonych światłach.

Hazel błyskawicznie podjęła decyzję. Pobieгла do szopy, wyciągnęła od dawna nie używany stary rower. Trzęsącymi się rękami zerwała odblaskowe opaski, rzuciła je w ciemność. Wskoczyła na siodełko i ruszyła, z całej siły naciskając na pedały. Kiedy wyjechała na ulicę, garbus Bena miał już włączone światła i wchodził w pierwszy zakręt. Przyhamowała, starając się pozostać poza zasięgiem jego wzroku, jednocześnie nie tracąc go z oczu. Liczyła nieco na to, że na tej małej uliczce będzie przestrzegał ograniczenia prędkości, bo gdyby jednak je olał i dał gazu, w żaden sposób nie zdołałaby go dogonić.

Włosy powiewały za nią na wietrze, księżyc świecił wysoko na niebie, srebrząc wszystko swoją poświatą. Czuła się jak w jakimś sennym pejzażu, milczącym świecie snu, w którym tylko ona i jej brat nie spali. Resztki zmęczenia ustąpiły, gdy mięśnie zaczęły pracować; rytm pedałowania wciągnął ją do tego stopnia, że ledwie się zorientowała: Ben zjeżdżał na pobocze. Zahamowała ostro, w następnej chwili już stała na ziemi. Rzuciła rower w krzaki, pośród pnącza i suche gałęzie.

Oblał ją zimny pot, bo już wiedziała, dokąd Ben zmierza: do szczątków szklanej trumny.

Szła za nim, skradając się tak wolno, jak potrafiła. Uważała, by nie zdradziło jej trzaskanie gałązek pod stopami. Być może okazała się sprawną tropicielką, poruszającą się bezszelestnie w lesie, a może Ben był zbyt zamyślony, tak czy inaczej, ani razu nie spojrzał w jej stronę. To wszystko bardzo przypominało dawne łowy, tylko że teraz podążała w ślad za bratem.

Noc była wilgotna i na tyle chłodna, by oddech Hazel zmieniał się w obłoczek pary. Nocne stworzenia szeleściły w poszyciu, przywoływały się dziwnymi odgłosami pośród dziwacznych w ciemności kształtów drzew. Hazel dostrzegła przypominającą tarczę zegara oblicze sowy. Owinęła się ciasniej kurtką i przemknęło jej przez myśl, że mogła jednak ubrać się cieplej, przecież spodziewała się, że trzeba będzie wyjść z domu i to prędko.

Ben zatrzymał się przy pniu powalonego dębu. Wyglądało na to, że właśnie się zastanawia, czy warto było jechać a potem iść taki kawał – cokolwiek go tu sprowadziło, najwyraźniej wymagało głębszej refleksji, czemu towarzyszyło przechadzanie się tam i z powrotem oraz kopanie butem paprociowych pióropuszy. Hazel znów przyszło na myśl, że może powinna się odezwać, zawołać go, żeby wiedział, że nie jest sam.

Śledziłam cię, bo pomyślałam, że może ktoś rzucił na ciebie czar – tak mogłaby mu powiedzieć. – Ale teraz już zrozumiałam, że pewnie to nie żadne zaklęcie, bo

jak ktoś jest pod działaniem czaru, to nie zatrzymuje się nagle w pół drogi i nie zastanawia, co mu właściwie strzeliło do łba, żeby wybrać się po ciemku do lasu. No, więc sorry. Pewnie źle zrobiłam, że cię śledziłam.

Zgrabnie to sobie wymyśliła.

Tymczasem jednak Ben ruszył w dalszą drogę przez las, szurając stopami w suchych liściach, a Hazel znów podążyła za nim. Szli i szli, aż dotarli na polanę, gdzie jeszcze niedawno spał królewicz; tę samą polanę, którą odwiedzali, wspólnie i osobno, setki razy. Potłuczone szkło z trumny i butelek po piwie mieniło się jak żywe srebro w księżycowej poświacie. Za to cała roślinność, począwszy od drzew, przez krzaki, po kolczaste pnącza, poczerniała i umarła. Przegniła, tak jakby zima nadeszła zbyt wcześnie. Nawet zimozielone iglaki zwiędły.

A trumnę ktoś roztrzaskał. Wiedziała o tym, ale co innego słyszeć, a co innego to zobaczyć. Doszło do świętokradztwa, tak jakby kryształowa trumna miała w sobie tyle magii, co okno samochodu, w które ktoś walnął łomem, aby przywłaszczyć sobie radio. Skoro okazało się, że nie była niezniszczalna, stała się zwyczajna.

Ben podszedł do resztek szklanej skrzyni, przesunął dłońią po metalowym brzegu. Potem pchnął pozostałości wieka, kryształowe drobiny posypały się do środka. Wsunął rękę do wewnątrz – czy chciał dotknąć materiału, którym była wyłożona? Potem nagle znieruchomiał, spojrzał w stronę, gdzie znajdowała się Hazel; tak jakby stanęła na jakiś suchy patyk i narobiła hałasu.

Czego mógł szukać Ben? Po co tu przyszedł?

Przysięgła sobie w skrytości ducha, że jeśli jej braciszek będzie próbował wleźć do trumny, wyjdzie z cienia, choćby nie wiadomo jak miał się potem wściekać.

Ale nie, jednak nie. Obszedł trumnę, tak jakby nie mógł się nadziwić obrazowi zniszczenia. A potem nagle pochylił się z dziwnym wyrazem twarzy. Kiedy się wyprostował, na jego dłoni leżało coś, co wyjął ze środka i to coś połyskiwało w blasku księżyca. Przyglądał się temu przedmiotowi ze zdumieniem. To był kolczyk. Jarmarczna tandeta, metalowe kółko pokryte zieloną emalią. Hazel nawet nie zauważyła, że już go nie ma w uchu.

W jej umyśle natychmiast pojawiły się możliwe wyjaśnienia. Pewnie po prostu zgubiła go podczas imprezy. Tylko że to nie tłumaczyło, skąd wziął się wewnątrz trumny, pod odłamkami szkła. W dodatku była prawie pewna, że pamięta, jak następnego dnia wkładała te same kolczyki. Prawie. No dobrze,

to może inaczej: jakaś inna laska miała takie same kółka w uszach i jedno zgubiła.

Hazel w gruncie rzeczy domyślała się, że ma coś wspólnego z uwolnieniem rogatego chłopca, lecz dotąd jej rozsądek się wzdragał, nie potrafiła w to uwierzyć. Teraz jednak już musiała. Żadne wytłumaczenie, które przychodziło jej do głowy, nie wyjaśniało przekonująco obecności dowodu rzeczowego.

Poczuła, że drży, ogarnęło ją ślepe przerażenie. Czyż nie wyrzucała sobie tak niedawno, że pakuje się w każde możliwe kłopoty? Nie pomija żadnej okazji, nie odpuszcza żadnemu facetowi, nie waha się, by wprowadzić w życie wszystkie najgłupsze z najgłupszych pomysłów? Że zdrapie każdy strup, rozgrzebie każdy żal i ranę, nie daruje sobie ani jednej głupiej uwagi? Z pewnością nie ma nawet co mówić o cofnięciu głupiej i niepotrzebnej umowy. Najwyraźniej nadal przejawiała tę samą tendencję, chociaż zupełnie tego nie pamiętała.

Po dłuższej chwili Ben ruszył z powrotem do samochodu, klął pod nosem. Hazel znieruchomiała; kiedy ją mijał, przycisnęła się do drzewa. Odczekała, aż odzyska panowanie nad oddechem. Nadal nie wiedziała, co ma powiedzieć Benowi, ale przynajmniej miała czas do rana, by coś wymyślić.

Wróciła do roweru. Leżał grzecznie na swoim miejscu, skryty w gąszczu runianki, który jakby go pochłoniął. Podniosła wehikuł, wyprowadziła go na szosę i wskoczyła na siodełko, po czym ruszyła za oddalającymi się tylnymi światłami samochodu Bena.

Kierował się w stronę domu, więc już nie musiała dokładnie pilnować, dokąd jedzie. Mogła więc zamiast tego skupić się na tym, co teraz należy zrobić.

Siedem lat swojego czasu zaprzysięgła Królowi Olszyn. Może gdyby udała się pod tamten gór, korzystając z pełni księżyca, zdołałaby zawrzeć kolejny układ. Ciekawe, czego teraz by zażądali w zamian za odpowiedzi na jej pytania. A może należy wybrać się na imprezę elfowego króla i spytać wprost, co zamierza z nią zrobić?

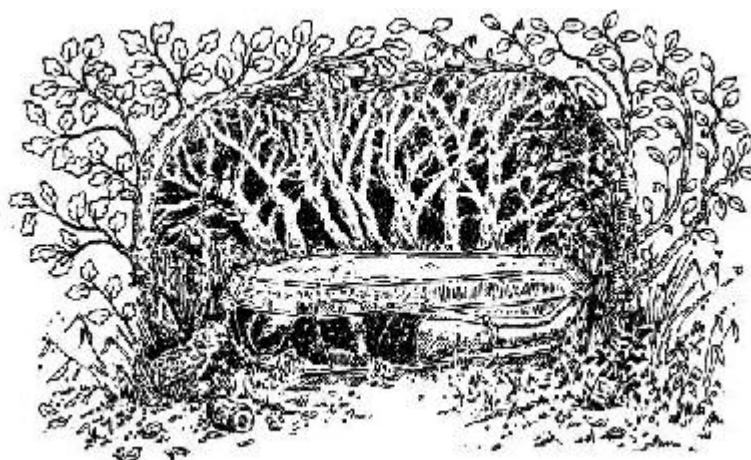
Pedałowała szybciej, przepowiadała sobie w myśli, co mogłaby powiedzieć, aż nagle zobaczyła w rowie ciało. Ciało dziewczyny. Białe nogi w błocie, kasztanowe włosy w kałuży. Ktoś nad tym ciałem się pochylał, ktoś o brązowych puklach opadających na oczy, choć część z nich odgarnął za długie, zakrzywione rogi.

Zamarła, znieruchomiała.

Straciła równowagę. Rower wymknął się spod niej; wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyła w żaden sposób zareagować, by odzyskać nad nim panowanie. Dopiero co pędziła szosą, a już chwilę potem padała na asfalt.

W księżycowej poświacie, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, jej wywrotce przyglądał się rogaty chłopiec.

ROZDZIAŁ 9



Walnęła o nawierzchnię. Odruchowo wyciągnęła ręce, by chronić twarz, więc one uderzyły pierwsze; impet zaparł jej dech, potem potoczyła się na bok, zdzierając skórę z łokci i zaliczając mocne uderzenie w tył głowy. Przez chwilę czuła się strasznie, oszołomiona i poraniona. Leżała na szosie, w ustach miała piasek. Czekwała, aż ból zelżeje.

Słyszała skrzypienie wirujących kół swojego roweru i jeszcze coś – kroki nadchodzącego rogatego chłopca. Rozbrzmiewały tak donośnie, jakby każdym z nich łamał kości.

Przyklęknął nad nią.

Był blady jak zawsze, pewnie od chłodu jeszcze bledszy. Dalej miał na sobie ten wyszywany kaftan, w którym oglądały go kolejne pokolenia, tylko pociemniał teraz od deszczu, a buty w kolorze kości słoniowej poplamiło błoto. Rogi wznosiły się nad skronie i zakręcały w tył za spiczaste uszy, wciąż blisko czaszki, i kończyły się ostrymi czubkami tuż przy jego szczęcie, więc z daleka mogłyby pewnie przypominać grube warkocze. Nawet z budowy ciała różnił się nieco od ludzi – widać to było po kościach policzkowych, łukach brwiowych. Był jakby w lepszym gatunku, niczym kryształowy kieliszek, gdy ujrzy go ktoś przyzwyczajony do kamionkowych kubków. Oczy miał koloru zielonego mchu, choć przywodziły także na myśl głęboki staw o świcie; spoglądał na nią tymi oczami nie z jej świata, jakby próbował rozwikłać jakąś zagadkę.

Był równie nieludzko piękny jak zawsze; pięknem, w którym można było się zatracić.

– Coś ty jej zrobił? – spytała Hazel, próbując wstać. Krew sączyła się zarówno z jej kolan, obu, jak i z rąk, aż piżama przykleiła się do skóry. Obawiała się, że nie zdoła uciec, była zbyt odrętwiała i obolała.

Wyciągnął do niej rękę, więc uświadomiła sobie, że jednak będzie musiała uciekać. Zerwała się, podbiegła trzy kroki i wtedy się zorientowała, że dziewczyna w rowie to Amanda Watkins.

Jej skóra była biała, nawet nie blada czy chorowicie blada, tylko biała jak arkusz papieru. Jedynie koniuszki palców i powieki miała nieco zaróżowione. Z lekko rozchylonych ust wiły się pędy jakiejś rośliny, była też w nich ziemia. Na jednej stopie tkwił pantofel z wysokim obcasem, druga, bosa, upačkana była błotem.

– Amanda! – zawołała Hazel, idąc chwiejnym krokiem w jej stronę. – Amanda!

– Ja cię znam. Znam twój głos – odezwał się chłopiec, głosem tak ochrypłym, jakby zdzierał gardło od tygodnia. Chwycił Hazel za ramię i kiedy gwałtownie odwróciła się w jego stronę, spojrzał na nią lśnięcymi, wygłodniałymi oczami. – Jesteś właśnie tą dziewczyną, której szukałem.

Niby przez całe życie marzyła, żeby się obudził i wypowiedział te słowa, jednak teraz, kiedy je usłyszała, ogarnęło ją skrajne przerażenie. Chciała się wyrwać, ale trzymał ją mocno, a jego palce były tak chłodne, jakby dopiero co trzymał je w wodzie z lodem, jego dotyk przenikał ją na wskroś. Otworzyła usta do krzyku, lecz zdołała wydobyć z siebie tylko stłumione stęknienie.

– Cicho – powiedział ochrypłym szeptem. – Bądźże cicho. Wiem, kto ty jesteś. Hazel Evans, siostra Benjamin Evansa, córka Greer O’Neill i Spencera Evansa. Poznaję twój głos. Znam wszystkie twoje głupie pragnienia. Znam ciebie i wiem, co zrobiłaś, i jesteś mi potrzebna.

– Że... Że co?

Pamiętała dziewięćioletnią siebie i szept do szkła; zaczerwieniła się i aż gorąco jej się zrobiło ze wstydu, który sięgał do samego gardła. Czyżby naprawdę słyszał wszystko, co do niego mówiono, wszystkie te przerażające bzdury, które sobie opowiadali przez cały czas, gdy tam leżał?

– Idziemy. – Pociągnął ją za sobą. – Musimy stąd iść. Tutaj każdy może nas zobaczyć.

Szarpnęła się znowu, ale nie puścił, ciągnął dalej, zaciskając palce dość mocno, by zrobiły się siniaki.

– Ale co z Amandą? Nie możemy jej tak zostawić! – zawołała.

– Ona śpi – odpowiedział. – Może to i przeze mnie, ale teraz nic na to nie poradzę, a zresztą w tej chwili niewiele z tego wynika. Gorzej będzie dla niej i dla wszystkich, jeżeli nie powiesz mi, gdzie on jest.

– Kto?

– Nie kto, tylko co. Miecz – wyjaśnił zniecierpliwionym tonem. – Ten, którym mnie uwolniłaś. Nie udawaj głupiej.

Strach ścisnął Hazel w żołądku. Przypomniała jej się skrzynia pod łóżkiem, w której właśnie miecza nie było.

– Co za miecz?

– Oddaj Heartsworna. Lepiej będzie dla ciebie, jeżeli po prostu zrobisz to, o co cię proszę. Jeżeli będziesz sobie ze mną igrać, zmusisz mnie, żebym ci pokazał, dlaczego to niemądre.

– Prosisz? – odruchowo obruszyła się Hazel. – Ty to nazywasz prośbą?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, natychmiast ich pożałowała. Myśleć – nakazała sobie. – Myśleć. Dziwnie było tak dać mu się prowadzić, z pełną świadomością, że może chce ją zabrać dokądś i zabić, a jednocześnie głupio wstydzić się, że umrze, mając na sobie piżamę i kalosze. Gdyby wiedziała, że ma zginąć z jego ręki, ubrałaby się przecież odpowiednio.

Jego usta wykrzywiły się w coś, co było niemal uśmiechem, szarpnął ją za ramię.

– Proszę. Grzeczniej nie potrafię.

– Chcesz mojej pomocy? W takim razie powiedz mi, co zrobiłeś Amandzie.

Mówiąc to, szukała jednocześnie w kieszeni telefonu. Może facet i był magicznym królewiczem z bajki, ale spał przez co najmniej sto lat. Gotowa była się założyć, że gówno wie o współczesnych technologiach.

– Ja? Mylisz się wielce, jeśli sądzisz, że ja to uczyniłem. W tych lasach grasują stwory groźniejsze ode mnie.

– Jakie znowu stwory? – spytała Hazel.

– Słyszałaś może o istocie, która kiedyś była z elfowego rodu, a teraz stała się czymś innym? Jest z błota i gałęzi, mchu i pnączy. Podąża moim tropem. To ona dopadła tę twoją Amandę. Żadne ostrze prócz Heartsworna nie zdoła jej nawet zadrasnąć, więc teraz już rozumiesz, dlaczego leży w twoim najlepiej pojętym interesie, by oddać mi ten miecz.

Aha – pomyślała Hazel, trochę mąciło jej się w głowie. – Aha. Luzik. Normalka. Ten tam potwór z serca puszczy, legendarna kreatura. Ostrożnie wystukiwała na telefonie, nie patrząc, a za to ciesząc się, że odkąd pamięta, wysyła w ten sposób SMS-y podczas lekcji. – RATUJ AMANDĘ. RANNA. GROUSE ROAD!!! POTWÓR!

– Uwolniłaś mnie. – Obejrzał się na nią i przez tę nikłą chwilę pomyślała, że prócz zimnej złości jest w nim coś jeszcze. – A teraz za swój zacny uczynek przypuszczalnie zapłacisz gorzką rozpaczą. Dlaczego to zrobiłaś?

– Nie wiem. Właściwie dopiero co się dowiedziałam, że to ja. Naprawdę nie wiedziałam. Mówisz, że słyszałeś mój głos, ale czy tylko mój, czy był ktoś jeszcze? Ktoś wydawał mi rozkazy, czy coś?

Potrząsnął głową.

– Nie, tylko ty. Jednak gdy obudziłem się na dobre, niebo już pojaśniało, a ty zniknęłaś.

– Tego nie pamiętam. Nie pamiętam, co robiłam zeszłej nocy.

Westchnął.

– No to sobie przypomnij. Pomyśl o losie Amandy Watkins. Nawiasem mówiąc, dobrze wiem, że jej nie lubiłaś. Jednak następną ofiarą stać się może ktoś, na kim ci bardziej zależy.

Tym ją zaskoczył. Był obcy, a jednak jego sposób mówienia i dotyk palców na ramieniu wydawał się dziwnie bliski. Wyobrażała sobie kiedyś sceny tak bardzo podobne, że teraz kroczenie obok niego mrocznym lasem stało się na pół koszmarem, a na pół fantazją, z czego jedno i drugie było zupełnie nierealne. Wciąż kręciło jej się w głowie, jakby miała zemdleć. Właściwie nawet chętnie by zemdląca, żeby nie musieć już sobie z tym wszystkim radzić.

– Pewnie, że jej nie lubię, ale to jeszcze nie znaczy, żebym jej życzyła śmierci.

– To świetnie – stwierdził, jakby to wszystko wyjaśniało. – Doskonale, bo ona nie umarła.

Teraz nawet już nie patrzył na Hazel, tylko szedł przed siebie.

Zeszli z szosy, pogrążyli się w zaroślach. Serce Hazel biło, jakby chciało się wyrwać z jej piersi.

Telefon w kieszeni zabuczał, ale nie mogła ryzykować, więc po niego nie sięgnęła. Przynajmniej wiedziała, że Ben dostał wiadomość i że ktoś zajmie się Amandą.

– To my zostawiliśmy dla ciebie trochę jedzenia i jakieś rzeczy – odezwała się, próbując zapełnić niepokojącą ciszę, a przy tym zagłuszyć odgłos wibrującego telefonu, który znowu się odezwał. To na pewno Ben do niej dzwonił. – To znaczy ja z bratem. Jesteśmy po twojej stronie.

Nie musiał wiedzieć, że towarzyszyły temu jednak pewne wątpliwości.

Na twarzy rogatego chłopca pojawił się wyraz ubolewania.

– Nie jestem duszkiem domowego ogniska czy innym hobem, żeby mnie przekupywać darami.

– Nikt nie próbował cię przekupić – obruszyła się. – Chcieliśmy być mili.

Biorąc pod uwagę obsesję elfów pod względem dobrych manier, liczyła, że zrobi mu się choć trochę wstyd, że tak wlecze ją przez las. W zasadzie miała nadzieję, że będzie miał nawet wyrzuty sumienia.

Rogaty chłopiec skłonił się lekko, na jego twarzy pojawił się uśmieszek, który chyba jednak nie wyrażał skruchy.

– Możesz mnie nazywać Severin – powiedział. – Teraz oboje jesteśmy dla siebie mili.

Było to tak bliskie przeprosin, jak tylko można było oczekiwać ze strony elfa – biorąc pod uwagę tym razem to, jak bardzo ważne są dla nich imiona. Może i rzeczywiście zrobiło mu się głupio, jednak Hazel odnosiła wrażenie, że to bez znaczenia. Cokolwiek nim powodowało, zasadała się głębiej niż na poziomie trywialnej kurtuazji.

Czas płynął, szli dalej; potykała się, on szedł obok niej i chwycił za ramię, gdy zbyt szybko oddalała lub przyspieszała. Ciągłe wszystko ją bolało po upadku, myśli kłębiły się w głowie. Szli tak i szli, aż wreszcie znów znalazła się na polanie.

Wtedy Severin ją puścił, podszedł do resztek trumny.

– Wiesz, z czego była? To nie szkło – powiedział, wsunął dłoń do środka i dotknął jedwabiu. – Ani też żaden kryształ czy kamień. Zrobiona była z łoża. Prawie nie do rozbicia. Wykonał ją jeden z najzdolniejszych rzemieślników naszego plemienia, sam wielki Grimsen. Powstała po to, by więzić potwora.

Hazel, nieco otępiała, potrząsnęła głową.

– To znaczy ciebie?

Parsknął.

– Czy już nikt nie opowiada starych historii?

– I co teraz? – spytała Hazel.

Odetchnął głęboko.

– Musisz sobie przypomnieć, kto ma Heartsworna. Kto dał ci ten oręż i kto prowadził twoją dłoń. Kto ci powiedział, jak rozbić trumnę i położyć kres klątwie?

– Nie jestem w stanie...

– Jesteś – przerwał jej miękkim głosem. Dotknął dłonią jej policzka. Poczowała chłód jego palców na skórze. Odgarnął kosmyk włosów z twarzy Hazel. Wzdrygnęła się. – Ze względu na nas wszystkich, jesteś w stanie i musisz to zrobić.

Pokręciła głową. Miecz znalazła wiele lat temu nad jeziorem Naci, potem zaś zginął, znikł spod jej łóżka.

– Nawet gdybym miała pojęcie, gdzie ten miecz się znajduje, to właściwie dlaczego miałabym ci to powiedzieć?

– Wiem, czego ode mnie chcesz – powiedział i podszedł bliżej. Wszystko inne jakby się zatarło. Uniósł jej podbródek, kierując jej twarz w swoją stronę.

– Znam wszystkie twoje sekrety. Znam wszystkie twoje marzenia. Pozwól, niech cię przekonam.

Oparł ją delikatnie o pień drzewa i pocałował. Jego usta były gorące, smakowały słodyczą. Ciepła, tępa ciemność zalała myśli, po skórze Hazel przeszedł dreszcz.

Potem się cofnął; Hazel przyglądała przód bluzy od piżamy.

– Benjamin Evans – zawołał głośno Severin. – Pokaż się. Wcale nam nie przeszkadzasz.

– Odpieprz się od niej! – rozległ się po drugiej stronie polany głos Bena, drżący lecz zdeterminowany.

Hazel zawsze uważała, że najgorsze w byciu rudzielcem jest to, jak człowiek się czerwieni na twarzy i na szyi, aż ma się wrażenie, że płonie cała czaszka.

Ben wyszedł z cienia, też wyglądał na zdezorientowanego. W ręce trzymał siekiere, której mama czasem używała, żeby porąbać polana do pieca w pracowni.

– Hazel, wszystko w porządku?

Braciszek przybył jej na ratunek, jak za dawnych czasów. Nie do wiary.

Elfowy królewicz uśmiechnął się, jego oczy dziwnie zabłyśły. Niespiesznie, jakby się ociągając, ruszył na spotkanie Bena z zapraszająco rozpostartymi ramionami.

– Zamierzasz rozciąć mnie na pół, tak jakbyś był drwalem z bajki?

– Zamierzam spróbować – odparł Ben, lecz jego głos drżał. Był wysoki i chudy, tylko długie ręce, nogi i piegowata skóra. Nie wyglądał groźnie. Raczej sprawiał wrażenie, że z trudem uda mu się unieść tę siekierę nad głowę.

Hazel wciąż płonęła ze wstydu, bo Ben widział, jak rogaty chłopiec ją całuje, a przecież Severin był przez tyle lat czymś, co dzielili ze sobą.

– Ben – rzuciła ostrzegawczym tonem Hazel. – Ben, nic mi nie jest. A jeżeli ktoś ma walczyć, to raczej ja.

Brat zerknął na nią z ukosa.

– Bo co, nie potrzeba ci niczyjej pomocy, tak?

– Nie o to... – Postąpiła jednocześnie krok w jego stronę, a wtedy Severin dobył swojego złotego noża.

– Najlepiej będzie, jeżeli żadne z was nie będzie ze mną walczyć – oświadczył. – Może i zasięg masz większy i broń mocniejszą, ale założę się, że jestem od ciebie szybszy. To jak się bawimy? Ruszysz pędem do ataku? Będziesz wymachiwał toporem jak oszalały i liczył, że ci się poszczęści?

– Po prostu daj jej spokój i pozwól wrócić do domu – powiedział Ben. Jego głos nadal drżał, ale nie cofnął się nawet o milimetr. – Ona jest wystraszona. Jest środek nocy, nawet nie jest porządnie ubrana. Co ty sobie wyobrażasz, żeby tak się do niej dobierać?

Severin podszedł jeszcze odrobinę bliżej, tanecznym, lekkim krokiem.

– Aha, bo wolałbyś, żebym to do ciebie się podobierał?

Ben drgnął jak spoliczkowany.

– Nie wiem, o czym ty...

– Benjaminie – rzekł Severin, ścisząc głos. Jego twarz była nieludzko piękna, oczy tak zimne jak niebo nad chmurami, gdzie atmosfera jest zbyt rzadka, by móc oddychać. – Słyszałem każde słowo, które do mnie powiedziałeś. Każde srebrzyste, złociste, miodem skapujące słowo.

O ile to możliwe, Ben poczerwieniał jeszcze bardziej. Hazel chciała zawołać, powiedzieć mu, że Severin z nią próbował tego samego i że w dodatku to podziałało, nie chciała go jednak rozpraszać. Ben i Severin zaczęli się wzajemnie powoli okręzać.

– Nie odejdę stąd bez Hazel – powiedział Ben, unosząc dumnie głowę. – Nie uda ci się mnie zawstydzić do tego stopnia, żebym porzucił rodzoną siostrę.

Hazel wiedziała, że Ben zaraz zginie. Nie był już szybkołalcym grajkiem, nie miał fletni wiszącej na brudnym sznurku. Nie mógł grać, a bronią nigdy nie potrafił władać. Musiała coś zrobić, musiała ocalić Bena.

Hazel chwyciła najsolidniejszy kij, jaki udało jej się wypatrzyć. Był całkiem ciężki, dobrze leżał w dłoni i dodawał pewności siebie; odruchowo przybrała bojową postawę, przyszło jej to tak łatwo, jak zaczerpnięcie tchu. Gdy tylko zaczną walczyć, natrze na Severina i może w ten sposób zdoła go zaskoczyć. Może to i niehonorowo, ale kto by się tam przejmował rycerskimi zasadami.

– Nie bądź głupcem – mówił tymczasem Severin jej bratu. – Uczyłem się walki od dziecka. Na moich oczach zaszlachtowano moją matkę. Zadawałem rany, zabijałem i sam krwawiłem. Nie możesz mnie pokonać. – Zerknął z ukosa na Hazel. – Twoja siostra przynajmniej chyba wie, co robi. Ma prawidłową postawę, twoja jest tragiczna.

To by było na tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia. Teraz mogła już liczyć tylko na ślepy traf, łut szczęścia.

– Jeżeli chcesz mnie zabić, zrób to – odpowiedział na to Ben. – Bo jeżeli chcesz ją zabrać, będziesz musiał to zrobić.

Severin uniósł broń i przez długą, bardzo długą chwilę trzymał ją nieruchomo. Ich spojrzenia spotkały się jak gładki jedwab z ostrą zadną.

Hazel wstrzymała oddech. Elfowy królewicz zachnął się i schował nóż. Potrząsnął głową, dziwnie patrząc na Bena. Potem zaś pokłonił się niezwykle dwornie, niemal zamiatając dłonią po ziemi.

– A więc idź. A więc idźcie, Hazel i Benjaminie – rzekł Severin. – Na dzisiejszą noc audiencja skończona. Jednak sprawy między nami nie są załatwione, jeszcze daleko nam do ostatecznego rozstrzygnięcia. Przyjdę wkrótce do was, a kiedy to uczynię, ochoczo spełnicie moje życzenia.

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował w las.

Hazel spojrzała w stronę Bena. Oddychał szybko, jakby stoczył bójkę. Siekiera wyśliznęła się z jego palców, upadła na ziemię. Patrzył na nią szeroko rozwartymi, nieprzytomnymi oczami.

– Hazel, co tu się właściwie wydarzyło? To jakieś wariactwo.

Potrząsnęła głową, też wytrącona z równowagi.

– Chyba zaimponowałaś mu bezmiarem swojej głupoty. Jak mnie znalazłeś? Jego usta drgnęły w uśmiechu.

– Nie było cię na Grouse Road, więc namierzyłem GPS twojego telefonu. Pokazywał namiar w pobliżu trumny, więc uznałem, że tu cię trzeba szukać.

– Kto to powiedział... – mruknęła Hazel, idąc ku niemu, szczęśliwa, że Ben nie rozumie, na jakie niebezpieczeństwo się naraził. – „Bóg strzeże pijaków i głupców”? Nawet tych z siekierą.

Dotknął lekko jej ramienia, przesunął palcami po tkaninie piżamy i wciągnął powietrze, jakby sobie wyobrażał, jak te wszystkie rany muszą boleć. Wtedy zdała sobie sprawę, że jest ubrudzona ziemią. Ziemią i krwią.

– Naprawdę nic ci nie jest?

Hazel skinęła nie dbale głową.

– Kiedy zobaczyłam jego i Amandę, spadłam z roweru. Każdy by spadł. Naprawdę nic mi nie jest, gorzej z nią.

– Zadzwoń na policję, więc pewnie kogoś tam posłali. Może wreszcie mi wyjaśnisz, co robiłaś o tej porze na Grouse Road? – spytał Ben.

Jak to co? Śledziłam cię – tak miała ochotę odpowiedzieć, jednak słowa ugrzęzły jej w gardle. Gdyby to powiedziała, zaraz by ją spytał o kolczyk, a potem zadał kolejne, nieuniknione pytania.

Wsiadła więc bez słowa do jego samochodu, oparła czoło o deskę rozdzielczą.

– Słuchaj, strasznie jestem zmęczona. Może byśmy już wrócili do domu?

Ben skinął głową, podszedł i przykucnął obok niej przy otwartych drzwiach samochodu. Widać było, że pytania cisną mu się na usta, a on je połyka. Jego błękitne oczy były czarne w świetle księżyca.

– Ale na pewno nic ci nie jest?

Przytaknęła.

– Dzięki tobie.

Zaśmiał się, wstał. Przygłodził dłonią jej włosy.

– Niezły ten nasz królewicz, co?

Hazel znów skinęła głową, pamiętając dotyk warg Severina na swoich ustach.

– Severin – powiedziała. – Nasz królewicz ma na imię Severin.

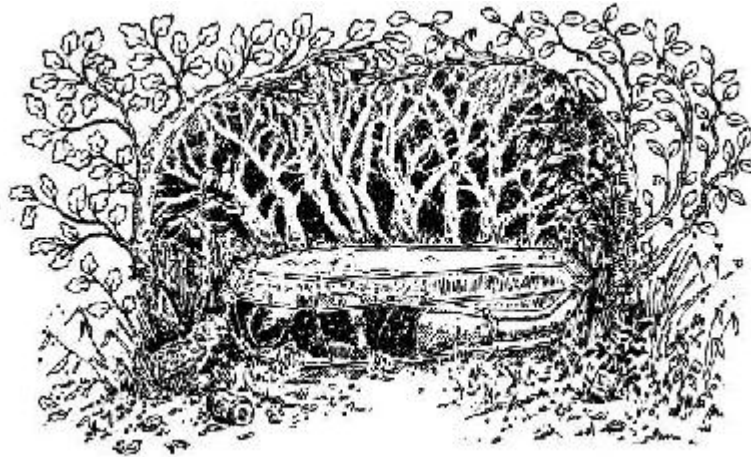
Dawno temu Ben opowiedział Hazel baśń o wielkim czarowniku, który skrył swoje serce w dziurze po sęku, tak żeby wrogie ostrza nie mogły go sięgnąć, jeśli przebiją jego pierś i żeby tym magicznym sposobem zapewnić sobie dłuższe życie. Hazel od dawna kryła swoje serce w opowieściach o rogatym chłopcu. Kiedy ktoś ją skrzywdził, pocieszała się opowiadanymi samej sobie historyjkami, jaki to jest niezwykły, chociaż trochę okropny, ale za to strasznie w niej zakochany.

Te opowiadania zapewniły jej sercu bezpieczeństwo. Jednak teraz, myśląc o Severinie, kiedy pamiętała jego oczy koloru zielonego mchu i przyprawiające o

drzenie słowa, wcale już nie czuła się bezpiecznie. Nienawidziła go za to, że się obudził, że jest rzeczywisty i na zawsze skradł jej marzenia.

Już nie był ich królewiczem.

ROZDZIAŁ 10



Gdy jechali do domu, Ben z trudem coś w sobie dusił; to coś zmuszało go, by postukiwać dłonią w kierownicę i bezustannie majstrować przy radiu. Wjechali w Grouse Road, zobaczyli migające światło samochodu szeryfa i ambulans; w ciemnościach ten widok zdawał się nieść poczucie bezpieczeństwa. Ktoś musi to wszystko naprawić, a zwłaszcza naprawić Amandę – Severin zapewniał przecież, że dziewczyna żyje.

– Musimy się zatrzymać – powiedziała Hazel. – Może ona...

– I co, naprawdę im powiesz, co się wydarzyło? – spytał Ben, unosząc brwi. Zatrzymał się, gotów skrócić w inną drogę.

Hazel pamiętała, jak Severin okrążał jej brata z wygłodniałym wyrazem twarzy, z lśniącą głownią w dłoni. Potem zaś wzdrygnęła się, gdy przypomniała sobie Amandę, leżącą bezwładnie na poboczu, w nienaturalnej pozycji. Amanda nie sprawiała wrażenia żywej. Nie, Hazel nie bardzo wiedziała, jak ma to wszystko wytłumaczyć policjantom, nawet w takim mieście jak Fairfold.

– Podjedź tam i się zatrzymaj – powiedziała. – Nie wiem, co im powiem, ale coś muszę im powiedzieć. W dodatku zostawiłam tam rower.

Rzecz jasna, mogli jej uwierzyć, albo też nie. Jednak kiedy Ben pokazał się z siekierą w dłoni, przypomniały jej się wszystkie powody, dla których lata temu przestał chodzić na łowy. Po prostu zrozumiał, jakie to niebezpieczne i jak łatwo mogło im się stać coś złego, chociaż ona wówczas nie zdawała sobie z tego sprawy.

Nie zamierzała powtórnie narazić go na coś takiego. Owszem, wybrał się na poszukiwanie królewicza, jednak to nie znaczyło, żeby chciał znowu stawiać czoło niebezpieczeństwu.

Ben popatrzył na nią jak na wariatkę, ale podjechał i zaparkował wóz za pogotowiem. Hazel wysiadła. Ratownicy pochyłali się nad ciałem Amandy.

Policjant zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów. Młody facet. Prawdopodobnie nie wychował się w Fairfold. I w takim razie uzna ją za narkomankę albo walniętą.

– Bardzo przepraszam – odezwał się. – Proszę wracać i wsiąść do samochodu.

– Widziałam Amandę wcześniej, tej nocy – powiedziała Hazel. – Była razem z rogatym chłopakiem. To jego trzeba szukać.

Podszedł bliżej, zasłaniając sobą widok na nosze i ratowników.

– Proszę wsiąść z powrotem do samochodu.

Hazel posłusznie wsiadła do garbusa Bena i zatrzasnęła drzwi. Jej brat pokręcił głową, gdy policjant oświetlił latarką wnętrze samochodu.

– Proszę opuścić okno. Kto tam siedzi obok?

Otworzyła okno po swojej stronie.

– Jestem jej bratem – przedstawił się Ben. – Benjamin Evans. A moja siostra ma na imię Hazel.

Policjant przyglądał im się, wyraźnie nie wiedząc, jak się w takiej sytuacji zachować.

– Dokumenty macie?

Ben podał mu swoje prawo jazdy. Gliniarz studiował dokument przez dłuższą chwilę, nim go oddał.

– I mówicie, że kogoś widzieliście?

– Rogatego chłopca. Był z Amandą. Już leżała nieprzytomna, ale on tu był. Kręci się po okolicy i jeżeli on to zrobił, to nam wszystkim grozi poważne niebezpieczeństwo.

Gliniarz przyglądał im się przez jeszcze dłuższą chwilę.

– Wracajcie do domu.

– Ale czy pan nie słyszał, co powiedziałam? – spytała Hazel. – Grozi nam niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo grozi całemu Fairfold.

Policjant odsunął się od samochodu.

– No, już. Jazda do domu.

– Pan nietutejszy, co? – spytała go. – Chyba pan się tutaj nie urodził.

Dopiero wtedy jakby nieco stracił pewność siebie. Zaraz jednak zacisnął wargi i niecierpliwie machnął ręką.

– Niech pan chociaż powie, co z Amandą – zawołała jeszcze Hazel, ale gliniarz nie odpowiedział.

Słońce wznosiło się nad wschodnim horyzontem, muskając szczyty drzew, gdy Ben jechał do domu.

Kiedy prawie byli na miejscu, spojrzął w stronę Hazel.

– Nie spodziewałem się, że to zrobisz.

– W dodatku nic to nie dało – zauważyła Hazel.

– Dziś w nocy – podjął, starając się mówić niedbałym tonem, co przychodziło mu z widocznym wysiłkiem – wszystko trochę wymknęło się spod kontroli, co nie? Właściwie wszystko było niespodziewane.

– No – przytaknęła. Przytuliła policzek do chłodnej szyby, dłonią sięgnęła już do klamki.

Zajechał na podjazd, rozległ się chrzęst żwiru.

– Wiesz, jestem twoim starszym bratem. Nie musisz mnie chronić. Ani mnie oszczędzać. Można mi mówić różne rzeczy. I można mi zaufać.

– Ty też możesz mi mówić różne rzeczy – zauważyła Hazel. Otworzyła drzwiczki i wysiadła. Spodziewała się, że Ben teraz wyjmie z kieszeni kolczyk i dojdzie do konfrontacji, że jej brat zażąda wyjaśnień. Ale nie, nie zrobił tego.

Tak więc oboje powiedzieli, że mogą sobie zaufać i oboje niczego nie wyznali.

Hazel szła w kierunku domu. Wszystkie okna były ciemne, nawet w pracowni nie świeciło się światło.

– Ty, Hazel? – zawołał ją półgłosem, gdy byli już w korytarzu na górze. – Jak on się całuje?

Na jego twarzy malowała się mieszanka emocji – tęsknota i może odrobina zazdrości, a na pewno całe mnóstwo ciekawości.

Zaśmiała się krótko, zaskoczona. Zły nastrój prysł w jednej chwili.

– Tak jakby on był rekinem a ja krwią w wodzie.

– Rany, aż tak fajnie? – spytał, szczerząc się w uśmiechu.

Wiedziała, że ją zrozumie. Bracia i siostry komunikują się w swoim niepowtarzalnym języku, własnym szyfrem. Ucieszyło ją, że czymś tak przedziwnym i niebywałym może podzielić się z kimś jedynym na świecie, kto zna te same historyjki – choćby dlatego, że sam je dla niej ułożył.

– O, tak.

Ben podszedł do niej, objął ramieniem.

– Chodź, doprowadzimy cię do jakiegoś takiego porządku.

Dała się zaprowadzić do łazienki na górze, gdzie usadził ją na krawędzi wanny, a potem potraktował kolejne zadrapania wodą utlenioną. Przyglądali się razem, jak płyn pieni się i syczy na jej skórze.

Potem Ben przyklęknął na popękanych beżowych kafelkach podłogi, by owinąć jej nogi i ramiona gazą. Kiedy byli mali, nazywali to „mumifikacją”. Z dawna nieużywane słowo cisnęło jej się na usta, przypominając czasy, kiedy przychodzili tu po polowaniu, by zająć się zdartymi kolanami i opatrzyć kostki czy nadgarstki.

Wtedy zazwyczaj w domu było pełno ludzi, więc łatwo było cichcem wymknąć się i niepostrzeżenie wrócić. Zawsze ktoś wpadał albo żeby zapozować, albo żeby pożyczyć blejtram, albo też ktoś celebrował zdobyte zamówienie i wówczas pojawiała się butelka burbona. Czasami nie było nic do jedzenia oprócz jakichś przekąsek pozostałych po imprezie czy na przykład zimnych ravioli albo sera śmierdzącego jak stare skarpety.

Przez lata ich rodzice dorośli i stali się normalniejsi, chociaż nigdy by się do tego nie przyznali. Hazel podejrzewała, że ich wspomnienia z tamtych dni były tak samo jak w jej głowie chaosem ludzkich twarzy i postaci, muzyki oraz malarstwa. Podejrzewała również, że wcale tak bardzo nie tęsknią za tymi czasami. Wiedziała natomiast z całą pewnością, że normalność kusi znacznie bardziej, kiedy jest nieosiągalna. Kiedyś normalność była jak gruby, zatęchły koc i Hazel bała się, że nie zdoła się spod niego wydostać. Za to teraz zwyczajny świat wydawał jej się kruchy, jakby mógł się zaraz spruć, gdy tylko ktoś nieopatrznie pociągnie za niewłaściwą nitkę.

Kiedy Hazel wreszcie dowlekała się do łóżka, była tak wykończona, że nawet nie przykryła się kołdrą. Usnęła natychmiast, tak jak gaśnie płomień zdmuchniętej świecy.



Tego ranka Hazel śniła, że ma na sobie kolczugę, a pod nią tunikę z jasnej wełny. Jechała konno przez noc, przez las, tak szybko, że drzewa śmigają w tył, a w uszach dudnił tętent kopyt.

Potem gęstwina się przerzedziła, w poświacie pełni księżyca spoglądała na ludzkie istoty klęczące w prochu, otoczone białymi jak mleko elfowymi rumakami. Mężczyzna, kobieta i dziecko. Ubrani byli we współczesne stroje, flanelowe, jak turyści na kempingu. Obok zgaszonego ogniska widniały resztki zniszczonego namiotu.

– Umrą czy darujemy im życie? – odezwał się jeden z elfów do swoich towarzyszy. Powiedział to niedbałym tonem, jakby chodziło o coś, co w ogóle nie miało żadnego znaczenia. Jego koń parskał, bił kopytami w ziemię. – Dam głowę, że przybyli tu, by ujrzeć, jak słodkie małe wróżki zbierają poranną rosę. To chyba wystarczający powód, żeby ich posiekać, choćby nie wiem jak płaszczyli się i błagali.

– Sprawdźmy najpierw, jakie mają talenty – zaproponował inny. Zeskoczył ze swojego wierzchowca, powiewając długimi srebrnymi włosami. – Najzabawniejsze z nich może ująć z życiem.

– A może temu dużemu przydamy lisich uszu? – zawołał trzeci. Nie, zawołała, bo to była elfka. We własnych uszach miała kolczyki pobrzękujące jak dzwoneczki przy uździe jej konia. – A jego samiczce kocie wąsy! Albo sobie szpony.

– A małego zostawić na żer potworowi – zaproponował czwarty, krzywiąc się do dzieciaka. – Może i zabawi się z nim, zanim go połknie.

– O, nie. Zapuścili się do lasu Króla Olszyn w noc pełni księżyca, muszą więc w pełni doznać jego gościny – usłyszała Hazel swój własny głos, też zeskoczyła z siodła. Tylko czy to był jej głos? Przemawiała z taką pewnością siebie. Ludzie zaś spoglądali na nią z takim samym lękiem, jak na tamtych, jakby i ona zaliczała się do elfów. Być może w tym śnie naprawdę była elfką. – Przeklnijmy ich, przemieńmy w kamienie, dopóki jakiś śmiertelnik nie rozpozna ich prawdziwej natury.

– To może potrwać z tysiąc lat – zauważył ten pierwszy, ten, który przemawiał lekceważącym tonem. Uniósł teraz brwi.

– Sądzę, że znacznie dłużej – usłyszała Hazel siebie samą. – Pomyśl jednak, jakie opowieści snuć będą, jeśli kiedykolwiek odzyskają wolność.

Mężczyzna wybuchnął płaczem, tulił dziecko do piersi. Na pewno był przerażony i śmiertelnie zawiedziony. Zapewne uwielbiał opowieści o elfach tak bardzo, że pragnął ujrzeć je naprawdę. Powinien był uważniej czytać baśnie.

Srebrnowłosa jeździec roześmiał się.

– To dopiero będzie widok, następni śmiertelnicy, niczego nie podejrzewając, urządzić sobie będą na nich pikniki. Tak, tak zrobimy. Przemieńmy ich w kamienie.

Jedna ze śmiertelnych istot błagała jeszcze o litość, ale Hazel spojrzała na gwiazdy. Zaczęła je liczyć, nie słuchała.



Hazel zbudziła się pokryta potem.

Obok jej ucha budzik w telefonie grał metaliczną melodyjkę. Wyłączyła go, wstała ciężko z łóżka. Ten sen powinien ją zaniepokoić, ale zamiast tego pozostawił po sobie z dawna zapomniane pragnienie, by poczuć w dłoni rękojeść miecza i ujrzeć cel przed sobą. Właściwie tej nocy prawie nie spała, ale nie czuła się jakoś strasznie zmęczona. Może to adrenalina, narkotyk lepszy od kawy.

Wzięła prysznic, włożyła luźny szary T-shirt i czarne legginsy. Była zeszytywniała i obolała, nawet knykcie dłoni miała podrapane. Rdzawe włosy spięła w kucyk, dokonując zarazem przeglądu powracających wspomnień. Wizja rogatego chłopca, czyli Severina, wciąż ją rozpraszała. Wyraz jego twarzy, dotyk palców na skórze, gorące wargi. W jasnym świetle dnia wydawało się to niemożliwe i nierealne, lecz ona doskonale, aż po same trzewia, czuła prawdziwość tych zdarzeń. I jeszcze jej brat, z siekierą dzierżoną w drżących dłoniach, z twarzą pokrytą rumieńcem, wiatr zwiewający jego czerwone włosy na twarz. Takiego Bena nie widziała już od lat: odważnego mimo lęku, ogarniętego szaleństwem. Bała się o niego znacznie bardziej, niż kiedy potykając się, szła przez las, prowadzona przez rogatego chłopca.

Być może tak właśnie czuł się Ben wiele lat temu, kiedy to Hazel dzierżyła oręż, gdy walczyła z mrocznymi elfami.



Kiedy Hazel zeszła na dół, w kuchni mama przyrządzała smoothie. Na blacie leżał jarmuż i imbir, stały naczynia z kefirem i miodem. Mama miała na sobie jeden z wyleniałych, kraciastych płaszczy kąpielowych ojca, jej krótkie kasztanowate włosy sterczały na wszystkie strony pod dziwnymi kątami, pod paznokciami widać było resztki farby. Z radia leciał stary kawałek o lśniących, lśniących, lśniących wysokich butach ze skóry.

Ben siedział na blacie, ubrany w zielone sztruksowe spodnie i workowaty sweter. Przecierał oczy, ziewał, pił koktajl z wielkiego kubka. Do jego górnej wargi przykleił się małeńki kawałeczek zielonego jarmużu.

– ...dobry – mruknął, brzmiało to tak, jakby jeszcze trochę spał. Uniósł swój kubas w pozdrowieniu.

Hazel powitała go uśmiechem. Matka wręczyła jej kubek z kawą.

– Właśnie rozmawialiśmy z Benem o córce Watkinsów. Tej nocy, parę ulic stąd, miała jakiś wypadek. Mówili nawet coś o tym w radiu i ostrzegali, żeby nie wychodzić po zapadnięciu zmroku.

Hazel wiedziała, co widzieli ratownicy – bezwładne ciało Amandy, jej ramiona skrzyżowane na piersi, oczy zamknięte, ziemia w ustach, rozpuszczone włosy.

– Ale właściwie, co mówili? – spytała Hazel.

– Jest w śpiączce. Cierpi na jakąś chorobę krwi czy coś. Dziś jest pełnia, więc wróćcie oboje jak najwcześniej. I zadzwońcie, jakbyście jednak się gdzieś zapodziali, dobrze? Dam też znać waszemu ojcu, na wypadek gdyby postanowił wcześniej wrócić do domu.

Ben zeskoczył na podłogę. Zresztą, kiedy ktoś ma takie długie nogi, to żaden skok.

– Będziemy ostrożni – powiedział, odpowiadając na prośbę, której mama głośno nie wyraziła.

Mama nalała do szklanki zielonkawego płynu z miksera, podała ją Hazel.

– I pamiętajcie, żeby włożyć skarpetki na lewą stronę. Tak na wszelki wypadek. I zawsze miejcie trochę żelaza w kieszeni. W szopie jest wiadro pełne starych gwoździ. Możecie sobie stamtąd nieco wziąć.

Hazel przełknęła duszkiem płynne śniadanie. Trochę chropawo przeszło jej przez gardło, jakby jarmuż nie został zbyt dobrze rozdrobniony.

– Oj, mamó. – Ben pokręcił z ubolewaniem głową. – Przecież wiemy.

Hazel nie posłuchała żadnej z tych dobrych matczynych rad, doceniła jednak, że Ben zachowywał się, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

Poszli razem do samochodu. W drodze do szkoły zerknął na nią z ukosa.

– Ale powiesz mi później, jeszcze dzisiaj, co wydarzyło się tej nocy poza tym, o czym wiem.

Hazel westchnęła ciężko. Właściwie powinna być zadowolona, że dostała jeszcze trochę czasu na wymyślenie, jak mu to opowiedzieć, ale tak naprawdę tylko się bała, że wszystko popsuje.

– No, niech będzie – zgodziła się.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej naszyjnik z jarzębinowego drewna; jego kawałki zostały przewiercone tak, że wisiały na łańcuszku.

– Zrób to dla mnie i noś to dzisiaj, okej? Mama wie, co mówi.

Jarzębina. Dla ochrony przed czarami elfów. W przedszkolu wszystkie dzieci nosiły takie talizmany, do tego przypinki w kształcie czterolistnej koniczyny. Zwykle sporządzano je przed nadejściem Nocy Walpurgii. Hazel ujęła palcami wygładzone drewno, wzruszona, że podarował jej naszyjnik, który na pewno zrobił co najmniej dziesięć lat wcześniej. Uniosła włosy i powiesiła go na szyi.

– Dzięki.

Więcej już nic nie powiedział, tylko spoglądał na nią raz po raz, jakby próbował czegoś się domyślić z wyrazu jej twarzy, jakby miał nadzieję, że odkryje coś, czego przedtem nie przyszło mu do głowy szukać.

W szkole było dziwnie. Cicho i trochę pusto, chyba sporo rodziców postanowiło zatrzymać dzieciaki w domach. Ludzie szeptali do siebie w korytarzach, zamiast się drzeć; gromadzili się w grupkach bliskich przyjaciół. Hazel zwróciła uwagę, że mnóstwo z nich ma na nadgarstkach czy szyjach różne amulety. Czerwone, wysuszone jagody nawleczone na srebrną nić. Złotą monetę. Ziołowe olejki wtarte w skórę, przez co tego dnia w korytarzu pachniało wyjątkowo ładnie, może trochę jak w mydlarni. Kiedy Hazel zaczęła rozpakowywać torbę przy swojej szafce, wypadł z niej orzech włoski, odbił się dwa razy od pokrytej linoleum podłogi.

Pochyliła się, żeby go podnieść; przewiązany był tym razem zwykłym sznurkiem. Otworzyła go nieco drżącymi palcami. Wewnątrz znalazła kolejny zwitek, na którym ta sama co przedtem ręka napisała: *Kiedy przyświeca pełnia księżycyca, prędko spiesz złożyć na poduszce lica.*

Akurat. Jeszcze czego. Nie będzie wykonywać poleceń jakiegoś anonimowego elfa. Koniec z tym. Przynajmniej jeśli będzie mogła temu zaradzić. Zgniotła kartkę i wrzuciła ją z powrotem do torby. Leonie przybiegła w podskokach do szafki Hazel, czuć od niej było dymem papierosowym. Na

biały T-shirt narzuciła długą, znoszoną flanelową koszulę; szyję ozdobił złoty łańcuch. Spięła go breloczkiem do kluczy, oprócz których wisiało tam jeszcze kilkanaście amuletów. Ciemne kręcone włosy upięła w dwa koki na czubku głowy. Były mokre, najwyraźniej splotła je zaraz po myciu głowy.

– No? – odezwała się. – Pewnie słyszałaś, co nie?

– O Amandzie? Jasne. – Hazel skinęła głową.

– Najlepsze, że ostatnią osobą, która ją widziała, był Carter. Zresztą wszyscy mówią, że albo to on, albo jego brat musi mieć z tym coś wspólnego.

Leonie wzruszyła ramionami, dając w ten sposób do zrozumienia, że niekoniecznie się z tym zgadza, jednak skoro powtarzała tę plotkę, prawdopodobnie nie uważała braci za tak zupełnie niewinnych.

– Odniosłam wrażenie, że jej wypadek miał coś wspólnego z magią.

Hazel wzdrygnęła się na wspomnienie ziemi w ustach Amandy i porastających ją pnączy.

– No, dobra, to zostaje jeszcze drugi chłopak Gordonów. I to właśnie jego najwięcej ludzi podejrzewa.

– Jack nie ma z tym nic wspólnego!

Teraz przypomniało jej się szokujące zetknięcie ust z wargami Severina. Dwa dni po tym, jak się całowała z Jackiem! Jakby cały świat wziął się, żeby dać jej wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła i żeby jej to wszystko wyszło bokiem. A potem pomyślała o leżącej w rowie Amandzie i poczuła się jeszcze parszywiej.

– Oj tam, wiadomo, to wszystko tylko plotki – oceniła niedbałym tonem Leonie. – Nie żebym w nie wierzyła albo coś.

– Przecież to obłąd. Nie powinnaś tego rozpowiadać.

– Cała ta sprawa to jakiś obłąd – stwierdziła Leonie. – Nie takie normalne zwariowane wariactwo, jak to zwykle w Fairfold. Nie takie wariactwo dla turystów. Jest przejebane i przesrane, to tego rodzaju wariactwo. Rodzina Amandy mieszka tu od wieków, powinna być pod ochroną. Ludziom zaczyna odbijać. A ja powtarzam plotkę tobie, nie komu innemu, bo pomyślałam, że może chciałabyś wiedzieć. Nie rozgaduję tego po całej szkole.

Hazel odetchnęła parę razy głęboko, żeby się uspokoić. To nie byłby dobry pomysł, żeby się pokłócić z Leonie.

– Wybacz. Ja tylko uważam, że generalnie to, co się dzieje w tych lasach, nie jest w porządku, te historie z turystami tak samo. Poza tym nie rozumiem, Amanda zapadła w jakąś śpiączkę, ale co Jack może mieć z tym wspólnego?

– No, nie wiem, to chyba wynika z dwóch faktów: po pierwsze, Jack jest jednym z nich. Po drugie, Amanda złamała Jackowi serce, co jest potworne, bo oznacza, że nawet przystojniak nie z tego świata ma taki sam pospolity gust jak wszyscy inni debile w tej szkole. Myślę, że podobała mu się nawet bardziej niż kiedyś ty, a to już coś znaczy. W każdym razie to jest jakiś motyw.

Hazel zachnęła się.

– Ja mu się podobałam? Chyba pomyliłaś mnie z kimś innym. Jack Gordon akurat nigdy nic do mnie nie miał.

Leonie pokręciła głową.

– No, nie wiem. Wszystko jedno. Chodzi o to, że on nie jest człowiekiem i wszyscy o tym wiedzą. Pamiętasz, jak złamał Mattowi nos?

– No, coś tam pamiętam – stwierdziła Hazel i z hukiem zatrzęsnęła swoją szafkę. Generalnie trudno jej było zachować spokój, choć sobie to obiecywała.

– Chodzi ci o to, że Matt jest tak nieludzko wkurzający?

Rozległ się dzwonek, co znaczyło, że za pięć minut zacznie się pierwsza lekcja, ruszyły więc do swoich klas. Hazel jeszcze nie wiedziała, czy Jack albo Carter słyszeli o tych plotkach. Jeżeli tak, powinni trzymać się z daleka, siedzieć w domu i nie przychodzić do szkoły, dopóki to wszystko się nie poukłada. Ludzie się boją i to jest normalne, a Jack znakomicie nadaje się na kozła ofiarnego. Nikt przecież nie uwierzy, że Carter byłby do czegoś takiego zdolny, w każdym razie nikt o zdrowych zmysłach. A jak to wszystko przetrawiają, to przestaną też podejrzewać Jacka.

Taką w każdym razie Hazel miała nadzieję.

– Byłam przy tym – podjęła Leonie. – Ta bójka z Mattem dziwnie wyglądała. Na tyle dziwnie, że ludzie o tym pamiętają.

Matt Yosco był ze trzy lata starszy od Hazel i Leonie, całkiem przystojny, o kruczoczarnych włosach, wiecznie z kpiącym uśmiechem na ustach. Matt był najgorszym nałogiem Leonie, gorszym niż fajki czy trawa, gorszym od najgorszego zera, z którym którakolwiek z nich się kiedykolwiek spotykała. Taki facet, który załaził człowiekowi za skórę, tak że traciło się pewność siebie i Hazel go nie cierpiała. Był jednym z niewielu atrakcyjnych chłopaków w mieście, na którego ani przez moment nie miała ochoty. Jednak choć był takim koszmarem, kiedy wyjechał na studia, Leonie płakała po nim przez cały tydzień.

– Znaczy, co było takie dziwne?

Stały już pod drzwiami prowadzącymi do klasy, ale nie była gotowa, żeby wejść. Denerwowała się; odnosiła wrażenie, że uwolnienie Severina z trumny to był pierwszy klocek domina, który się przewrócił, nie wiedziała natomiast zupełnie, jaki wzór powstanie z kolejnych. A może to wszystko wcale nie zaczęło się od Severina? To by znaczyło, że Hazel wie jeszcze mniej, niż jej się wydaje.

– Jack nie uderzył Matta. – Leonie zerknęła na bok, jakby w obawie, że ktoś ją podsłucha. – Matt był wredny jak zawsze, a wtedy Jack... No, Jack uśmiechnął się naprawdę dziwnie, nachylił i szepnął mu coś do ucha. I zaraz potem Matt już sam siebie okładał. I to na poważnie, walił pięścią we własną twarz, aż pękła mu warga i krew pociekła z nosa.

Hazel nie wiedziała, co ma na to powiedzieć.

– To dlaczego nigdy...

– ...O tym nie mówiłam? Nie wiem. Potem Matt wspominał to jako zwykłe mordobicie, więc nie zamierzałam się spierać. Tak było łatwiej. Tyle że inni też to widzieli i raczej pamiętają, a teraz na pewno zaczną gadać. Poza tym jestem przekonana, że to nie był jedyny raz, kiedy Jack wykręcił podobny numer. Widać, że nie mówi o sobie wszystkiego, tyle ci powiem. Ma swoje sekrety. I niejedno kryje w zanadrzu.

Rozległ się dzwonek, Hazel wzdrygnęła się.

– Może szkoda, że ci wcześniej o tym nie opowiedziałam – dodała Leonie półgłosem.

– Pani Evans – zawołał pan DeCampo, łysiejący nauczyciel historii – stać pod drzwiami i gadać z przyjaciółką to nie to samo, co być w klasie, dlatego proponuję, żeby pani natychmiast udała się na swoje miejsce. Pani Wallace, spóźni się pani haniebnie. Na pani miejscu ruszyłbym biegiem.

– Dzięki, jesteś naprawdę spoko – powiedziała Hazel do Leonie.

– Wiem – odparła Leonie. Pokazała język panu DeCampo, który akurat się odwrócił. – Widzimy się na obiedzie.

Hazel powędrowała na swoje miejsce i otworzyła zeszyt, ale zamiast zapisywać, jakie były najpoważniejsze zagadnienia wewnętrzne w erze federalizmu, sporządziła listę – spisała, co właściwie wie. Lubiła spisywać listy, bo dzięki temu mogła w prosty sposób nieco uporządkować sobie w głowie nawet zupełnie nieprawdopodobne rzeczy:

OSTRZEŻENIA:

RAD NIE RAD, SIEDEM LAT, DŁUGU SPŁAT.

AINSEL – tak się nazywa ktoś, kto rzuca na mnie urok?

Ta dziwna historia o rolniku, który przechytrył boggarta.

*KIEDY PRZYŚWIECA PEŁNIA KSIĘŻYCA, PRĘDKO SPIESZ ZŁOŻYĆ NA
PODUSZCE LICA.*

INNE:

Jack ukrywa magiczne zdolności.

Severin na wolności, niebezpieczny.

To ja go uwolniłam.

*Jeszcze straszniejszy potwór na tropie Severina, może z tego powodu
Amanda zapadła w magiczny letarg.*

Severin słyszał i pamięta wszystko, co przy nim mówiliśmy.

*Ktoś (Król Olszyn? Z powodu zawartej umowy?) każe mi robić różne rzeczy,
których nie pamiętam. To się dzieje, kiedy idę spać (przynajmniej raz tak
było).*

*Severin potrzebuje magicznego miecza, noszącego imię Heart-coś-tam, nie
wiadomo po co, ale pewnie do czegoś okropnego (może chce zabić to coś, co
uśpiło Amandę? Albo bronić się przed Królem Olszyn? Albo nas wszystkich
wyrznąć?).*

Przepadł mój stary miecz – czyżby to był ten sam miecz???

Przerwała. Myśl, że znaleziony przed laty miecz mógłby być tym samym, którego szuka Severin, już wcześniej przysłała jej do głowy, ale dotąd nie miała odwagi, żeby się nad tym porządnie zastanowić. Ktoś zabrał jej miecz albo komuś go przekazała. Może tej osobie, która zostawiła wiadomości. Może ta osoba nosi imię Ainsel?

Czyżby zawarła z elfami drugą ugodę, której teraz nie pamięta? Może zapomnienie było jednym z warunków tej umowy? Przycisnęła długopis do kartki tak mocno, że aż wkład się ugiął.

Potrzebowała odpowiedzi. Aby je uzyskać, musiała dotrzeć do kogoś, kto jest odpowiednio poinformowany, co niestety oznaczało kogoś z elfowego rodu. Przypomniał jej się sen z minionej nocy. Uświadomiła sobie, że dziś jest pełnia, czyli odbywać się będzie biesiada Króla Olszyn. Może Jack, skoro kryje tyle sekretów, zna drogę i wie, jak tam trafić? Potem już tylko trzeba będzie

ujść z życiem po biesiadzie, uzyskać informacje, wymyślić plan i jeszcze przeżyć jego realizację.

Łatwizna.

Poruszyła się niespokojnie na plastikowym krześle; zastanawiała się, co można powiedzieć Jackowi, żeby go przekonać, by wyjawiał, jak trafić na elfową biesiadę. Podczas przerwy czekała przy jego szafce, ale się nie pokazał. Na następną lekcję nie przyszedł. Była zbyt rozkojarzona, żeby cokolwiek notować, a kiedy na angielskim nauczyciel zadał jej pytanie, udzieliła odpowiedzi z trygonometrii, która była lekcją wcześniej, co oczywiście wszystkich bardzo ubawiło.

Znalazła Jacka dopiero tuż przed obiadem.

Szedł korytarzem z Carterem. Była za daleko, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają, ale Carter wyraźnie był wkurzony. Wyłapała tylko takie słowa, jak „ostatni ją widziałem” oraz „podejrzany”. Jack był przygarbiony, sprawiał wrażenie przemęczonego. Pod jego okiem widniał spory fioletowy ślad. Można było się domyślić, że miał za sobą ciężki początek dnia.

Tymczasem to, czego chciała od niego Hazel, z pewnością nie poprawi mu nastroju.

– Jack – zawołała, by go zaczepić, zanim straci odwagę.

Odwrócił się, jego uśmiech był na tyle realny, że poczuła się odrobinę lepiej. Przynajmniej dopóki nie zobaczyła, jak przekrwione i zażawione ma oczy, z pewnością podrażnione od amuletów i olejków, bo przecież wszystkie środki ochronne przeciw elfom działały również przeciwko niemu. Potem spostrzegła ślady zakrzepłej krwi na knykciach dłoni Cartera. A więc on też się bił.

– Możemy porozmawiać przez minutkę? – spytała, gdy udało jej się przepchnąć bliżej przez tłum zmierzający korytarzem.

Carter żartobliwie pchnął go w stronę Hazel.

– No, jazda. Nie każ dziewczynie czekać.

Hazel zdziwiło, że Carter nagle stał się dla niej taki miły.

Jack wyglądał na zmieszanego.

– Ale... No, pewnie. Jasne. Spoko.

Szli teraz obok siebie. Jack miał na sobie pasiasty rozpinany sweter, narzucony na znoszoną koszulkę z afropunkowego festiwalu. Ciężkie srebrne kółka lśniły w jego uszach. Próbował trzymać fason i uśmiechać się do niej, co dziwnie nie pasowało do jego zgnębionej postawy.

– Jak tam? – spytała.

Westchnął.

– Słabo, że Carter musi przez to przechodzić. Pewnie już słyszałaś całą historię, ale tak na wszelki wypadek: on jej nic nie zrobił.

Hazel otworzyła usta, żeby wyjaśnić, że już to wie, ale Jack potrząsnął głową.

– I ja też tego nie zrobiłem. Przysięgam ci, Hazel...

– Posłuchaj – przerwała mu – doskonale wiem, że to nie on. I nie ty. Widziałam tej nocy Amandę z rogatym chłopcem.

– Co? – Jego brwi uniosły się wysoko, już nie zamierzał jej przekonywać o niewinności Cartera. – Jak to?

– Powiadomiłam policję, ale wątpię, żeby to coś dało – powiedziała. – I bardzo cię przepraszam, że do tego wszystkiego jeszcze ja ci sprawiam kłopot, ale naprawdę muszę wiedzieć, gdzie elfy odbywają swoją biesiadę pełni księżyca. Możesz mi pomóc?

– To o tym chciałaś ze mną porozmawiać? – spytał Jack, od razu stał się jakby niedostępny, z innego świata. – Dlatego zawołałaś mnie na korytarzu?

– Naprawdę muszę to wiedzieć.

– Tak – odpowiedział półgłosem. – Wiem, gdzie się odbywa przyjęcie.

Brnęła więc dalej:

– Byłeś tam?

– Hazel – odezwał się ostrzegawczym tonem.

– Proszę – powiedziała. – Muszę się tam dostać, w taki czy inny sposób.

Jack przechylił głowę na bok i Hazel ponownie uderzyło to, jak bardzo jego rysy jednak różnią się od twarzy Cartera; mimo podobieństwa, jego kości policzkowe są wyższe, twarz bardziej podłużna. No a oczywiście zawsze różniły go od brata spiczaste koniuszki uszu. Przez krótką chwilę, kiedy ostrzegał ją i Bena, ta dobrze znana twarz była obca.

I jeszcze ta opowieść Leonie, jak szepnął coś Mattowi do ucha, a potem Matt zaczął sam się bić po twarzy, raz po raz, raz po raz...

– Muszę wracać, lekcja zaraz się zaczyna – powiedział i przyspieszył kroku, potem jednak zrobiło mu się głupio, odwrócił się do niej. – Przykro mi.

Chwyciła go za rękę.

– Jack, proszę.

Potrząsnął głową, nie patrząc na nią.

– Czy wiesz, że każda pełnia ma swoją nazwę? Dzisiaj mamy Pełnię Łowcy, a w marcu Pełnię Robaka i Pełnię Kruka. W maju jest Pełnia Mleczna, w czerwcu

Miodowa. W lutym jest Pełnia Głodu a pod koniec października Krwawa Pełnia. Czy to nie piękne nazwy? I czy nie dość wymowne? Nie słyszysz ostrzeżenia, które się w nich kryje, Hazel?

– Ile razy tam byłeś? – spytała szeptem.

Gdyby mama Jacka się dowiedziała, pękłoby jej serce.

– Mnóstwo – odpowiedział po chwili zduszonym głosem.

– Idę z tobą – oświadczyła. – Wybierzemy się dziś razem na Krwawą Pełnię czy Pełnię Łowcy, czy jak to tam się jeszcze nazywa, Pełnię Ściętej Głowy. Niech się nazywa, jak chce, mało mnie to obchodzi.

Jack pokręcił głową.

– To jest dla ciebie niebezpieczne.

– Przecież właśnie ci mówię, że mało mnie to obchodzi, nie słyszałeś? – odpowiedziała Hazel. – Ktoś się mną wysługuje, więc muszę wiedzieć, kto to jest i dlaczego to robi. A ty musisz oczyścić imię Cartera i przy okazji też swoje. Musimy się dowiedzieć, o co w tym tak naprawdę chodzi.

– Nie prosź mnie o to – odpowiedział Jack, bardzo sztywnie i oficjalnie. Hazel pomyślała, że pewnie mógłby to uznać za zdradę wobec swojej drugiej rodziny. Kto wie, czy jego Fairfold to jest miasto, które Hazel mogłaby sobie choćby wyobrazić.

– Ja cię o nic nie proszę – odpowiedziała tak stanowczo, jak tylko potrafiła.

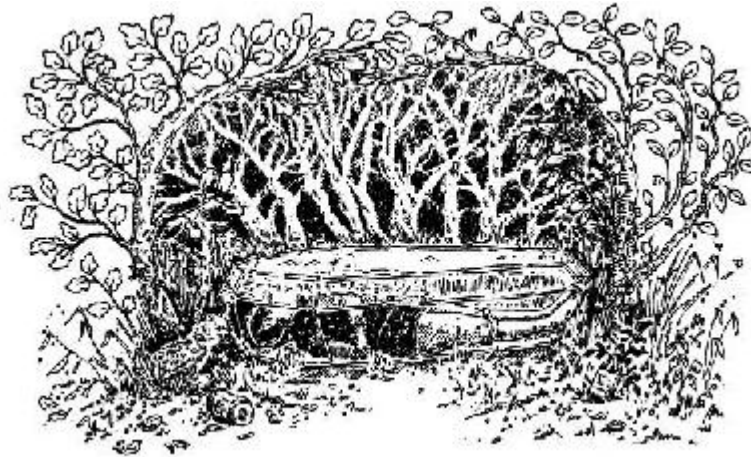
– Ja tam idę, jeżeli nie z tobą, to sama.

Skinął głową, wziął głęboki wdech.

– Po szkole. Spotkamy się na placu zabaw dla dzieci.

Odwrócił się i ruszył biegiem przez korytarz. Kilkoro uczniów, którzy zamarudzili na korytarzu w drodze na lekcje czy zajęcia sportowe, schodziło mu z drogi, jakby był trędowny.

ROZDZIAŁ 11



Podmieńcy są niczym te ryby, które się wyławia, ale potem wrzuca z powrotem do wody. Albo jak kukułcze pisklę wychowane przez wróble. Nigdzie nie są tak naprawdę u siebie.

Jack dorastał, wiedząc, że jest dziwadłem, chociaż z początku nie zdawał sobie sprawy, na czym w istocie polega jego odmienność. Przecież nie był adoptowany, tego był pewien. Wyglądał prawie tak samo jak jego brat Carter. Miał tak samo śniadą karnację jak jego matka i takie same kręcone ciemnobrązowe włosy, i tak samo miał trochę za długie palce u stóp. Coś jednak było nie tak. Może i miał po ojcu bursztynowe oczy oraz taki sam podbródek, to jednak nie zmieniało faktu, że tato patrzył na niego z dziwnym, zatroskanym wyrazem twarzy, tak jakby mówił: *Ty nie jesteś tym, czym się wydajesz.*

Matka nacierała go olejkiem kokosowym po kąpieli i śpiewała mu piosenki. Babcia nosiła go na rękach i opowiadała bajki.

Była raz wioska nad rzeką Ibo – tak zaczynała się jedna z nich, którą babcia przejęła w spadku po swoich nigeryjskich przodkach. Jorubowie opowiadali sobie o kobiecie noszącej imię Bola, której synek urósł tak duży, że stał się zbyt ciężki i nie mogła go już nieść na plecach, kiedy wybierała się na targ. Bola zaczęła więc, aż synek uśnie, zamknęła drzwi na skobel i wyszła. Kiedy wróciła, mały dalej spał, tylko z domu zniknęły wszystkie zapasy jedzenia.

Bola z początku sądziła, że to sprawka złodzieja, ale przepadło tylko jedzenie, nic więcej.

Wkrótce potem jedna z sąsiadek przyszła do Boli i zażądała zwrotu sznura muszelek kauri. Bola nie pożyczała pieniędzy od sąsiadki, więc tak jej właśnie powiedziała, tamta jednak wyjaśniła, że to jej syn przyszedł do niej, powiedział, że przysyła go matka i że muszą pożyczyć od niej te muszelki, bo potrzebują więcej jedzenia.

Bola potrząsnęła głową, zaprosiła sąsiadkę do domu. Dziecko spało na plecionej macie.

– Patrz – powiedziała Bola. – Moje dziecko jest bardzo małe, o wiele za małe, żeby gdzieś iść i przecież nie umie mówić. Jak mogło przyjść do ciebie w odwiedziny? I jak mogło powiedzieć, żebyś mu pożyczyła kauri?

Sąsiadka zdumiała się, ale zapewniła, że chłopiec, który stanął u jej drzwi, był bardzo podobny do tego śpiącego dziecka, tylko dużo starszy. Kiedy Bola to usłyszała, bardzo się zmartwiła. Wiedziała, że sąsiadka jest prawdomówną kobietą, więc stwierdziła, że jej dziecko opętał zły duch. Kiedy wieczorem mąż Boli wrócił do domu, opowiedziała mu o wszystkim. On też bardzo się zmartwił i przestraszył.

Razem obmyślili, co trzeba zrobić. Kiedy Bola znów poszła na targ, jej mąż ukrył się w domu, tak samo jak przedtem zamkniętym od zewnątrz. Po jakimś czasie mąż Boli ujrzał, że dziecko wstaje, a jego ciało wyciąga się i nabiera wzrostu dziesięcioletniego chłopca. Potem zaś zaczął jeść. Zajadał słodkie bataty, chlebki świętojańskie, dojrzałe mango, papaje i smakowite banany, popijając to wszystko wodą z kalebasy. Jadł i jadł, i jadł.

W końcu jego ojciec, kiedy otrząsnął się z przerażenia i osłupienia, wyszedł z kryjówki, zawołał dziecko po imieniu. Na dźwięk ojcowskiego głosu chłopiec skurczył się, znowu stał się niemowlęciem. W ten sposób Bola i jej mąż stwierdzili z całą pewnością, że dziecko w istocie jest opętane. Bili niemowlę trzcinkami, aby ducha wypędzić. I w końcu duch umknął, a Bola i jej mąż znów mogli cieszyć się swoim rozkosznym dzieciaczkiem.

Jack nienawidził tej bajki, ale nie sprzeciwiał się, gdy babcia ją opowiadała.

Dopiero wiele lat później Jack dowiedział się, w jaki sposób wszedł do rodziny, przypomniawszy mu się ta baśń i wreszcie zrozumiał, dlaczego ojciec tak na niego patrzył. Nie był synem swojego ojca ani matki, nie został też wybrany przez tę rodzinę – został im podrzucony. Nosił nie swoją skórę, patrzył na nich nie swoimi oczami i mieszkał u nich, żyjąc życiem, którego omal nie ukradł Carterowi. Co więcej, podobnie jak dziecko kobiety o imieniu Bola, Jack zawsze był głodny. Jadł i jadł, i jadł; świeży ser i pajdy chleba, całe

słoiki masła orzechowego, pochłaniał galony mleka. Czasem, gdy któreś z rodziców zabrało go ze sobą do sklepu, za ich plecami połykał tuzin jaj. Przechodziły mu przez gardło w całości, ze skorupką, wypełniały dojmującą pustkę w jego brzuchu. Wczesnym latem zbierał kwaśne jabłka. Zjadał kłęby waty nasączone wodą, kiedy wstyd mu było poprosić przy obiedzie o piątą dokładkę.

Kiedy pierwszy raz natknął się na Hazel Evans, pomyślał, że to ktoś taki jak on. Wyglądała jak dzikie stworzenie, miała włosy potargane i ubłocone, twarz wysmarowaną sokiem jagód. Biegała boso przez las, na plecach miała miecz. Za nią pomykał Ben Evans, który też wyglądał na dzikusa.

Widząc Jacka, stanęli jak wryci.

– Co robicie? – spytał ich.

– Polujemy na potwory – wyjaśnił Ben. – Widziałeś tu jakiegoś?

– A skąd wiecie, że ja nie jestem potworem? – spytał wtedy Jack.

– Nie bądź głupi – odpowiedziała Hazel. – Gdybyś był potworem, to byś wiedział.

Tego właśnie Jack nie był do końca pewien.

Ben i Hazel pokazali mu, gdzie szukać jeżyn oraz jak zrobić kanapkę z liści mniszka, dzikich cebul i młodziutkich, jeszcze nie rozwiniętych pędów paproci. Hazel była sobą bardziej niż ktokolwiek inny, kogo znał. Niczego się nie bała. Nie bała się też jego.

A Ben wiedział, jak to jest, gdy jest się magiczną istotą. Doskonale rozumiał, jakie to nefajne.

Między innymi z tego powodu Ben był wspianały jako przyjaciel. Jeszcze bardziej się zaprzyjaźnili po jego powrocie z Philadelphii, również dzięki temu, że zawarli swoisty pakt – żeby mówić sobie nawzajem rzeczy, których nie mogli opowiedzieć nikomu innemu. Ben zwierzał się Jackowi, jak muzyka zarazem go kusi i przeraża. Opowiadał też Jackowi, że jego starzy to pod wieloma względami straszni nieudacznicy. W zamian Jack mówił mu o iskrzącej w nim magii i jak czasem trudno ją ukryć. Mówił Benowi o głodzie i samotności.

– I co, jeźdźcy znów się pojawili? – spytał Ben pewnego popołudnia, w dniu po pełni księżyca. Wracali do domu ze szkoły, nadkładając drogi, by przejść obok szklanej trumny. Ben odwiedzał ją także podczas przerw obiadowych, żeby porozmawiać ze śpiącym królewiczem. Jack chwilami miał ochotę się z

niego ponaśmiewać, ale przecież uczucie Bena do rogatego chłopca było tylko odrobinę bardziej śmieszne niż uczucia Jacka.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Czy twoja mama się domyśla?

Jack wzruszył ramionami.

– Nigdy nic nie mówi, ale za każdym razem rozciera dziurawiec na parapetach, żeby trzymać elfy z daleka albo zatrzymać mnie w domu. Przed Nocą Walpurgii rozwiesza nad wszystkimi drzwiami girlandy z nagietków.

– No, to słabo – stwierdził Ben, patrząc na niebo – ale ja bym przypuszczał, że to po prostu u niej normalne procedury. Gdyby wiedziała, chyba coś by powiedziała, no nie?

– Może. Ale dosłownie przedwczoraj kazała Carterowi nasypać do kieszeni suszonych jagód ostrokrzewu. A on akurat się na mnie wściekł i rzucił we mnie jedną z nich. To pali jak cholera.

Ben skrzywił się.

– Domyślam się.

Skóra w tym miejscu bolała Jacka jeszcze przez dobrą godzinę, jak po ukąszeniu pająka. W całym Fairfold pełno było ochronnej kontrmagii. Ludzie nosili amulety na szyi, smarowali drzwi olejkami, wieszali zioła na wstecznych lusterkach samochodów. Ten durny dziurawiec przyprawiał go o swędzenie. Podobnie jak kute na zimno żelazo, kiedy znajdowało się w pobliżu, natomiast gdy zdarzało mu się je dotknąć, doznawał oparzeń. Kieszenie pełne owsa lub ziemi z grobu przyprawiały go o ataki kichania.

Od innych amuletów bolała go głowa, od jeszcze innych – miał zaburzenia równowagi. Żadna z tych rzeczy nie stanowiła śmiertelnego zagrożenia, zwłaszcza jeśli udawało mu się uniknąć bezpośredniego kontaktu, natomiast wszystko to bezustannie mu przypominało, że naprawdę niewiele ma wspólnego z mieszkańcami tego miasta.

Jack podniósł z ziemi suchy patyk, obrócił go w dłoni.

– Może nawet byłoby lepiej, gdyby wiedziała.

Zjawili się po raz pierwszy dwa miesiące wcześniej, oczywiście w noc pełni księżyca. Było ich trzech, odzianych w srebrzystoszare szaty, dosiadali trzech wierzchowców – czarnego, białego i czerwonego. Z głębokiego snu obudziła Jacka muzyka – muzyka, która sprawiła, że zatęsknił za lasem, wiatrem we włosach i zapragnął porzucić precz śmiertelne istoty. Kiedy podszedł do okna, ujrzał ich w ogrodzie; objeżdżali dom dookoła, ich oczy lśniły, włosy

powiewały w powietrzu jak proporce. Siedem razy objechali dom, a potem jeźdźcy zatrzymali się, spoglądali w górę, w jego okno. Byli boleśnie piękni i absolutnie przerażający, mieli czarne oczy i czerwone usta. Jeden wydał mu się na tyle znajomy, że uznał to wszystko za sen. Potrząsnął głową, stojąc w oknie, wbijając paznokcie w drewno parapetu. Po kilku chwilach odjechali, jeden po drugim, znikli.

Rano, kiedy Jack się obudził, okno było otwarte na oścież, chociaż matka nie omieszkła nasmarować parapetu olejkami. W jego pokoju wszędzie było pełno liści.

– Upiorni jeźdźcy są upiorni – stwierdził Ben.

– Owszem, upiorni – powtórzył Jack, jednak od razu usłyszał fałsz w swoim głosie.

– I co, mówisz, że następnym razem, jak się pojawią, to z nimi nie pojedziesz? – spytał Ben, drażniąc się z nim.

– Oj, weź się zamknij.

Jack rzucił patykiem w przyjaciela, ten uchylił się i patyk przeleciał obok.

Ben zatrzymał się, z jego ust zniknął uśmiezek.

– No co ty? Pojedziesz?

– Ty nie rozumiesz, jacy oni są. I jak się czułem. Nie możesz tego zrozumieć. – Jack wypluwał te słowa niewiele myśląc, bo nie chciał wyznać Benowi, że ostatnim razem jednak z nimi pojechał. Żałował, że do nich nie dołączył już za pierwszym razem, gdy po niego przybyli. Kiedy odmówił drugi raz, omal serce mu nie pękło. Za trzecim razem nie potrafił już się oprzeć. Pojechał więc, a potem bał się, że już nigdy nie zdoła się powstrzymać.

Być może Ben czegoś się domyślił po wyrazie twarzy Jacka, bo spoważniał jeszcze bardziej.

– Czasem zastanawiam się, wiesz, jeżeli chodzi o Kerema – powiedział. – Boję się, że polubił mnie przez muzykę, że go nią zwabiłem. Ale nawet gdyby tak było, to i tak strasznie mnie ciągnie, żeby znowu zacząć grać, dlatego rozwaliłem sobie rękę. W przeciwnym razie chyba bym grał. Zawsze, gdy naprawdę bym czegoś pragnął, posłużyłbym się muzyką.

Jack zamrugał, wstrząśnięty.

– Cholera, dlaczego nigdy przedtem o tym nie mówiłeś?

Ben zachnął się.

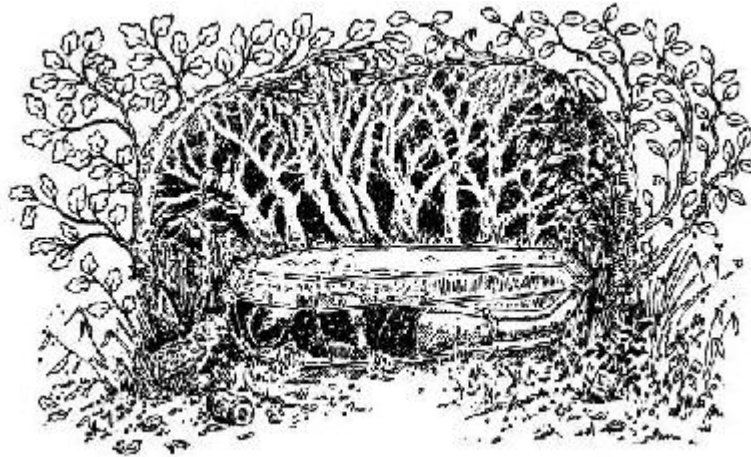
– Nie wiem, pewnie trzymałem to na specjalną okazję. Na przykład taką, kiedy czujesz się naprawdęennie. Powiem ci o sobie coś okropnego i od razu

zrobi ci się lepiej. Ale słuchaj, jeżeli nie chcesz z nimi jechać, musisz przywiązać się do łóżka. Tak jak ci marynarze, którzy przywiązywali się do masztów, żeby nie skoczyć do morza na zew syren.

Ben może i rozumiał więcej, niż się Jackowi zdawało, jednak tak czy inaczej z pewnością nie mógł pojąć, jakie to uczucie pędzić konno przez noc, a potem wypaść na zalaną księżycowym blaskiem polanę. Nie mógł pojąć, jak to jest tańczyć tak długo, aż moc twoich kroków sięgnie samego serca ziemi i być pośród stworzeń, które nigdy nie były ludzkimi istotami, nigdy nie mogłyby nimi być, i czuć się jednym z nich. No i Ben nie mógł wiedzieć, jakiego wstydu Jack doznał potem, gdy ochłonął i obiecywał sobie, że kiedy przyjadą po niego następnym razem, zostanie w domu.

Wiedząc, że tej obietnicy nigdy nie dotrzyma.

ROZDZIAŁ 12



Zamiast iść do kantyny na lunch, Hazel poszła do łazienki, żeby obmyć twarz, przyjrzeć się swoim piegom w lustrze, spojrzeć w błękit swoich oczu obramowany cieniem i eyelinerem. Miała nadzieję ujrzeć w tym zwierciadle kogoś, kto wie, co robi. Kto wierzy, że jakoś sobie z tym wszystkim poradzi. No i niestety. Nikogo takiego nie zobaczyła.

Jack może i zaprowadzi ją na elfową ucztę, ale Hazel zdawała sobie sprawę, że kiedy już się tam znajdzie, będzie musiała zadać właściwe pytania. Właściwe pytania to takie, które dadzą im do zrozumienia, że Hazel wie znacznie więcej niż w rzeczywistości; na które odpowiedzą, nie uświadamiając sobie, że zdradzają jej jakąś tajemnicę. Ta dziewczyna w lustrze nie wyglądała na dość sprytną, by przechytrzyć elfy. Wyglądała raczej na taką, która zupełnie się w tym wszystkim pogubiła.

Skoro nie zdoła ich przechytrzyć, powinna mieć coś na handel, bo u elfów nigdy nie ma nic za darmo. Gdyby była Benem, mogłaby im zagrać pieśń, nawet z tymi połamanymi palcami uzyskałaby od nich za to piękno wszystko, czego by zapragnęła. Gdyby była taka jak Jack, dowiedziałyby się od nich wszystkiego, bo byłaby jedną z nich.

Była jednak tylko Hazel. Nie miała nic wspólnego z magią. A to znaczyło, że musi bardzo uważać, zachować przytomność umysłu, myśleć szybko i być czujna.

Westchnęła, otarła twarz papierowym ręcznikiem i wyszła na korytarz.

Jakiś pierwszoklasista wybiegł z za rogu tak prędko, że o mało na nią nie wpadł. Twarz miał mokrą od płaczu. To był młodszy brat Lourdes, chyba miał na imię Michael. Łzy spływały ciurkiem po jego piegowatych policzkach, z krtani dobiegał szloch.

– Rany, co się stało? – spytała. – Co jest?

– Ja nie mogę – zdołał wykrztusić chłopak przez łzy i urywany oddech, desperacko ocierając twarz – nie mogę przestać. Ona nadchodzi. Już prawie tu jest.

I wtedy to usłyszała, to znaczy odgłos płaczu dochodzący z różnych stron, z różnych klas. Odgłos zawodzenia, przechodzącego we wrzask.

Drzwi na prawo od Hazel otworzyły się gwałtownie, jej koledzy wybiegli na korytarz, z oczami pełnymi przerażenia, szklistymi od łez. Megan Rojas padła na kolana, w ekstazie rozżalenia zaczęła drzeć na sobie ubranie.

– Proszę – łkał Franklin, zwracając się do Hazel z twarzą tak wylęknioną, że ledwo go poznała. – Proszę, zrób coś, niech przestanie. Pocałuj mnie. Zatrzymaj to, zatrzymaj.

Natychmiast przypomniała sobie przestrogę Jacka: *Coś jeszcze nawet groźniejszego niż wasz królewicz kryje się w jego cieniu.*

Hazel odsunęła się od Franklina, jego wystraszonej, wykrzywionej twarzy. W powietrzu rozchodził się zapach pleśni i gnijących liści.

– Jakie to smutne – powtarzała w kółko Liz, zalewając się łzami. – Jakie smutne. Jakie strasznie, okropnie smutne. Jakie to smutne.

Hazel zrozumiała, że musi coś zrobić. Przede wszystkim znaleźć Bena, zanim to coś, co się dzieje, ogarnie także jego. Ruszyła biegiem obok szafek i zamkniętych drzwi; skręciła w korytarz zalany słonecznym światłem, jego okna wychodziły na rozległy trawnik. Nauczycielka angielskiego zamykała właśnie drzwi. Z innej klasy doszedł wybuch śmiechu. Tak jakby nie przybyła właśnie z sąsiedniego korytarza po brzegi wypełnionego rozpaczą.

– Mieliście tam jakiś wiec? – spytała pani Nelson. – Straszny był hałas.

Hazel próbowała coś wyjaśnić, szukała odpowiednich słów, kiedy nad ich głowami nagle zatrzeszczały głośniki, rozległo się wzmocnione, dojmujące łkanie. Odgłos ten kleił się do mózgu jak ciążutka.

Pani Nelson zdziwiła się.

– Ojej, chyba ktoś niechcący nacisnął guzik. Nawet nie wie, że wszyscy to słyszą.

Hazel słyszała ten płacz i jego rezonans we własnym sercu, w każdym swoim oddechu. Piekły ją od tego oczy. Ta rozpacz była tak wielka, jakby cały smutek, który kiedykolwiek był w Hazel, nagle zbudził się i powrócił.

Pani Nelson zachwiała się, oparła dłońią o szybę okna. Oparła też czoło o szkło, które zaszło parą. Z oczu nauczycielki popłynęły łzy. Potem zaś Hazel dostrzegła zielonkawę plamę, przypominającą pleśń lub mech albo grzyba na ścianie, które zasnuwały okno. Na zewnątrz czarne wrony sfruwały z gałęzi drzewa, przekrzykując się krakaniem.

– Trzeba stąd wiać – stwierdziła Hazel szeptem stłumionym przez łzy. Ruszyła chwiejnym krokiem przed siebie. Za nią ktoś upadł na podłogę, poza tym zewsząd dobiegał odgłos zbiorowego, stłumionego płaczu.

Hazel uznała, że najwyższy czas zacząć myśleć. Oczy miała już pełne gorących łez, spływały jej do gardła, a wszystko, co kiedykolwiek utraciła, wypełniało jej głowę. Pamiętała na wpół zjedzone ciało Adama Hicksa i swoje poczucie kompletnej bezradności. Znikąd nadeszło wspomnienie, jak się pochorowała podczas którejś tam imprezy swoich rodziców, bo zjadła wielki kawałek tortu, nie zdając sobie sprawy, że jest nasączony rumem. Zaczęła się zataczać, szukała mamy, ale wokół byli sami obcy. Potem wymiotowała w łazience i wydawało jej się, że trwa to całą wieczność, aż wreszcie wymiotowała już tylko krwią, a potem jakiś obcy facet dał jej szklanekę wody z kranu. W myślach Hazel panoszył się tamten wieczór i inne, i pamiętała o połamanych palcach swojego brata, i jak jego paznokcie poczerniały i odpadły, jeden po drugim. I pamiętała o tych wszystkich chłopakach, z którymi się całowała, i że ich zapamiętane imiona stały się imionami, które znienawidziła. Przecież to, co boli, pamięta się lepiej niż cokolwiek innego. Hazel chciała położyć się na lepkiem linoleum podłogi, zwinąć w kłębek i łkać bez końca, i już nigdy więcej nie wstać.

Wydawało jej się, że nie ma sensu się opierać, nawet trzymać na nogach, ale jednak stała.

Nie było po co iść na drugą stronę korytarza, ale jednak tam poszła.

No, jazda. Trzeba odpalić alarm przeciwpożarowy – powiedziała sobie.

Nie myślała jednak, że da radę.

Nie musisz wierzyć, że zdołasz – powiedziała sobie. – *Zrób to i tyle.*

Odgłos szloch narastał, wypierał z jej głowy wszystkie inne myśli.

Zacisnęła palce na czerwonej metalowej dźwigni. Uwiesiła się na niej całym ciężarem, pociągając w dół.

Alarm rozległ się natychmiast, głośniejszy od płaczu, donośniejszy niż jęki, łkania i krakanie wron. Hazel pękała głowa, ale znowu mogła myśleć. Po chwili z klas, powłócząc nogami, zaczęli wychodzić uczniowie. Mieli mokre policzki, zaczerwienione oczy, pobladłe twarze. Zazwyczaj korytarz aż huczał od okrzyków, plotek, przyjaciele wołali do siebie... Teraz przypominało to procesję umarłych.

– Liz? – Pojawił się skądś nauczyciel od zajęć technicznych. Przykucnął obok ciała pani Nelson. – Evans, co tu się dzieje? Co się stało?

– Nie wiem – odpowiedziała Hazel, patrzyła na głośnik. Mech porastał ścianę plamami, gęsty jak futro. Jeśli tak pójdzie dalej, wkrótce stłumi sygnał alarmu.

Nauczyciel patrzył na nią, najwyraźniej jeszcze do niego nie dotarło, co widzi, jeszcze próbował sobie to wszystko jakoś racjonalnie wytłumaczyć.

Pani Nelson zamrużyła, dzwignęła się na łokciu.

– Co tu się wyprawia? – spytała ochryłym głosem. – Czy to pożar?

Nauczyciel od warsztatów przytaknął.

– W każdym razie sytuacja alarmowa. Może pani spróbuje wstać, pomogę pani wyjść.

W rogu ściany pojawiło się nieznaczne pęknięcie. W następnej chwili poszerzyło się, rozdwoiło jak wciąż rosnące pnącza.

– Co, pali się? – spytał jakiś pierwszak z ogoloną głową. Nadszedł z drugiego korytarza, miał na sobie strój gimnastyczny.

– Ewakuacja! – zarządził warsztatowiec, wyciągnął palec wskazujący ku wyjściu. – Ciebie to też dotyczy, Evans.

Hazel przytaknęła gorliwie, ale nie zamierzała się ruszyć. Nadal obserwowała mech i wijące się pędy, które wdzierały się przez coraz szersze szczeliny, niczym palce umarlaka powstającego z grobu.

Ludzie wokół niej tłoczyli się, ustawiali w kolejkę do wyjścia, raczej zadowoleni, że zobaczą straż pożarną, spodziewając się, że alarm jak zwykle okaże się fałszywy, choć zawsze z nadzieją, bo może nawet wyjdzie na jaw, że to ktoś zrobił głupi kawał. Hazel oparła się o szybę, kilkakrotnie odetchnęła z trudem.

I wtedy zobaczyła idącą korytarzem Molly. Szła pod prąd, w przeciwnym kierunku niż wszyscy. Szła dziwnie, jakby wlekła siebie samą, jakby jej własne ręce i nogi stały się obce. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, pusty wzrok omiatał wszystko obojętnie, dopóki spojrzenie Molly nie spoczęło na Hazel.

Z początku Hazel wydawało się, że usta Molly są granatowe, jednak z bliska przekonała się, że widnieją na nich plamy zieleni, od środka, tak jakby napiła się atramentu.

Hazel stała bez ruchu, po kręgosłupie przeszedł jej paskudny zimny dreszcz. Wystraszyła się, kiedy wszystkich ogarnął płacz, ale wstręt, jaki poczuła na widok dziwnych ruchów Molly, był czymś zupełnie nowym. Hazel zdawała sobie sprawę, że być może ma przed sobą ciało Molly, ale to już nie Molly spogląda tymi oczami.

– Nie podchodź – odezwała się, kiedy to coś się zbliżyło; odruchowo wyciągnęła rękę, w ostatniej chwili powstrzymała się przed wymierzeniem ciosu, którym zapewne powaliłaby dziewczynę na podłogę. Z ust Molly dobył się głos ociekający słodyczą jak syropem, zawodzący; głowa pochylała się to w lewo, to w prawo.

– Miłowałam go, a on nie żyje i odszedł, i zamiast miłości kości. Kochałam go, a oni mi go odebrali. Gdzie on jest? Gdzie on jest? Martwy i zamiast miłości kości. Martwy i zamiast miłości kości. Gdzież on teraz?

Z każdym słowem z jej ust sypały się grudki ziemi.

– Co ty jej zrobiłaś? Co się stało z Molly? – spytała roztrzęsiona Hazel.

W korytarzu było już niemal pusto. Alarm wciąż rozbrzmiewał, ale jakimś sposobem głos dobywający się z ust Molly słyhać było zupełnie wyraźnie.

– Kochałam go i kochałam, i nie żyje, i zamiast miłości kości. Kochałam, a oni mi go odebrali. Gdzież on teraz? Gdzie on jest? Zamiast miłości kości. Zamiast miłości kości. Mój ojciec go zabrał, mój brat go zamordował. Martwy jest i zamiast miłości kości. Martwy, zamiast miłości kości. I gdzież on jest?

Molly przez dwa lata była najlepszą przyjaciółką Hazel, słały do siebie po nocy SMS-y o chłopakach, Molly przycinała jej grzywkę. Kiedy razem z Molly przemierzały szkolne korytarze, Hazel czuła się normalną osobą, zupełnie jakby nie było w tym nic złego i jakby można po prostu skupić się na zabawie i nie przejmować tym, co nastąpi później. Molly miała gdzieś leśne elfy, dla niej to były tylko bajki. Uważała je za ściemę wymyśloną na użytek turystów, o samych zresztą turystach też nie była najlepszego mniemania. Mówiła, że to nudziarze, którym totalnie marzy się, żeby ktoś im wreszcie powiedział, jacy to są wyjątkowi. Patrzeć na Fairfold oczami Molly znaczyło widzieć zupełnie nowe miejsce. Potem, kiedy Molly ją olała, Hazel czasami tęskniła za tym spojrzeniem, chyba bardziej nawet, niż brakowało jej samej Molly.

A teraz Molly nie miała już wyboru, musiała uwierzyć w elfy. Ta myśl doprowadziła Hazel do wściekłości.

– Nie dostaniesz jej – warknęła, sięgnęła do naszyjnika, tego, który dostała od Bena. Ściągnęła go i zbliżyła, ale nie wydarzyło się nic, więc Hazel zarzuciła go Molly na głowę, tak że naszyjnik zawisł na szyi dziewczyny. – Czujesz? To zmiataj! Precz! Nikt cię tu nie chce!

Molly nagle przewróciła oczami, aż widać było tylko białka. Hazel serce podeszło do gardła.

W następnej chwili ciało Molly stało się zupełnie bezwładne, dziewczyna runęła na podłogę. Walnęła głową o linoleum, czemu towarzyszył paskudny głuchy odgłos.

– Na pomoc! – zawołała Hazel. Upadła na kolana, gorączkowo chwyciła Molly za nadgarstek, chcąc sprawdzić puls, ale zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak to zrobić. Wołała i wołała, ale nikt się nie pojawił.

Potem Molly otworzyła oczy, zamrugnęła nieprzytomnie i zaniósła się kaszlem, tak strasznym, jakby miała się udławić. Gdy spojrzała na Hazel, na jej twarzy malowało się coś pomiędzy wstydem a przerażeniem. Był to jednak jak najbardziej ludzki wyraz twarzy.

– Hazel – wycharczała Molly, po czym znów zaczęła wypluwać ziemię i chyba resztki liści.

Hazel ogarnęła błoga ulga, aż oparła się o ścianę.

– Już dobrze?

Molly z wolna pokiwała głową, dźwignęła się do pozycji półsiedzącej, otarła usta wierzchem dłoni. Jej czarne włosy, zazwyczaj równiutko ułożone na żel, teraz przedstawiały sobą żałosny widok. Krew sączyła się z płytkiego rozcięcia w miejscu, gdzie jej głowa uderzyła o podłogę, biały kołnierzyk bluzki stopniowo nabierał czerwonej barwy.

– Widziałam ją. Widziałam potworę. Jest zrobiona z rosochatych gałęzi, porośniętych mchem i ma takie straszne czarne oczy.

Hazel przysunęła się do Molly i wzięła ją za rękę. Molly uściśnęła mocno jej dłoń.

Alarm wciąż wył, syrena wypełniała puste korytarze.

– A ty zawsze wiedziałaś, że to prawda, no nie? – spytała nieszczęsna Molly. – Jak ty to mogłaś wytrzymać?

Hazel próbowała wymyślić jakąś odpowiedź, lecz wtedy Molly zamknęła oczy. Wzdrygnęła się gwałtownie, po czym opadła jak marionetka, której

przeięto sznurki. Hazel krzyczała i potrząsała ją za ramiona, ale ciało Molly stało się tak samo bezwładne jak przedtem ciało Amandy.

Potwora już nie zadowalała się czatowaniem na swoje ofiary w sercu lasu. Przeciwnie, właśnie w samym środku dnia zawędrowała do serca Fairfold, a Hazel miała poważne wątpliwości, czy uda się ją unicestwić.

Nie ważne, czy przybyła po Severina, bo ktoś ją na niego poszczuł, czy uczyniła to z jakichś innych, przekraczających możliwości zrozumienia Hazel powodów – należało skupić na niej całą swoją uwagę.

Na początek należało wydostać się z budynku, a poza tym wyciągnąć z niego Molly. Hazel w zasadzie mogłaby ją wziąć na ramię, jednak to nie było idealne wyjście. Byłaby wtedy niezdolna do walki, a poza tym takie brzemie znacznie spowolniłoby jej ruchy.

– Weź tu zostań – powiedziała Hazel do Molly półgłosem, wstała. Przeszła obok wciąż poszerzającej się szczeliny w ścianie, gdzie macki bluszczu rozłaziły się niczym węże, po czym skierowała się korytarzem w stronę sali zajęć plastycznych. Nagle ujrzała na swojej drodze dwie postacie. Jedną z nich był Carter, który w jednej ręce trzymał kij hokejowy, w drugiej telefon. Obok niego – Robbie Delmonico, uzbrojony w kij bejsbolowy. Na widok Hazel zachłysnął się, cofnął i zderzył z blaszanymi szafkami, aż zadźwięczało.

Hazel uświadomiła sobie, że jej dłonie zaciskają się w pięści.

– Co jest...? No?

– Wyluzuj. Właśnie ciebie szukamy – powiedział Carter. Miał na sobie górną część ekwipunku do gry w futbol i ochraniacze na kolana. Hazel nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi, jak bardzo strój do tego sportu przypomina prawdziwą zbroję. Pancierz o szerokich ramionach, przyłbica z zasłoną, nakolanniki... Wyglądał całkiem jak sir Morien, jeden z rycerzy Okrągłego Stołu.

– Służby ratunkowe nikogo nie wpuszczają. Ben i Jack ugrzęźli na parkingu, ale mam od nich SMS-y, stad wiedziałem, gdzie cię szukać.

Carter machnął ręką w stronę frontowego wejścia do szkoły.

– W sumie nieźle, naprawdę nieźle – wtrącił się Robbie. – Masakra. W kafeterii znaleźliśmy pod stołami trzech pierwszaków. Totalnie nieprzytomnych, przynajmniej z początku tak mi się wydawało, ale potem jedna dziewczyna zaczęła jednak gadać i sprzedawać przy tym przedziwne teksty, coś o miłości i kości, totalnie słabe. A potem znowu zemdlą. Przenieśliśmy ich przez otwarte okno i przekazaliśmy ratownikom z

pogotowia, a potem postanowiliśmy jednak zostać jeszcze trochę wewnątrz, dopóki się nie upewnimy, że cała reszta zdołała się wydostać.

Hazel skinęła głową. Całkiem niechętnie uświadomiła sobie, jakim fajnym facetem jest Robbie i dlaczego zdecydowała się z nim przez chwilę zadawać, jeszcze zanim porobiło się nieco dziwnie. To najtrudniejsza rzecz z pożądaniem – bo chce się kogoś tak bardzo, że aż boli brzuch. I chodzi tu o chcenie, które – owszem – ma coś tam wspólnego z fizycznym kontaktem, ale też jednak trochę z połykaniem w całości, tak jak wąż połyka mysz albo duży zły wilk wciąga Czerwonego Kapturka. Chodzi o to, żeby przemienić kogoś, kogo niby się znało, w obcego. A czy ten ktoś był najlepszym kumplem brata, czy śpiącym królewiczem w szklanym więzieniu, albo dziewczyną pocałowaną podczas imprezy, kiedy pragnęło się czegoś więcej niż tylko zetknięcia warg... Wszyscy oni stawali się przerażający, więc wtedy Hazel ogarniało przerażenie.

– Martwy i zamiast miłości kości – powiedziała Hazel.

Chłopak zamachnął się kijem bejsbolowym, spanikowany.

– Nie, ty też?

Hazel potrząsnęła głową.

– Coś takiego mówiła Molly, zanim zeszła. Coś ją napadło, nie bardzo wiem, co to było. Jakby była opętana albo coś.

– Molly Lipscomb? – Carter spojrzał najpierw na Hazel, potem dalej w głąb korytarza; dostrzegł ciało Molly i zeszywniał. – A ty? Widziałaś potwora? On tu był?

Hazel potrząsnęła głową.

– W każdym razie musimy zabrać stąd Molly. Poszukam jakiegoś krzesła. – Po tych słowach zwróciła się do Robbiego: – Weź znajdź jakąś linę albo jakieś pasy, żebyśmy mogli ją przymocować.

– Jasne, spoko – zgodził się Robbie, po czym ruszył w stronę drzwi jednej z klas.

– Jack powiedział... – rzekł nieobecny tonem Carter, po czym chyba zdał sobie sprawę, że mówi bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego, więc urwał. Potrząsnął głową. – Ja zostanę przy Molly. A wy kombinujcie, spróbujcie znaleźć, co trzeba.

Hazel prędko znalazła biurowe krzesło na kółkach, stało za biurkiem nauczyciela w którejś z sal drugiej klasy. Przyturlała je czym prędzej korytarzem, tymczasem Robbie w schowku na miotły znalazł potężną szpulę jasnyniebieskiego sznurka. Hazel dźwignęła Molly, podczas gdy Robbie

przytrzymał krzesło, żeby nie odjechało. Potem Carter pomógł im przywiązać dziewczynę, jakby była więźniarką przygotowaną do przesłuchania albo muchą wlepioną w pajęczynę. Z głową zwieszoną na bok i zamkniętymi oczami, Molly została starannie przymocowana do krzesła kolejnymi zwojami sznura.

Następnie Hazel rozejrzała się za jakąś bronią. Na razie znalazła tylko potężne nożyce, które dość łatwo udało jej się rozbić na dwa ostre sztylety.

– Rany, ale narobiłaś hałasu – rzucił Carter, który właśnie przymierzył się do oparcia krzesła, na którym spoczywała Molly. – To co, jazda?

Razem przemierzili pusty korytarz, zaglądając po drodze do opuszczonych klas, gdzie na oparciach krzeseł wisiały jeszcze kurtki, na stołach leżały zeszyty, a obok nich długopisy i książki. Na tablicach widniały symbole i liczby nie do końca rozwiązanych matematycznych zadań, sugerujące liczby zachowane w pamięci podczas nie do końca dodanych dodawań. Edukacyjny film na temat genetyki jeszcze się skończył, ale ekran został już prawie całkiem pożarty przez mech.

Cienie wydłużały się już, kiedy szli w stronę sali gimnastycznej. Hazel zajrzała do środka, a jej sztylety z nożyc lśniły w migoczącym blasku świetlówek. Z sufitu zwieszały się długie pędy bluszczu, oplatały kable. Serce w jej piersi waliło, jakby ktoś bił pięścią. Tak mocno, że czuła to też we wnętrznościach. Nigdy przedtem sala gimnastyczna nie miała dla niej szczególnego znaczenia – wywoskowana lśniąca podłoga i metalowe szkielety półek, nic więcej; teraz z wyostrzoną świadomością zdawała sobie sprawę, jak wiele jest miejsc, w których może czaić się potwora, skulona, skurczona, przywdziewająca postać stosu śmieci, a jej długie palce jakże się kwapią, by schwycić człowieka za kostkę...

– Widzisz coś? – usłyszała za sobą głos Robbiego.

Hazel spięła się w jednej chwili, ale tylko potrząsnęła głową. Była zadowolona, że nie okazała w żaden inny sposób, jak ją wystraszył.

– Nie musisz nam towarzyszyć, sami poszukamy, czy ktoś tu nie został – odezwał się Carter. – Weź Molly i kieruj się do wyjścia. Twój brat się o ciebie martwi. I mój brat też się o ciebie martwi.

W migoczącym świetle chłopcy wyglądali jakoś inaczej. Robbie był blady, a jednocześnie sprawiał wrażenie, że trawi go gorączka; z powodu zapadniętych policzków tym bardziej uwydatniały się jego oczy. Carter bardziej niż kiedykolwiek przypominał Jacka, bo cienie wyostrzyły jego rysy. Gdyby

chciała, może nawet mogłaby sobie wmówić, że to nie on, tylko jego brat. Przez jedną straszną chwilę rozumiała, dlaczego Amanda tak się zachowała. To byłoby coś takiego, jak całowanie trumny Severina. Coś nierealnego, a więc nikomu nie stanie się krzywda. Wiadomo.

– Może to raczej ty byś wyszedł? – odpowiedziała dość opryskliwie Carterowi. Po pierwsze, nie podobało jej się, że traktuje ją z góry, no a poza tym nie bardzo jej się podobał kierunek, w którym zaczęły zmierzać jej myśli.

– Raczej nie. Poczucie winy, rozumiesz. Wszyscy rozpowiadają, że to ja ostatni widziałem Amandę i niestety, ale to prawda.

– Co się właściwie wydarzyło? – spytała Hazel.

Szli korytarzem, mijając klasy literatury i historii, w stronę biura dyrektorki i głównego wejścia, mijając też po drodze audytorium; przez otwarte drzwi widać było scenę i kotary. Jedno z kółek krzesła, na którym wieźli Molly, było przekrzywione, więc skrzypiało nieustannie, za każdym obrotem.

Robbie pchał krzesło i krzywił się niemiłosiernie na każde skrzypnięcie.

Z niektórych klas dobiegały echa i dźwięki, których Hazel nie potrafiła zidentyfikować. Wyobrażała sobie, że to pnący się bluszcz, posuwisty odgłos stąpania potwory i chrobot jej paznokci o ścianę. Hazel miała doświadczenie leśnej łowczyni i doskonale wiedziała, jak bardzo wzmożona uwaga oraz adrenalina potrafią wzmóc słyszane odgłosy. Nie raz jest się pewnym, że rozległ się jakiś dźwięk, podczas gdy w rzeczywistości słyszemy tylko własny oddech. A z drugiej strony wiedziała, jak niebezpiecznie jest lekceważyć swoje instynkty. Tyle że w lesie przynajmniej potrafiła określić, co jest szelestem liści, co świstem wiatru, a co odgłosem kroków. W szkole czuła się kompletnie zdezorientowana. Każdy szmer sprawiał, że zaciskała zęby i napinała mięśnie ramion.

Carter odezwał się po chwili, ściszone głosem, żeby Robbie go nie słyszał.

– No, pokłóciliśmy się. Znaczący, ja z Amandą. Powiedziała o Jacku coś... coś naprawdę żenującego. Że niby nie jest nawet osobą. Może tylko chciała się ze mną drażnić, ale nie powiem, podziałało. Kazałem jej wysiąść z wozu, chociaż miała te cholerne buty na wysokich obcasach, na których ledwo mogła chodzić. Trzy przecznice dalej uświadomiłem sobie, że zachowałem się jak ostatni dupek. Mama urwałaby mi łeb, gdyby się dowiedziała, że umówiłem się z dziewczyną, a potem ją zostawiłem, nie wiadomo gdzie, samą, daleko od domu.

– I co? – spytała Hazel.

– Kiedy wróciłem, Amandy już nie było. Odtąd jej nie widziałem, a jej rodzice nie pozwalają mi jej odwiedzić w szpitalu. – Podniósł nieco głos. – Hej, Robbie, a co z tobą? Co cię naszło, żeby tu zgrywać bohatera? Nie masz ochoty się wycofać?

Robbie uśmiechnął się krzywo.

– Jedno, co zapamiętałem z filmów, to że nie wolno się rozdzielać. A poza tym, co byście zrobili beze mnie?

– No tak, to prawda – przyznał uprzejmie Carter, chociaż trudno było sobie wyobrazić coś dalszego od prawdy.

– Hej, Hazel, a ty... – zaczął Robbie, ale przerwał mu rozdzierający wrzask.

Ruszyli biegiem w tamtą stronę, w uszach dźwięczał im łoskot własnych stóp o podłogę i przeraźliwe skrzywienie kółka od fotela Molly. Krzyk dochodził z toalety dla dziewczyn.

Hazel ruszyła przodem, otworzyła łokciem drzwi, z ostrzami nożyc gotowymi do zadania ciosu. Leonie stała przy umywalkach; jedna z nich pełna była wody, która lała się już na podłogę. Na widok Hazel Leonie krzyknęła jeszcze głośniej. Nikogo poza nią tam chyba nie było, ale serce Hazel tłukło się tak głośno i szybko, a Leonie była tak przerażona, że na wszelki wypadek Hazel kopniakiem otworzyła pierwszą kabinę, jednak była tam tylko muszla, w której pływały trzy pety. Kopnęła następną drzwi – nic. Już miała kopnąć trzecią, kiedy Leonie chwyciła ją za ramię.

– Co ty wyprawiasz? Przestań! – zawołała. – Nie strasz mnie.

– Co? To ja ciebie straszę? – zdumiała się Hazel. – Wrzeszczałaś jeszcze zanim się pojawiłam.

– To coś... Ja to widziałam – odpowiedziała Leonie. – Rany... Myślałam, że można już bezpiecznie wyjść na korytarz, ale to coś właśnie tam było. O Boże, co stało się z Molly?

– Przyjrzałaś się dobrze temu czemuś? – spytał Carter. Obaj z Robbiem stali w drzwiach, tak jakby nawet teraz wstęp do dziewczęcej toalety i widok na stary automat z tamponami objęte były nieprzekraczalnym tabu.

Leonie potrząsnęła głową.

– Coś widziałam. To było okropne...

– Jesteśmy już blisko wyjścia – przypomniał im Robbie i wzdrygnął się wyraźnie. – Więcej stąd.

– A co, jeżeli to gdzieś się czai? – spytała Leonie. – Musi być blisko.

– Właśnie dlatego trzeba się stąd wynosić – odpowiedział Robbie głośniej, zapominając, że dopiero co rozmawiali szeptem, a właściwie zapominając, że zostali wewnątrz budynku, żeby wyprowadzić innych.

Przez krótką chwilę Hazel miała ochotę opuścić ich wszystkich, zawrócić i poszukać leśnej strzygi. Przecież miała swoje sztylety. Kiedy była dzieckiem, tyle razy wyobrażała sobie, że z nią walczy, w jej oczach była wcieleniem zła czającego się w lesie, ucieleśnieniem grozy. W wyobraźni Hazel stawić czoło potworze i odnieść w tej walce zwycięstwo, oznaczało, że zniknie także wszelkie inne zło.

Instynkt pchał ją do czynu. Palce zacisnęły się na nożycach, krew krążyła żywiej. Chciała znaleźć strzygę i ją uśmiercić.

– Dobra, zamknąć się wszyscy! – krzyknął Carter. – Hazel, co o tym myślisz? Powinniśmy się stąd wynosić czy dalej szukać ludzi, którzy zostali?

– A dlaczego akurat ją o to pytasz? – obruszył się Robbie.

– Dlatego, że wiem, co ja myślę i wiem, co ty myślisz, a co myśli Molly, to naprawdę nie ma znaczenia. I dlatego... – Carter urwał nagle, odwrócił się gwałtownie. Spowodował to dziwny odgłos, jakby ktoś wlekl korytarzem zwłoki. Jedna ze świetlówek lśniących nad ich głowami eksplodowała, posypały się iskry, a w umywalkach zaczął kipieć mech. Plamy pleśni pokryły lustro. Carter pchnął krzesło Molly głębiej, do środka. Pochylił głowę, włosy opadły mu na czoło. Robbie pospiesznie zatrzęsął za nimi drzwi toalety. Carter wsunął swój kij hokejowy pod klamkę i zaklinował drzwi, bo nie było w nich żadnego zamka.

Milczeli. Hazel wciągnęła powietrze i wstrzymała oddech.

Na matowym szkle pojawił się cień czegoś, co przemieszczało się po drugiej stronie. To coś było ogromne, miało z pewnością dobrze ponad dwa metry wzrostu i kształtem ogólnie przypominało ludzką postać, o ile takowa może być zrobiona z gałęzi, pnączy i ziemi. Postać była przygarbiona, a szczyt jej głowy przechodził jakby w sękaty pień. Niewiarygodnie długie, patykowate palce sondowały powietrze.

To coś znieruchomiło na chwilę, jakby nasłuchując, słysząc bicie ich serc, wstrzymanych oddechów. Potem odeszło, powłócząc nogami.

Hazel liczyła w myślach: *sto dwadzieścia jeden. Sto dwadzieścia dwa. Sto dwadzieścia trzy. Sto dwadzieścia cztery. Sto dwadzieścia pięć...*

– Proponuję wiać – odezwała się szeptem. – Proponuję zrobić to natychmiast.

Carter otworzył drzwi łazienki, ruszyli pędem w stronę wyjścia. Krzesło z Molly toczyło się coraz prędzej i prędzej, w miarę jak Robbie dobywał z siebie ostatnich sił; plastikowe sportowe buty Leonie skrzypiały podczas rozpaczliwego sprintu. Hazel pełniła funkcję tylnej straży; raz po raz zerknęła przez ramię, starając się jednocześnie nie zwalniać biegu. Wciąż spodziewała się, że stwora chwyci ich, wypadnie z cienia, że te straszne dłonie porwą ich, zadławi wilgotna próchnica. Inaczej mówiąc, Hazel uległa panice, która wzięła górę nad wolą walki i zwycięstwa. Dopiero gdy znaleźli się za drzwiami, łąpczywie chwytając hausty zimnego, jesiennego powietrza, uświadomiła sobie, że jednak udało im się wydostać ze szkoły.

Z drzew naokoło, z łopotem czarnych piór, zerwało się całe stado kraczących wron – jak muchy wzlatujące z cuchnącej padliny.

Parking rozświetlały migoczące światła sygnałowe samochodów policyjnych i karetki. Poza tym stało tam też kilka innych samochodów, za nimi zaś grupki uczniów, jednak większość już chyba poszła do swoich domów. Twarze tych, którzy zostali, mieniły się na przemian błękitem i czerwienią, co nadawało im upiorny wygląd.

– Ktoś tam jeszcze jest w środku? – spytał jakiś ratownik, gdy schodzili po schodach.

– Jest. Potwór! – odpowiedziała Leonie.

W świetle dziennym Hazel dostrzegła, że po jej twarzy spłynął makijaż, tak jakby płakała.

– Był wyciek gazu – odpowiedział strażak, przyglądając się jej z niepokojem. – Chyba trochę się nawdychałaś.

Leonie fuknęła gniewnie i nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć, poszła dalej. Carter podniósł krzesło razem z Molly, żeby ją znieść na dół, w tym samym czasie po schodach wbiegł Ben i uściskał Hazel. Otoczyła go ramionami, wciąż mając w dłoniach ostrza nożyc.

– Wariatka – wyszeptał w jej włosy.

Hazel dostrzegła Jacka; siedział na masce samochodu Bena i przyglądał im się srebrzystymi oczami. *Po trzykroć was ostrzegę, więcej mi zrobić nie wolno* – tak powiedział. Czy wiedział o tym wszystkim, ale zakazano mu mówić?

– Pewnie, że wariatka. Przecież wiesz – odpowiedziała, też szeptem.

Następnie Hazel została szczegółowo wypytana przez jednego z ratowników o ewentualne objawy zatrucia, po czym pozwolono jej iść do domu – z

zastrzeżeniem, że gdyby poczuła zawroty głowy, ma się natychmiast zgłosić do szpitala.

Ben czekał na nią przy samochodzie, rozmawiając przyciszonym głosem z Leonie. Jednak gdy Hazel ruszyła w jego stronę, Jack złapał ją za rękę. Kiedy się odwróciła, zaskoczona, nagle zmieszła się pod jego spojrzeniem.

– Myślę, że spotkanie na placu zabaw można uznać za odwołane – oznajmił.

– Lepiej mi nie mów, że mnie ze sobą dziś nie zabierzesz. Nie po tym, co właśnie się wydarzyło – odparła. Usiłowała mówić spokojnym głosem, ale niezupełnie jej się to udało.

Jack pokręcił głową. Siniak na jego policzku wyglądał znacznie gorzej, bo spuchł i teraz skóra wokół jego oka przybrała barwę śliwki.

– Przyjdź do mojego domu o zachodzie słońca, ale nie wchodź do środka, dobra? Czekaj za domem. Wykradnę się i pójdziemy razem.

– Dobra – powiedziała Hazel, zaskoczona, że nie musi się z nim dalej spierać. Zaskoczona, zadowolona i mimo woli trochę przestraszona. – Słuchaj, a co mam na siebie włożyć?

W jego oczach zabłysło figlarne światełko. Po raz pierwszy tego dnia coś go rozbawiło.

– Cokolwiek albo nawet w ogóle nic.



W drodze do domu Hazel opisała Benowi potworę, której sylwetkę widziała przez matową szybę i opowiedziała mu o pnączach, o mchu oraz pleśni porastających szkołę. W zamian dowiedziała się, że gdy tylko zaczął się zbiorowy płacz, Jack od razu wyciągnął go na zewnątrz. Chciał wrócić po Hazel i Cartera, ale powstrzymało go kilkoro nauczycieli. Stanowczo zabronili mu wchodzić do środka i to wyraźnie dając do zrozumienia, że winią go za te wszystkie wydarzenia.

– To się musi skończyć – powiedział Ben i westchnął. – Muszą zrozumieć, że on nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Przecież go znamy.

Hazel skinęła głową, ale jednak dobrze pamiętała, jak ludzie go unikali, pamiętała też podbite oko i pamiętała, co usłyszała od Leonie o innej bójce,

tej sprzed paru lat. Leonie zachowała dla siebie swoje spostrzeżenia, ale jak wielu jej kolegów i koleżanek miało podobne historie do opowiedzenia? Ile osób widziało, jak z twarzy Jacka opada maska i nigdy o tym tak naprawdę nie zapomniało?

– A poza tym musimy porozmawiać, wiesz o czym – przypomniał jej Ben, gdy już zaparkował samochód przed domem. – O Severinie i o tym, co się stało tej nocy, gdy został uwolniony.

Hazel skinęła głową, chociaż prawdę mówiąc, liczyła, że uda jej się jakoś wykręcić, a potem wymknie się na elfowe przyjęcie.

Ich matka siedziała przy stole w kuchni i paliła papierosa. Hazel od lat nie widziała jej palącej. Kiedy weszli, mama skiepowwała go na talerzu i wstała.

– Co się z wami działo? Oboje nie odbieraliście telefonów. Myślałam, że zwariujecie; dzwoniłam do ludzi, próbowałam zorientować się, co się dzieje. Nawet odezwali się ze szkoły, ale to, co mówili, w ogóle nie trzymało się kupy. A teraz jest godzina policyjna. Myślę, że powinniśmy porozmawiać z waszym ojcem. Moim zdaniem, należałoby na jakiś czas przenieść się do miasta.

– Godzina policyjna? – powtórzył zdumiony Ben.

– Tak, ogłosili to jakiś czas temu, przerywając program telewizyjny – odpowiedziała, bezwiednie machając dłonią w stronę odbiornika. – Wszyscy mają siedzieć w domach i nie wychodzić bez istotnej potrzeby, a po szóstej już pod żadnym pozorem nikomu nie wolno nawet wyściubić nosa na dwór.

– A jaką podali przyczynę? – zainteresowała się Hazel.

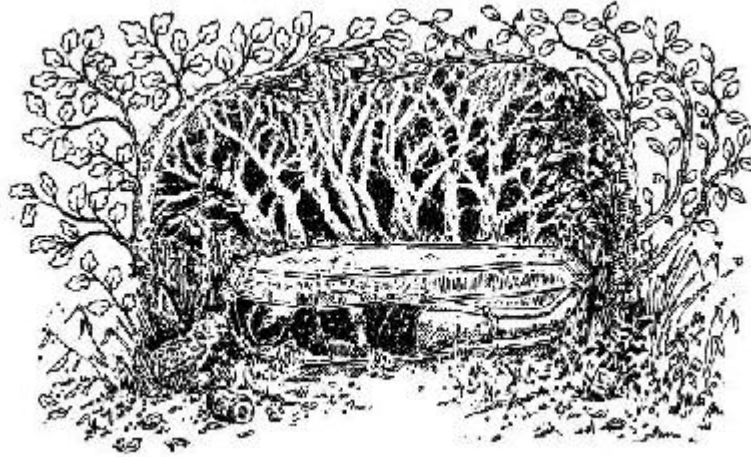
– Anomalie pogodowe – odpowiedziała mama, unosząc brwi. – Co tak naprawdę tam się dzisiaj stało?

– Anomalie pogodowe – odpowiedziała Hazel, po czym wbiegła na schody, przeskakując po dwa stopnie na raz.

Gdy znalazła się w swoim pokoju, podeszła do szafy i otworzyła jej drzwi. Było tam mnóstwo vintage'owych sukienek, znoszonych par dżinsów i dziurawych swetrów; niektóre wisiały, inne piętrzyły się na dnie, zakrywając stos butów. Nic z tego nie wydawało się odpowiednie na bal u króla elfów. Żaden z tych ciuchów nie sprawi, że uznają ją za kogoś, z kim warto i należy się liczyć.

A poza tym w wiadomościach zapowiedziano burzę.

ROZDZIAŁ 13



Jack powiedział, żeby przyszła o zachodzie słońca, ale gdy Hazel dotarła do jego domu, było już prawie całkiem ciemno. Wymknęła się z domu, gdy tylko się przebrała. Przeszła prosto do drzwi wejściowych, kiedy jej brat i mama byli w salonie. Niczego nie spostrzegli. Telefon zostawiła na łóżku, obok niego kartkę – żeby Ben wiedział, że nie ma po co do niej dzwonić, no i w nadziei, że nie będzie za bardzo się niepokoił. Zapewniła w notce, że wróci o świcie i wtedy – dopiero wtedy – wszystko mu opowie.

Jack czekał na nią za domem, zabawiał się rzucaniem piłki psu, złotemu retrieverowi o imieniu Snickerdoodle. Lampa na ganku dawała krąg światła na trawę, po której obaj biegali. W tym momencie Jack wyglądał jak najnormalniejszy w świecie chłopak, naprawdę można było go wziąć za człowieka – chyba że ktoś zauważyłby spiczaste koniuszki jego uszu. Albo wierzył w dziwne opowieści. Jeśli tak, to w oczach kogoś takiego Jack wyglądałby raczej dziwnie, jak elf dla spełnienia kaprysu bawiący się w człowieka. Kiedy Hazel podeszła bliżej, Snickerdoodle zaczął szczekać.

– No, wracamy – rzucił Jack do psa, zerkając jednocześnie w stronę lasu. Hazel nie była pewna, czy widzi ją w ciemności.

Czekała, żałując, że nie wzięła kurtki, bo w miarę, jak gaśła pomarańczowa poświata nad horyzontem, robiło się coraz chłodniej. Dla zabicia czasu zaczęła zbierać kasztany, a potem wrywać ich kolce. Trochę bolało, kiedy nieco roślinnej substancji dostało się pod paznokiec, ale genialnie było czuć, jak za sprawą jej rąk coś się rozpada.

Wewnątrz domu Hazel widziała telewizor – plamę ruchomego koloru – oraz panią i pana Gordonów siedzących naprzeciwko siebie. Pan Gordon miał przed sobą otwarty laptop, blada poświata na jego twarzy sprawiała, że cienie wokół zdawały się głębsze.

Miała wrażenie, że czeka na skraju lasu całe wieki, ale przypuszczalnie minął ledwie kwadrans, nim otworzyło się okno i Jack wyszedł na dach.

Przeszedł lekko na gałąź drzewa, zsunął się po niej, po czym zeskoczył na ziemię. Hazel zeszywniała, spodziewając się hałasu; oczekując, że rodzice odwrócą głowy, że Snickerdoodle znów się rozszczęka, jednak Jack wylądował miękko i cicho. Kiedy jego stopy dotknęły ziemi, dał się słyszeć tylko głośny szelest liści, który brzmiał co najwyżej jak gwałtowniejszy podmuch wiatru.

Spotkali się na skraju lasu, Hazel denerwowała się, ale postanowiła być dzielna.

– No hej – powitała go, wypuszczając z dłoni kasztan. – I co teraz?

– Fajnie wyglądasz – powiedział, a jego oczy srebrzyły się w ciemności.

Uśmiechnęła się, trochę skrępowana. Miała na sobie jedyną rzecz, którą uznała za odpowiednią – oprócz dzinsów włożyła zieloną welwetową bluzę, którą znalazła na samym dnie szafy. W uszy wpięła srebrne kółka, na nogach miała ulubione wysokie buty. Miała nadzieję, że taki strój okaże się dość wytworny na elfową biesiadę.

– Chodźmy – szepnął, Hazel ruszyła za nim. W świetle księżyca las pośród cieni ukazywał tajemne ścieżki, które się przed nimi otwierały. Szybko zorientowała się, że Jack widzi w nocy dużo więcej niż ona. Starła się dotrzymać mu kroku i nie potykać się. Nie chciała dać mu żadnego pretekstu, by stwierdził, że jednak jej ze sobą nie weźmie.

Kiedy już znacznie oddalili się od domu, Jack odwrócił się do niej.

– Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć.

– Wiem, wiem. Zawsze grzecznie i uprzejmie. Zawsze rób, o co cię proszą, chyba że to sprzeciwia się innym zasadom. Nigdy im nie dziękuj. Nie tykaj ich jadła. Nie próbuj śpiewać, jeśli fałszujesz. Nie tańcz pod żadnym pozorem. I nigdy, w żadnym razie, przenigdy się nie przechwalaj – wyrecytowała jednym tchem wskazówki powtarzane w nieskończoność przez dorosłych, którym zależało, żeby młodzi mieszkańcy Fairfold nie zachowywali się niczym turyści. – O to ci chodzi?

– Nie, chciałem wyjaśnić coś innego. – Niespodziewanie Jack wziął ją za rękę, poczuła ciepło jego dłoni. W głosie Jacka było napięcie, które Hazel

poczuła na swojej skórze. – Wstydzę się, że tam chodzę, dlatego się z tym kryję. Wiem, jakie to bzdurne i jakie to głupie. Wcale tego nie chcę, ale potem, gdy zbliża się kolejna pełnia, czuję jakby coś odzywało się w tyle mojej głowy. Tak jakby w oddali ktoś gwizdał melodyjkę, którą ledwie słyszę, ale wtedy pochylam się, wytyżam słuch. No i idę, za każdym razem powtarzam sobie, że nigdy więcej, ten ostatni raz i koniec, ale podczas następnej pełni znowu wszystko się powtarza.

Puścił jej dłoń. To wyznanie najwyraźniej nie przyszło mu łatwo.

Hazel zrobiło się przykro. Była tak zajęta własnymi problemami, że nawet przez chwilę nie zastanawiała się, jakiego poświęcenia oczekuje od Jacka. Nie miała prawa tego od niego wymagać i w żadnym razie nie chciała sprawić mu bólu.

– Nie musisz ze mną iść. Cholera, nie wiedziałam. Pokaż mi tylko drogę, a dalej pójdę sama.

Potrząsnął głową.

– O, nie. Ja muszę tam iść, nie zdołałabyś mnie powstrzymać. Nikt by nie zdołał. Na tym polega problem. Chciałbym jednak, żebyś ty wróciła do domu, Hazel.

– Ale wiesz, że tego nie zrobię.

Skinął głową.

– W takim razie jeszcze tylko dodam, że nie wiem, jak cię przed nimi chronić i nie wiem, co mogą chcieć z tobą zrobić. Wiem natomiast, że oni nie cierpią, kiedy im się przypomina o moim ludzkim życiu.

– I przypuszczasz, że ja im będę o tym przypominać? – domyśliła się.

– Tak, będziesz przypomnieniem dla nich... i dla mnie. – Znow ruszył przed siebie. – Bądź ostrożna. Jeśli coś ci się stanie, Ben mi nigdy nie wybaczy.

Żachnęła się, urażona.

– No, wiesz, Ben nie jest moją niańką.

– W takim razie inaczej: to ja nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

– A czy... – zawahała się, ale musiała o to spytać. – Czy ty będziesz tam wyglądał inaczej?

To go rozśmieszyło.

– Nie, ja nie. Za to wszystko inne, jak najbardziej.

Hazel zastanawiała się nad znaczeniem tych słów, gdy dalej szli przez las. Zorientowała się, że Jack zwalnia, żeby nie musiała za nim biec, lecz wyczuwała w nim napięcie i głód, który gonił go na elfowy bal.

– Opowiedz mi – odezwał się, czekając, aż Hazel wdrapie się na skalny próg, i spoglądając na tarczę księżyca, a potem znowu na Hazel. – Opowiedz mi, co wiesz o rogatym chłopcu i Amandzie.

– Po tym, co się wydarzyło w szkole, już nie jestem pewna, czy cokolwiek wiem – wyznała Hazel. – On powiedział, że strzyga na niego poluje, a od ciebie dowiedziałam się, że tropi go Król Olszyn. Myślisz, że to Król nasłał potworę?

– Cóż, zaiste. To niewykluczone – powiedział Jack i uśmiechnął się, słysząc, jak dziwnego słowa użył. – Ale ty wiesz lepiej, w końcu to ty z nim rozmawiałaś.

– Szuka jakiegoś miecza – powiedziała Hazel. – Twierdzi, że tylko nim może pokonać strzygę.

Zagłębili się w las bardziej niż kiedykolwiek od czasów jej dzieciństwa i już wtedy zdawała sobie sprawę, że wkracza na teren obcy i niebezpieczny. Drzewa tu były stare, o potężnych pniach, a plątanina gałęzi nad głową tak gęsta, że przesłaniała gwiazdy. Opadłe liście szeleściły i chrzęściły pod stopami Hazel jak kobierzec z papierków po cukierkach.

– Mówiłaś coś jeszcze, że się tobą wysługują?

– O, zapamiętałeś.

– Trudno zapomnieć – stwierdził.

– Od jakiegoś czasu... Gubię czas. Nawet nie wiem dobrze, ile mi go odebrano.

Nigdy dotąd nie powiedziała tego na głos.

Jack przyglądał jej się uważnie przez dłuższą chwilę.

– To... To niedobrze.

Nie odpowiedziała, ruszyła dalej. Jack milczał, a Hazel była mu za to wdzięczna. Obawiała się, że będzie ją wypytywał; całkiem możliwe, że ona sama na jego miejscu tak by postąpiła. Jednak najwyraźniej zamierzał jej pozwolić, żeby to ona decydowała, kiedy i o czym mu powie.

Dotarli na grzbiet wzgórza, stanęli pośrodku głogowego, rosochatego kręgu; plątanina korzeni pokrywała strome schodki prowadzące na szczyt, gdzie pośród wysokich traw wznosiły się fundamenty jakiejś prastarej budowli. Schody były schodzone i spękane, w ich szczelinach plenił się mech. Schody prowadziły do zwieńczonej łukiem bramy. Powietrze było pełne nikłych dźwięków, to odległej muzyki, to śmiechu; zanikających od czasu do czasu, jakby zdmuchnął je wiatr.

Nagle Hazel zrozumiała, gdzie się znajdują, chociaż dotąd tylko słyszała o tym miejscu. Był to dom spotkań, który jeden z założycieli miasta próbował wybudować, nim odkryto, że wzgórze to jest własnością Małego Ludku. Jak głosiła wieść, co zbudowano za dnia, znikało przez noc; wykarczowany las odrastał przed świtem. Pękały styliska łopat, mnożyły się wypadki, łamały się kości i lała krew, aż wreszcie ktoś poszedł po rozum do głowy i Fairfold zaczęto budować od nowa wiele mil na południe od tego miejsca. Pierwszy ukończony dom spotkań powstał bez żadnych przeszkód czy wypadków.

Wzgórza elfów są puste w środku – tak powiedział jej kiedyś pan Schröder. – Puste jak elfowe obietnice. Puste powietrze i puste słowa!

Hazel wzdrygnęła się na tę myśl.

Jack podszedł do kolczastych pnączy. Rosły między nimi szkarłatne róże o płatkach pokrytych aksamitnym puszkim gęstym jak futerko. Ich łodygi poruszały się, pełzając, wyginając, tak że tworzyły ścieżkę, ale tak powoli, że gdyby się odwrócić i spojrzeć znowu, można było pomyśleć, że nic się nie zmienia. Jack zerknął na Hazel i uśmiechnął się, unosząc brwi.

– Ty to sprawiłeś? – spytała Hazel szeptem, chociaż nie wiedziała, dlaczego uznała, że należy w tym miejscu przemawiać ściszym głosem. – Czy ścieżka i dla mnie pozostanie otwarta?

– Tego nie wiem na pewno. Trzymaj się blisko mnie – odpowiedział, podczas gdy za nim skręcała się kolczasta gęstwina.

Zaczęli się wspinać, Hazel z ręką na plecach Jacka, na tyle blisko, żeby głogi ją przepuściły.

Jack wbiegł po ostatnich stopniach, a potem stanął w bramie, tupnął trzykrotnie o próg i zawołał:

– Damy i panowie, co chodzą niewidziani; damy i panowie w zieleń odziani, po trzykroć o ziemię stopą uderzyłem, wpuszczaj mnie, wzgórze, bo tu się urodziłem.

Na dźwięk tych słów Hazel przeszedł dreszcz. Wierszyk przypominał rymowanki, które układali z bratem jako dzieci, gdy bawili się w lesie, ale jednocześnie wydawał się o wiele starszy, ułożony przez kogoś przed wiekami.

– Tak po prostu? – spytała.

– Tak po prostu. – Uśmiechnął się szeroko, rozpromienił, a zarazem spoglądał tak, jakby chciał spytać, czy Hazel odważy się na ten ostatni krok. – Twoja kolej.

Przeszedł przez bramę i pozwolił swojemu ciału opaść w tył.

Hazel nawet nie zdążyła krzyknąć. Podbiegła, żeby zobaczyć, czy nic mu się nie stało, ale jego już tam nie było. Zniknął. Wszystko inne było na swoim miejscu, resztki fundamentów, srebrzące się w księżycowej poświacie źdźbła długich traw. Nie wiedząc, co robić, przeskoczyła przez bramę w nadziei, że ją także wpuści.

Wylądowała na trawie, straciła równowagę i padła na kolana, uderzając się boleśnie. Kolce wczepiły się w jej dzinsy i aksamitną bluzę. Nie znalazła się w innym świecie. Przeciwnie, znajdowała się dokładnie w tym samym miejscu co przedtem, tylko że była już sama.

Powiew wiatru wprawił kolczaste gałęzie w drzenie, przyniósł ze sobą dobiegający znikąd odgłos srebrzystego śmiechu.

– Jack – zawołała. – Jack!

Ciemność pochłonęła jej głos.

Tak po prostu. Jednak głogowe ciernie się przed nią nie rozstąpiły, a wierszyk nie mógł dla niej zadziałać. Słowa były nieodpowiednie. Przecież nie urodziła się pod tym zielonym wzgórzem. Nie była elfką i nie posiadała magicznych uzdolnień.

Czyżby to był jakiś sprawdzian? Hazel wstała, znów wspięła się po schodkach. Nie była dobra w rymowankach, ale może wystarczy trochę zmienić sens wierszyka, może wtedy wzgórze pozwoli jej wejść? Dziwna to była magia, przerażająca. Tupnęła trzy razy, wzięła głęboki wdech i zawołała:

– Panie, panowie, którzy chodzicie niewidziani, panie, panowie w zieleń odziani, moja stopa po trzykroć w ziemię uderzyła... – tu Hazel zawahała się przez ułamek chwili, by zaraz wykrzyknąć jedyny powód, dla którego elfowy ludek mógłby jej pozwolić uczestniczyć w biesiadzie: – Wpuście mnie zaraz, bym się zabawiła!

Zacisnęła powieki i jak poprzednio przestąpiła bramę. Upadła jak przedtem, lecz tym razem nie wylądowała na ziemi, bo ta się przed nią rozstąpiła. Hazel runęła w dół, ogarnęła ją ziemista woń; odruchowo próbowała się czegoś chwycić, lecz w jej dłoniach pozostały jedynie kamyki i korzonki. Rozpaczliwie zaczerpnęła tchu, szarpnęła się raz jeszcze, a potem pogrążyła w nieprzeniknionym mroku.

Krzyknęła mimo woli, żołądek podszedł jej do gardła. Wywinęła w powietrzu fikołka, po czym ujrzała pod sobą rozmazany pędem upadku przedziwny świat. W następnej chwili pochwyciła ją sieć korzeni, długich, białych i włochatych. Pod nią, w blasku świetlików i światełek, odbywała się

elfowa biesiada. Dojrzała taneczne kręgi i bankietowe stoły; dojrzała elfów odzianych w futra, zbroje i powiewne szaty. Kilkoro z nich spojrzało w jej stronę, ktoś komuś wskazał ją palcem, rozległy się pojedyncze śmiechy, ale większość biesiadników nie zauważyła, że Hazel zawisała nad nimi niczym żywy żyrandol. Potem zaś ujrzała ustawiony na wielkich granitowych płytach tron, który zdawał się wyrastać z litego kamienia. Wyłożony był futrami. Zasiadał na nim mężczyzna okryty zbroją; paż szepnął mu coś do ucha, a wtedy król popatrzył w stronę Hazel, lecz, w przeciwieństwie do swoich dworzan, nawet się nie uśmiechnął.

A więc przybyła na dwór Króla Olszyn w noc pełni księżyca. Większej śmiałości nie potrafiła sobie nawet wyobrazić.

Hazel poruszyła nogami, szukając oparcia dla stóp na korzeniach, w nadziei że może uda jej się po nich zejść. Jednak wtedy korzenie puściły. Hazel znowu spadła, tym razem czekało ją twarde lądowanie. Po krótkiej chwili oszołomienia, kiedy mrugając, widziała tylko sklepienie sufitu, dźwignęła się na kolana. Ktoś podtrzymał ją za ramię, pomagając wstać.

– Dzięki – rzuciła odruchowo.

W następnej chwili zdała sobie sprawę z popełnionego błędu. Nigdy im nie dziękować.

Przed nią stał upiorny stwór o wielkich czarnych ślepiach i przyglądał jej się z niesmakiem. Od czubka pomarszczonego nosa aż po grzebień na sklepieniu czaszki porośnięty był popielatym futrem, stamtąd długie włosy opadały na ramiona, sięgając aż do pasa. Istota ubrana była w krzywo wycięty skórzany fartuch. Puściła Hazel, jakby niechcący dotknęła czegoś wstrętnego i odeszła, nie oglądając się za siebie.

– Przepraszam – zawołała za nią Hazel, po czym od razu przyszło jej na myśl, że być może w ten sposób tylko dodała obrazę do obelgi.

Bał w żadnej mierze nie odpowiadał jej wyobrażeniom, nawet w snach o rogatym chłopcu nie widywała niczego podobnego. Nie przygotowały Hazel na ten widok opowieści snute przez mieszkańców Fairfold. Muzyka sączyła się, niosąc bolesną słodycz. Hazel brakło tchu, kręciło jej się w głowie.

Przedziwne stworzenia wirowały na udeptanej ziemi, niektóre z długonogą, płynną gracją; inne stąpały ciężko lub dziko hasały. Maleńkie elfy śmigwały w powietrzu na postrzępionych skrzydełkach jak ćmy, szczerząc do Hazel ostre zęby. Krasnoludy w brązowych oponczach, o włosach sterczących z łbów na wszystkie strony niczym pręciki kwiatów, grały w kości albo piły duszkiem z

bogato zdobionych szklanych kielichów lub drewnianych czarek. Wysokie istoty, połyskujące w półmroku jakby wewnętrznym światłem, wirowały w sporządzonych z liści szatach, w kunsztownych gorsetach z kory drzew, w bajecznych srebrnych kolczugach.

Inne jeszcze stworzenia, znacznie mniej przypominające ludzi, przechadzały się pośród gości na nogach długich jak szczudła, pochylając nad nimi twarze sękaty niczym gałęzie drzew.

Wszyscy tu byli przerażający, piękni i straszni jednocześnie.

Pośród tej zbieraniny, jakby nie bacząc na niebezpieczeństwo, zażywali uciech ludzie, których znała. Mieszkańcy Fairfold. Na przykład pani Donaldson, na co dzień wychowawczyni przedszkolna, tańczyła teraz boso ze stworem o sowej twarzy. Wesoły Nick, długowłose koleś, który miał się różnych dorywczych zajęć, a głównie ostrzył noże, zataczał się w płasie, powiewając wokół czarnymi jedwabnymi szarfami. Obok niego Hazel zauważyła młodego faceta, którego nazwiska nie pamiętała, ale widywała go często, bo pracował w sklepie, głównie zajmował się rozstawianiem towaru na półki. Kiedyś widziała, jak żonglował jabłkami w dziale z warzywami i owocami. Ludzi nie było wielu, jednak to tu, to tam Hazel dostrzegła stroje ze swojego świata, nawet jeśli w półmroku nie widać było twarzy.

Tylko czy oni na pewno byli ludźmi? A może elfami, którzy przebywali pośród ludzi, więc przybrali ludzką postać? A jeśli istotnie byli ludźmi, to czy wiedzieli, że tu są, czy może rankiem obudzą się z błotem na stopach, tak jak Hazel i zatrą im się wspomnienia minionej nocy?

Rozpoznała zresztą nie tylko istoty ludzkie, niektóre ze stworów także nie były jej obce. W kącie siedział porośnięty gęstym włosiem ogr o imieniu Surowy Łeb i opychał się złotymi żukami. Słyszała o nim i o jego upodobaniu do ludzkiego mięsa. Kiedyś nawet już niemal była na jego tropie, domyślała się w każdym razie, gdzie znajduje się jego matecznik. Kiedyś, czyli gdy była dziewczynką z wielkim ostrym mieczem. Surowy Łeb wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu, tak jakby i on ją rozpoznał.

Ruszać się – nakazała sobie. – Nie stać i nie gapić się. Ruszać się.

Hazel zaczęła się więc przechadzać pośród biesiadników, po prostu stawiając krok za krokiem, przemieszczając się bez żadnego konkretnego celu. Jacka na razie nie zauważyła; miała nadzieję, że jest gdzieś w pobliżu, bo naprawdę strasznie było bez niego poruszać się w tłumie elfowych gości, starając się trzymać z daleka od tańczących, przemierzać próżne wzgórce. W

powietrzu unosiły się wonie róż, szaławii oraz lewkonii, aż kręciło jej się w głowie. Chociaż wewnętrznie trzęsa się ze strachu, przecież musiała się dowiedzieć jak najwięcej o roгатym chłopcu, potworze i tajemniczych wiadomościach od tajemniczej czy tajemniczego Ainsel. W przeciwnym razie narażałaby się na próżno.

– Napijesz się? – zaczęła ją drobna, długonosa istota o krótkim, lecz grubym ogonku i kruczoczarnych oczach. Trzymała w rękach tacę zastawioną maleńkimi kubeczkami z rzeźbionego drewna zawierającymi jakiś płyn, tak maleńkimi jak naparstki. – Na żyto klnę się i miesiąc, że takich słodkości jeszcze nie kosztowałaś.

– Nie, dziękuję... – urwała w porę, powstrzymując się w ostatniej chwili, żeby nie podziękować kolejnej magicznej kreaturze. Pokręciła głową. – Nie, nie trzeba.

Istota wzruszyła ramionami i poszła dalej, jednak to przelotne spotkanie przyprawiło Hazel o wewnętrzną drżączkę. Znała wszystkie zasady, lecz niełatwo było przywyknąć do ich przestrzegania. Trzeba było kontrolować każdy odruch, a było to znacznie trudniejsze, niż się spodziewała.

Roześmiana elfka o grubych warkoczach splecionych z czerwonych włosów minęła ją, ale zatrzymała się. Jej towarzysz miał kozią głowę.

– Czy to nie ty mnie kiedyś rysowałaś? – spytała.

Przez krótki moment Hazel nie wiedziała, o czym mowa, ale zaraz potem przypomniała jej się ta opowieść, która w istocie była historią Bena.

– To była moja matka.

Elfka zdumiała się, zmarszczyła czoło.

– A więc to się zdarzyło aż tak dawno? Czy to możliwe? W takim razie musisz mi zagrać! Czyż nie otrzymam pieśni w zamian za mój dar?

Hazel potrząsnęła głową.

– Nie, to był mój brat. Mnie wtedy jeszcze nie było na świecie, a muzyk ze mnie okropny. Nie chciałabyś słyszeć mojego śpiewu. – Przez chwilę pomyślała, że może powinna powiedzieć jej, jak nędzną korzyść odniósł Ben z tego daru, ale obawiała się, że byłoby to pogwałceniem osławionego nakazu grzeczności. – Ale... Powiem Benowi, że cię widziałam.

– Tak uczynić – odparła elfka. – Niech przyjdzie tu i zagra dla Melii, a ja sprawię, że rubiny będą sypać się z jego języka.

Brzmiało to raczej jak groźba niż obietnica, ale Hazel skinęła głową; nie wiedząc, co robić dalej, pokłoniła się, choć niezbyt głęboko, i wycofała. Potem

ruszyła prędej przez tłum rozbawionych gości. Widziała fletnistów i skrzypków. Widziała chude jak szczapy istoty o pokrytych pyłkiem skrzydłach; smukłe dziewczęce istoty o zielonej skórze, czarnych ustach i językach, odziane w suknie zwiewne jak mgła; długopalce dziewoje ze splecionymi z gałązek wiankami w burzy rozpuszczonych włosów; widziała chłopców o lwich stopach – uśmiechali się kpiąco. Wronołaczki śmiały się, wszystkie jednocześnie; widziała też wielkie, bezkształtne stwory o potężnych kończynach porośniętych mchem i gębach pełnych zębisk, które wydawały się zdatne raczej do chrupania głązów, nie kości.

Ktoś chwycił ją za rękę. Odwróciła się gwałtownie, wyrwała i dopiero wtedy się zorientowała, kto ją złapał.

– Hazel. – Jack był zdyszany i wyraźnie zaniepokojony. – Nie wiedziałem, gdzie się podziewasz.

– Zostawiłeś mnie samą. – Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzała.

– Przecież szłaś tuż za mną – zdziwił się. – Myślałem, że podążysz moim śladem, tak samo jak kiedy szliśmy ścieżką.

– Nie, nie udało mi się.

Jack nie był sam, Hazel ujrzała obok niego wysoką, patykowatą elfkę o skórze barwy brązowej kory drzewnej pokrytej srebrzystym nalotem. Kolor jej oczu zmieniał się nieustannie, to lśniły złotem, to jaśniały zielenią.

Nie mógł to być nikt inny jak elfowa matka Jacka. Oczy miała dokładnie takie jak z opowieści.

– Rudzielec – stwierdziła elfka, obróciła głowę Hazel w lewo i w prawo. Potem chwyciła za pasmo jej włosów i mocno pociągnęła. – Kiedyś powiadano, że to oznacza czarownicę. Czy jesteś czarownicą, dziecko?

– Nie, pani – zaprzeczyła Hazel. Przynajmniej tym razem pamiętała o grzeczności.

– A co cię tu sprowadza? Choć powinnam raczej spytać, kto cię tu przyprowadził.

– Ainsel – odparła Hazel, licząc, że to imię ma jakieś znaczenie.

– Żarty się ciebie trzymają, nieprawdaż? – odpowiedziała elfka, krzywiąc się.

– A więc pani wie, kto to jest! – zawołała Hazel, nie posiadając się z niecierpliwości, by wreszcie czegoś się dowiedzieć. – Proszę, proszę mi wyjawić.

– Jakże to być może, że nie pamiętasz? – Zmarszczenie brwi nakazywało Hazel milczenie. Elfka wskazała długim palcem Jacka. – Ja sędzę, że to ten chłopak cię przyprowadził. Ten chłopak i nikt inny. Bardzo niesłusznie postąpił. Nie wiem, czego tu szukasz, lecz to nie jest miejsce dla ciebie.

Hazel nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć, zwłaszcza że miała nie wspominać o Fairfold, przecież Jack ją przed tym przestrzegwał. I nie wiedziała, jak skierować rozmowę z powrotem na Ainsel.

– Jack? Jasne, to on mnie przyprowadził, ale...

Elfka chodziła wokół nich dwojga, Jack przysunął się do Hazel, gotów osłonić ją swym ciałem, gdyby jego matka znów chciała wyciągnąć do Hazel rękę.

Elfka przerwała jej, podnosząc głos.

– Jack? Ona tak się do ciebie zwraca? Jack czy Jacku? I co za Jacku? Święty Jacku z pierogami? Jacku-placku? Jacek, Jacek, co ma sto macek? Jacuniu, kuku na muniu?

– Śmieszne, ale tam się nazywam po prostu Jack – odpowiedział.

Hazel zaśmiała się. To było krótkie, niezręczne parsknięcie, które wypsnęło jej się i którego natychmiast pożałowała. Po prostu zaskoczył ją, odpowiadając tak zwyczajnie i spokojnie na jej złość.

– Cóż może mnie obchodzić, jeśli on chce spędzać czas w Fairfold? Jeśli chce się bawić w ludzkie dziecię, czyż to moja sprawa? Niech sobie zajada strawę śmiertelników, śpi w łóżku śmiertelnika i całuje śmiertelną dziewczynę, ale i tak nigdy nie będzie człowiekiem. To zawsze będzie tylko igraszka.

Zwracała się bezpośrednio do Hazel, ale najwyraźniej te słowa w rzeczywistości adresowane były do Jacka. Hazel pomyślała, że pewnie już nie pierwszy raz odbywają taką rozmowę. Jack uśmiechnął się.

– Niech tam drzewo rośnie, gdzie je posadzono.

To było jak najbardziej ludzkie powiedzonko i Hazel słyszała je po wielokroć, teraz jednak nabrało swoistego wydźwięku.

Elfowa matka Jacka nie zamierzała odpuścić. Wciąż wpatrywała się w Hazel.

– A więc przybyłaś, by ściągnąć go z grzbietu białego rumaka, niczym w balladzie? Jesteś tu, by go przed nami ocalić? – pytała, wskazując długimi palcami obu rąk rozległą płataninę korzeni u sklepienia. – A może to on znalazł się tutaj, aby cię uratować?

– Przestań – zawołał Jack, odgradzając ją od Hazel ramieniem. – Wystarczy tego, dobrze? Przestań do niej mówić w ten sposób. Naprawdę wystarczy, bo i tak już powiedziałaś o wiele za dużo.

– Tylko pamiętaj, krew nie woda – odparła.

Jeden z wysokich rycerzy, okryty lśniąca srebrzystą zbroją – o naramiennikach wykutych w złocie na kształt krzyczących twarzy, podszedł do nich, skłonił się lekko i zwrócił do Hazel.

– Król Olszyn ją przyjmie.

Elfowa matka Jacka skinęła głową, spojrzała na syna z ukosa.

– Cóż za zaszczyt – powiedziała, ale ton głosu zaprzeczał jej słowom.

Rzecz jasna, Hazel słyszała rozmaite opowieści o Królu. W każde przesilenie jesienią i wiosną mieszkańcy Fairfold składali mu dary. Kiedy pogoda nie sprzyjała, powiadali, że pewnie się złości. Gdy nie dość prędko nadchodziły ciepłe dni, mówili, że pewnie jeszcze nie zbudził się ze snu zimowego. Nigdy jednak nie wyobrażała go sobie jako realnej postaci. Był potężny, ale Hazel wydawał się zbyt odległy, by mógł być czymś innym niż legendą.

– Prowadź, panie – odpowiedziała rycerzowi.

Jack chciał pójść razem z nią, ale matka chwyciła go mocno za ramię, wbijając gałązkowate palce w skórę. Próbowiła to skryć, ale gdy przemówiła, w jej głosie słychać było prawdziwe przerażenie:

– Nie, ty nie. Zostaniesz ze mną.

Jack odwrócił się do niej z wysoko uniesioną głową, nawet w ludzkim stroju w tej chwili biła od niego godność elfa wysokiego rodu.

– Obecny tu Marcan nie wślawił się okazywaniem należytych względów ludzkim istotom. – Spojrzał surowo na rycerza. – Czy się nie mylę?

– Ciebie, podmieńcze, nikt nie prosi i o zdanie nie pyta – odparował rycerz.

– A ponadto Hazel nie ma nic przeciwko temu, żeby ze mną pójść. Nie raz już krzyżowaliśmy ze sobą ostrza.

Hazel nie miała pojęcia, o czym rycerz mówi. Może miał coś wspólnego ze stworzeniami, które zwalczała w dzieciństwie? W każdym razie Jack chyba zamierzał się spierać, nawet sięgnął do tylnej kieszeni spodni, może po jakąś broń...

– Już dobrze – powiedziała Hazel. – Jack, wszystko będzie okej.

Elfowa matka Jacka pochyliła ku niemu wiotkie ciało, by wycisnąć na jego czole pocałunek. Hazel nigdy nie przypuszczała, że elfowej matce brakuje obecności utraconego syna, nigdy nie zastanawiała się, jak wygląda opowieść

o przybyciu Jacka do rodziny Gordonów z drugiej strony, teraz jednak nie mogła o tym nie pomyśleć.

– Śmiertelna nie znaczy śmiertelnie przerażona – powiedziała mu, niemal bezgłośnie szepem, nadrabiając miną.

Z zaciśniętymi szczękami i furią w oczach Jack cofnął się jednak i pozwolił Marcanowi poprowadzić Hazel poprzez klepisko podziemnej siedziby.

Król Olszyn zasiadał na wielkim kamiennym tronie, który dostrzegła, wisząc jeszcze na korzeniach pod sklepieniem. Poroże jak u jelenia wyrastało spod diademu nałożonego na głowę, miał na sobie lśniąca zbroję z brązu, przy czym każda z jej płytek kończyła się szpikulcem, a zachodziły na siebie w taki sposób, jak Hazel wyobrażałaby sobie łuski smoka. Miał zielone oczy, tak jasne i świetliste, że przywodziły na myśl płynną truciznę, a może tylko płyn do płukania ust. Na każdym palcu obu dłoni miał inny, kunsztownie sporządzony pierścień.

Na jego kolanach spoczywał złoty miecz o zdobnym jelcu i rękojeści. Przez chwilę wydawało się Hazel, że to jej zaginiony oręż, jednak gdy zbliżyła się jeszcze o krok czy dwa, zorientowała się, że jej miecz miał mniej zdobną rękojeść. Wszyscy jego rycerze uzbrojeni byli podobnie, w klingi z jasnego metalu, lśniące niczym polerowany blask słoneczny lub spoczywające w obsydianowych pochwach.

U stóp Króla Olszyn przycupnęła blada i naga poczwara, z którą Hazel dobiła targu wiele lat temu, ta dziwna kotowata istota w karmazynowe cętki. Stwór przyglądał jej się leniwie spod na wpół przymrużonych powiek. Potem pozdrowił ją ruchem dłoni zbrojnej w długie szpony.

Wszystkie starannie obmyślane pytania o pamięci i potworach wyleciały jej z głowy. Przyklęła na jedno kolano. Ujrzała przy tym, że coś połyskuje w szparze między tworzącymi podest wokół tronu kamiennymi, cyzelowanymi płytami; tak jakby światło odbijało się od upuszczonej przez kogoś monety.

– Rycerzu Hazel – odezwał się Król Olszyn, pochylił się, wbił w nią spojrzenie tych zdumiewających oczu. Jak przystało na władcę z baśni, był zarazem straszny i piękny, piękny mimo okrutnego skrzywienia warg. – Nie przypominam sobie, bym cię wzywał.

– No, nie, ja... – Hazel popatrzyła na niego, osłupiała.

– Pamiętam zaś dokładnie, że wyraźnie ci powiedziałem: masz nigdy nie zjawiać się na przyjęciach pełni księżyca. Za to zeszłej nocy, kiedy potrzebowałem cię podczas łowów, zignorowałaś moje wezwanie. Czyżbyś tak

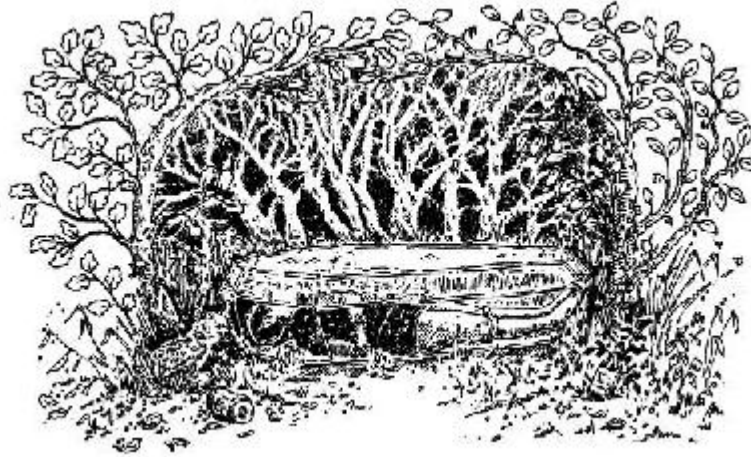
prędko zapomniała o naszej umowie? Czy pragniesz własnej zguby, Hazel Evans? A czy ja nie spełniłem najgłębszego, najskrytszego życzenia twojego serca, czyż nie otrzymałaś ode mnie najwspanialszego daru, o którym nawet nie śmiałybyś marzyć? Czy cię nie przyjąłem do swojego dworu? Wiedz, że równie łatwo mogę ci ten honor odebrać. Możesz służyć mi na wiele sposobów, bardzo dla ciebie niemiłych.

– Ja... – Hazel otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz nie zdołała wykrztusić ani słowa.

Nagle Król Olszyn roześmiał się.

– Ach – powiedział tonem nieco podobnym do tego, jakim zwróciła się do Hazel tamta elfka, która wzięła ją za jej matkę. – Ty nie jesteś moją Hazel, prawda? Nie jesteś moim rycerzem. Ty jesteś tą Hazel Evans, która żyje za dnia.

ROZDZIAŁ 14



Hazel pomyślała, że może powinna wstać, nie była jednak w stanie nawet drgnąć. Odgłosy biesiady docierały do niej z daleka jak przez gęstą mgłę.

Król Olszyn nazwał ją rycerzem, ale zwrócił się do niej po imieniu.

Także elfowa matka Jacka zadawała jej dziwne pytania. Hazel знаła balladę, w której ktoś kogoś ściągał z grzbietu białego rumaka. Chodziło o *Tam Lin*, w której rycerz z rodu ludzkiego musiał oddać się na służbę królowej elfów, a ocaliła go dzielna śmiertelniczka, Janet.

Do tego wiadomość w orzechu: *Rad, nie rad, siedem lat długu spłat*. Do tego jeszcze dziwne słowa rycerza, że krzyżowali już ze sobą ostrza.

Wciąż brakowało jej słów.

– Jak... – zdołała w końcu wykrztusić.

– Nie pamiętasz, jaką zawarłaś ugodę?

Król Olszyn pochylił się nad nią, poroże wysunęło się do przodu.

– Obiecałam siedem lat swojego życia. Tego nie mogłabym zapomnieć. – Hazel wzięła głęboki wdech. Z wolna odzyskiwała przytomność umysłu. Z bijącym sercem wstała, gotowa na słowną utarczkę. W niej mogła znaleźć odpowiedzi, których potrzebowała. Wystarczyło tylko właśnie teraz zadać właściwe pytania. – Chcesz rzec, Najjaśniejszy Panie, że już spłacam swój dług? Nie pamiętam... Nie pamiętam, żebym to robiła.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

– Czyż to nie wspaniałomyślne z mojej strony, że odebrałem ci te wspomnienia? Co noc, gdy tylko zapadasz w sen, aż po chwilę, gdy twoja

głowa znów spoczywa na poduszce, należysz do mnie. Służysz mi jako rycerz, ja ci wydaję rozkazy, a przy tym twoje codzienne życie płynie jakby nigdy nic. Od dzieciństwa wykazywałaś zdolności, i ja je ukierunkowałem. Uczyniłem cię rycerzem mojej świąty.

Hazel doskonale wiedziała, że kto nie śpi przez ileś tam tygodni z rzędu, musi umrzeć. Nie mówiąc już o całych latach, co za niedorzeczność. Równie trudno było jej uwierzyć, że pobierała rycerskie nauki pod wzgórzem, że wyuczono ją, by była taka jak ci tutaj, okryci pancerzami. Zerknęła na trzech z nich, którzy pełnili straż obok tronu Króla Olszyn; wyglądali jak z historycznego obrazu, z tym że przedstawiającego epokę, której nigdy nie było.

– To wydaje się niemożliwe...

– A jednak – odpowiedział Król Olszyn, wykonując gest, który zapewne w jego mniemaniu wszystko wyjaśniał. Magia: zarówno pytanie, jak i odpowiedź. – Co wieczór przybywaliśmy do twojego okienka i nieśliśmy cię powietrzem na nasz dwór. Jesteś rycerzem, wszak zawsze o tym marzyłaś.

Oddychać – nakazała sobie Hazel. – Oddychać.

Przypomniała sobie zmęczenie towarzyszące jej nieustannie podczas pobytu w Philadelphii; znużenie, które właściwie nigdy nie ustępowało. Teraz przynajmniej wiedziała, skąd się brało – to nie dojrzewanie, jak sądziła jej matka.

– Nigdy nie marzyłam, żeby być akurat twoim rycerzem, Najjaśniejszy Panie.

– Och, czyżby? – odparł przeciągle Król Olszyn, jakby znał prawdę w jej sercu lepiej niż ona sama. – Zakazałam ci mówić twojej codziennej postaci, jak to urządziłem, przyznaję jednak, że z niemałą przyjemnością przyglądałam się twemu zdumieniu.

Hazel wciąż brakowało słów. Wyszło na to, że nie zna samej siebie. Więcej: że zdradziła swoje ideały w jakiś niesłychany, może nawet odrażający sposób, tylko wciąż jeszcze nie była pewna, jak daleko się posunęła. Pamiętała sen o tym, jak pędzi konno przez las z innymi rycerzami u boku i jak z uśmiechem wymierza ludzkim istotom karę za urojone winy. To straszne, bo nie wiedziała już, kim przez te lata się stała.

Król się roześmiał.

– Cóż, rycerzu Hazel, skoro nie przybywasz jako mój rycerz, cóż cię do nas sprowadza?

Teraz trzeba było myśleć prędko, odłożyć na bok rozmyślania dotyczące tej drugiej, podejrzanej osobowości.

Król nie może się dowiedzieć, że to ona rozbiła trumnę Severina. Poprzedniej nocy nie spała, włączyła się z Benem po lesie, więc jej alter ego nie mogło się pojawić na dworze, nikt nie mógł jej o nic wypytać, a ona niczego zdradzić. Skoro Król Olszyn nie życzył sobie, żeby wiedziała o swojej nocnej postaci, to nie jego dotyczyło tajemnicze imię Ainsel. To jednak mogło znaczyć, że jako rycerz miała na tym dworze jakiegoś sprzymierzeńca, że ktoś z nią współdziałał.

Spojrzenie Hazel spoczęło na stworze leżącym u stóp Króla Olszyn. Ta właśnie istota przyjęła od niej ślubowanie i choć uczyniła to w imieniu swojego monarchy, być może też w jakimś stopniu ma nad nią władzę.

– Przybyłam tu, bo w Fairfold pojawił się potwór. Chcę wiedzieć, jak go pokonać.

Jego uśmiech był zimny, gdy sięgnął po srebrny kubek i podniósł go do ust. Kilkoro dworzan się zaśmiało.

– Na imię ma Rozpacz. To potężna i groźna istota, a skóra jej zgrubiała na korę tak twardą, że nawet nasz elfowy metal się jej nie ima. Nie możesz jej pokonać i zanim spytasz, wyjawię ci, że jedyną odtrutką na śpiączkę, którą roznosi, jest jej krew przypominająca drzewne soki. Cóż więc powiesz na kolejną umowę, Hazel Evans?

– Jakiego rodzaju? – spytała Hazel.

– Potwora podąża tropem Severina. Po tych wszystkich latach odkryłem sposób, by stała mi się posłuszna. – Uniósł dłoń, pokazując kościany pierścień.

Mówił dalej, nie zwracając uwagi na wyraz twarzy Hazel.

– Przeprowadź mi Severina, a ja nie użyję jej potęgi przeciwko Fairfold. Co więcej, trzymać będę na wodzy innych swoich poddanych. Ongisiejszy stan rzeczy powróci, będzie tak, jak dawniej.

Hazel była tak zaskoczona, że aż się roześmiała.

– Mam sprowadzić Severina?

Równie dobrze mógłby żądać od niej księżycy i wszystkich gwiazd.

Król Olszyn nie sprawiał wrażenia szczególnie rozbawionego, raczej już się niecierpliwił.

– Tak, taki rozkaz zamierzałem wydać mojej Hazel, lecz zeszła noc minęła, a ona się nie stawiała. Przez ciebie straciłem dwie noce jej służby, łącznie z

dzisiejszą. Ma wytropić rogatego chłopca, Severina, który jest moim synem i śmiał uciec ze swojego więzienia. Rycerz Hazel ma uśmiercić każdego, kto mu sprzyja i przywlec Severina przed moje oblicze, abym wywarł na nim swój gniew.

Ma przyprowadzić mu Severina. Severina, który jest jego synem. A jej królewiczem. Jak najprawdziwszym królewiczem.

Czy ja rzeczywiście byłabym w stanie czegoś takiego dokonać? – przeszło Hazel przez myśl. Pilnowała się teraz, bo istniała obawa, że mimo woli znów się roześmieje. Wszystko to wydawało się takie absurdalne.

– Dlaczego ja? – spytała ostrożnie.

– Uważam, że jest właściwe, by pokonała go istota śmiertelna – odparł Król Olszyn. – Twoja lepsza postać sama z siebie wiedziałaby, że nie warto ze mną igrzać, natomiast gdyby tobie przyszło do głowy, by w romantycznym porywie udzielić mojemu synowi ostrzeżenia, pozwól sobie wyjaśnić, dlaczego nie powinnaś tego czynić. Pewnie uważasz, że wyrządziłem twoim pobratymcom srogie krzywdy; przekonaj się więc, czego jeszcze mógłbym dokonać i to bez najmniejszego trudu. – Rzucił w stronę jednego z rycerzy: – Przyprowadzić mi tu Bezciernia.

Chwilę potem przed Królem Olszyn stał goblin o dzikim wyglądzie, szarej skórze i spiczastych uszach, miał w łapskach brudną czapkę.

– Na jakie zabawy pozwalam ci w mieście, Bezcierniu?

Goblin wzruszył ramionami.

– Nieliczne, mój panie. Kradnę śmietankę i czasem tłukę talerze. Gdy jedna baba wylała na mnie pomyje, to ją utopiłem. Nic więcej. Tylko tyle, co rzekłeś, panie, że mi wolno.

Hazel była zdumiona, z jaką beztróską przyznał się do morderstwa, jednak nikogo innego to nie zaskoczyło. Król Olszyn spoglądał na niego z pobłażaniem, jakby to były zwykłe elfowe psoty. I zapewne w jego mniemaniu tak właśnie było.

– Lecz nie zawsze im na to pozwalałeś, Najjaśniejszy Panie, prawda?

– Nieco im pofolgowałem, kiedy przekonałem się, jaka to plaga z was, śmiertelnych. Słuchaj jednak uważnie. Bezcierniu, gdybym pozwolił ci czynić wedle swojego upodobania, co byś wtedy robił?

Król Olszyn spojrział znacząco na Hazel.

– Co bym robił? – Mały goblin zarechotał tak paskudnie, że Hazel aż przeszedł dreszcz. – Podpalałbym ich domy, żeby ich upiec w środku.

Szczypałbym ich i szczypał, aż do gołej kości. Przeklinałbym ich, aż by marnieli w oczach i chrupałbym, co po nich pozostanie. Co bym robił? Czego bym nie robił, Najjaśniejszy Panie!

– Powiadano kiedyś i do dzisiaj niektórzy tak sądzą, że owoc leszczyny zawiera w sobie wielką mądrość – podjął Król Olszyn. – Postąp więc mądrze, Hazel. Bezciern to jeden z najmniej groźnych moich poddanych. Wyobraź sobie, jakiej odpowiedzi udzieliłaby Kościana Dziewa. Albo Surowy Łeb. Albo moja wspaniała, upiorna Rozpacz. Nie wystawiaj na próbę mojej dobrej woli. Sprowadź mi tu Severina albo zadręczę Fairfold. Powziąłem swoje plany i nie pozwolę, by ktoś stanął mi na drodze. Teraz Rozpacz go tropi, ale ja jej potrzebuję do innych celów.

Hazel czuła, że jest jej duszno. Wokół wciąż grała muzyka, wciąż trwały płąsy w kręgach, słyhać było śmiechy, lecz teraz w jej umyśle wszystko to się rozmazało i zatarło. I wciąż jakby jej odjęto mowę. Król wypowiedział niesłychaną groźbę, tak przerażającą i straszną, że Hazel ledwo wierzyła własnym uszom.

Po twarzy Króla Olszyn widziała, że władca spodziewa się po Hazel jakiegokolwiek odpowiedzi nie bardziej, niż spodziewałby się, że z muchy stanie się muchomor, jednak coś powiedzieć musiała.

Odezwała się z trudem:

– Jeśli poszczujesz Rozpacz na miasto, ja cię powstrzymam, panie.

Roześmiał się okrutnym śmiechem.

– Ty? Tak jak strzyżyk powstrzymuje burzę? Odejdź, rycerzu Hazel i baw się dobrze na moim balu. Dość, że jutro rozpoczniesz swoje łowy. Daję ci na to dwa dni i dwie noce.

Rycerz z rozwrzeszczanymi twarzami na naramiennikach stanął obok niej. Lutnista zaczął grać. Bezciern pokłonił się i zniknął w ciżbie. Hazel wiedziała, że posłuchanie skończone.

– Aha – odezwał się Król Olszyn, odwróciła się z powrotem ku niemu. – Jeszcze jedno. Mój syn ma miecz, miecz, który mi skradł. Przynieś go tu, a ja ci w zamian daruję twój siedmioletni dług. I powiedz teraz, czy się nie cieszysz, że powierzyłem ci takie zadanie?

– Od jak dawna ci służę, panie? – spytała Hazel. – Oddałam siedem lat, kiedy miałam ich prawie jedenaście. Teraz mam szesnaście lat. Jakkolwiek by liczyć, już pięć minęło.

– Ale przecież służyłaś mi tylko przez pół tego czasu – stwierdził Król Olszyn. – Wszak za dnia wśród nas nie przebywałaś.

Otępiała, szła przez tłum. W końcu udało jej się odnaleźć Jacka, stał przy stole zastawionym złotymi paterami, na których piętrzyły się wysoko stosy rozciętych granatów o lśniących, rubinowych nasionach i wilgotnej, skórzastej łupinie; ciemnych śliwek i winogron tak fioletowych, że niemal czarnych.

To jego pobratymcy, on jest jednym z nich. W zasadzie wiedziała o tym zawsze, ale dopiero teraz ujrzała na własne oczy i naprawdę w to uwierzyła. Dla Jacka to wszystko było czymś dobrze znanym, podczas gdy dla niej ten świat był straszny, tajemny, okropny i przepiękny; do tego ten obcy, okrutny lud... Wszystko to było jak koszmar.

Z drugiej jednak strony w tym obcym miejscu znała tylko jego.

– Co powiedział Król? – spytał Jack. Zdziwił się, kiedy wzięła go za rękę, ale chyba nie miał nic przeciwko temu. – Dowiedziałaś się czegoś?

Hazel potrząsnęła głową. Nie chciała mu tego opowiadać tu i teraz, gdy wokół nich było tyle oczu i uszu. Zresztą w gruncie rzeczy jedynie dowiedziała się o istnieniu jeszcze jednej tajemnicy, a więc doszła następna rzecz, o której nie mogła opowiadać i musiała ją przemyśleć – kolejny problem do rozwiązania.

Pierwszy krok: zorientować się, czy rzeczywiście jej nocna postać opowiedziała się po stronie zła.

Krok drugi: dowiedzieć się wreszcie, od kogo dostaje wiadomości. Dowiedzieć się, czy to ta sama osoba, która nakłoniła ją do rozbicia trumny Severina. Zorientować się, czy ta sama osoba jest w posiadaniu jej miecza.

Krok trzeci: zorientować się, czy Ainsel to przyjaciel, czy kolejny wróg.

Krok czwarty: dowiedzieć się, jakim sposobem miałyby sprowadzić Severina przed oblicze króla.

W zasadzie miała ochotę sięść na ziemi i się rozpłakać. Za dużo tego wszystkiego dla niej jednej. Nikogo innego jednak nie było, a zatem nie za dużo. Nie za wiele, tylko dokładnie w sam raz. Skoro wszystko to spadło na nią, musi sobie z tym wszystkim poradzić, a więc – poradzi sobie.

– Chcesz coś zrobić, zanim wrócimy? – Jack spoglądał na nią z figlarnym uśmiechem i był dziwnie wyluzowany. – Może zatańczymy?

– Nie tańczyć – odparła z wymuszonym uśmiechem. – To przecież jedna z najważniejszych zasad.

Wziął ją za rękę i zaprowadził na środek udeptanego pod wzgórzem parkietu, jakby wychodząc tym samym z osoby tego Jacka, którego znała przez większość swojego życia, który był najlepszym przyjacielem jej brata, z którym czuła się bezpieczna choćby dlatego, że jako facet był dla niej absolutnym tabu.

– Nie pozwolę ci pisać do zderzenia stóp, nie pozwolę ci tańczyć aż po świt. Powiedz, czy to nie rzetelna propozycja?

Bal był równie piękny jak straszny. Może chciał ukazać to piękno komuś ze swojego drugiego życia. Tak wielu rzeczy nie była co do niego pewna, że i w jego obietnicę z trudem przychodziło jej uwierzyć.

Jednak po groźnych słowach Króla Olszyn marzyła jej się choć chwila odprężenia.

– Obiecanki cacanki.

Przez twarz Jacka przemknął cień, ale potem uśmiechnął się, pociągnął ją w stronę muzyki.

Gdy znaleźli się bliżej, pieśni przeniknęły głębiej do jej umysłu. Powrócił zawrót głowy, który odczuwała na początku, gdy tylko przybyła na bal. Powrócił ze zdwojoną mocą, wsiąkając w nią aż do szpiku kości i sprawiając, że jej ciało zaczęło poruszać się z własnej woli.

Powietrze było przesycone słodkim i dzikim aromatem, przesycone szalonymi historiami o śmiałych uczynkach, honorze i brawurze, którymi żyła jako mała dziewczynka. Poczowała przypływ dzikiej radości, teraz ona go pociągnęła w stronę tanecznego kręgu. Muzyka ją porwała i poniosła ze sobą, na przemian upajała ją i napawała lękiem, a potem znów Hazel była jak pijana. Dłoń Jacka trzymała jej dłoń, druga ręka otaczała kibić, a potem obie zniknęły. Rozglądała się za nim, lecz tańczących było zbyt wielu, wszyscy wirowali, obracali się w kręgu, pośrodku którego grał skrzypek. Dziewczyna w koronie z warkoczy, o gęstych brwiach i nieprzytomnym wyrazie twarzy śmiała się tak przenikliwie, że niemal krzyczała. Jakiś chłopiec o szponiastych dłoniach gładził nimi ramiona innego chłopca. Sklepienie wzgórze nad ich głowami zdawało się tak dalekie jak nocne niebo, choć było tylko płataniną korzeni, w której świeciły błędne ogniki. W następnej chwili Jack znowu tańczył obok niej w rytm muzyki. Czasem ich ciała się stykały, był ciepły i silny, i bliższy niż kiedykolwiek. Hazel tańczyła, tańczyła, aż rozbolały ją stopy i mięśnie, ale wciąż tańczyła. Tańczyła, aż odeszły w zapomnienie

wszystkie jej troski. Tańczyła, aż jej kibić znów otoczyła ręka i wyciągnęła ją z kręgu.

Padli oboje na udeptaną ziemię. Jack śmiał się, jego czoło było zroszone potem.

– Świetne to, nie? Nie ma niczego lepszego.

Była półprzytomna, ale jednocześnie doskwierało jej wrażenie okrutnej, niepowetowanej straty. Dźwignęła się, żeby popełznąć z powrotem ku wirującym elfom. W tej chwili zdawało jej się, że jeśli ponownie do nich dołączy, wszystko inne znowu przestanie się liczyć.

– Hej, hej, hej! – Pochwycił ją, pomógł wstać, ale pociągnął ją dalej od muzyki. – Hazel, przestań. Chodź, kochanie, na nas już pora. Przepraszam, nie sądziłem, że to cię tak wciągnie.

Kochanie? To słowo zawisło w powietrzu, przywołało ją do rzeczywistości. Nie, no skąd. Tak mu się wymknęło. Zresztą „kochanie” mówi się do słodkich małych kotków, rozkosznych niemowląt i przesympatycznych staruszek. Hazel zamrugnęła, zaczęło jej się rozjaśniać w głowie.

Zaśmiał się znowu, ale tym razem już trochę niepewnie.

– Hazel?

Skinęła głową, zawstydzona.

– Tak, już dobrze.

Objął ją ramieniem: coś w rodzaju połowicznego przytulenia.

– To świetnie.

W tym momencie od strony tanecznego kręgu podbiegła do nich dziewczyna, chwyciła go za kołnierz. Hazel chciała coś powiedzieć, ale tamta przycisnęła usta do jego warg. Jego ręka zsunęła się z ramion Hazel, powieki zmrużyły. Tamta dziewczyna miała szerokie czerwone usta, skórę w błękitnawym odcieniu, błękitne róże wplecione w potargane ciemne włosy i była piękna urodą, która zwodzi żeglarzy, by kierowali swe statki w samo serce burzy. Hazel nie mogła wiedzieć, skąd się znali, a nawet czy w ogóle się znali, ale zapłonęła się, patrząc, jak poruszają się mięśnie jego szyi i widząc dłoń tej elfki przesuwającą się po jego koszulce, sięgającą pod jej spód. Nie wiedziała, co powinna czuć w takiej sytuacji, najbardziej chciała nie czuć w ogóle niczego. Jack oderwał usta od warg niebieskiej dziewczyny, spojrzał w stronę Hazel nieprzytomnym wzrokiem.

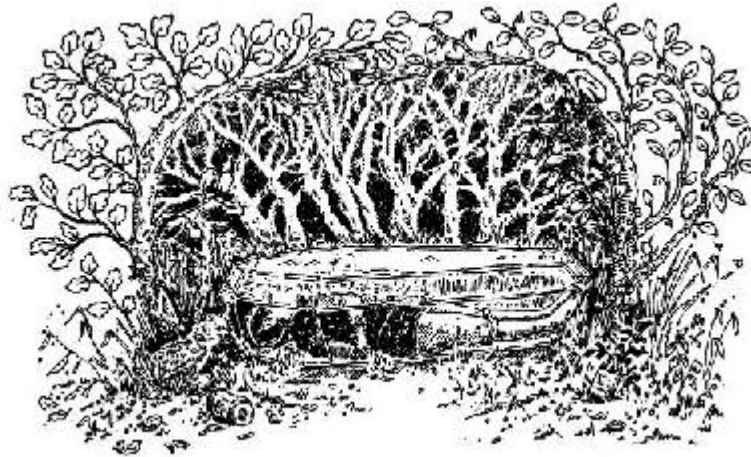
Przyniesiono kubki bursztynowego wina, niosła je na tacy istota okryta złotem. Błękitna elfka pochwyciła naczynie, przytknęła je do ust i wypila.

Potem odwróciła się w stronę Hazel.

I pocałowała ją, mocno, głęboko. Zaskoczona i zdumiona Hazel nie cofnęła się, nie odepchnęła jej. Czuła miękkość warg i chłodny język. W następnej chwili poczuła smak wina, które przepłynęło z tamtych ust do ust Hazel. Żadnego jadła ani napoju. To była jedna z najważniejszych zasad, nie wolno było jej złamać, ponieważ gdy raz się spróbuje ich pokarmu, wszystko inne smakuje niczym pył i popiół. Albo i gorzej, człowieka ogarnia szaleństwo i w końcu nosi wielki grzyb na głowie, biegnie przez miasto w przekonaniu, że ściga go cała armia chochlików. A może się zdarzyć, że i jedno, i drugie. Tak więc i owszem, Hazel wiedziała doskonale, co jej grozi. I jak głupio wpadła.

Smakowało, jakby ktoś wlał jej do gardła gwiazdny blask. Uśmiechnęła się głupawo do Jacka. Później był już tylko huk w jej uszach, a potem – zupełnie nic.

ROZDZIAŁ 15



Ben stał w drzwiach pokoju Hazel, kolejny raz z niedowierzaniem odczytywał kartkę, którą znalazł na łóżku siostry; wyrwany z notesu świstek, na którym napisała:

Nie wściekaj się na Jacka. To ja go zmusiłam, żeby mnie wziął ze sobą. Chcę, żebyś wiedział, że ze mną wszystko okej i że nie jestem sama.

Walnął o ścianę okaleczoną ręką, aż skrzywił się z bólu. Na dłoni zostały mu drobinki łuszczącej się farby. Ben był wściekły – na nią, na siebie samego i na cały świat.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego Hazel nie oznajmiła mu tryumfalnie, że uwolniła ich królewicza, a zamiast tego pozwoliła, żeby Ben laźł przez las i robił z siebie głupca. Przecież wystarczyło powiedzieć, że to zrobiła.

Może chodziło jej o to, żeby nie ranić jego uczuć? Jednak w takim razie byłoby to zupełnie nie do zniesienia. Hazel przerastała wszystkich i wszystko, zawsze. Zawsze chciała wszystkich chronić. Zamierzała ocalić całe miasto. I chciała za wszelką cenę oszczędzić rodzicom świadomości, że tak wiele zaniedbali i po tym, jak zaprzestali łowów, koniecznie chronić jego, Bena, przed świadomością własnego haniebnego tchórzostwa. Kiedy coś napadło szkołę i wszystkich ogarnęła panika, ona została w budynku i ratowała Molly. Pamiętał, jak wyszła na zewnątrz zwykłym, pewnym krokiem, który znaczył, że nie potrzebna jej żadna magia, co tam jakieś elfowe sztuczki.

Ben opowiadał baśnie. Hazel była postacią z baśni.

Była nieprawdopodobnie odważna. I niewyobrażalnie głupia, żeby tak się narażać.

– Ben?! – zawołała mama z parteru. – Co to był za łomot?! Przewróciłeś się?! Nic ci się nie stało?!

– Nie, jest okej! – odkrzyknął. – Żyję!

– No, to złaź! I weź ze sobą siostrę!

Mama krzątała się w kuchni, miała na sobie jedną z obszernych poplamionych farbą koszul taty. Zajęta była wyciąganiem z lodówki przeterminowanych produktów, które należało wyrzucić. Kiedy Ben zszedł do niej, trzymała w ręce plastikowy pojemnik ze spleśniałym jogurtem.

– Dzwonił wasz ojciec. Chce, żebyśmy pojechali do niego i spędzili w Queens kilka dni.

– Co? A kiedy?

Wyrzuciła jogurt do kubła.

– Kiedy tylko ty i Hazel będziecie gotowi. Naprawdę, czasami mam powyżej uszu tego miasteczka. Ciarki mnie przechodzą, jak pomyślę, co tu się dzieje. A co z Hazel?

Ben westchnął.

– Nie wiem, rozejrzę się za nią.

– Nie pakujcie dużo rzeczy.

Przez chwilę Ben miał ochotę spytać, czy ciarki znaczą, że matka się boi. Właściwie chciał zrozumieć, jak to się robi, żeby udawać, że zło nie jest takie znowu straszne, udawać tak usilnie, że czasem nawet udało jej się Bena przekonać – tak jakby to, co Ben pamiętał, było tylko jakimś obłądnym snem.

Wyszedł na zewnątrz. Nie wiedząc, co robić, usiadł na schodach i siedział tam prawie przez godzinę, zrywał wyczyńce i plątał ich łodygi, aż się rwały. Gapił się w tarczę księżyca widniejącą na jasnym jeszcze niebie. Braterska lojalność nakazywała mu dochować sekretu, ale przecież w końcu mama i tak się zorientuje, że Hazel nie ma w domu. Wreszcie zdecydował, wrócił do kuchni. Pchnął drzwi tak mocno, że walnęły o ścianę.

– Hazel nie ma.

Mama popatrzyła na niego.

– Jak to?

– Jak? Normalnie – odpowiedział. – Nie ma jej, wyszła. Już dawno wyszła, pewnie próbuje się zorientować, co tak naprawdę dzieje się w tym mieście.

Mama spoglądała na niego, jakby sens jego słów w ogóle do niej nie docierał.

– Przecież to niebezpieczne.

Ben zachnął się, ruszył po schodach do swojego pokoju.

– No, raczej.

Zadzwoił do Jacka, ale od razu połączył się z pocztą głosową. Telefon Hazel leżał w sąsiednim pokoju. Ben zwalił się na łóżko, kompletnie wykończony. Nie spał przez całą poprzednią noc. Nie miał pojęcia, co robić. Kiedy leżał, roztrząsając to wszystko, ogarnęła go senność, oczy zaczęły się kleić. Po chwili spał twardo – w ubraniu, na pościeli.

Obudził go chłodny powiew od otwartego okna. Zdumiał się, że na zewnątrz jest już ciemno. Nie wiedział, jak długo spał, za to był pewien, że za chwilę zdarzy się coś niezwykłego, że to coś jest już blisko. Poczł przyplływ adrenaliny i strachu, i ten rodzaj podniecenia, który mrozi krew w żyłach.

Nie tylko instynkt mu to podpowiadał. Kiedy usypiał, okno z całą pewnością było zamknięte.

Pamiętał to uczucie z dawnych czasów, gdy razem z Hazel buszowali po lesie; mrowienie na karku, które mówiło mu, że nawet jeśli nie widzi potwora, to najprawdopodobniej potwór widzi jego.

Potem usłyszał głos przy swoim uchu.

– Benjamin Evans.

Ben dźwignął się na łokciu. W świetle pełni księżyca ujrzał chłopca, który miał na sobie jego ubranie. Przez chwilę Ben nie kojarzył jeszcze najprostszycł faktów. Twarz przybysza była zasłonięta kapturem od bluzy, ale to przecież była ta bluza, którą zostawił na zniszczonym drewnianym stole. Poskładaną. W lesie, dla elfowego królewicza.

– Cześć – wykrztusił Ben, z trudem dobywając głosu. Wiedział, że musi się postarać, a więc powiedzieć coś, co pokaże, że wcale się nie boi, chociaż oczywiście bardzo się bał. – Wpadłeś, żeby mnie jednak zamordować?

Severin zsunął kaptur. Kruczoczarne kędziory wiły się u jego policzków, tuż za uszami Ben dostrzegł czubki jego rogów. Wyraz twarzy Severina był nieprzenikniony i była ona zachwycająco, oszałamiająco piękna. A Severin należał do Hazel. Przecież to ona uwolniła królewicza, musiał więc zapalać do niej miłością. Już zresztą się z nią całował. Pewnie to był jego pierwszy pocałunek od wieków. Hazel może jeszcze go tak od razu nie pokochała, ale

przecież z czasem na pewno odwzajemni wielkie uczucie. W bajkach zawsze tak się dzieje.

A tymczasem Ben jak jakiś frajer zakochałby się w nim od razu.

– Przyszedłem, żeby ci coś opowiedzieć – odezwał się miękkim głosem Severin. – Usłyszałem od ciebie tyle baśni, teraz czas na mnie.

– Ale dlaczego? – spytał Ben, do którego wciąż nie docierał fakt, że Severin znajduje się w jego pokoju. – Czego chcesz?

Nawet przy zgaszonym świetle widać przecież było głupawe plakaty na ścianie i walające się na podłodze skłębione džinsy, których nie chciało mu się schować do szafy. W koszu leżało pełno brudnych ciuchów, a na korkowej tablicy przy biurku wisiała przypięta pinezkami fotografia śpiącego rogatego chłopca. Wszystko w tym pokoju przyprawiało Bena o zakłopotanie.

– Czego chcę? Wielu rzeczy. Ale w tej chwili chcę tylko porozmawiać – wyjaśnił Severin. – Twój głos jakby, hm, trochę się uspokoił. Pomówmy więc o siostrach.

– Siostrach – powtórzył jak echo Ben. – Mam ci coś opowiedzieć o Hazel?

– Źle mnie zrozumiałeś – odparł Severin. – Chciałbym, żebyś tylko mnie posłuchał.

Ben pamiętał, co Severin powiedział chwilę przed tym, jak pocałował Hazel. Czuł te słowa, jakby ktoś mu je wypalił na skórze. *Znam wszystkie twoje sekrety. Znam wszystkie twoje marzenia.*

Jeśli znał tajemnice Hazel, to tym bardziej wiedział wszystko o Benie. Przecież to Ben codziennie pielgrzymował do trumny, Ben przemawiał do leżącego w niej chłopca. Wyznał Severinowi, że w zeszłego sylwestra wypił za dużo taniego szampana i wymiotował potem w krzakach pod domem, w którym Namiya urządziła imprezę. Wyznał Severinowi, jak niebezpiecznie cudowny okazał się ten pierwszy raz, kiedy zaznał dotknięcia innego chłopaka. Wyłożył mu ze szczegółami, kto kogo w ich szkole nie lubi tak naprawdę, a kto tylko udaje. Kto wie, czy Hazel nie postępowała słusznie, nie wyjawiając Benowi niczego ważnego.

Severin wziął wdech i zaczął:

– W głębokich lasach jak te, które rosną wokół Fairfold, żyją głównie elfy samotniki, a szlachetnie urodzeni elfowie za nimi nie przepadają, bo są zbyt dzikie, zbyt brzydkie, ich okrucieństwo jest pozbawione jakiegokolwiek wyrafinowania.

– Samotniki? – spytał Ben, starając się nadążyć za opowieścią Severina.

– Tak. Przewrotne puki. Zielone niewiasty, które zedrą ciało z kości człowieka, jeśli zechce wykąpać się w niewłaściwym jeziorze – wyjaśnił Severin. – Smukłe dziewczęta, które dają artystom najczarniejszą rozpacz i natchnienie do tworzenia wspaniałych dzieł. Wodniki o długich, włochatych ogonach i ogromnym apetycie. Psotne gobliny, domowe skrzaty, pixie z opalizującymi, witrażowymi skrzydełkami i cała reszta tej zbieraniny. To ci z nas, którzy mieszkają w dziczy albo w domostwach śmiertelników. To ci z nas, którzy nie są dworzanami, nie bawią się w królów, królowe i paziów. Ci, którzy nie są wysokiego rodu jak mój ojciec.

– Aha.

Słowo „śmiertelnik” wywarło odpowiednie wrażenie. Dla Bena brzmiało dziwnie i staromodnie. Śmiertelnicy to tacy, którzy umierają.

Severin dotknął palcami policzka Bena, jego dotyk był chłodny. Ben poczuł lekką woń brudu i listowia, kiedy palce Severina odgarnęły kosmyk włosów, by założyć go za ucho Bena.

Przez całe ciało Bena od tego dotyku przeszedł prąd.

Severin opowiadał dalej – cofnął dłoń, pozwalając Benowi na domysły, co to dotknięcie miało oznaczać. O ile oznaczało cokolwiek. Oczywiście Severin lśnił bardziej niż kiedykolwiek.

– Sorrel, moja siostra, przyszła na świat przed skazaniem mojego ojca na wygnanie. Urodziła się, by być damą dworu. Ojciec, kiedy uciekł, zabrał ją ze sobą; wziął też siedem magicznych mieczy. Między innymi ten, którego teraz szukam. Zabrał też ze sobą kowala, który je wykuł: osobnika o imieniu Grimsen, który potrafi z metalu sporządzić wszystko. Ojciec przybył do Fairfold ze swoją świtą, po czym nazwał się Królem Olszyn, powiada się bowiem, że olszyna jest cesarzową pośród drzew. Tyle że Król Olszyn budzi także bardzo ponure skojarzenia. Zresztą pewnie to znasz: *Mein Vater, mein Vater, jetzt faßt er mich an! Erbkönig hat mir ein Leids getan!*

Ben pokręcił przecząco głową. To chyba było po niemiecku.

Severin odszedł od Bena i od łóżka. Oparł się o parapet, dotykając ramieniem szyby.

Nagle Ben znowu mógł oddychać. Zorientował się, że jego wargi wyschły, zwilżył je językiem.

– *Ojcze, mój ojcze! Ratujcie dziecinę! Król Olszyn mnie dusi... mnie słabo... ja ginę...*² – Severin zacisnął dłonie w pięści, na jego palcach wciąż lśniły pierścienie, tworząc dziwny kontrast z postrzępionymi dzinsami i bluzą. –

Napisał to jeden z waszych poetów. To wiersz o mężczyźnie, któremu dziecko umiera na rękach z winy Króla Olszyn. Ból jest mięsiwem Króla Olszyn, a cierpienie jego napitkiem. Rządził tu w Fairfold elfami samotnikami, a nawet spłodził syna. Syn ten przypominał wyglądem dworzan swojego ojca, choć rogi, które wyrosły na jego głowie, miał całkowicie po matce. Moja matka była właśnie taką elfką samotniczką, wywodziła się z grona puków. Znaczy to, że choć w moich żyłach płynie krew ojca, nie jestem jego prawdziwym następcą. Za bardzo zrobiony jestem z drzew, liści i otwartego powietrza. Pewnie gdyby ojciec bardziej mnie lubił, oszczędziłby moją matkę.

A więc rogiaty chłopiec naprawdę jest królewiczem – pomyślał Ben. Przedtem Severin mówił, że jego matka została zamordowana i że widział to na własne oczy. A więc sprawcą był ojciec?

Severin dalej opowiadał. Potrafił to robić, kadencje jego głosu wznosiły się i opadały jak w pieśni.

– Chociaż ja pragnąłem uznania ze strony ojca, a Sorrel całkiem o to nie dbała, zawsze ją nade mnie przedkładał. Słuchałem z uwagą, gdy rozprawiał o planach pokonania królowej Silarial, która go wyгнаła, bo z czasem nie wystygł jego gniew i nie wygasły ambicje. Moja siostra powtarzała, że los go sprowadził w to miejsce, że powinien zadowolić się tym, co ma. Kochała las i kochała miasto. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie pokochała też śmiertelnika.

Severin wypowiedział to takim tonem, jakby mówił, że jego siostra zapadła na jakąś nieuleczalną chorobę.

– A w tym jest coś złego? – spytał Ben. Chciał, żeby Severin znów podszedł bliżej i jednocześnie nie chciał. Czuł się idiotycznie.

– W mniemaniu mojego ojca nie mogła uczynić nic gorszego.

– A ty się z nim zgadzałeś?

Ben nie mógł nie pomyśleć, jaki musi budzić wtręt u Severina.

– Och, zgadzałem się. Chłopak nazywał się Johannes Ermann. Był jasnowłosy, barczysty i lubił chodzić na długie spacerunki po lesie, marzył na jawie i układał ody o bezdennych wodach oraz wiosennym kwieciu, a potem recytował je każdemu, kto chciał słuchać. Wcale go nie lubiłem – przyznał Severin. – No i go zabiłem.

Ben nic nie mógł na to poradzić, roześmiał się głośno. To wszystko było jak żywcem wyjęte z baśni, zupełnie zwariowane i straszne.

Severin uśmiechnął się, jakby i on był z lekka rozbawiony. Może w reakcji na śmiech Bena, a może przypomniał sobie, jak miło było kogoś ukatrupić. Z tym uśmiechem na ustach stał się jeszcze piękniejszy. Nagle już nie dało się zapomnieć, że nie jest istotą ludzką i byłoby głupotą ze strony Bena wyobrazić sobie, że mógłby się po ludzku zachowywać.

– Nie od razu go zabiłem. Może gdybym tak zrobił, sprawy potoczyłyby się inaczej. Moja siostra wyszła za niego, wyrzekła się strojów tkanych z księżycowego blasku, wyrzekła się leśnych dzikich rozkoszy. Pozwoliła się ubrać w ciężką, staromodną i źle dopasowaną jedwabną suknię przywiezioną z Niemiec, którą jej pożyczyła matka oblubieńca, a potem zaprowadzić do jednej z ich świątyń, gdzie złożyli sobie ślubowania.

Ben próbował sobie to wyobrazić. Szeptać przez szybę trumny to było trochę jak próbować coś krzyknąć muzykowi grającemu na scenie, albo jak omdlewać na widok filmowego gwiazdora. Jednak jak to jest, jeśli zostaje się wybrańcem? Co się dzieje, kiedy człowieka zaproszą na after party? Tak mógł się poczuć Johannes, kiedy sprowadził do domu elfową żonę.

– Mój ojciec pozwolił Sorrel na ślub tylko pod warunkiem, że jej nowo poślubiony mąż podda się geisowi. Wiesz, co to takiego?

Ben oczywiście nie miał pojęcia.

– To jakaś misja?

Severin pokręcił głową.

– Nie. Geis to rodzaj klątwy lub błogosławieństwa, może na przykład dotyczyć czegoś, co musisz zrobić, albo czego ci zrobić nie wolno pod żadnym pozorem. W tym wypadku to był zakaz. Mój ojciec oznajmił, że jeśli moja siostra z powodu Johannesesa po trzykroć zapłacze, on nigdy więcej jej nie ujrzy. A ogłupiały Johannes na to przystał. Sorrel starała się być dobrą żoną, gotowała obiady, cerowała ubrania, zajmowała się ogrodem i chodziła co niedzielę do kościoła. Usiłowała stworzyć dla swojego męża domowe ognisko, ale jej odmienność była oczywista, na nic wszelkie wysiłki, by dostosować się do nowego świata. Haftowała precudne róże i liście na rękawach prostackiej kurty. Wszędzie towarzyszyła jej zaprzyjaźniona błękitna sójka. Dodawała ziół do konfitur i galaretek, śpiewając przy tym frywolne piosenki. Jednak uwielbiała Fairfold, czego nigdy nie potrafiłem zrozumieć. Choć mieszkańcy miasta patrzyli na nią krzywo, ona ich wprost kochała. Uwielbiała bawić się z dziećmi, śmiać się z plotek. No i choć mnie Johannes zupełnie nie przypadł do gustu, jego przede wszystkim uwielbiała.

Musisz jedną rzecz zrozumieć. My nie kochamy tak jak wy. Gdy ktoś zdobędzie naszą miłość, nasze uczucie potrafi być przeraźliwie stałe. Otóż po ślubie Johannes się zmienił. Chyba zaczął się jej bać, choć tak się starała i była mu bezgranicznie oddana.

– Aha, to znaczy, że był dupkiem, tak? – spytał Ben. Usiadł wygodniej, opierając się o wezgiłowie łóżka. Było coś niepokojąco osobistego w tym siedzeniu na łóżku i rozmowie dotyczącej czyichś intymnych spraw, choć wiedział, że historia skończy się tragicznie. – Czy twoja siostra żałowała, że za niego wyszła?

– My kochamy, dopóki nie przestaniemy kochać. U nas miłość nie zanika stopniowo. Trzaska z hukiem, jak zbyt mocno wygięta gałąź.

Dla Bena miłość była płomieniem, w którym chciał się odrodzić. Chciał, by go od nowa stworzyła. Rozumiał, dlaczego Sorrel uciekła, by zacząć nowe życie. Teraz jednak po raz pierwszy do niego dotarło, jaki to zły pomysł.

– I tak się właśnie stało?

– Obawiam się, że nie. – Severin wstał, odwrócił się nieco, dotknął palcami okna. Jego profil mglił się w blasku księżyca. Ben domyślał się, że Severin nie chce, by widać było podczas tej opowieści wyraz jego twarzy. – Może Johannes nie pamiętał o geisie, a może go zlekceważył, nie biorąc pod uwagę konsekwencji. W każdym razie moja siostra przez niego płakała. Pierwszy raz, kiedy Johannes publicznie ją zbeształ za jej dziwne zachowanie. Po raz drugi zapłakała, kiedy wyrzucał jej, że nie przestrzega szabatu. Trzeci raz popłynęły jej łzy, ponieważ ją uderzył. Czwartego nie było.

Jak już mówiłem, mój ojciec przywiózł z Dworu na Wschodzie siedem magicznych mieczy, lecz dwa z nich były naprawdę wyjątkowe. Nosiły imiona Heartseeker i Heartsworn. Heartseeker nigdy nie chybiał celu. Heartswornem można było przeciąć wszystko, nie tylko kości, lecz także żelazo i skałę. Ojciec wręczył mi Heartsworna i kazał zabić Johannesesa. Ja zaś byłem rozgniewany, gardziłem przy tym ludzkimi istotami i ogromnie pragnąłem przypodobać się ojcu. Kiedy Sorrel wyszła, by nazbierać ziół, udałem się do jej domu i powaliłem Johannesesa.

– Zabiłeś go? Tak z zimną krwią?

To była opowieść rodem z koszmaru, z gatunku tych, przez które dzieci nie mogą potem zasnąć, tylko nasłuchują szelestów w ciemności.

– Jego krew była gorąca – odrzekł Severin, patrząc w las. – Moja zresztą też. Byłem tak rozwścieczony, że nie pomyślałem, jaki ból sprawię Sorrel.

– Aha, bo ona go ciągle jeszcze kochała? Jej miłość nie trzasnęła jak gałąź czy coś tam.

Elf pokręcił głową.

– Chyba nie powinienem był tak mówić. Może wcale nie kochamy inaczej niż wy; może każdy kocha tak długo, dopóki nie przestanie. A może każdy kocha inaczej, czy to ludzie, czy elfy. Wybacz mi, od małości wpajano mi wyższość naszego gatunku, a chociaż przez dziesięciolecia przysłuchiwałem się twoim pobratymcom, stare nawyki wciąż jeszcze dają o sobie znać, zwłaszcza te najgorsze.

Ben, który całkiem poważnie pytał, czy uczucia Sorrel się odmieniły, przeraził się teraz, że Severin mógłby uznać, że daje mu do zrozumienia coś niewłaściwego.

– Nie, nie. Ja...

– Nie rozumiałem tego – podjął Severin. – Myślałem, że skoro Johannes jest człowiekiem, jego życie się nie liczy. Jakże więc mogłaby się liczyć jego śmierć? Wydało mi się nie do pomyślenia, żeby moja siostra mogła kochać kogoś takiego, zwłaszcza że ją ranił. Skoro nie był dla niej dobry, to niech sobie weźmie kogoś innego. Nie miałem pojęcia, jak długo potrafi się ciągnąć jeden dzień. Nie wiedziałem, że trwanie jednego ludzkiego życia zdaje się nieskończone, jak tego doświadczyłem, leżąc bez ruchu w przezroczystej skrzyni. Nie wiedziałem.

Ben nie postanowił, nie podjął decyzji, tylko po prostu to zrobił. Wstał z łóżka i choć wydawało się to najgorszym z możliwych pomysłów i obawiał się, że co najmniej zemdleje, a może umrze... Pomimo to Ben położył dłoń na plecach Severina. Poczuł pod palcami twarde mięśnie i aksamitny puszek na szyi królewicza.

Severin najpierw drgnął, a potem wydał z siebie długie, drżące westchnienie.

– Może powodowała mną zazdrość, bo Sorrel była na dworze moją powierniczką. Brała moją stronę w sporach z ojcem. Kiedy byłem smutny, układała dla mnie niemądre piosenki. Bez niej czułem się samotny, chciałem więc ją odzyskać. Wszyscy wyśmienicie potrafimy się okłamywać, kiedy jest to dla nas wygodne.

Ben dalej go dotykał, nie wiedział teraz, co zrobić z tą ręką – dziwnie było ją tam trzymać, ale nie ośmieliłby się przesunąć jej na ramię Severina czy jego

pierś. Ben wdychał towarzyszący elfowemu królewiczowi zapach trawy, chłonał ciepło jego skóry.

Pewnego razu Ben przyprowadził do Severina chłopaka, pieścił się z nim na trumnie, udając przed samym sobą, że całuje Severina. O tym też opowiedział Severinowi. Nie była to zresztą wcale najbardziej upokarzająca rzecz, o której mu mówił. W każdym razie jego dłoń pozostała tam, gdzie była.

Po chwili Severin podjął opowieść.

– Pogrążyła się w żałobie, w niekończącej się żałobie po nieżyjącym małżonku. Opuściła swój dom, leżała na mchu i łkała. Tak straszna była jej rozpacz, że żuki i ptaki, myszy i jelenie, wszystkie stworzenia płakały razem z nią, aż marniały i od rozpaczyny pozostawała z nich tylko skóra i kości. Skały i drzewa płakały razem z nią, pękały, gubiły liście. Poszedłem do niej, by błagać, żeby porzuciła ten smutek, ale ona mnie znienawidziła za to, co zrobiłem. Wyrzuciłem precz Heartsworna i błagałem, żeby na mnie wywarła swoją zemstę, nie chciała jednak mnie słuchać. Za sprawą żałoby uległa przeistoczeniu. Stała się potworem, koszmarną stworą z żałoby i rozpaczyny, a wszystko to przeze mnie.

– Zaraz, to twoja siostra jest... Tą potworą? – wyjąkał Ben.

– Tak – odpowiedział Severin. – Stwora napuszczona na twoje miasto była kiedyś moją siostrą. Właśnie tę historię chciałem ci opowiedzieć. I musisz zrozumieć, że jeśli zdołam ją ocalić, na pewno to zrobię. Powinieneś jednak też zrozumieć, jakie niebezpieczeństwo ci grozi.

Ben rozumiał niejedno, jeśli chodzi o siostry i nieźle się znał na opowieściach. Nie pojmował jednak, co zrobił, by zasłużyć na wysłuchanie tej właśnie historii.

– A więc przyszedłeś, żeby mnie ostrzec?

– Kiedy nocą usłyszałem twój głos, natychmiast go rozpoznałem. To głos, który znam lepiej niż własny. Przez niezliczone lata ani razu nie przemówiłem. Teraz mogę mówić, więc chcę rozmawiać właśnie z tobą. Z tobą, bo mam wobec ciebie wielki dług.

– Dług? – Ben czuł się jak wyjątkowo durna papuga, już któryś raz powtórzył słowa Severina.

– Wiesz, omal nie doprowadziło mnie do szaleństwa wysłuchiwanie tak licznych głosów, chaosu dźwięków i słów, których nie znałem, które się nawarstwiały, a czas płynął nieznośnie powoli lub przyspieszał, by zaraz znów zwolnić. A potem ty się pojawiłeś i przemawiałeś do mnie. Do mnie. Zacząłem

rozpoznawać, ile trwa dzień, bo kończył i zaczynał się dla mnie twoimi odwiedzinami.

Ben poczuł, że się czerwieni. Za wiele było tego wszystkiego. Już sobie uświadomił, że Severin zrani go bardziej niż ktokolwiek przed nim, bo Ben już przyłożył ostrze do swojej piersi, już zaplótł palce tego nieznanego wokół rękojęści.

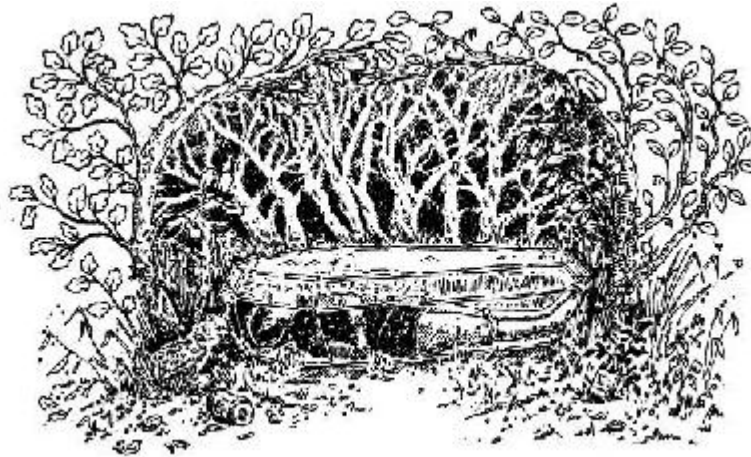
Już kochał Severina, a przecież prawie go nie znał.

Severin tymczasem dokończył opowieść; opowiedział, jak jego ojciec zareagował na przybranie potwornego kształtu przez Sorrel – mimo wstrętu przede wszystkim usiłował znaleźć sposób, by okiełznać jej moc. U Grimsena zamówił trumnę, w której zamierzał ją przechować, dopóki nie odkryje zaklęcia pozwalającego sprawować nad nią kontrolę. Severin opowiedział o sporządzaniu trumny, o wykuwaniu metalowej klatki z żelaza maczanego we krwi i zaklinaniu łez w szklany kryształ. Wyjaśnił, że sprzeciwił się ojcu, nie chciał się zgodzić, by Król Olszyn uwięził Sorrel. Wtedy gniew ojca skierował się przeciw niemu; usłyszał, że Król pragnąłby, iżby zarówno Sorrel, jak i Severin nigdy nie przyszli na świat. Przysiągł, że jeśli pocznie kolejne dziecko, raczej poderżnie mu gardło, niż pozwoli dorosnąć, by mogło go zdradzić tak jak oni. Severin nie ustąpił, nie zważał na krzyki ojca. Nie chciał się zgodzić, żeby jego siostra spoczęła w trumnie.

Wtedy jednak Król Olszyn dobył magicznego miecza, Heartseekera, którego klinga nigdy nie chybiała celu. Ponieważ Severin odrzucił Heartsworna, nie miał żadnych szans. Spoczął w trumnie zamiast Sorrel i pozostał w niej do chwili, kiedy uwolniła go siostra Bena.

Ben usiłował się skupić na tej opowieści, skoncentrować na słowach i zrozumieć, co to wszystko znaczy, ale mógł myśleć tylko o tym, że przepadł z kretesem.

ROZDZIAŁ 16



Obudź się. – Głos Jacka unosił się gdzieś nad Hazel, dłoń dotykała jej policzka. Był ochrypły, tak jakby zdarty od krzyku. – Proszę, proszę, proszę. Proszę, obudź się.

Z trudem uniosła powieki, bo były niczym zlepione klejem. Kiedy wreszcie udało jej się otworzyć oczy, ujrzała pochylonego nad sobą Jacka; nigdy nie widziała go tak rozwścieczonego. Walnął pięścią o ziemię, po czym na długą chwilę zacisnął powieki, oddychając głęboko.

– Coś ty sobie myślała?! – wrzasnęła, echo jego głosu odbiło się od drzew. Wtedy Hazel zdała sobie sprawę, że wciąż są w lesie, że spoczywa na łożu z traw i mchu, a niebo nad ich głowami przybiera bladą szarość przedświt.

Chciała usiąść, ale za bardzo kręciło jej się w głowie.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Byłam... Nie wiem. Przepraszam. Co... Co się stało?

– To znaczy zanim próbowałaś się utopić w podziemnym jeziorze czy potem? – Jack wstał, przeszedł po kobiercu z suchych sosnowych igieł i oparł się tyłem głowy o pień drzewa. Patrzył w chmury, jakby nie mogąc do końca uwierzyć, że spadło na niego aż tak ciężkie brzemię. – Może chodzi ci o to, że mówiłaś, używając liczb zamiast słów? Albo że wygrażałaś mieczem pewnemu gamoniowatemu, włochatemu trollowi? Mieczem, który, nawiasem mówiąc, nie wiadomo jak gwizdnęłaś jednemu z rycerzy. A może chodzi ci o to, że potem popadłaś w letarg i nie sposób było cię obudzić, i naprawdę się zaniepokoiłem, bo to coś ostatnio zbyt często się zdarza.

– Przepraszam – powiedziała jeszcze raz nikłym głosem, bo naprawdę nic lepszego nie przyszło jej do głowy. Ostatnią rzeczą, którą pamiętała, były gorące wargi elfki, a potem smak miodu i wina. Wszystko inne było tylko pustką i czernią.

– Nie, nie masz za co przepraszać – odpowiedział Jack, przetarł twarz dłonią. – Ja... Nie jestem sobą. Nie zwracaj uwagi na to, co powiedziałem.

Hazel udało się tym razem dźwignąć do pozycji siedzącej, rozejrzała się. Zawrót głowy powoli ustępował.

– Jak się tu dostaliśmy? – spytała, bo nie potrafiła się zorientować, w której części lasu przebywają. – Szliśmy?

– Przyniosłem cię tutaj – odpowiedział z uśmiechem.

Musiała być cholernie ciężka jak worek mąki obdarzony zdolnością ślinienia się z otwartych ust. Nie wyobrażała sobie, żeby mogło ją spotkać gorsze upokorzenie, a tu proszę. Okazało się, że można upaść jeszcze niżej.

– Dzięki – powiedziała, starając się nie tracić fasonu. Natychmiast jednak przypomniała sobie, że elfowie bardzo nie lubią, kiedy im się dziękuje. Nigdy dotąd nie uważała, żeby należało się stosować do tych zasad wobec Jacka, jednak po tym, co widziała na balu, musiała zrewidować swój pogląd.

– Przepraszam.

To było już trzecie przepraszam, a miała ochotę uzupełnić je czwartym i piątym, całą litanią przepraszamprzepraszamprzepraszam.

– Hazel – powiedział i westchnął. – Nie jestem zły na ciebie.

– Aha.

Nie wierzyła mu, ale przecież nie będzie się z nim spierać. Opadła z powrotem do pozycji leżącej.

Miała mokre stopy, przemoczone buty. Nie pamiętała, jak do tego doszło, ale teraz już mogła się domyślać: podziemne jezioro. Miała ochotę zdjąć botki, ale miała też ochotę leżeć na plecach, tak jak leżała, i użalać się nad sobą.

Jack usiadł obok niej na korzeniu. Gdzieś zapodział kurtkę, przód jego koszulki był lekko rozdarty, jakby ktoś pociągnął za nią zbyt mocno.

– W każdym razie nie złoszczę się na ciebie. Raczej na siebie samego.

– Dlaczego? – Zerknęła na niego z niedowierzaniem. – Znam zasady, a jednak je złamałam.

– Zachowywałaś się tak, jak każda ludzka istota po elfowym winie. Dokładnie każda, od początku świata. A ja mogłem cię powstrzymać.

Widziałem, co robisz i co ona robi, ale dałem się ponieść nastrojowi chwili, no i nie kiwnąłem palcem. Czasem, kiedy jestem z nimi, czuję się kimś zupełnie innym. Nawet nie mam pewności, czy rzeczywiście wtedy jestem kimś, w każdym razie jakąś odrębną istotą. A tymczasem ty byłeś pod moją opieką. Nie sprawdziłem się w tej roli, a potem jeszcze na ciebie nawrzeszczałem. Stanowczo nie zachowałem się jak należy. Obie moje matki kazałyby mi prosić cię o wybaczenie. Więc to ja cię przepraszam, Hazel.

W jego głosie słyhać było jeszcze echo ich mowy. Dziwne, ale przez to bardziej wydał jej się dawnym sobą. Tak samo czasem ktoś zaspany mówi z akcentem, którego już nie używa, gdy już się na dobre rozbudzi.

Światło sączyło się przez liście, rozgrzewało paprocie i trawy wokół Hazel. Ptaki zaczęły się nawoływać, poczuła zapach rozgniecionych jeżyn.

Nadchodził świt.

– Już mi lepiej – powiedziała, wyciągnęła rękę, żeby pomógł jej wstać.

– Cóż, nie mnie to zawdzięczasz.

– Mnóstwo ci zawdzięczam, a poza tym naprawdę już mi lepiej. Przeżyłam przygodę, no i fajnie. – Westchnęła. – Natomiast od króla usłyszałam coś ważnego. Kazał mi sprowadzić do siebie Severina.

– Jakiego Severina?

– Śpiącego królewicza, który się obudził – wyjaśniła Hazel. – Mam na to dwa dni. Jeżeli nie uda mi się tego dokonać, Król Olszyn naśle na miasto swoich poddanych.

Jack uniósł brwi.

– Po rozmowie z nim powiedziałaś, że nic się nie wyjaśniło.

– Tak? A więc skłamałam – odparła Hazel, wykrzywając usta.

To go zaciekawiło.

– Dlaczego?

Ha. „Kto nie zadaje wścibskich pytań, nie słyszy kłamstw w odpowiedzi”. Skąd to było? Nagle przypomniała jej się ta złota myśl, trochę jak zapomniana rymowanka z czasów dzieciństwa. Nie takiej jednak odpowiedzi zamierzała mu udzielić. Wzięła głęboki wdech i odparła najszczerzej, jak potrafiła:

– Nie chciałam, żebyś zrobił taką minę, jaką masz teraz. Nie tam, nie przy nich wszystkich. Poza tym musiałabym od razu przyznać, że mamy przejebane.

– Nie musisz tego robić sama – powiedział Jack. Odwrócił się na plecy, patrzył w rozjaśniające się niebo nad szczytami drzew.

Hazel pamiętała, jak to jest, gdy ma się towarzysza, jeszcze z czasów, kiedy wierzyła, że nie ma nic tak straszego, żeby Ben nie mógł tego zaczarować swoją muzyką; jeszcze w czasach, gdy sądziła, że jej przeznaczeniem jest być rycerzem. Rycerzem Bena. Ręką dzierżącą miecz, forpocztą idącą na spotkanie wroga, by obronić przed nim Bena, aby on mógł ocalić wszystkich innych i opowiedzieć swoją historię.

– Nie musisz tego mówić – odpowiedziała Jackowi.

– Gdybym musiał, nie miałoby to większego znaczenia. – Uśmiechnął się i zaraz spoważniał. – Zastanawia mnie jednak coś innego. Dlaczego król wybrał akurat ciebie? Dlaczego uważa, że zdołasz sprowadzić Severina przed jego oblicze? No i dlaczego ty nie zadajesz sobie tych pytań? Hazel, co przede mną skrywasz?

– Ale o co ci chodzi? – spytała Hazel. Jej puls przyspieszył trzykrotnie. Jack był bystry, dość bystry, by zrozumieć, że nie wszystko mu powiedziała. Może nawet na tyle, żeby domyślić się, co przed nim zataiła.

Myśl, że ktoś mógłby przejrzeć zasłonę przemilczeń, odgadnąć wszystkie jej sekrety, niosła ze sobą pokusę, aby wszystko mu wyznać. Była już tak bardzo zmęczona samotnością.

– Wariuję ze strachu. Moje serce wali tysiąc razy na godzinę. Czujesz? Wystarczy, że dotkniesz. Daj mi rękę.

Pokręcił głową, ale jednak ustąpił, pozwolił Hazel przyłożyć swoją dłoń do jej klatki piersiowej. Poczowała jego chłodny dotyk w miejscu, pod którym tłuło się serce.

– Każdy by wariował – stwierdził Jack. – Nic w tym dziwnego.

– Nigdy nie chciałam być normalna – odrzekła półgłosem Hazel, a nie było łatwo jej to przyznać wobec kogoś, kto przypuszczałnie najbardziej na świecie pragnął właśnie normalności. A potem jeszcze ciszej powiedziała: – Odwróć moje myśli.

– W jaki sposób?

Spoglądał na nią spod półprzymkniętych powiek, wciąż z dłonią na jej sercu.

– Nie wiesz? – spytała, uśmiechając się mimo woli. Nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy, jednak sposób, w jaki lgnął ku niej, był całkiem czytelny.

– Naprawdę chcesz, żebym...?

– Bardziej niż czegokolwiek – odparła Hazel, szeptem, lecz bardzo tego pewna.

Nie odezwał się już, tylko zbliżył swoje usta do jej warg. Przez ułamek sekundy Hazel przebiegło przez myśl, że chciałyby wiedzieć, czy pragnie właśnie jej, czy tylko zatracenia się w pocałunku...

Na początku ten pocałunek był jakby dalszym ciągiem nocy i tańca, był rozmarzonym szaleństwem. Jack całował ją, jakby tylko tak długo mógł mieć pewność, że Hazel znów nie zapadnie w śpiączkę i nie odejdzie, jak długo ich ciała będą się dotykać. Całował ją, jakby się bał, że gdy przestanie, Hazel zmieni się w dym.

Przywarła do niego, on objął ją ramieniem, przycisnął do siebie, czuła jego palce na plecach. Czas zwolnił biegu. Sięgnęła pod jego koszulkę, chcąc dotknąć barku chłopaka; przycisnęła policzek do jego gładkiej brązowej skóry. Wydał wtedy cichy odgłos, jakby w ten sposób chciał stłumić coś silniejszego, mniej grzecznego, co Hazel bardzo chciałyby usłyszeć... A cały czas zastanawiała się w jakimś zakamarku swojego umysłu, jak dziwnie jest robić coś takiego z kumplem.

Odsunęła się; patrząc na niego, na jego usta, widziała, jak przyspieszył jego oddech. Nie otwierała oczu.

– Hazel – odezwał się, wtedy sobie uświadomiła, że cokolwiek zamierza jej powiedzieć, ona nie chce tego usłyszeć. Nie życzyła sobie żadnych przeprosin ani tłumaczeń i nie chciała przestać.

Pocałowała go znów, przyciskając do ziemi. Jego dłonie powędrowały pod jej bluzę, zręczne palce przesunęły się po bokach. Wyglądał obscenicznie, rozpustnie i cudownie z rozpiętymi džinsami opuszczonymi na biodra. Oparła dłonie o jego brzuch, jego biodra podążyły ku niej.

– Hazel – przemówił znowu, tym razem położył dłonie na jej ramionach, by utrzymać ją na niewielki dystans od siebie. Z początku mówił powoli, trudno mu było się skupić, kiedy jednak już zaczął, następne słowa popłynęły strumieniem: – Hazel, chciałem tylko powiedzieć, że strasznie mi się podobasz. I chodzi mi... No, nie wiem, może zwariowałem, ale po prostu nie wiem, czy robiłabyś to ze mną, gdybyś o tym wiedziała. Trochę mi się wydaje, że może nie, więc dlatego ci mówię. Ale jeżeli dalej chcesz to robić, to już siedzę cicho.

Hazel zamarła, lęk znowu powrócił. Uśmiechnęła się, by to zamaskować, ale już było za późno. Znał ją lepiej, niż sądziła. O wiele za dobrze, jak na to, żeby mogła się z tym czuć swobodnie.

Jack skinął głową, przesunął po niej dłońmi, by sięgnąć do spodni i je zapiąć.

– Powiedziałaś, że ci się podobam? – spytała, bo chciała to usłyszeć jeszcze raz, by mieć pewność, że powiedział to w takim właśnie znaczeniu, jak by sobie tego życzyła.

Dziwne, ale na to pytanie Jack uniósł dłoń do twarzy, otarł nią oczy i policzek.

– Tak. To cię dziwi? Myślałem, że wszyscy wiedzą. Jak myślisz, dlaczego Carter ciągle się tak ciebie czepia?

– Nie wiem – odpowiedziała Hazel. – Przecież chyba nie z tego powodu?

Popatrzył na nią z wyrazem twarzy, którego chyba nigdy przedtem nie widziała. Dostrzegła nieco pożądania i nieco desperacji.

– Tyle razy na tych wszystkich imprezach marzyłem, żeby cię pocałować. Wyobrażałem sobie, jak to robimy, przyciskam cię do pnia drzewa, przeganiem z twojej głowy wspomnienia tych wszystkich chłopaków, na których ci wcale nie zależało. Myślałem, że to by cię mogło nawet zabawić, no bo w końcu jestem najlepszym kumplem twojego brata i tak dalej.

– Myślisz, że chciałabym go skrzywdzić?

Jack wzruszył ramionami.

– Myślę tylko, że oboje chcecie mieć trochę tego, co ma to drugie. Nic więcej.

Rozzłościło ją, że jest tak bliski prawdy.

– Ale dlaczego wtedy tego nie zrobiłeś? Dlaczego mnie nie pocałowałeś?

Poczuła jego śmiech jako podmuch ciepłego oddechu.

– Ciągle coś udaję, a tego udawać nie chciałem. Nie chciałem się zachowywać, jakbym do ciebie nic nie czuł, bo zawsze coś czułem. Bo, ten, naprawdę podobasz mi się już od dawna. Moja matka kiedyś... Kiedyś pokazała mi dziewczynę, która przybrała twoją twarz.

Hazel odsunęła się od Jacka, by móc się skupić na jego słowach, żeby gorąco jego ciała nie mąciło jej myśli.

– W jaki sposób mogła przybrać moją twarz?

– No, zwyczajnie. Wiesz, że istoty z mojego rodu mogą rzucić czar, by przybrać inny wygląd. Wiesz, takie elfowe sposoby na igranie z czyimś uczuciem. – Zmarszczył czoło. – Hazel, co z tobą?

Mdłości skręcały jej żołądek.

– Hazel? – powtórzył Jack, tym razem głośniej, pomachał dłonią przed jej twarzą. – Słuchaj, nie chciałem cię wystraszyć. Zapomnij o tym, co ci powiedziałem.

– Nie o to chodzi – odpowiedziała półgłosem, poprawiając ubranie. – Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Właściwie już dawno powinnam to zrobić.

Usiadł, wyprostował się. Czekał.

Domyślał się tak wiele, że chyba mogła liczyć na zrozumienie całej reszty i dlatego się z tym kryła. Nie zastanawiając się dłużej, Hazel zaczęła opowiadać.

Powiedziała mu wszystko. Od łowów w towarzystwie brata, po zawartą umowę i to, jak obudziła się z igłami kryształu na dłoniach i błotem na stopach, od zagadki leśnej strzygi po wszystko, co tej nocy powiedział jej Król Olszyn.

Jack spoglądał na nią, zdumiony.

– Naprawdę? Powiedział ci, że przez cały ten czas służyłaś mu jako rycerz? Westchnęła.

– Wiem, że to brzmi głupio, kiedy...

W tej chwili Jack pochwycił leżący na ziemi długi kij. Zerwał się z wrzaskiem, zamachnął na nią.

Zareagowała bez myślenia. Kopnęła go w brzuch i wyłuskała gałąź z dłoni ruchem tak płynnym, jakby to wszystko działo się w jednej chwili. Upadł na liście i igły sosnowe z głuchym stęknieniem. Postąpiła krok do przodu, machinalnie obróciła kij i powstrzymała w ostatniej chwili odruch, by go nim dźgnąć.

Przeturlał się na plecy, zaczął się śmiać.

– Odbiło ci? – krzyknęła na niego Hazel. – Co ty wyprawiasz? I z czego tak się śmiejesz?

Potrząsnął głową, jedną ręką trzymał się za brzuch, drugą dźwignął się z ziemi.

– Nie wiem. Pomyślałem, że w ten sposób sprawdzę... Kurczę, naprawdę boli. Ale to znaczy, że powiedział ci prawdę. Masz za sobą niezły trening.

Wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu wstać.

– Nic ci nie jest?

– Oberwałem, ale należało mi się – odparł, wstając chwiejnie. – Prawda, jaki fajny miałem pomysł?

– A więc nie wiedziałaś, że jestem jego rycerzem? To nie była jedna z rzeczy, których nie wolno ci było wyjawiać?

Jack zaprzeczył ruchem głowy.

– Gdybym wiedział, też byś się dowiedziała. Znalazłbym jakiś sposób. Przysięgam, Hazel.

Hazel mimo woli uśmiechnęła się.

– Dobra... Tylko boję się, czy aby wszystkiego nie zepsułam.

– To niemożliwe – odparł, ściskając jej dłoń. – Nie wszystko jest zepsute, więc nie mogłaś wszystkiego zepsuć.

Przez chwilę wydawało się, że Jack powie coś jeszcze i Hazel dokładnie odnotowała moment, w którym postanowił jednak rzec coś innego:

– Chodźmy, oboje musimy odespać tę noc. A jeżeli teraz się nie ruszymy, nie uda nam się zakraść niepostrzeżenie z powrotem do naszych domów.

– No tak, racja.

Hazel miała tak wiele do przetrawienia, że w tej chwili nie przychodziło jej do głowy nic lepszego, jak tylko przespać się z ogromem tego, czego się dowiedziała i co się wydarzyło. W dodatku sen oznaczał, że chociaż na jakiś czas można to wszystko od siebie odsunąć.

Szli obok siebie, aż dotarli na skraj lasu, nieopodal domu Jacka. Mdłe światło zaczynało się sączyć przez drzewa na wschodzie.

– Może odprowadzę cię do domu? – zaproponował Jack.

Hazel nie opuszczała wspomnienie jego dotyku, czuła na sobie zapach Jacka, a palce swędziały ją, by znów sięgnąć do jego skóry i upewnić się, że i tym razem odpowie na to uśmiechem, że nadal mu się podoba.

Potrząsnęła głową.

– Dam sobie radę.

Odsunął się od niej, wetknął dłonie do kieszeni.

– Do zobaczenia za kilka godzin – rzucił z uśmiechem.

W tej chwili otworzyły się drzwi kuchenne domu, stanęła w nich pani Gordon; miała na sobie zwiewny niebieski szlafroczek. Była boso, na włosy założyła jedwabną chustę.

– Carter! Wracaj tu natychmiast... Jack?

Patrzyli na nią oboje, zbyt wstrząśnięci, by się poruszyć, a tym bardziej coś odpowiedzieć.

– Jack! – powtórzyła pani Gordon i ruszyła ku nim szybkim krokiem przez trawnik. – Spodziewałabym się tego po twoim bracie, ale nie po tobie. Hazel,

co powiedziała by twoja matka, gdyby wiedziała, że spędziłaś całą noc na dworze z chłopakiem...

Przyjrzała im się lepiej i umilkła.

Twarz Hazel płonęła.

– Gdzie byliście? – spytała pani Gordon.

– No, wie pani – odparła szybko Hazel. – Tak jak pani powiedziała. Spędziliśmy razem noc.

– W lesie? Podczas pełni? – Teraz mówiła ciszej, jakby bardziej do siebie niż do nich. Potem zaś rzuciła Jackowi prosto w twarz: – Zaprowadziłeś ją do nich? Jak mogłeś?

Jack cofnął się, jakby go ktoś uderzył.

– Wiesz, co rozpowiadają w mieście? Że to wszystko dzieje się przez ciebie.

– Ale to nie znaczy, że... – zaczęła Hazel.

Pani Gordon, przerwała jej, unosząc dłoń.

– Dostyc tego. Jack, nie możesz teraz wrócić do domu. Idź do Evansów, albo w inne miejsce, gdzie będziesz mógł się przez jakiś czas schować. I masz nie wracać, dopóki nie powiem, że możesz. Rozumiesz?

Hazel nigdy by się nie spodziewała, że pani Gordon tak po prostu wyrzuci Jacka z domu. Owszem, mógłby dostać szlaban. Jakąś robotę domową za karę, mogłaby mu zabrać telefon, czy wstrzymać tygodniówkę, ale coś takiego? Wywalić z domu, jakby nigdy nie był jej synem?

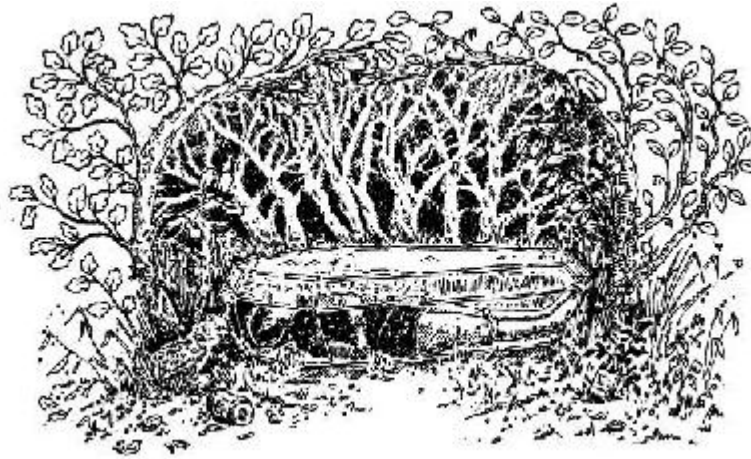
Widać było, że Jack zacisnął szczęki, a jego oczy lśniły o wiele zbyt żywo, ale nie sprzeciwił się, nie zaprotestował. Nawet się nie tłumaczył. Skinął tylko głową. Raz. Potem odwrócił się i ruszył przed siebie. Hazel pobiegła za nim.

– Pójdziemy do mnie.

Znów skinął głową.

Szli ramię w ramię, bez słowa, trzymając się skraju drogi. Hazel rozkoszowała się świeżym, porannym powietrzem. Choć nogi dalej miała obolałe od tańczenia, było coś kojącego w kroczeniu po zwykłym, swojskim asfalcie. Słońce szybko wznosiło się nad horyzont, grzało jej plecy, było jednak jeszcze dość wcześnie, więc ulicą przejeżdżało mało samochodów. Jack szedł razem z nią i oboje byli niczym rewolwerowcy wchodzący do obcego miasta – tacy, co sami się proszą o kłopoty.

ROZDZIAŁ 17



Ben siedział przy biurku i patrzył na śpiącego Severina. Wciąż nie mieściło mu się w głowie, że chłopiec, któremu zdradzał szeptem swoje najskrytsze sekrety, który spoczywał w szklanej trumnie, leży teraz na jego łóżku, z głową na jego poduszce – jeden z rogów Severina wbił się w nią głęboko – poduszce, na którą Ben ślinił się i w którą płakał, na której zostawiał ślady złuszczonego martwego naskórka. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się to obrzydliwe. Jednak i z tego też powodu obecność Severina była czymś tak zupełnie nieprawdopodobnym. Przecież pokój Bena był miejscem najzwyczajniejszym w świecie, pełnym gratów zgromadzonych przez siedemnaście lat życia, natomiast Severin wcale nie był zwyczajny.

Przegadali w ciemnościach długie godziny. Severin w końcu położył się na podłodze, odchylił głowę, ukazując długą szyję; w miarę, jak nadchodził świt, oczy kleiły mu się coraz bardziej.

– Zapraszam do łóżka – odezwał się Ben, przesuwając się na jego brzeg i ściągając przy tym nieco pościel. – W sensie, że może chcesz się położyć, no nie?

Powieki Severina uniosły się. Zamrugał szybko, zdezorientowany, najwyraźniej zapomniał, gdzie się znajduje.

– Nie, chyba nie powinienem. Nie wiem, czy jeszcze się obudzę.

Ben pokiwał głową.

– Czy ty w ogóle spałeś od chwili przełamania klątwy? To już ponad dwa dni. Co najmniej czterdzieści osiem godzin.

Severin machinalnie przytaknął.

– Swoją drogą, ciekawe. Nie wyglądasz na wyspanego – stwierdził Ben, nieco przesadnie unosząc brwi.

Kącik ust Severina drgnął.

– Sądzisz, że jestem zbyt zmęczony, żeby wyczuć sarkazm?

– Jaki tam sarkazm – odpowiedział Ben i uśmiechnął się. – Niewinny żarcik.

Severin wstał, stękając przy tym, po czym wyciągnął się na kapie Bena zdobionej motywami ze *Star Treka*. Zawsze zapewniał Hazel, że to tak dla beki, ale w gruncie rzeczy bardzo był do tej narzuty przywiązany.

– Czyż nie powinienem być wyspany? – mruknął królewicz, ale już pod koniec tego krótkiego pytania trudno go było zrozumieć; jego ciało rozluźniło się, zapadł w głęboki sen. Wyglądał tak samo pięknie jak zawsze, potargane ciemne włosy wiły się wokół jego rogów, brwi tworzyły idealne krzywizny, jagodowe usta rozchyliły się nieco. Teraz, kiedy już nie był zaczarowany, spał niespokojnie, poruszał gałkami ocznymi pod zaciśniętymi powiekami, wiercił się co jakiś czas. Być może śnił po raz pierwszy, odkąd zatrzaśnięto go w pułapce szklanej trumny.

Tak więc Ben czuwał jako samotny strażnik jego odpoczynku, aż niebo na zewnątrz pojaśniało i usłyszał skrzypienie schodów. Podeszedł do drzwi, wyjrzał. Korytarzem szła jego siostra, za nią Jack.

Hazel wyglądała, jakby wróciła z niezłej imprezy, miała na sobie zieloną bluzę, którą pewnie włożyła wieczorem, bo Ben pamiętał, że w dzień miała na sobie co innego. Jej spodnie były ubrudzone błotem, bluza rozdarta wzdłuż szwu. Włosy potargane, w nich gałązki. Ben patrzył, jak oboje wchodzi do pokoju Hazel.

– Jesteś pewna, że nie będziesz miała przeze mnie kłopotów? – spytał szeptem Jack. Usiadł na brzegu jej łóżka.

Hazel potrząsnęła głową, zamknęła drzwi.

– Mama nie będzie miała nic przeciwko temu. Lubi cię.

Gdzie oni mogli być? Ben patrzył na zamknięte już drzwi i zastanawiał się, czego właściwie świadkiem był przed chwilą. Domyślał się, że nocna wyprawa Hazel w towarzystwie Jacka, dokądkolwiek się wybrali, musiała mieć coś wspólnego z uwolnieniem Severina oraz całą resztą jej kłamstw i przemilczeń. Jednak widząc ich razem, gdy wszystko wskazywało na to, że oboje położą się do tego samego łóżka, Ben zaniepokoił się z zupełnie innego powodu.

Bardzo kochał siostrę, ale zdawał sobie sprawę, że to pozeraczka męskich serc. Nie chciał, by Jack był jej kolejną ofiarą.

Stał i spoglądał w ciemny korytarz. Po dłuższej chwili Hazel wyszła ze swojego pokoju. Ben myślał, że pójdzie do łazienki i że może warto ją dopaść, zanim się w niej zamknie i wreszcie dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Ale nie. Hazel oparła się o ścianę i zaczęła płakać.

Płakała płaczem strasznym, bezgłośnym, który wstrząsał całym jej ciałem, aż zgięła się wpół, jakby ten płacz sprawiał jej fizyczny ból. Opadła na podłogę, wciąż w niemal zupełnej ciszy. Łzy spływały po jej policzkach, skapywały z podbródka; kołysała się w przód i w tył.

Hazel nie płakała nigdy. Była wykuta ze stali i nic nie mogło jej złamać. Nie było nikogo, kto byłby większym twardzielem niż jego siostra.

I najgorsze było to, że płakała w milczeniu i tajemnicy tak, jakby już od dawna posiadała taką umiejętność, jakby już nie raz jej się to zdarzało, tylko że dotąd udało jej się z tym nigdy nie zdradzić.

Kiedy Ben był dzieckiem, okropnie zazdrościł Hazel, bo była wolna od oczekiwań i zobowiązań. Skoro chciała się uczyć szermierki z filmików na YouTube i książek pożyczonych z biblioteki, rodzice nie mieli nic przeciwko temu i nie mówili, że zamiast tego powinna ćwiczyć gamy. Mama i tata nie zamęczali jej kazaniem o tym, jak to nie wolno marnować talentu, że wrodzony dar oznacza obowiązki, jaka ważna jest sztuka.

Zdawał sobie teraz sprawę, jak ostrożnie postępowali wobec siebie, uważając, by nie tknąć bolesnych miejsc, które przecież doskonale znali, jedno mogło uczynić krzywdę drugiemu niemal bez najmniejszego wysiłku. Kłopot w tym, że kiedy próbuje się kogoś chronić, nietrudno o złudzenie, że to się w pełni udaje, podczas gdy ponosimy spektakularną klęskę na całej linii.

W końcu Hazel skrajem aksamitnej bluzy otarła oczy, a potem wstała, odetchnęła głęboko i wróciła do swojego pokoju.

Ben podszedł do drzwi, nacisnął klamkę. Jack rozsznurowywał buty, Hazel wyczesywała liście z włosów; oczy miała zaczerwienione i trochę opuchnięte. Znieruchomieli oboje.

– To tylko ja – powiedział Ben.

– My nie... Znaczy, wiesz... – zaczął Jack, jednocześnie wskazując łóżko. Był to gest, który Ben odczytał jako „nie zamierzam pohańbić twojej siostry, chociaż niewykluczone, że mam ochotę uprawiać z nią seks”, jednocześnie zaś Hazel zaczęła przeproszać, że tak zostawiła Bena.

Uciszył ich oboje.

– Jedno z was, najlepiej Hazel, musi mi wreszcie wytłumaczyć, co się dzieje. Tu i teraz. Najpierw powiedzcie mi, gdzie byliście tej nocy.

– Poszliśmy na elfowy bal – odpowiedziała i usiadła ciężko na łożku. Widać było po niej zmęczenie, cienie pod oczami wyglądały jak siniaki. Ben nie spodziewał się, że po tylu unikach i wykrętach siostra tak łatwo ustąpi. – Poszło nie całkiem tak, jak bym chciała, natomiast tego i owego udało mi się dowiedzieć. Król Olszyn obiecuje zapewnić miastu bezpieczeństwo w zamian za schwytanie jego syna. Jest tylko jeden problem, taki, że to wariat. No dobrze, właściwie dwa problemy. Drugi taki, że bezpieczeństwo w jego rozumieniu to ściema.

Ben wpatrywał się w nią. Zdarzało mu się widywać elfy, ale tylko kilka razy, a i to napawało go przerażeniem. Nie mógł sobie wyobrazić, że ktoś z własnej woli wybrał się na ich zgromadzenie. Zwłaszcza Hazel, która przecież zabiła co najmniej kilka leśnych stworów. Jej śmiałość zawsze go zdumiewała, ale teraz dosłownie wgniotła go w podłogę.

– Król Olszyn chce, żebyś mu sprowadziła Severina?

Hazel spojrzała na niego uważnie.

– A skąd wiesz, że Severin jest jego synem? Przecież tamtej nocy nam tego nie powiedział.

Ben wzruszył ramionami.

– Domyśliłem się. No, bo o kim innym mogłaby być mowa.

Hazel pokręciła głową.

– Kłamać to ty nie umiesz. Dalej masz na sobie to samo ubranie co wczoraj. To oczywiste, że nie tylko ja mam swoje tajemnice. A więc: gdzie ty byłeś zeszłej nocy?

Ben westchnął ciężko, wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Nigdzie. Tutaj. Za to Severin do mnie przyszedł.

Jack uniósł brwi. Teraz Hazel kompletnie zamurowało; w dodatku miała wrażenie, że coś powinna zrobić, nie wiedziała natomiast zupełnie, co takiego. Ben poczuł odrobinę satysfakcji, że i on potrafi ją czymś zaskoczyć.

– Czy... Co ci właściwie powiedział? – spytała siostra.

Jack uniósł wysoko brwi, usiadł na krześle przed lustrem. Widać było, że czuje się wyjątkowo niezręcznie i obawia się, że ktoś każe mu się opowiedzieć po czyjejs stronie w sporze, który jeszcze nie rozgorzał.

– On przede wszystkim chce odzyskać swój magiczny miecz – powiedział Ben.

– Mam nadzieję, że mu go nie obiecałeś – odparła Hazel. – Bo ja tego miecza nie mam. I od razu mogę powiedzieć, że nie wiem, kto go ma ani gdzie się znajduje. Właśnie na balu elfów próbowałam nieco się w tym wszystkim zorientować.

– I czego jeszcze się dowiedziałas?

Hazel przetarła twarz dłonią, zerknęła w stronę Jacka. Spoglądał na nią wymownie.

– Nie ma tego zbyt wiele – odezwała się po chwili. – A czy ty jesteś w stanie powtórnie nawiązać kontakt z Severinem? Czy moglibyśmy się z nim spotkać?

– Nie wiem. Nie zamierzasz chyba urządzić sobie na niego łowów i dostarczyć go królowi, prawda? Nie zrobisz mu żadnej krzywdy?

– Słuchaj, zrobię to, co będę musiała zrobić – oznajmiła Hazel i wstała. Mięsień na jej policzku drgnął, jakby zacisnęła zęby.

Była taka chwila, kiedy Ben postanowił niczego jej nie mówić, tylko przejść przez korytarz i wrócić do swojego pokoju, nie wyjawić jej nic a nic. Potem jednak przypomniał sobie karetki pogotowia przed szkołą, ludzi na noszach i to, czego dowiedział się od Severina o jego siostrze noszącej niegdyś imię Sorrel.

– A mogłabyś mi wreszcie powiedzieć wszystko, wszystko, co przede mną ukrywałaś?

Hazel znów spojrzała na Jacka, który odwzajemnił jej spojrzenie, unosząc brwi. Ben zorientował się, że jego przyjaciel poznał przynajmniej część tajemnic siostry, inaczej nie patrzyliby tak na siebie.

– Dobrze – odparła Hazel. – Powinam to zrobić już dawno. Tylko czy muszę teraz? Chodzi o to, że to długa historia, a ja padam z nóg.

Brzmiało to co prawda jak kolejny unik, jednak tym razem Ben jej uwierzył. Naprawdę wyglądała na wykończoną i dziwnie kruchą.

– W porządku. Tylko że on jest w moim pokoju.

– Co? – Hazel zerwała się z łóżka, postąpiła w stronę drzwi. – Nabierasz mnie, tak?

– O, nie – odrzekł Ben. – Tylko się nie złość, bo to ty ciągle mnie okłamujesz i ciągle przede mną coś ukrywasz. I to ty wzięłaś ze sobą mojego najlepszego przyjaciela i zrobiłaś sobie z niego współnika w twoich kłamstwach. Nie masz prawa się na mnie wściekać!

Hazel drgnęła.

– Ja tylko próbowałam cię chronić.

Jack miał minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie się odezwał. Po nim też widać było zmęczenie, miał zaczerwienione oczy i zapadnięte policzki.

– On śpi. Nie będę go budził na żadne przesłuchanie.

Serce Bena biło mocno. Choć zażądał od siostry, by wyjawiała mu całą prawdę, po jej reakcji zaczął rozumieć, że Hazel ukrywa przed nim coś znacznie poważniejszego, niż dotąd się spodziewał. Teraz już trochę bał się to wszystko usłyszeć.

– Dopilnujesz, żeby nie zwiął? – spytała Hazel.

Ben nie miał pojęcia, w jaki sposób mógłby tego dokonać.

– Czy ja wiem? Zobaczymy, jak się obudzi, to zastanowimy się nad tym wszystkim razem.

Jack wstał, może przypomniał sobie, że to nie po dżentelmeńsku, żeby zostawać na noc w pokoju dziewczyny, skoro przedtem milion razy nocował u jej brata.

– Nie, zostań – odezwała się cicho Hazel, złapała go za palce.

Jack najwyraźniej nie potrafił jej się sprzeciwić.

To zaś kazało Benowi zastanowić się, czy aby na pewno przeznaczeniem Hazel jest zakochać się w Severinie.

– Śpijcie dobrze – powiedział i wycofał się, by zakończyć tę rozmowę, zanim Jack zmieni zdanie. Na razie nie był gotów, żeby z kimkolwiek dzielić się Severinem. Przecież dopiero go poznawał, a właściwie dopiero zaczynał myśleć o nim jako o kimś, kogo można lepiej poznać.

Ben przeszedł na drugą stronę korytarza i wszedł do swojego pokoju. Przeraził się, widząc puste łóżko. Severina już nie było. Jakby wypowiadając na głos jego imię, zdradzając siostrze sekret jego nocnych odwiedzin, Ben sprawił, że czar prysł. Okno znów było otwarte, zasłona trzepotała na wietrze, który przywiał na parapet kilka suchych liści.

Zrozpaczony Ben wyszedł na dach; kilka obluzowanych dachówek spadło na ziemię, usłyszał ich stukot, który rozległ się dużo, dużo niżej. Niebo o wczesnym poranku było blade i jasne, wszystko wciąż lśniło od rosy.

Ben odetchnął głęboko chłodnym powietrzem. Przez moment widział tylko drzewa i ulicę. Jednak chwilę potem dostrzegł Severina stojącego na konarze rozległego jaworu, tuż obok rynny.

Ben odetchnął z ulgą, ruszył ostrożnie po dachu, pilnując, by się nie pośliznąć.

– Hej, czy...

– Ja nie jestem czymś, z czym należy walczyć – przerwał mu rogaty chłopiec. Pozbył się bluzy Bena, miał na sobie tylko jego T-shirt i dżinsy, stał na gałęzi boso. Jednak gdy wokół panoszyło się blade poranne światło, w cieniu wyglądał zupełnie obco.

– Przecież wiem – powiedział Ben. Podszedł jeszcze trochę bliżej. – Wybacz. Nie wiem, co słyszałeś, ale musisz wiedzieć, że ona na pewno nie zrobi ci krzywdy, nawet gdyby to było możliwe.

Severin uśmiechnął się.

– Jak może pamiętasz, ja także mam siostrę. Wiem, jak to jest, kiedy siostra okazuje się kimś zupełnie innym, niż nam się zdawało. Wyświadczyłeś mi wielką grzeczność, Benjaminie i nieprędko o tym zapomnę. Zapewniłeś mi schronienie na tę noc. Niczego więcej nie mogę od ciebie oczekiwać.

Ben wlaźł na drzewo, szukał oparcia dla stopy. Przez chwilę bał się, że spadnie, udało mu się jednak utrzymać równowagę.

– Hazel poszła na biesiadę i widziała twojego ojca. Rozmawiała z nim. Musimy się naradzić, zastanowić, co robimy dalej. A poza tym wiem, że lubisz Hazel, chociaż udajesz, że nie.

Severin chwycił Bena za rękę, pomógł mu wejść wyżej, gdzie łatwiej było stać.

– Dlatego, że ją pocałowałem?

– Chodzi o to, że Hazel jest taka... No, ludzie ją po prostu lubią. Podoba się facetom. Idzie przez świat, jakby nic jej nie mogło dotknąć, jakby była poza zasięgiem, cały czas skupiona na czymś większym, ważniejszym i lepszym, chociaż ona nikomu nic o tym nie mówi. Faceci wariują na jej punkcie, ona ich oczarowuje.

– A ty nie jesteś czarujący? – spytał Severin.

Ben nie był pewien, czy to kpina z niego, czy nie.

– Jestem pewien, że kiedy ją całowałeś, spostrzegłeś, że nie jest jakimś przewrażliwionym, niezdarnym kolesiem.

Ben czuł, że się ośmiesza, mówiąc coś takiego. Brak pewności siebie to jedna rzecz, ale okazanie jej, to coś znacznie gorszego.

Severin przyglądał mu się przez długą chwilę, po czym pochylił się i przywarł ustami do warg Bena. To był głęboki, namiętny pocałunek. Dłonią

przytrzymał z tyłu głowę chłopaka. Ręka Bena zacisnęła się na włosach Severina, musnęła róg – twardy i zimny jak powierzchnia muszli znalezionej na plaży. Chwilę potem, kiedy Severin się odsunął, Ben drżał od pożądania, gniewu i lęku. Bo pewnie, jasne, że tego chciał. Nie chciał jednak, by to odbyło się w ten sposób.

– Czy to źle, że podoba mi się twoje drżenie, twoja niepewność? – spytał Severin.

Ben przełknął ślinę.

– Jestem prawie pewien, że to nie ideał.

Rogaty chłopiec uniósł brwi.

– A jak myślisz, co zauważyłem, całując cię?

Ben westchnął, spojrział w dół na trawnik. Chciał, żeby Severin mu to powiedział. Chciałby wiedzieć, co tamten myślał, zaciskając palce na skórze nad biodrem Bena, co czuł, kiedy wpił się w usta Bena. Tylko że to dziecinada.

– Chyba rozumiem, zazdrość to naprawdę drobiazg, kiedy ktoś ma prawdziwe problemy, czyli siostrę strzygę i ojca mordercę.

Severin przesunął się odrobinę, gałąź poruszyła się. Jego oczy były zielone jak cienisty gaj czy zapomniana dolina, włosy okalały jego twarz.

– Moje problemy są też twoimi problemami. Całe Fairfold zostało pobłogosławione moimi problemami, choć to też nie umniejsza twoich kłopotów. Ty i twoja siostra jesteście sobie bardzo bliscy. Aby okazać to, obdarowujecie się nawzajem pięknymi bukietami kłamstw.

– To nie tak.

– Znam cię, Benjaminie Evans – powiedział Severin. – Nie zapominaj o tym.

Stopa Bena osunęła się, omal nie stracił równowagi. Dotąd Severin był w jego oczach zimnym królewiczem z baśni, postacią niemal fikcyjną – piękną i odległą.

Wciąż zapominał, że Severin wie o nim więcej niż ktokolwiek na całym świecie.

– Tyle razy mówiłeś, że mnie kochasz – powiedział Severin, a Ben gwałtownie się zaczerwienił. – Może jednak najbardziej kochałeś odbicie własnej twarzy w szkle.

To nie fair, żeby znać kogoś aż tak dobrze. To niesprawiedliwe. Severin mógł wykorzystywać swoją znajomość wszystkich czułych punktów Bena, wszystkich jego wstydliwych słabości; opowieści o nich wysłuchiwał od lat, a

teraz mógł w każdej chwili zadać chirurgicznie precyzyjne cięcie, tak pewnie i celnie, że Ben wykrwawiłby się zanim pojmie, jak głębokie rany odniósł.

– Nie, na pewno nie tak – odparł Ben. – Ale owszem, chciałem kochać, jak kochają w baśniach, pieśniach i balladach. Pragnąłem miłości, która trafia jak piorun. Ale wybaczone, bo dociera do mnie, że twoim zdaniem jestem śmieszny. Pewnie cię to wszystko bardzo bawi. Wiem, będziesz sobie ze mnie kpić. Wiem, że jestem głupi, ale przynajmniej zdaję sobie z tego sprawę.

Płynnym ruchem Severin przeszedł z drzewa na dach. Dwornym gestem wyciągnął rękę, oferując Benowi pomoc, jak uczyniłby to staromodny rycerz wobec odzianej w suknię damy, pragnącej zsiąść z konia.

– Ja też zdaję sobie sprawę z wielu rzeczy, Benjaminie Evans. A ty wcale nie jesteś tak głupi, jak myślisz.

Ben wyciągnął do niego rękę, pozwolił sobie pomóc przedostać się z powrotem na dach. Podchodzili już do okna, kiedy na podjazd zajechała półciężarówka. Należała do jednej z przyjaciółek mamy, niejakiej Suzie, wytatuowanej od stóp do głów rzeźbiarki utrzymującej się głównie z wytwarzania masek zielonych ludzików, które mieszkańcy Fairfold chętnie wieszali nad oknami swoich domów. Miała na sobie elegancką spódnicę, a włosy spięte w koński ogon; jakby wybierała się do kościoła.

– Dziwne – stwierdził Ben, czekając, aż Suzie wejdzie do domu, nim znów się poruszył. – Sprawdzę, co się tam dzieje.

– Ale zastanawiasz się, czy zastaniesz mnie tu, kiedy wrócisz – uzupełnił Severin.

Ben skinął głową.

– Gdy powrócisz, wszystko będzie tak, jak teraz – oznajmił elfowy królewicz, po czym rozsiadł się w fotelu na kółkach stojącym przed komputerem Bena, spoglądając na niego nieprzeniknionymi oczami koloru mchu. Ben dokonał w myślach szybkiego przeglądu kompromitujących rzeczy, które Severin może znaleźć w jego pokoju, po czym uświadomił sobie, że nie ma tam nic aż tak zawstydzającego jak to, co Severin już i tak o nim wie.

Severin uśmiechnął się, jakby czytając, w jego myślach.

Ben zszedł na parter.

– O, dobrze, że już wstałeś – przywitała go mama. Ubrana była nieco staranniej niż zwykle, bo w dzinsy nie poplamione farbami, w za dużą bluzę w kwiaty, do tego włożyła potrójny naszyjnik z turkusów oprawionych w srebro. Gdyby nie pasma siwych włosów, z daleka można by ją wziąć za Hazel. –

Słyszałam, jak twoja siostra wracała nad ranem. Powiedz jej, żeby zaczęła się pakować. Jak tylko wrócę, wyjeżdżamy.

– A dokąd teraz się wybierasz?

– U Gordonów jest spotkanie w sprawie Jacka.

– Jak to?

– Wiesz, że ja go lubię. Jednak niektórzy twierdzą, że zadaje się z elfami, a gdyby wrócił do swoich, skończyłyby się wszystkie nieszczęścia trapiące miasto.

– Ale ty w to nie wierzysz, prawda?

Ciekawe, jak by się zachowała, gdyby wyjawiał jej, że Jack śpi obok Hazel w jej łóżku? Jednocześnie Ben w myśli wściekał się na wszystkich w Fairfold, którzy mogli tak myśleć o jego przyjacielu.

Mama tymczasem westchnęła, wzięła ze stołu kubek termiczny z kawą i starą skórzaną torebkę, tę z ptakami wyszywanymi błękitnym kordonkiem.

– Nie wiem. Myślę, że nie jest z nikim w zмовie, ale pamiętaj, że został im odebrany. Może chcą go z powrotem. Może nawet chcą się zemścić. Może ja bym tego chciała, gdybym była jego matką.

– To, co się dzieje, nie jest winą Jacka.

– Słuchaj, na razie nie zapadły żadne decyzje. Spotykamy się u Gordonów, żeby to wszystko omówić. A kiedy wrócę, mam nadzieję, że będziemy mogli na jakiś czas stąd wyjechać.

– Mamo, jeżeli pozwolisz, żeby zrobili coś Jackowi, nigdy ci tego nie wybaczę – oświadczył stanowczo Ben. – On jest taki sam jak my. Jest tak samo człowiekiem jak każdy inny.

– Ja tylko chcę, żebyście z Hazel byli bezpieczni – odparła mama. – Tak jak każda matka chce, żeby jej dzieciom nic nie zagrażało.

– To może niepotrzebnie zamieszkaliśmy w Fairfold – zauważył Ben.

Mama spojrzała na niego z urazą.

– Może, ale wróciliśmy tutaj z twojego powodu, Benjaminie. Mogliśmy zostać w Philadelphii i mogłeś zająć się czymś, o czym większość ludzi nie może nawet marzyć. To ty nie potrafiłeś wytrzymać bez Fairfold. To ty zrezygnowałeś z szansy na inne życie. Przecież wiem, że nawet nie próbowałeś odzyskać sprawności w ręce po tamtym wypadku.

Ben był zbyt zaskoczony, żeby coś na to odpowiedzieć. Nigdy nie rozmawiali o dwóch latach spędzonych w Philadelphii, przynajmniej nie w ten sposób; ani razu żadne z rodziców nie wspomniało o tamtych wydarzeniach. Nigdy też

nie rozmawiali o majaczących w przeszłości okropieństwach z dzieciństwa Bena. Nie było mowy o trupie, którego Hazel znalazła w lesie, ani o tym, że mama i tata w ogóle pozwolili im bez żadnych ograniczeń włóczyć się po okolicy. Zawsze zakładał, że tak już jest w tej rodzinie, każde z nich ma własną gorycz do przełknięcia i zajmuje się własnymi problemami, nie zwracając nimi głowy nikomu innemu.

Najwyraźniej jednak nie. Już nie.

Przy drzwiach mama odwróciła się jeszcze, spojrzała na niego badawczo.

– I powiedz siostrze, żeby się spakowała, dobrze?

Siatkowe drzwi zatrzęsnęły się, zamknięte przez sprężynę. Suzie, zamiast pójść za jego matką, przeszła przez sień i położyła Benowi dłoń na ramieniu.

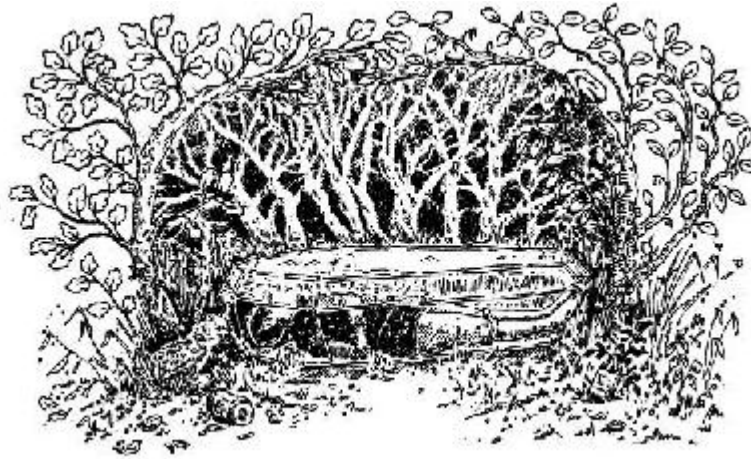
– Twierdzisz, że Jack jest takim samym człowiekiem jak my wszyscy, ale skąd możesz wiedzieć? Czy ktokolwiek z nas może wiedzieć, co kryje się w ich sercach?

Zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się na pięcie i wyszła w ślad za jego mamą. Chwilę później usłyszał chrzęst kół na wysypanym żwirem podjeździe.

Ben oparł głowę o blat, w jego myślach panował chaos. Potem zaś, nie wiedząc, co począć, postawił w rzędzie cztery kubki, by nalać do nich kawy.

Niech się wszyscy, do cholery, wreszcie obudzą.

ROZDZIAŁ 18



Hazel nigdy nie spała w tym samym łóżku z chłopakiem, chyba że ze swoim bratem. Odnosiła wrażenie, że mogłaby przy tym pokazać się z najgorszej strony, jeśli chodzi o relacje międzyludzkie. Pewnie kręciłaby się i przewracała z boku na bok, ściągała z faceta kołdrę, kopała przez sen, a potem dręczyłoby ją poczucie winy. Nie przyszło jej przedtem do głowy, jakie to uczucie móc położyć głowę na ramieniu Jacka, ani jak ogarniało ją ciepło jego skóry, jak mogła dzięki temu chłonąć jego zapach, zapach lasu i łąk, i kryształowej wody w stawie – a on tego nawet nie zauważył. Nie wyobrażała sobie, jakie poczucie bezpieczeństwa może jej dać i nie spodziewała się, że w taki sposób przesunie dłońią po jej plecach, niespiesznie, jakby nie mógł przestać jej dotykać, no i nie przewidziała, jaki dreszcz ją podczas tego przejdzie.

Po raz pierwszy, odkąd wypowiedział te słowa, Hazel pozwoliła sobie na to, żeby się nimi upajać. Hazel, chciałem tylko powiedzieć, że strasznie mi się podobasz. Powiedział, że Hazel mu się podoba tuż przed tym, jak powiadomiła go o swojej służbie u Króla Olszyn. Powiedział to, zanim przyznała, że ona nie powiedziała mu mnóstwa rzeczy o sobie. Wszystko to działo się tak szybko i tak trudno było w to wszystko uwierzyć. Z tego też zapewne powodu ani razu nie wyznała mu, że i on jej się podoba.

Mogła mu to powiedzieć teraz – wystarczyło go obudzić. A może pogrążony był tylko w półśnie, tak samo jak ona. Może mogłaby mu to wyszeptać do ucha. Kiedy się nad tym zastanawiała, usłyszała na schodach czyjeś kroki.

Brat wszedł do jej pokoju bez pukania, niósł trzy kubki kawy. Za nim w korytarzu czwarty kubek trzymał w dłoni rogaty chłopiec. Severin, w ubraniu Bena. Najwyraźniej czuł się tu tak samo swobodnie jak w lesie. Ten sam Severin, którego miała złowić dla Króla Olszyn. Severin, którego uwolniła. Severin, który uśmiechał się do niej złowrogo.

Hazel odrzuciła kołdrę, ziewając rozdzierająco. Wstała z łóżka, ze stolika nocnego wzięła długą szpilę do włosów, wymierzyła w niego ostrze, po czym użyła jej, by pospiesznie spiąć na niej kok. Severin pozdrowił ją, unosząc kubek z kawą.

– Widzę, widzę. Wnioskuje stąd, że jeszcze nie znalazłaś mojego miecza.

Na jego twarzy malował się uśmieszek, który sprawił, że mimo wszystko Hazel lekko się zaczerwieniła.

Ben przeszedł przez pokój i wręczył siostrze kubek z kawą niczym gałązkę oliwną.

Wypiła pokaźny łyk. Sądziła, że jest zbyt zmęczona, by kofeina mogła coś na to poradzić, jednak gorący napój z sojowym mlekiem przynajmniej spłukał z jej ust smak płaczu. Usiadła ciężko na krześle obok lustra.

– Co słyszeć?

– W domu Jacka odbywa się jakieś zebranie – odparł Ben. – Chodzi o to, że historia z Amandą i to, co się działo w szkole, ma się rzekomo brać stąd, że elfowie domagają się twojego powrotu. No, więc mieszkańcy chcą im cię oddać. Musimy cię stąd zabrać i schować gdzieś, gdzie cię nie znajdą.

– Co? – Jack otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Przesunął dłonią po twarzy i włosach. – Moja mama tak uważa?

– Przecież on nie jest psem, żeby tak po prostu znaleźć mu drugi dom – wtrąciła Hazel.

– Nie, nie wydaje mi się, żeby twoi rodzice mieli z tym coś wspólnego – wyjaśnił Ben. – Natomiast inni się boją i z tego strachu pogłupieli.

– Aha, to dlatego mnie odesłała – rzekł półgłosem Jack, jakby bardzo chciał, żeby to była prawda i obawiał się, że może się jednak mylić. – To dlatego chciała, żeby nie było mnie w domu. Wiedziała, że wszyscy się tam zbiorą. Ale ona... Nie, to oni będą mieli za złe moim rodzicom, jeżeli mnie tam nie będzie.

Pochylił się, żeby zawiązać buty.

– Jack, tam będą wszyscy, mnóstwo ludzi – stwierdziła Hazel. – Wiesz, że to nie twoja wina. To wszystko akurat z tobą nie ma nic wspólnego. Nic a nic.

– I to właśnie zamierzam im powiedzieć – odparł. Przeszedł przez pokój i zbiegł po schodach.

– Też chcę tam być. – Hazel chwyciła buty, ale nie traciła czasu na ich wkładanie. Rzuciła do Bena: – Dopilnuj, żeby Severin tu został. Musi zaczekać, aż wrócimy.

Gdy zbiegała po schodach, słyszała jeszcze za sobą głos Severina:

– Chyba też się tam wybiorę. Mam już dosyć tego, że wszyscy mówią o mnie, jakbym wciąż jeszcze spał.

Gdy wybiegła na trawnik, Jack siedział już za kierownicą i właśnie odpalał wóz Bena. Musiał wiedzieć, gdzie jej brat trzyma zapasowy kluczyk. Ledwie zdążyła wskoczyć na fotel obok kierowcy, kiedy Jack ruszył.



Dom państwa Gordonów – doskonale utrzymana, kryta gontem rezydencja w stylu kolonialnym – pomalowany był na nieskazitelną biel; wznosił się na niewielkim wzgórzu, spoglądał z góry na mniejsze i skromniejsze budynki. Był wielki, stary i pieczołowicie odrestaurowany, nie brakło więc miejsca dla połowy mieszkańców miasta – bo tylu mniej więcej gości zebrało się w nim dzisiaj.

Samochody zaparkowane przy podjeździe wyłobiły głębokie koleiny w trawniku pana Gordona. Przez całe lato ojciec Jacka w pocie czoła pielęgnował gazon; siał, podlewał, przycinał. Nikt nie śmiał deptać tej trawy, ani mleczarz, ani kumple Cartera czy Jacka, nawet pies dobrze wiedział, że kiedy najdzie go chęć na brykanie, od tego jest podwórze z tyłu domu. Hazel zrobiło się przykro na widok tych śladów, to był kolejny znak, że nagle zmieniły się wszystkie zasady dotychczasowego życia.

Jack szedł z zaciśniętymi pięściami, wciąż przyspieszając kroku.

Otworzył drzwi frontowe, wszedł do holu. Wewnątrz również wszystko lśniło bielą w rozświetlonym słońcem pomieszczeniu. Ludzie stali w grupkach lub siedzieli na składanych krzesłach, trzymając na kolanach styropianowe kubki z herbatą. Kanapy i krzesła zniesiono z całego domu, żeby móc na nich usadzić tak licznych przybyszy. Nikt nie zauważył pojawienia się Jacka i Hazel.

Pani Pitts, która pracowała na poczcie, potrząsając jednocześnie głową, mówiła do jego matki:

– Słuchaj, nie chodzi o to, że my tego chcemy. Po prostu wszystko wskazuje na to, że... No, wiesz, to, co zrobiłaś... Że to nastawiło mieszkańców lasu nieprzychylnie do mieszkańców naszego miasta. To nie przypadek, że kłopoty zaczęły się akurat wtedy, kiedy odebrałaś im Jacka.

Czy to prawda? Hazel sama była wtedy niemowlęciem, dopiero co przyszła na świat. Nieraz słyszała, jak ludzie mówili, że za dawnych czasów bywało lepiej, że kiedyś „tamci” byli mniej krwiożerczy, ale sądziła, że mowa o naprawdę zamierzchłych czasach, że to było kilkadziesiąt lat wcześniej, a nie przed kilkunastoma laty.

Kiedy wszystko zaczęło się psuć?

– Musimy jakoś temu zaradzić – oznajmił szeryf. – Mniej więcej przed miesiącem coś zaczęło się dziać w tych lasach. Może niektórzy z was słyszeli. Doszło do wypadków, o których nie pisały gazety, a pewnie już wszyscy wiedzą, co się wydarzyło w szkole. Amanda Watkins nie była pierwszą osobą, która zapadła w śpiączkę. Miesiąc temu znaleźliśmy chłopaka w samochodzie, na skraju miasta. Wóz był porośnięty bluszczem. Dwa tygodnie później Brian Kenning... dzieciak bawił się w lesie, tuż przy domu rodziców. Znaleźli go skulonego na kupce liści. Elfy zawzięły się na nas i jeżeli niektórzy wierzyli, że rogaty chłopiec wstanie ze swojej trumny i nas ocali, to chyba już jasne, że się przeliczyli.

Król Olszyn obiecywał, że jeśli Hazel przyprowadzi przed jego oblicze Severina, wszystko w mieście będzie jak dawniej. Dawniej, czyli kiedy? Sądziła, że mniej więcej wie, co się dzieje w Fairfold, a w każdym razie, że zna więcej tajemnic niż większość jego mieszkańców. Okazało się, że sprawy zaszły znacznie dalej, niż mogła przypuszczać. Jak to mówił ten mały troll czy goblin? Co bym robił? Czego bym nie robił, Najjaśniejszy Panie!

– Nie wolno ufać podmieńcowi – odezwał się pan Schröder. – Nawet jeżeli oni go nie chcą, my też go nie chcemy. Jest zbyt niebezpieczny.

Hazel przepracowała całe lato w Lucky's i bardzo lubiła pana Schrödera. Teraz w jednej chwili go znienawidziła.

– Jack przyjaźni się z moimi dziećkami – odezwała się mama. – Znam go przez całe jego życie. Nie możemy winić go za całe zło, z tego wyłącznie powodu, że jest jedynym elfem, którego większość z nas widziała. Przecież tutaj się wychował i jest mieszkańcem Fairfold, takim samym jak my wszyscy.

Hazel odetchnęła z ulgą, słysząc, że przynajmniej jej matka tak uważa, ale widać było, że innych w ten sposób nie przekonała, bo już dawno podjęli decyzję.

– Dobrze nam się żyło z elfami w Fairfold – wtrąciła stara pani Kirkling. Stała akurat pod dwiema zawieszonymi na ścianie szablami z czasów wojny amerykańsko-hiszpańskiej, przez co prezentowała się jeszcze godniej niż zwykle. Wiele lat temu piastowała urząd burmistrza i wszyscy dobrze wspominali te czasy. – Rozumieliśmy się nawzajem a teraz coś zniweczyło nasze dobre stosunki.

– Wcale nie żyło się z nimi dobrze – warknęła matka Jacka przez zaciśnięte zęby. – Proszę nie pisać na nowo historii tylko po to, by pasowała do waszych zachcianek. Ale rzeczywiście stosunki z elfami pogorszyły się mniej więcej w tym czasie, kiedy pojawił się u nas Jack. Może przypadkiem pamiętacie, że przedtem nie porywali naszych dzieci, tak jak porwali Cartera.

– Owszem, „dobrze” to może zbyt wiele powiedziane – zmitygowała się pani Kirkling – ale nie możesz zaprzeczyć, że w tym mieście żyje się inaczej niż gdzie indziej. I nie możesz zaprzeczyć, że lubisz to miejsce, bo sprowadziłaś tutaj swojego męża, a przecież skończył prawo na dobrej uczelni i mogłaś razem z nim zamieszkać w Chicago czy gdzie indziej. I wtedy Jacka wcale by nie było.

Hazel czuła, że stojący obok niej Jack jeszcze mocniej zaciska pięści.

– No i tak: odzyskałaś od „tamtych” swojego syna i nawet udało ci się zatrzymać ichniego chłopaka na dłuższy czas, chociaż nie miałaś do niego żadnego prawa, poza takim, że jego rodzona matka się go pozbyła. To ci się udało, ale nie mogłaś liczyć, że zatrzymasz go na zawsze.

Hazel widziała piętrzące się na półeczce broszurki różnych uczelni, toteż nie miała wątpliwości, że pani Gordon zamierzała zatrzymać sobie Jacka na zawsze. Rozejrzała się; rozpoznała nauczycieli ze szkoły, sklepikarzy, rodziców swoich znajomych, trochę ludzi ze szkoły. Większość z nich potakiwała, najwyraźniej w przekonaniu, że trzeba koniecznie oddać Jacka jego pobratymcom, a wówczas zostaną zażegnane wszystkie bolączki Fairfold.

Przecież w tym mieście elfowie krzywdzą jedynie turystów, a to znaczy, że jeśli komuś zależni za skórę, to ten ktoś musiał się zachowywać jak turysta, tak czy nie? W każdym razie postąpił nieodpowiednio. Przecież to jasne, że ktoś coś zrobił źle! Dopóki mieli kogo winić, dopóty nikt nie musiał przyznać się do własnej bezsilności.

– To tak samo, jak wtedy gdy człowiek przygarnie pisklę jastrzębia – odezwała się Lexie Carver, siostra Franklina i jedna z najmłodszych kobiet spośród zebranych. Jej rodzina nie cieszyła się dobrą sławą w okolicy, opowiadano sobie, że uzupełniają jadłospis zwierzętami potrąconymi przez samochody na szosie, a jeszcze inna plotka głosiła, że w ich żyłach płynie parę kropel trollowej krwi. – Pisklę jest puszyste i słodkie, więc bierzemy je do domu, dokarmiamy mięskiem, ale w ten sposób zabijamy w nim instynkt myśliwski. Potem już nie będzie w stanie samodzielnie przeżyć. I Jack też nie jest tu u siebie. To nie jest miejsce dla niego. Nie powinien tu być.

– Chwilunia, a nie za późno trochę na takie porównania? – odparował Carter, którego przedtem Hazel nie dostrzegła, bo siedział na schodach. – Co się stało, już się nie odstanie. Mama już dokarmiła go mięskiem i innymi rzeczami też. Z tego, co mówisz, wynika, że jeżeli odeślemy Jacka, to zginie. O to ci chodzi?

– Carter – odezwała się jego matka karcącym tonem.

– No dobra, sorry – mruknął i już miał usiąść z powrotem, kiedy nagle zauważył stojących naprzeciwko niego w holu Jacka i Hazel.

– Oczywiście weźmiemy to wszystko, co powiedzieliście, pod uwagę, mam jednak nadzieję, że zrozumiecie, w jakiej sytuacji nasza rodzina... – zaczęła mówić mama Jacka, potem jednak jej wzrok powędrował tam, gdzie spoglądał Carter i przerwała w pół zdania. Gwar rozmów wzmógł się na moment, lecz w następnej chwili zapadła cisza. Mieszkańcy miasta zorientowali się, że osoba, o której losach rozprawiali, jest wśród nich i słyszała każde słowo.

– Odejdę – odezwał się pośród tej ciszy Jack.

Słysząc było tylko skrzywienie palców na styropianowych kubeczkach i nerwowe przełykanie herbaty. Nikt już nie wiedział, co powiedzieć.

– Tak, tak – odezwała się Hazel, może odrobinę zbyt głośno, chwyciła go za ramię, udając, że źle go zrozumiała. – Masz rację. Odejdźmy, chodźmy stąd. Nie powinno nas tu być. No, już.

– Nie – zaprzeczył. – Ja odejdę. Wrócę do nich. Jeżeli wszyscy tego chcecie, odejdę.

Jego matka stanowczo potrząsnęła głową.

– Zostaniesz.

Powiedziała to zdecydowanym, wręcz wyzywającym tonem, jednak wszyscy inni w tej wielkiej sieni kiwali głowami, pomrukiwali. Już przystali na jego

ofertę. Skoro sam się zgodził... Kilka słów wypowiedzianych na głos w małym miasteczku może przemienić rzeczywistość w sposób nieodwracalny.

W każdym razie, o ile Jack nie powie natychmiast czegoś więcej.

– Nie możesz – zaprotestowała Hazel, ale Jack tylko pokręcił głową. – Powiedz im – nie dawała za wygraną. – Opowiedz o Królu Olszyn i o Rozpaczy. Powiedz prawdę, a ja to potwierdzę.

– Nie uwierzą mi – odparł. – I znajdą pretekst, żeby tobie też nie uwierzyć.

– Nia, bądź rozsądna. Może on wcale nie chce z nami zostać. On nie jest jednym z nas – powiedziała jakaś kobieta. Hazel nie zwróciła uwagi, kto to był, bo wszystkie inne myśli wyparło z jej głowy łomotanie serca. Czują też ucisk w piersi, widok wielkiego holu domostwa państwa Gordonów zaczął się zamazywać.

– Spoko, mam – usłyszała głos Cartera. – On stąd nie pójdzie.

Jack, rozdrażniony, rzucił do brata:

– Nie będziesz za mnie podejmował decyzji.

– To może ja pójdę? Może oni się wkurzyli, bo chcieli mnie sobie wziąć i im się nie udało? Czy to nikomu nie przyszło do głowy? – Carter rozejrzał się wyzywająco po sieni, jakby czekając, by ktoś zaprzeczył; by ktoś śmiało powiedzieć, że to nie o niego w tym wszystkim chodzi. – Może oni chcą mnie, a nie Jacka?

– To bardzo szlachetne z twojej strony – odezwała się pani Kirkling – ale nie wydaje mi się...

– Jack, posłuchaj. – Jego matka przeszła przez sieni, stanęła przed nim. – Ty oczywiście nie chcesz, żeby komuś stała się krzywda i pragniesz temu przeciwdziałać na tyle, na ile jesteś w stanie. Nawet narażając się na niebezpieczeństwo. Dobry z ciebie chłopak, gotów jesteś poświęcić się dla innych. Sam zaproponowałeś, że odejdziesz, podczas gdy ta banda tchórzy myślała, że będą cię musieli zmusić, siłą bądź podstępem. – Rozejrzała się gniewnie, czekając, by ktoś zaprzeczył. – Myślą, że twój ojciec i ja najpierw będziemy chcieli cię zatrzymać, ale w końcu przecież przedłożymy dobro całego miasta nad twoje dobro. Myślą, że w końcu ustąpimy pod ich naciskiem. Pewnie twoja druga rodzina też tak myśli.

W sieni rozległy się nerwowe szepty.

Jack jakby skamieniał. Na jego twarzy być może malowało się zaskoczenie, z pewnością jednak obawa przed tym, co jeszcze może od niej usłyszeć.

Tymczasem jego matka spojrzała na męża, który stał oparty o ścianę z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Odbiliśmy z twoją mamą zeszłej nocy długą rozmowę – odezwał się teraz.
– Otóż jeśli chodzi o nas, całe miasto może spłonąć, tylko ty nas obchodzisz.

Jack zaśmiał się krótko, zaskoczony i może zachwycony, a nawet trochę zawstydzony. Była to jednak dziwna reakcja i Hazel od razu zauważyła, że nie przypadła do gustu mieszkańcom miasta. Elfy śmieją się na pogrzebach i płaczą na weselach, wiadomo. Obce im są ludzkie uczucia w ludzkich sprawach.

– Jejku, co za scena – odezwała się pani Holt, ściągając uszmiłkowane na koralowo usteczka i unosząc dłoń do oczu. W następnej chwili miała już mokre palce. Z jej piersi wydobył się szloch; spojrzała wokół, zdezorientowana.

Potem płakać zaczął szeryf. Żałość opanowała wszystkich, łzy napływały do oczu. Matka Hazel zawodziła głośno, szarpała się za włosy.

Hazel spojrzała na Jacka. Miał zaciśnięte usta. Wykonał krótki, przeczący ruch głową, jakby chciał powiedzieć, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. Nadeszła Rozpacz. Hazel słyszała jej głos w swojej głowie. Czuła się jak pochwycona prądem rzeki, jak nurek, który stracił wszelkie poczucie kierunku, szarpie się na wszystkie strony, nie wie już, gdzie jest góra i ocalenie, a gdzie dno...

Hazel zamrugła gwałtownie. Jack właśnie zawiązał supełek na jej włosach. Wyszeptał w jej szyję:

– Nie zapłaczesz, póki ci nie pozwolę.

Rzucił na nią urok przeciwko czarom Rozpaczy. Dopiero teraz Hazel zorientowała się, że jej policzki są mokre. Nie wiedziała, jak długo była pogrążona w płaczliwym amoku; ludzie wokół nadal łkali i szlochali.

Drzwi frontowe otworzyły się z trzaskiem, do sieni wbiegł Ben.

– Musimy stąd uciekać! – Głos jej brata wywołał efekt, jakby ktoś cisnął o podłogę szklanym naczyniem. Wszyscy spojrzeli w jego stronę. – To potwór, strzyga z serca lasu. Nadchodzi!

Za nim stał Severin. Hazel widziała go przez chwilę tak, jak musieli postrzegać go wszyscy zgromadzeni. Wysoki i nieludzko piękny, o rogach wyrastających z brązowych kędziorów, zielonych jak mech oczach, którymi na nich spoglądał. Cóż z tego, że ubrany był zwyczajnie, on sam nie był zwyczajny. Stanowił dla nich ucieleśnienie tego, jak wyobrażali sobie elfy; był

snem, który sprowadził ich do Fairfold lub za sprawą którego chcieli tu zostać, nie bacząc na niebezpieczeństwo.

W tej chwili Hazel wiedziała, co wszyscy czują, zarazem nadzieję i zgrozę. Ona też to czuła. To był jej królewicz. Miała go ocalić, a potem on miał ocalić ją.

– Kryć się – zakomenderował Severin.

Podszedł do ściany, na której wisiały dwie szable, wydobył je obie z pochew jednym płynnym ruchem, któremu towarzyszył metaliczny przydźwięk. Przez chwilę poruszał nimi, sprawdzając, jak są wyważone, po czym spojrzał na drugą stronę sieni, uśmiechnął się do Hazel i rzucił jej broń.

Pochwyliła szablę, choć nie spodziewała się, by mogło jej się to udać. Ciężar żelaza dodał jej pewności siebie, klinga była jak przedłużenie jej ręki, a nawet więcej: jak ucięta ręka, którą jej oddano. Ciężar budził zaufanie, to była najwidoczniej prawdziwa broń, nie tandetna reprodukcja odlana z byle jakiego stopu. Przez ułamek sekundy Hazel zastanowiła się, czy jest wiele warta, była bowiem niemal pewna, że poważnie uszkodzi ostrze o twardszą od skały korę pokrywającą ciało strzygi.

Krew zaczęła raźniej krążyć w jej żyłach.

– Mówiłeś, że zwykła stal jej się nie ima – powiedziała Hazel, gdy podeszła do rogatego chłopca.

– Musimy tylko skłonić ją do odwrotu – wyjaśnił, po czym ruszył ku drzwiom. – Zmęczyć ją, znużyć. Ona w istocie nie chce nikogo skrzywdzić.

Jack parsknął.

– Aha, akurat.

Wiatr na dworze potrząsał drzewami jak niemowlę grzechotką. Po drugiej stronie holu Carter stał przed matką i płakał. Jack przykucnął nad ojcem, szeptał coś do jego ucha, palcami gmerał w jego siwych włosach.

Hazel poczuła, że musi się wziąć w garść, bo nagle opadły ją wątpliwości. Być może jej nocna alter ego odebrała rycerskie nauki na dworze Króla Olszyn, ale dzienna Hazel nie umiała walczyć lepiej niż w wieku dwunastu lat. I nie miała już magicznego miecza. Strzyga zrobi z niej miazgę.

Wzięła głęboki wdech, zacisnęła powieki.

Jesteś rycerzem – powiedziała sobie. Jesteś rycerzem. Prawdziwym rycerzem.

Kiedy otworzyła oczy, strzyga stała już w drzwiach. Wszyscy, którzy dotąd jeszcze nie płakali, zaczęli wrzeszczeć. Niektórzy biegli do drugiego pokoju

lub po schodach, inni kryli się za meblami, jeszcze inni stali jak posągi, sparaliżowani grozą.

Hazel nie cofnęła się ani o krok. Kiedy przedtem widziała Rozpacz przez matowe szkło, wyobrażała ją sobie jako wstrętą, poskręcaną, obmierzłą postać, tymczasem wyglądała jak żywe drzewo porośnięte mchem i zeschniętymi, butwiejącymi pnączami. Jak żywy szkielet ze skamieniałego drewna, a z jej stóp ścieliły się korzenie, które przypominały tren sukni. Z jej głowy wyrastała dzika płatanina gałązek pokrytych liśćmi oraz grudkami błota. Czarne oczy wзираły z dziupli. Lepki czerwony sok spływał z jej oczodołów niczym drzewne łzy. Była równie piękna, jak przerażająca.

Stała naprzeciwko nich, co najmniej o pół metra wyższa od wszystkich w tym pomieszczeniu.

– Sorrel – przemówił Severin, ostrożnie postąpił krok do przodu. Nawet jemu brakło śmiałości, bo chyba podczas stuletniego snu, kiedy spoczywał w trumnie odcięty od świata, stała się jeszcze straszniejsza, niż ją zapamiętał. – Siostrzyczko, proszę cię...

Chyba nawet go nie widziała.

Rozległ się nabrzmiały łzami głos, który dobywał się z ust wszystkich zgromadzonych, chór żałobników:

– Kochałam go, a on nie żyje i zamiast miłości kości. Kochałam go i odebrali mi go. I gdzież on teraz? Gdzież on? Śmierć i zamiast miłości kości. Śmierć i zamiast miłości kości. Gdzież on teraz?

Wszyscy już zanosili się rozpaczliwym łkaniem, wstrząsani spazmami.

Rozpacz postąpiła krok w stronę brata, miażdżąc przy tym stolik. Kiedy wreszcie przemówiła, brzmiało to bardziej jak wycie wichru pośród drzew niż ludzki głos.

– Kochałam i kochałam, i on nie żyje, i zamiast miłości kości. Miłowałam, a mi go zabrali. Gdzież on teraz? Gdzież on jest? Śmierć i zamiast miłości kości. Śmierć i zamiast miłości kości. Ojciec mi go zabrał. Brat mi go zamordował. Gdzież on teraz? Zmarł i zamiast miłości kości. Martwy i zamiast miłości kości.

– Przecież tego nie chcesz – przemawiał do niej Severin. – Nie zrobiłabyś tego naumyślnie. Siostrzyczko, proszę. Proszę cię. Jeśli nie przestaniesz, będę musiał spróbować cię powstrzymać.

Nie zważając na jego słowa, Rozpacz weszła dalej do sieni, Hazel i Severin natarli na nią z dwóch stron. Wokół panował nieopisany harmider. Przerażona

pani Kirkling straciła orientację, wybiegła prosto na potworę. Długie ramię o wierzbowych palcach wyciągnęło się i odgarnęło ją na bok, jak odsuwa się pajęczynę. Ten nieznaczny gest cisnął panią Kirkling o ścianę; pękł tynk, a nieszczęsna kobieta osunęła się na podłogę.

W nowo powstałej szczelinie natychmiast pojawił się mech, pleśń zaczęła rozprzestrzeniać się po ścianie, rozplýwać jak woda, która wdziera się pod pokład pękniętego kadłuba okrętu.

W kącie sieni jakaś kobieta zaczęła kaszleć, wypluwając kurz.

Nie wiedząc, co innego może zrobić, Hazel cięła szablą.

Od wczesnego dzieciństwa słyszała opowieści o potworze mieszkającej w sercu lasu. Wyobrażała sobie, że gdy uda się ją pokonać, wtedy elfy na nowo ograniczą się do niewinnych psot i magii. Wyobrażała sobie to tak wiele razy, że choć teraz już dobrze wiedziała, jak rzeczy się mają, coś z dawnych mrzonek odezwało się w niej jako skryta ufność, że mimo wszystko ostrze zagłębi się w boku strzygi.

Nie zostawiło nawet śladu, natomiast sprawiło, że Rozpacz odwróciła się ku niej, wyciągnęła witekowate palce. Hazel zrobiła unik, poczuła muśnięcie suchych liści i zapach świeżej ziemi. Nie zrobiła tego jednak dość szybko, by Rozpacz nie zdążyła chwycić ją za upięte w kok włosy. Kilka kosmyków wyrwała, wzbiły się w powietrze jak rude iskry. Kok rozpadł się, a strzyga posłużyła się włosami jak liną, za pomocą której cisnęła Hazel o jedną z kanap; szabla wyleciała z dłoni dziewczyny, uderzyła o drzwi.

Potłuczona Hazel dźwignęła się z trudem. Bolała ją głowa i miała wrażenie, że uderzenie rozklekotało jej kości. Zmusiła się jednak, by dowlec się do miejsca, gdzie leżała broń, zmusiła się, by sięgnąć po szablę i odwróciła się w stronę potwory.

Severin tymczasem zdołał wdrapać się na grzbiet strzygi, chwytając się gałęzi i pnączy, jednak w następnej chwili strząsnęła go i ruszyła z ogłuszającym łomotem ku miejscu, gdzie upadł. Przyturlał się, zerwał na nogi; poruszał się ze zwinnością i pewnością, jakiej Hazel nigdy jeszcze u nikogo nie widziała. Jego klinga zafurkotała w powietrzu. Zadał cięcie, po którym Hazel rozpoznała niezrównanego szermierza. Jednak i jego klinga się odbiła. Strzyga powaliła go znowu.

W tej chwili ojciec Jacka zbiegł po schodach z myśliwską strzelbą w rękach. Złożył się i wycelował.

– Nie, proszę! – zawołał Severin, który nie zdążył jeszcze wstać z podłogi, Hazel jednak wydawało się, że pan Gordon nawet go nie słyszy. Pociągnął za spust.

Wystrzał rozległ się ogłuszającym echem w zamkniętym pomieszczeniu niczym grom, aż Hazel się zachwiała. Jednak kule nie zdołały przebić kory, odbiły się niczym kamyki rzucone rączką dziecka. Teraz Rozpacz skupiła swoją uwagę na panu Gordonie.

Carter zastąpił jej drogę, zamierzył się na nią lichtarzem, lecz stwora oplotła go długimi palcami, przyciągnęła do siebie. Hazel podbiegła, rąbnęła szablą w plecy Rozpaczy. Potwora chyba nawet tego nie zauważyła.

– Ej! – wrzasnął Jack, w tej samej chwili oblał czymś strzygę. W powietrzu rozszedł się ostry zapach alkoholu. Jack wylał na nią butelkę osiemdziesięcioprocentowej brandy wyciągniętą z otwartego teraz barku rodziców. – Podpalę cię – zawołał Jack, potrząsając pudełkiem zapalek trzymany w drżących palcach. – Zostaw ich w spokoju. Wynoś się stąd.

Stwora przyglądała mu się przez długą chwilę, wypuściła Cartera, który opadł bezwładnie na podłogę. Był nieprzytomny, na jego ustach pojawiła się wielka zielona plama.

Wszystko działo się tak szybko.

Hazel usłyszała krzyk swojej matki dobiegający gdzieś z głębi sieni. Zerknęła w bok, zobaczyła Bena ciągnącego ją za stary fortepian.

Jack zapalił zapalniczkę.

Stwora rzuciła się na niego tak prędko, że zdołała wytrącić mu ją z ręki. Hazel wpadła między nich, mierząc szablą w oczy strzygi. Pchnięcie sięgnęło policzka Rozpaczy, lecz nie popłynął z niego sok.

Jack tymczasem zdążył zapalić następną zapalniczkę, jednak wtedy w sieni państwa Gordonów powiał potężny wicher. Gdzieś w oddali rozległo się gorączkowe krakanie setek wron.

Severin wydał desperacki okrzyk i znów wskoczył na jej plecy. Trzymając się konarów, przytknął ostrze do jej gardła; pewnie liczył, że ją w ten sposób przestraszy, powstrzyma. Ona jednak tylko się otrząsnęła, próbując go zrzucić. Hazel zadawała cięcie za cięciem, próbując pozbawić strzygę ramion lub choćby tych niewiarygodnie długich witek służących za palce. Ani jedno uderzenie nie odniosło skutku. Hazel w następnej chwili uderzyła o ścianę i upadła na grupkę skulonych ludzi, którzy natychmiast podnieśli krzyk.

Wszystko już ją bolało. Wstała z najwyższym trudem. Huczało jej w czaszce, bała się, że za chwilę zawrót głowy weźmie nad nią górę. Otarła z oczu krew i pot. Krwawiła już z wielu miejsc, choć nie pamiętała, w którym momencie doznała tych ran. I nie miała też pojęcia, ile jeszcze razy zdoła powtórzyć swój rozpaczliwy atak.

Severin zwał się na podłogę, ale już zaraz znowu stał na nogach. Nie dawał za wygraną, lecz Hazel widziała, że i on traci siły, a wraz z nimi nadzieję.

Potem zaś rozległy się dźwięki pianina.

Odwróciła się mimo woli, a Rozpacz wtedy uderzyła, zwalając ją z nóg. Hazel runęła na twardą drewnianą podłogę plecami, aż impet uderzenia sprawił, że zaparło jej dech w piersiach. Przewróciła się na bok. Ujrzała swojego brata siedzącego na stołeczku, z palcami okaleczonej dłoni rozpostartymi na klawiszach. Grał.

Dźwięki wypełniły hol. Ben ze strun pianina wydobył melodię jak łkanie. Rozpacz zawyła głośno.

W następnej chwili muzyka przycichła, a potem umilkła. Nie był w stanie tego zrobić. Połamane palce, które nigdy prawidłowo się nie zrosły, których nie leczył i nie ćwiczył, były za słabe na klawisze. Hazel popełniła błąd, patrząc na niego ze zdumieniem; popełniła błąd, bo należało wykorzystać ten krótki moment, który jej darował. Zerwała się szybko na nogi i popędziła w stronę strzygi.

Za późno, stwora już na nią czekała. Pochwyciła ją, po czym cisnęła precz od siebie. Hazel szczęśliwie znów wylądowała na jakiejś kanapie – z taką siłą, że nogi mebla ustąpiły, kanapa przewróciła się razem z Hazel w tył. Otumaniona dziewczyna spojrzała w górę na pochylającą się nad nią stworę. Gałęzie i mech, i lśniące ślepia.

– Śmierć i zamiast miłości kości. Śmierć i zamiast miłości kości – rzekła cicho Rozpacz. Wyciągnęła po Hazel długie ramię.

Wtedy Ben zaśpiewał. Z jego gardła wydobyły się przedziwne dźwięki, być może takie, jakie zagrałby, gdyby palce nie odmówiły mu posłuszeństwa. Dźwięki jak zawodzenie, jak jej jęki. Wybrzmiewała w nich porażająca, obeszładniająca niemoc zwątpienia. Mimo węzełka we włosach i zakłęcia Jacka, Hazel poczuła łzy spływające do gardła, piekące w oczach.

Rozpacz wydała z siebie straszny, zawodzący głos. Zaczęła tłuc się, rozbijając meble. Złamana gałąź rozdarła poszycie wersalki. Rozpacz wyła z rozpaczcy.

– Ben – zawołała Hazel. – To na nic. Od tego jest jeszcze gorzej!

Ale Ben nie przestał. Śpiewał dalej. Jego śpiewowi towarzyszył dobiegający ze wszystkich stron rozdzierający płacz; łąły się łzy, ludzie padali na kolana i na wznak. Walili desperacko rękami o ściany. Strzyga ciężkim jak grom krokiem ruszyła w stronę pianina, jednym ruchem odrzuciła je na bok, upadło ze straszliwym jękiem. Rozpacz zasłoniła gałęziami twarz. Ramiona strzygi zatrzęsły się od płaczu.

Dopiero wtedy Hazel zrozumiała. Ben prowadził Rozpacz przez morze łez. Wiódł ją śpiewem na spotkanie najczarniejszego zwątpienia i żałoby. Śpiewem odgrywał dla niej najstraszliwszą samotność, zmuszając strzygę, by w swoim sercu odwróciła się, wyszła jej naprzeciwko – bo od najbardziej dojmującego smutku nie można się uwolnić, nie można się go wyzbyć, jeśli się z nim walczy. Jedyny sposób, by położyć kres żałobie, to przez nią przejść.

Potem zaś z wolna jego pieśń zaczęła się zmieniać. Stała się cichsza, pojawiła się w niej nutka słodyczy, jak poranek po przepłakanej nocy, gdy głowa boli nadal, ale serce już nie jest złamane. Jak kwiatuszki wyrastające na grobie. Stopniowo w sieni ucichły łkania.

Potwora znieruchomiała.

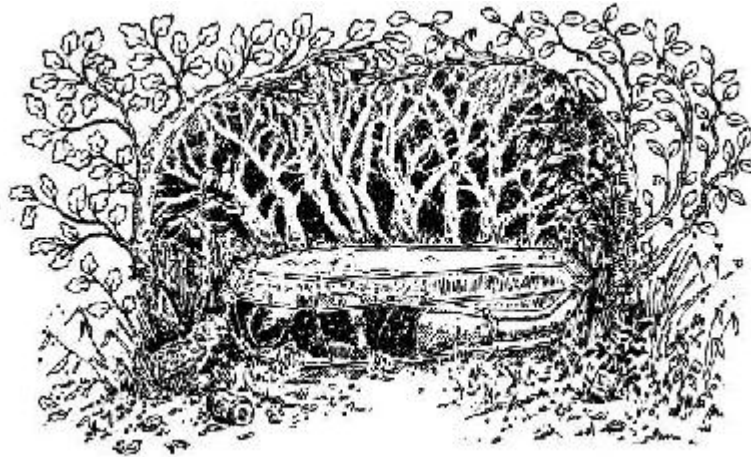
Ben umilkł. Usiadł ciężko na stołku od pianina, wyczerpany. Mama wzięła go za rękę, ich palce splotyły się ze sobą. Mama dalej płakała.

Przez chwilę panowała absolutna cisza. Rozpacz rozejrzała się tymi dziwnymi oczami spozierającymi z głębokich dziupli, jakby przebudzona z długiego snu. Severin z trudem wstał, podszedł do niej.

Spoglądała na niego, wyciągnęła w jego stronę patyki palców. Była odmieniona, odzyskała świadomość. Trudno było cokolwiek wyczytać z jej drzewnej twarzy. Hazel nie wiedziała, czy zada bratu ostateczny cios.

On zaś wyciągnął dłoń i dotknął nią pokrytego mchem policzka siostry. Przez chwilę stwora lgnęła do jego dotyku, jakby miała się po kocjemu otrzeć, potem cofnęła się gwałtownie, odwróciła i ciężkim krokiem ruszyła ku drzwiom, zostawiając za sobą rozbite meble i skamieniałych z osłupienia mieszkańców Fairfold. Odeszła.

ROZDZIAŁ 19



Hazel upuściła szablę, która upadła na podłogę z głośnym brzękiem. Dziewczyna miała poobijane palce. Poobijane wszystko, ale jednak żadna z jej kości nie była złamana. Wielka sień rezydencji państwa Gordonów przedstawiała sobą żałosny widok – połamane meble, podarte obicia, podłoga usłana liśćmi i ziemią.

Jakaś kobieta płakała żałośnie w kącie. Płakał jeszcze ktoś inny, ale to łkanie już nie było wymuszone, ci ludzie płakali sami z siebie.

– Potrzebujemy krwi potwory – powiedział Jack do Hazel. Siedział na podłodze, obejmował nieprzytomnego Cartera. Hazel popatrzyła na niego ze zdziwieniem; te słowa tak dziwnie nie pasowały do jego zwykłej, dobrodusznej życzliwości wobec całego świata. Widząc wyraz jej twarzy, Jack potrząsnął głową. – Sama tak powiedziałaś. Jej krew przywróci tych ludzi do życia, uleczy Cartera. Dlatego potrzebujemy jej krwi.

Hazel skinęła głową.

Oczywiście. To właśnie wyjaśnił jej Król Olszyn. Wszystko to przypominało zagadkę, czy może jakieś szkolne zadanie z matematyki: aby uzyskać krew potwory, potrzebny jest magiczny miecz; aby zdobyć magiczny miecz, trzeba wiedzieć, z kim współdziała twoja nocna jaźń, aby się tego dowiedzieć, należy się zorientować, kto mógł pragnąć uwolnienia Severina; w tym zaś celu, aby tę wiedzę pozyskać, trzeba...

– Chodź – powiedział Ben głosem niskim i ochrypłym, jakby zdarł sobie gardło od śpiewu. Wyciągnął rękę do Jacka, dotknął jego ramienia. – Chodźmy

stąd. Teraz wszyscy mamy ten sam cel. Szukamy tego samego, a nie zostało nam zbyt wiele czasu, by to znaleźć.

- Szukamy Heartsworna – uzupełnił Severin. Skinął głową w stronę Hazel.
- Dobrze walczyłaś – dodał z uznaniem w głosie.

Instynkt kazał jej się poruszać o wiele zwinniej, niż sądziła, że jest do tego zdolna. Byle za dużo nie myśleć. Gdy tylko zastanawiała się, dlaczego właściwie trzyma broń pod jakimś kątem albo co zaraz zrobi, wypadała z transu, przestawała działać skutecznie. Strach sprawdził się pod tym względem, że dzięki niemu umiała skupić się na teraźniejszości. Za to teraz, kiedy już się nie bała, prawdopodobnie nie byłaby w stanie zmusić się do podobnych wyczynów.

Jack wahał się, ale wstał. Wszyscy wokół zaczęli się dźwigać z podłogi, schodzić z piętra, opuszczając swoje kryjówki, by pospiesznym krokiem ruszyć przez trawnik do swoich samochodów, do swoich domów, byle dalej, dalej, dalej.

- Ben ma rację. Nie mamy tu czego szukać.

Hazel w drzwiach obejrzała się za siebie. Jej matka stała, przytrzymując się ściennej lampy. Patrzyła na swoje dzieci, jakby widziała je po raz pierwszy.

Hazel spojrzała na Jacka. On sam spoglądał na swoich rodziców, którzy uklękli obok Cartera, jego matka próbowała podnieść ciało syna. Hazel widziała lęk na twarzy Jacka. Jego ojciec powiedział, że jeśli o niego chodzi, całe miasto może spłonąć, z pewnością jednak nie miał na myśli Cartera.

- To przecież nie twoja wina – powiedziała Hazel.

Jack skinął głową.

Wyszli, przechodząc przez głębokie, błotniste koleiny pozostawione przez Rozpacz w trawie, zupełnie odmienne od śladów zwykłych stóp. Patrząc za siebie na dom państwa Gordonów, na połamane deski ganku, Hazel zastanowiła się przelotnie, jak władze miejskie to wytłumaczą. Czy mieszkańcy Fairfold będą musieli zapłacić wysoką cenę za lata przeżyte w magicznym miejscu? Pogodzić się z tym, że elfy nie zadowolą się mlekiem wystawionym w miseczce, że niektóre z nich spragnione są krwi?

- Może pojechałbyś z nami samochodem? – zwrócił się Ben do rogatego chłopca, gdy stanęli przy jego volkswagenie.

– To twój samochód? – spytał Severin, patrząc tam, gdzie spoglądał Ben. Obawa malująca się na jego twarzy sprawiła, że Hazel mimo wszystko omal się

nie roześmiała. Królewicz z godnością skinął głową. – Skoro taki mój los, muszę się z nim pogodzić.

Hazel i Jack wcisnęli się na tylne siedzenie, rogaty chłopiec usiadł obok kierowcy. Hazel wzięła Jacka za rękę, ścisnęła jego dłoń.

Odpowiedział tym samym, potem pozwolił, by jej dłoń uwolniła jego palce.

Jechali do domu w milczeniu. Wraz z upływem czasu ból głowy Hazel narastał i coraz bardziej bolały ją ramiona i żebra od twardego upadku na podłogę. Noga spuchła w kostce. Poza tym bolało ją właściwie wszystko, tymczasem o zmierzchu, jeśli uśnie, stanie się kimś innym. Kimś, kto ma odmienne wspomnienia i kto wie, być może stoi po zupełnie innej stronie.

Nie mogła nie myśleć o tamtym śnie, w którym jako rycerz Króla Olszyn była nie lepsza od reszty jego świty. Hazel miała poważne obawy, że nie spodobałaby jej się ta osoba, którą stawała się w nocy.

Gdy znaleźli się już wreszcie w domu, Hazel podeszła do zlewu i długo piła wodę prosto z kranu. Potem usiadła na blacie.

Ben postawił czajnik na gazie, wyciągnął z szafki miód, po czym udał się do łazienki po wodę utlenioną i bandaże.

– Niesamowite to było – odezwała się cicho Hazel. – Ale dałeś koncert.

Wzruszył ramionami.

– Jestem zaskoczony, że podziałało.

– Tym bardziej to niesamowite.

Otarła dłonie o dzinsy.

Severin podszedł do stołu, usiadł okrakiem na krześle, jak mógłby dosiadać elfowego rumaka. Na jego policzku wykwitł siniak. Jack stał pośrodku kuchni i wyglądał, jakby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

– A więc, Heartsworn – odezwał się po dłuższej chwili Severin. – Chyba jeszcze sporo moglibyśmy się od ciebie dowiedzieć, czyż nie, Hazel? Powiedziałem, że dobrze walczyłaś i to prawda. Dałem ci ten drugi oręż, bo poznałem po twojej postawie wtedy, w lesie, że walczyć umiesz. Zawsze lepiej, żeby broń znalazła się w rękach kogoś, kto ma o niej jakie takie pojęcie. Jednak to, co dzisiaj zobaczyłem, wskazuje na coś więcej. Śmiertelnicy nie potrafią tak walczyć.

Hazel sięgnęła do szafki po miskę. Nalała do niej wody utlenionej, po czym zanurzyła w niej rozek kuchennego ręcznika, żeby przetrzeć sobie rany. Właśnie tej chwili się bała, kiedy trzeba było wszystko z siebie wyrzucić. Nie patrzyła na żadnego z nich, kiedy zaczęła mówić.

– Podczas elfowej biesiady dowiedziałam się, że już od pięciu lat służę Królowi Olszyn. Gdy tylko usypiam, zaraz budzę się jako ktoś inny. I nie wiem, czego dopuściła się ta inna osoba, ale została wyszkolona do walki, więc chyba w moim ciele zachowały się jej odruchy, chociaż świadomie tego nie pamiętam.

Przynajmniej Jack już wiedział. Przynajmniej on nie gapił się na nią jak Ben, jakby była kimś obcym.

– Musisz mnie zrozumieć – podjęła Hazel z ociąganiem. – Umowę zawarłam bardzo dawno temu, chociaż wiem...

– Co ty, zawarłaś umowę z Królem Olszyn?! – zaskoczony Ben krzyknął tak głośno, że aż się wzdrygnęła. – Wychowałaś się w tym mieście. Przecież chyba wiesz...

Hazel spoglądała, jak ręcznik różowieje od krwi, w miarę jak ocierała nim ramię.

– Byłam dzieckiem i byłam głupia, co ci mam powiedzieć?

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytał Ben.

– Na czym polega ta umowa?

Czajnik na palniku zaczął gwizdać przeraźliwie.

Po długiej chwili Hazel zeskoczyła z blatu, podeszła do kuchenki.

– To było wtedy, kiedy chodziliśmy na łowy i mieliśmy tyle przygód – odpowiedziała, odwracając się do brata. – Nie chciałam, żeby się skończyło. Sam wiesz, że chciałam to robić dalej.

Oczekiwała, że kiedy Ben zrozumie, jak głupio postąpiła, będzie się na nią złościł. Nie spodziewała się strachu, który odmalował się na jego twarzy.

– Hazel, co to była za umowa?

– Zawarłam ją, żebyśmy nie musieli zrezygnować z łowów. Powiedziałeś kiedyś, że jeśli lepiej zapanujesz nad swoją muzyką, będziemy mogli dalej polować.

Usłyszała we własnym głosie dziecięcą nutkę błagania, żeby tylko Ben zechciał ją zrozumieć... Co napełniło ją obrzydzeniem wobec samej siebie.

– Zrobiłaś to dla mnie – stwierdził Ben ze zgrozą.

Hazel gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie, zrobiłam to dla siebie. Chciałam dalej polować. Myślałam właśnie tylko o sobie.

– Dlatego dostałem stypendium. To byłaś ty...

Ostatnie słowa wypowiedział ściszym głosem, właściwie do siebie.

– Ben...

– Na czym dokładnie polega ten układ? – spytał Severin, jego rzeczowy ton sprawił, że Hazel odetchnęła z ulgą.

– Obiecałam w zamian siedem lat swojego życia. Myślałam, że po prostu wcześniej umrę. Że lata życia to coś, co można komuś po prostu odjąć.

Severin skinął poważnie głową.

Ben chyba nie uważał, że skrócenie sobie życia o siedem lat jest czymś pozbawionym większego znaczenia. Najwyraźniej był zdruzgotany. Hazel pragnęła w tej chwili tylko jednego, żeby ta rozmowa już wreszcie się skończyła. Chciałaby naprawić wszystkie błędy, ale było na to o wiele za późno.

– Dlatego mi o tym nie powiedziałaś – odezwał się Ben.

– Dlatego, dlatego. Ale przede wszystkim dlatego, że w tej chwili to już bez znaczenia. Nie mówiąc o tym, że to ja zepsułam wszystko. Wiesz, wtedy, w Philadelphii. Zepsułam, więc bez znaczenia, po co to zrobiłam, bo i tak wszystko legło w gruzach.

– Ale o czym ty mówisz?

Spoglądał na nią i chyba rzeczywiście nie rozumiał.

– Przecież wiesz, co zrobiłam.

To straszne, że musiała wszystko tłumaczyć. Trudno jej było znieść pełne troski spojrzenie Jacka i świadomość, że gdy tylko się o tym dowie, już zawsze będzie na nią patrzył zupełnie inaczej. Mówił, że ktoś, kto podsuwa komuś swoje serce na srebrnej tacy, jest sam sobie winien, ale nie miał racji.

– Hazel, co ty takiego zrobiłaś? Chodzi ci o to, że Kerem cię pocałował?

– No jasne, że o to – syknęła Hazel.

Ben bezradnie rozłożył ręce.

– Przecież to nie ty, tylko on. On się do ciebie przykleił, bo był dupkiem, miał trzynaście lat i nagle całe życie mu się zawaliło. Był kompletnie wytrącony z równowagi. A wiesz, gadałem z nim przez Facebooka i teraz całkiem dobrze mu się żyje. Ma chłopaka, nie musi się ukrywać, bo jego rodzice się z tym pogodzili. Wtedy jednak rzeczywiście mu odbiło, jego starym też odbiło, no i chciał udowodnić, pewnie sobie samemu, że wcale nie jest gejem. A ty akurat się nawinęłaś. I tyle, to wszystko.

– Ale wiem, co się stało w wyniku tego nieszczęsnego pocałunku – powiedziała Hazel, nie podnosząc wzroku znad czajnika i kubków.

Ben mówił teraz miękkim głosem:

– To nie dlatego... Nie możesz winić siebie za to, że straciłem panowanie nad sobą. Nad sobą, nad wszystkim. Chciałem iść do szkoły muzycznej, bo już się bałem tego, że wszystko wymyka mi się spod kontroli. Kiedy zobaczyłem Kerema z tobą, przede wszystkim pomyślałem, że kto wie, może ja go zaczarowałem, żeby mnie polubił, a teraz on musi z tym walczyć, bo wiesz, zaczarowałem, bo strasznie się w nim zakochałem. A potem jeszcze ta nauczycielka... No i przez to załatwiłem sobie rękę. I dobrze zrobiłem. A to, co wydarzyło się w Philadelphii, to moja wina, nikogo innego.

Hazel chciała się spierać i zapewnić, że nie, to wszystko przez nią, w tej samej jednak chwili zdała sobie sprawę, jak żałośnie by to zabrzmiało. Te wszystkie sekrety i przemilczenia, wzajemne żale – wszystko było zupełnie niepotrzebne. Ben nigdy nie miał jej za złe tamtej historii. Przez tak długi czas podejmowała decyzje, biorąc przede wszystkim pod uwagę to, żeby Ben nie dowiedział się o jej układzie z elfami. Teraz, kiedy już nie musiała się kryć, poczuła nieopisaną wprost ulgę.

– Nie, Ben. Nie zrobiłeś dobrze, bo rozwaliłeś sobie rękę.

– Tak. A ty, cholera jasna, sprzedałaś siedem lat swojego życia, żebym dostał stypendium i nawet mi o tym nie powiedziałaś. – Ben złościł się, ale nie na nią. – Trzeba było mi powiedzieć. Może coś byśmy razem wymyślili.

– Może. Teraz jednak naprawdę musimy coś razem wymyślić – przerwał im Jack. – Dajcie Hazel dokończyć.

Hazel opowiedziała więc o otrzymanych wiadomościach, jak obudziła się z ubłoconymi stopami – przerażona, że nadszedł czas spłaty długu. Opowiedziała im o elfowym balu i słowach Króla Olszyn. Potem Severin opowiedział im historię Sorrel; tę samą, którą Ben już znał.

– Tylko dlaczego akurat teraz? – zadał pytanie Ben. – Nad tym trzeba się zastanowić. Co się zmieniło? Co planuje Król Olszyn?

– Znalazł jakiś sposób, żeby sprawować kontrolę nad Rozpaczą – odparła Hazel. – Może to stąd się bierze?

Jack pokręcił z namysłem głową.

– Raczej nie chodzi tutaj o coś, co zdarzyło się ostatnio. Trzeba się cofnąć dalej w przeszłość. Coś skłoniło go, by pozwolić dzikim stworom na znacznie większą swobodę, nawet ludzie na zebraniu to stwierdzili. Nie wiem. Osiem lat temu zmienili się władcy Dworu na Wschodzie. Może to go tak rozdrażniło?

– Chyba nie. To zaczęło się wcześniej – stwierdził Ben.

– A kto tam teraz rządzi? – spytał Severin.

Jack jednak mógł tylko rozłożyć ręce.

– Słyszałem dawno temu jakieś imiona – wyznał – ale nie pamiętam ich, żadne z nich nic mi nie mówiło.

Severin pokiwał głową.

– Pozostało mi jeszcze kilkoro znajomych istot na dworze mojego ojca. To nikt, kto by się liczył, jednak niektóre z dzikich elfów, które znały moją matkę, zechciały ze mną rozmawiać. Dowiedziałem się od nich, że nieco ponad seskwidekadę temu Król Olszyn wziął sobie następną kochankę. Ta jednak zadała się ze śmiertelnikiem i urodziła dziecko. Chyba właśnie wtedy zaczęło ginąć coraz więcej śmiertelnych, prawda? I wtedy też mój ojciec stopniowo zaczął rozumieć, jak zapanować nad moją siostrą. Sporządził z kości jej męża zaklęty pierścień.

– Seskwi-co? – spytała Hazel, myśląc jednocześnie ze zgrozą, że istotnie widziała na palcu Króla Olszyn pierścień. Nie domyśliła się jednak, że to z kości zamordowanego człowieka.

– Seskwidekada to wyszukane słówko, które znaczy po prostu piętnaście lat. – Wyjaśnił Jack, krzywiąc się, jakby skosztował czegoś niesmacznego. – A ta kobieta, o której mówisz, to moja matka.

Ben oniemiał, nawet Severin się zdziwił.

– Twoja matka? – powtórzyła machinalnie Hazel.

Pamiętała tę elfkę, która na elfowej biesiadzie tak czepiała się Jacka. Na jej twarzy naprawdę malował się strach.

Jack przytaknął.

– Dlatego chciała mnie ukryć. Była kochanką Króla, ale okazał się niezbyt dla niej miły, więc związała się z pewnym mężczyzną ludzkiego rodu, no i stąd się wziąłem. Dlatego chciała mnie podrzucić ludziom, przynajmniej na tak długo, aż Król o tym wszystkim zapomni.

Hazel podejrzewała, że tego nigdy dotąd nikomu nie mówił. Można się było tego domyślić choćby stąd, że nie patrzył na nich, opowiadał ze wzrokiem wbitym w swój kubek.

Severin spoglądał na niego z ubolewaniem.

– Jeżeli twoja matka nie dochowała mu wiary, jeżeli porzuciła go dla śmiertelnika, to zemsta musiała być straszna. Wywarłby ją nie tylko na tym człowieku, nie tylko na całym mieście, ale przede wszystkim na niej, na twojej matce. Z pewnością okrutnie by ją skrzywdził.

Jack wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Nie. Przecież by mi powiedziała.

– Jednak czy to nie wystarczający powód, by pragnąć jego śmierci? –
podsunął Ben. – Może to ona ma coś wspólnego z mieczem?

Hazel zastanowiła się chwilę.

– Nie wiem, ale usłyszałam od niej coś dziwnego. Kiedy podczas balu
powiedziałam jej, że szukam Ainsel, odniosłam wrażenie, że coś wie, ale
dawała mi do zrozumienia, że mam siedzieć cicho.

Jack potarł usta dłonią.

– Nie tylko to. Jeszcze wygłaszała jakieś dziwaczne teksty o tym, że ja mam
ciebie ocalić. Czy to ma znaczyć, że ci ludzie na zebraniu jednak mieli rację?
Że to wszystko przeze mnie?

– Nie – zaprzeczyła Hazel. – Nigdy w życiu. To nie jest twoja wina.

– Zaraz – odezwał się Severin. – Jak ma na imię twoja matka?

– Eolanthe – odpowiedział Jack.

– Ongiś ją znałem. – Severin popatrzył na Jacka dziwnie; Hazel od razu
przyszło na myśl, że znał jego matkę o wiele lepiej niż tylko trochę. – Jest
bardzo piękna i mądra, ale nie jest wojowniczką. Jeśli zdołałaby odebrać Hazel
Haertsworna podstępem czy siłą lub wykorzystując wielkoduszość jej
nocnego serca, tak czy inaczej potrzebowałaby kogoś, kto umiałby tą bronią
władać.

– Dobra, spróbujmy poskładać wszystko razem – zaproponował Ben. – Jack
przypadkiem mówi swojej elfowej matce o znajomej dziewczynie albo ona
skądinąd dowiaduje się, że Hazel znalazła miecz. I co dalej? Namawia nocną
Hazel, żeby przełamała klątwę Severina? Miałaby doprowadzić do uwolnienia
śpiącego królewicza, ale nie dałaby mu jedyne i niepowtarzalnego oręźa,
który pozwoliłby mu stawić czoło ojcu, pokonać Heartseekera?

Jack skinął głową. Wstał, zaczął przechadzać się tam i z powrotem po
kuchni, nie patrząc na żadne z nich, pogrążony we własnych myślach.

– Może. Mogłem kiedyś coś napomknąć o Hazel i jej mieczu, a Hazel pewnie
łatwo byłoby namówić do tego, żeby uwolniła Severina.

Hazel roześmiała się.

– Bena jeszcze łatwiej byłoby przekonać.

Brat pokazał jej język.

– Tylko że twoja matka nie wygląda na kogoś, kto chciałby wchodzić z
kimkolwiek w alianse – zauważyła Hazel. – A już na pewno nie ze mną.

Zdecydowanie mnie nie polubiła.

– A może tylko dobrała się do miecza? – zastanawiał się na głos Ben. – Po prostu go ukradła, a potem dla zmyły pozostawiała różne fałszywe ślady. Postarała się, żebyśmy gonili w kółko, podczas gdy ona snuje swoje własne plany.

– No dobrze, ale co z tą klątwą Severina? – spytała Hazel. – Po co miałyby go wypuścić z trumny?

– Może po to, żeby odwrócić uwagę Króla Olszyn – powiedział Jack, spoglądając na Bena ze zmarszczonymi brwiami, tak jakby razem obmyślali jakiś nadzwyczaj podstępny plan, a nie próbowali odgadnąć cudzych knowań.

– Poza tym to byłby dowód, że miecz, który ma Hazel, jest rzeczywiście Heartswornem. Tylko Heartsworn zdołałby rozbić trumnę i przełamać klątwę. Dzięki temu mogła się upewnić, że ukradnie ten właściwy magiczny miecz.

Severin uniósł delikatne brwi.

– W ten sposób powraca kwestia kogoś z wprawą władającego mieczem.

Ben wzruszył ramionami.

– Sam powiedziałaś, że jest piękna i mądra. Bez trudu znalazłaby kogoś, kto jest wprawnym wojownikiem i nie bałby się sprzeciwić Królowi Olszyn. Chyba nie brak śmiazków pośród królewskich rycerzy, co nie?

– Cóż, wystarczy jeden – powiedziała Hazel i zaśmiała się ponuro. – Chętnie bym zawarła z nim znajomość.

– Istnieje sposób, by posłać wiadomość mojej matce – powiedział Jack. Podszedł do szuflady ze sztucami i wyjął z niej ostry nóż do steków. – Krew przywołuje krew. – Wyszedł kuchennymi drzwiami na podwórze. – Jeżeli ona ma miecz, obiecuję jej w zamian za niego, co tylko zechce. Jeśli mnie, wrócę do niej. Złożę taką przysięgę, jaką trzeba będzie złożyć.

– Jack – zaproponowała Hazel. – Być może to wcale nie jest konieczne.

– Może to nie ona? – podjął Ben. – Może chodzić o kogoś, kogo w ogóle nikt z nas nie zna albo nie pamięta, że kiedyś poznał.

– Albo może to być osoba, która ukryła jej syna przed Królem Olszyn i ma wszelkie powody, żeby go nie cierpieć. Co ci się wydaje bardziej prawdopodobne? – Jack był skupiony, zaniepokojony. – Jeżeli nie dostaniemy tego miecza, Carter nie ma żadnych szans.

– Jack – odezwała się znowu Hazel, ale chłopak nie odwrócił się, nie zawahał. Wbił ostrze noża w palec, podniósł z ziemi liść i napisał na nim coś

krwią, tak jak kto inny nabazgrałby długopisem na papierze. Potem wyszeptał coś i dmuchnął, liść wzbił się w powietrze.

Hazel jednak zdołała odczytać: Matko, jeśli to ty masz Heartsworna, przynieś go do domu przy River Road, a otrzymasz ode mnie, czegokolwiek zażadasz.



Po wysłaniu wiadomości mogli już tylko czekać.

Ben był przekonany, że imię Ainsel z czymś mu się kojarzy, wziął więc kubek pełny herbaty z miodem i poszedł przeglądać książki zgromadzone w składziku, przejrzeć ich spis treści i indeksy.

Severin wybrał się do szopy po siekiere, którą jeszcze niedawno obrał sobie za oręż Ben, a także, aby rozejrzeć się za innymi narzędziami, które dałoby się wyostrzyć na tyle, żeby mogły posłużyć do obrony.

Pozbawiona pancerza swoich tajemnic Hazel czuła się przeraźliwie bezbronna. Mrok czaił się, by zapełnić tę pustkę. Żeby się czymś zająć, przeszukała cały dom, zbierając wszystko, co było zrobione z żelaza, nie wyłączając cążków do paznokci, a także sól i ziemię z grobu, również owies, suszone jarzębiny i inne amulety. Po tym jak Severin zgromadził broń wewnątrz domu, zabezpieczyła za ich pomocą wszystkie drzwi oraz parapety wszystkich okien.

Kiedy się z tym uporała, usiadła na fotelu i zdrzemnęła się. Jeśli to magia pozwalała jej służyć Królowi Olszyn bez snu, chyba właśnie przestawała działać. Zmęczenie wzięło górę.

Gdy się obudziła, słońce wisiało nad horyzontem w blasku roztopionego złota. Z góry dobiegał głos Severina – niski, ciepły pomruk, a potem śmiech jej brata.

– Hej – odezwał się Jack, podchodząc do niej. Dżinsy nosił nisko na biodrach, ukazując w ten sposób pas ciepłobrazowej skóry między nimi a brzegiem T-shirtu. Wyobraziła sobie, że wyciąga tam rękę, zacisnęła palce, żeby powstrzymać się od dotknięcia go. – Przyszedłem, żeby cię obudzić, zanim się... Przemienisz.

Hazel skrzywiła się. Omal nie zapomniała.

– Spokojnie – powiedział. – Wszystko pod kontrolą. Nie obwiniaj się.

– Zgubiłam miecz. Uwolniłam Severina. Zawarłam głupią umowę. Do pewnego stopnia to jednak moja wina. – Przeczesała palcami włosy, potem odgarnęła je z twarzy. – Ale nie pozwolę, żeby cię zabrała, jeśli sam tego nie chcesz.

Obdarzył ją uśmiechem, który uśmiechem wcale tak naprawdę nie był.

– Czy ja wiem? Może to nie byłoby takie złe. Nie musiałbym się przygotowywać do egzaminów ani szukać pracy na lato, ani zastanawiać się, jaki kierunek wybrać. Tylko piłbym wino z dzikiego bzu od samego rana, tańczył całymimi nocami i spał na płatkach róż.

Hazel zaśmiała się.

– A ty myślisz, że czym się zajmują studenci na uczelniach? Dam głowę, że studiowanie głównie na tym polega.

– Może i tak – przyznał, ale zaraz potrząsnął głową. – Wiesz co, całe moje życie w Fairfold to było bezustanne udawanie. Ja udawałem człowieka. Moja mama udawała, że tak naprawdę urodziła bliźniaki, ale jeden z synów był bardzo chory, nie wiedziała, czy przeżyje, no i dlatego nikomu o tym nie mówiła. I potem udawanie, że ktokolwiek w to wierzy. Udawanie, że tato nie dziwi się, że w ogóle istnieję. Udawanie, że ludzie się na mnie nie gapią. Udawanie, że nie wymykam się do lasu. Udawanie, że nie kusi mnie tamta strona. Udawanie, że nie mam nic wspólnego z magią. Moje życie zawsze było beczką prochu czekającą na zapałkę.

– Witaj, zapałko – powiedziała Hazel, wskazując na siebie oboma kciukami z uśmiechem, żeby w razie czego móc obrócić to w żart.

– Włosy jak płomień... Tak, witaj, zapałko.

Jego jedwabisty głos zupełnie zmienił sens tych słów. Hazel wróciła myślami do chwili, gdy obudziła się w lesie, przypomniała sobie zapach igliwia w powietrzu i dotyk jego ust na swoich ustach, kiedy leżała plecami na nierównej ziemi i serce jej się ścisnęło.

Tak daleko byli od tego upojnego, sosnowego lasu.

A w dodatku ona mu ciągle tego jeszcze nie powiedziała.

– Podobasz mi się – wyrzuciła z siebie gwałtownie, zabrzmiało to raczej jak oskarżenie.

Jack uniósł brwi.

– Poważnie?

– Pewnie, że poważnie. Inaczej bym tego nie mówiła.

Teraz już wiedział i mogli dalej rozmawiać o studiach, mordowaniu leśnych stworów, strategii czy jeszcze o czymś innym – w zasadzie czymkolwiek. Dalej mogliby się zamartwiać, że elfy być może chcą go sobie zabrać. Wreszcie on to wie. Wreszcie to powiedziała.

– Jeżeli ci się podobam, dlaczego tak się wściekasz?

– Przecież się nie wściekam – zaprotestowała, ale i ta odpowiedź zabrzmiała gniewnie. Zupełnie jakby naprawdę się wściekała.

Westchnął.

– Nie musisz mi tego mówić. Wiem, chcesz być miła, bo mam kiepski dzień i pewnie uważasz, że skoro ja ci mówiłem takie rzeczy, to ty też powinnaś. Ale nie, naprawdę. Nie ma takiego obowiązku.

– Wiem.

Przede wszystkim wiedziała, że kocha się w Jacku od niepamiętnych czasów, chociaż udawała przed sobą, że przeszło jej to razem z dzieciństwem. Kocha się w Jacku, który całował ją, jakby nic poza tym się nie liczyło. W Jacku, który zna ją aż za dobrze. Zawsze się w nim kochała, tylko sądziła, że traktuje ją jak kumpelę i wmówiła to sobie z taką mocą, że nawet teraz, gdy już wyznał jej coś wręcz przeciwnego, dalej miała wrażenie, że Jack cofnie te słowa. Może stwierdzi, że to pomyłka?

Tak, na pewno to zrobi. Przecież ona ma nierówno pod sufitem. Nawet nie potrafi powiedzieć chłopakowi, że jej się podoba. W każdym razie nie tak, jak powinno się to powiedzieć.

– To nie jest jakiś dług, czy coś, żebyś mi była winna wzajemność – mówił dalej Jack. – A jeżeli tak mówisz, bo wydaje ci się, że to bez znaczenia, bo zaraz i tak mnie tu już nie będzie i nigdy się nie dowiem, że mnie okłamałaś...

Nagle do niej dotarło, że on naprawdę jej nie wierzy. Okazało się, że jej wyznanie wypadło jeszcze gorzej, niż sądziła.

– Nie. Nie. Nie. Nie kłamię.

– Hazel – napomniął ją bezbarwnym tonem.

– Słuchaj – przerwała mu, postanawiając w duchu, że tym razem dołoży wszystkich starań, żeby jej słowa zabrzmiały właściwie. – Słuchaj, po tej umowie, którą zawarłam, byłam przekonana, że elfy zaraz mnie zabiorą. Skąd miałam wiedzieć, że wymyśliły to sobie inaczej? W każdej chwili wszystko mogło się skończyć, więc nie chciałam się z nikim wiązać. Uznałam, że to nie dla mnie. Nigdy nie miałam faceta. Nigdy się z nikim nie spotykałam. Owszem, bawiłam się z chłopakami na imprezach, ale jeszcze żadnemu nie

powiedziałam, że go lubię i że mi się podoba. Ja pewnie się do tego nie nadaję, rozumiesz? Ale to nie znaczy, że cię okłamałam.

– No, dobrze – odparł Jack. – Ale znam cię przez całe swoje życie, Hazel. Twój brat jest moim najlepszym przyjacielem. I słyszę, co do siebie mówicie, a słyszę też mnóstwo rzeczy, których nie mówicie. Doskonale wiem, że nie chcesz się z nikim wiązać, ale to nie tylko z powodu elfów.

– Co masz na myśli?

Pokręcił głową.

– Nie, o tym nie powinniśmy teraz rozmawiać.

– Jak to nie? – obruszyła się, chociaż zrobiło jej się zimno ze strachu. – Skoro już zacząłeś, to dokończ.

Westchnął.

– No, dobrze – powtórzył. – To ty pokazałaś mi, jak znaleźć w lesie coś do jedzenia. Ile wtedy mieliśmy lat? Może dziewięć albo dziesięć. A pamiętasz, dlaczego się tego wszystkiego nauczyłaś? Skąd zrobiłaś się taką ekspertką od przetrwania w lesie? A pamiętasz, jak kiedyś byłaś u nas w domu na obiedzie i schowałaś do kieszeni fartuszka jakieś jedzenie, bo nie byłaś pewna, czy rodzice cię nakarmią. Wtedy wszyscy udawaliśmy, znowu udawaliśmy!, że wszystko jest w porządku. Te melanje u twoich starych były epickie i legendarne, ale z drugiej strony słyszałem, że nieraz oboje z bratem wyjadacie żarcie psu z miski. Kurczę, sama mi o tym mówiłaś, jakby to był jakiś żart. Teraz opowiadasz o swoim dzieciństwie, jakby to było pasmo dzikiej, nieokiełznanej radości, ale ja pamiętam, że wcale nie było ci tak łatwo.

Hazel spoglądała na niego z niedowierzaniem. Jasne, świetnie radziła sobie z wypieraniem wspomnień, które jej nie odpowiadały. Może i rzeczywiście kryła je przed samą sobą. Właściwie wszystko, co teraz od niego usłyszała, nie powinno być dla niej zaskoczeniem, bo tak rzeczywiście było. Pewnie. Jednak zaskoczył ją tym zupełnie. To wszystko działo się tak strasznie dawno i zupełnie się nie liczyło, ani wtedy, ani teraz. Śmieszne, że dla magicznego elfa z puszczy ważne okazały się regularne posiłki...

– E tam. A poza tym teraz jest już zupełnie inaczej. Moi rodzice dorośli. Wiesz, jak to jest.

Skinął głową.

– Wiem, ale też wiem, że twoim zdaniem to właśnie ty powinnaś wszystko załatwić i nikt inny. A to nieprawda. Czasem można komuś zaufać.

– To prawda, chciałam sama jedna ocalić Fairfold.

– Nie można ocalić miejsca. Czasami nawet nie można ocalić kogoś.

– A czy ty potrafisz ocalić siebie samego? – spytała Hazel.

W tej chwili wydało jej się to ważnym pytaniem, jakby jego odpowiedź mogła okazać się tą jedyną i najważniejszą, tak jakby akurat on mógł to naprawdę wiedzieć.

Wzruszył ramionami.

– Trzeba próbować, no nie?

– No dobrze, a czy już mi uwierzyłeś? Czy już wierzysz, że mi się podobaasz?

– spytała. Nie zdążył jednak odpowiedzieć.

Do pokoju tryumfalnie wkroczył Ben, wymachując ręką, w której trzymał książkę.

– Znalazłem. Znalazłem! Jestem genialny! Jestem obdarzony fenomenalną pamięcią. Zupełnie jak ci goście, którzy potrafią zapamiętać ciąg tysiąca liczb i tak dalej.

Hazel wstała.

– Ainsel?

Przytaknął.

– A tak przy okazji, Hazel, znalazłem to w twoim pokoju.

Hazel osłupiała, bo zobaczyła tytuł wydrukowany na grzbiecie książki: *BASŃNIE ANGIELSKIE*. Książkę, którą znalazła w kufierku pod swoim łóżkiem. Czyżby przeoczyła jej znaczenie?

Ben otworzył tomik w założonym miejscu.

– To jest bajka z Northumberland, o chłopczyku, który nie chciał iść spać. Matka mówi mu, że jeżeli nie pójdzie do łóżka, przyjdą elfy i go zabiorą. On jej oczywiście nie wierzy, więc bawi się i bawi, aż ogień w kominku przygasa. We właściwym momencie pojawia się śliczna mała elfka, która chce się z nim bawić. Chłopiec pyta ją o imię, ona przedstawia się: Ainsel. Dalej ona go pyta o imię, na co on odpowiada z figlarnym uśmieszkiem „my ainsel”.

No więc bawią się i bawią, a chłopiec stara się podtrzymać ogień. Robi to niezgrabnie, nie radzi sobie z pogrzebaczem, więc w pewnej chwili dogasający węgielek wypada i parzy elfowe dziecko w nóżkę. Mała podnosi straszny wrzask, przez komin wpada wielka, straszna czarownica, jej matka. Chłopiec ucieka do łóżka, ale słyszy z niego, jak czarownica wypytuje córeczkę, kto zrobił jej taką krzywdę. „My ainsel!”, szłocha elfka. Otóż chodzi o to, że „my ainsel” brzmi dokładnie jak „my own self” wypowiedziane z northumberlandzkim akcentem. Matka czarownica to słyszy i rozgniewana,

łapie małą za ucho i ciągnie ze sobą do komina. „Skoro tak, powiada, miej pretensję sama do siebie”. I to cała bajka. Ainsel. My ainsel. My own self. Ja sama – oznajmił Ben i pokłonił się głęboko jak w teatrze.

– Dobra, ale co z tego? – spytał Jack.

Myself. Ja sama

– Dajcie mi coś do pisania – zażądała Hazel, jedynie lekko drżącym głosem. Otworzyła książkę na pustej stronie na końcu.

Ben z kuchennej szuflady na różne rupiecie wyciągnął flamaster.

– Co się stało?

Najpierw napisała prawą ręką „siedem lat długu spłat”. Potem przełożyła pisak do lewej ręki i napisała to samo.

Charakter pisma był identyczny. Spod tej samej ręki wyszły wiadomości zamknięte w orzechach, tym samym pismem nabazgrano AINSEL na ścianie. Przez długą chwilę Hazel wpatrywała się w napisane przez siebie litery. A więc nagryzmołone błotem na ścianie słowo nie było imieniem ani sprzymierzeńca, ani wroga. To był podpis, jej własny podpis.

Nikogo innego nie było. Żadnej tajemniczej i ukrytej w cieniu postaci pociągającej za sznurki, pozostawiającej wskazówki, prowadzącej jej dłoń. Tylko ona sama. W jakiś sposób odkryła, jak otworzyć trumnę; skądś dowiedziała się, jak cenny miecz znalazł się w jej posiadaniu. Tylko ona sama. Pojęła, jakie są zamiary Króla Olszyn wobec Fairfold i postanowiła go powstrzymać.

My ainsel. My own self. Ja sama.

Wiadomość musiała być zaszyfrowana, bo Król Olszyn zakazał jej wyjawić swojej dziennej postaci, jak spłaca swój dług wobec niego, musiała więc uciec się do zagadek i niejasnych podpowiedzi.

Przypomniała sobie, jak Severin opowiadał o swoim przebudzeniu. Słyszał wtedy jej głos, ale kiedy na dobre się rozbudził, niebo już pojaśniało, a jej nie było. Pewnie, że jej nie było. Musiała pędzić z powrotem do domu, żeby zdążyć zostać dzienną Hazel. Jak widać, zdążyła w ostatniej chwili, nie miała już czasu zmyć błota z nóg. W gorączkowym pośpiechu nagryzmołowała na ścianie i wrzuciła książkę do opróżnionej skrzyni. Kiedy rozbiła szklaną trumnę, z pewnością uczyniła to zgodnie z jakimś planem. Może zamierzała porozumieć się z Severinem, może chciała zwrócić mu miecz? Niezależnie od tego, jaki był jej pierwotny zamiar, skoro nie zbudził się od razu, musiała sobie uświadomić, że trzeba ukryć Heartsworna. Tylko ten miecz miał moc

przełamania klątwy, a więc król zrozumie, że ktoś go znalazł i nie spocznie, dopóki tego kogoś nie wytropi. Pewnie troszkę by się zdziwił, gdyby ktoś mu wyjawiał, że ludzka istota, z której uczynił swoją zbrojną sługę, nosi u swego boku tak cenny oręż.

Teraz jednak nie mogła już ryzykować, trzeba było ukryć Heartsworna i to w takim miejscu, gdzie nikt nie spodziewałby się go znaleźć.

A potem... No właśnie. Hazel przez całą następną noc nie spała, bo poszła za Benem do lasu, a potem zawarła znajomość z Severinem. Spała później krótko, położyła się tuż przed nastaniem świtu. Czasu wystarczyło tylko na to, żeby napisać do samej siebie wiadomość, którą Hazel znalazła następnego dnia: *Kiedy przyświeca pełnia księżyca, prędko spiesz złożyć na poduszce lica.*

Jednak krnąbrna Hazel nie posłuchała dobrej rady. Przez całą kolejną noc nie zmrużyła oka, przez co uniemożliwiła nocnej Hazel odzyskanie miecza, nie pozwoliła jej na zmodyfikowanie swojego planu, w ogóle nie dała jej ani chwili czasu na nic.

Ta pierwsza wiadomość, ta w orzechu, który znalazła w sklepie Schrödera, to mógł być test, taki sprawdzian, czy jest w stanie przekazać cokolwiek swojej dziennej istocie w taki sposób, żeby Król Olszyn się nie zorientował. Następną była desperackim ponagleniem; prawdopodobnie nocna Hazel totalnie spanikowała. Była przerażona, że zaraz ktoś ją zdemaskuje, a jednocześnie nie chciała zostawiać żadnych obciążających ją śladów – na wypadek, gdyby któryś ze stworów króla na tę notkę natrafił. Jednocześnie nie chciała narazić swojej dziennej jaźni na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, dając jej tyle wskazówek, żeby zaczęła działać, nie wyjawiając wszystkiego.

Niewiarygodne, jak zdołała namącić.

Po schodach schodził właśnie Severin, w dłoni dzierżył coś w rodzaju włóczni, którą sporządził z brzeszczotu piły i drewnianego karnisza.

– Ktoś tu idzie – oznajmił.

Hazel podbiegła do okna. Ujrzała, jak okrążają dom. Rycerze na elfowych wierzchowcach, a na jednym z nich matka Jacka w zielonozłotej sukni powiewającej na wietrze. Eolanthe zeskoczyła z konia, ruszyła w stronę domu.

– Matka – powiedział Jack, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

– Czeka! – zawołała Hazel. – Nie przyniosła go.

Ben jednak zdążył już zmieść stopą sól i jarzębinę, by elfka mogła wejść do środka. Jej oczy były srebrne, a włosy przybrały teraz kolor świeżej zieleni. Skierowała spojrzenie ku Severinowi, a jej uśmiech był jak z lodu.

– Tak sądziłam, że tu cię zastanę – odezwała się.

Skinął wytwornie głową.

– Pani Eolantie. Czemuż zawdzięczamy tę przyjemność? Widzę, że towarzyszą ci królewscy gwardziści, ja zaś nie cieszę się względami króla.

– Musisz zrozumieć – powiedziała Eolantie do Jacka, który stał jak wmurowany, wciąż trzymając ręką klamkę. – Obiecał, że jeśli powiem mu, gdzie jest jego syn, oszczędzi mojego. Zagwarantował ci bezpieczeństwo. Jack, ty nie wiesz, jak wiele to znaczy.

Hazel już wcześniej podejrzewała, że mylą się i to bardzo, przypuszczając, że to Eolantie ma Heartsworna. Teraz dowiedziała się jeszcze, że przyjmowali mylne założenie co do tego, wobec kogo okaże się lojalna. Mylili się pod każdym względem.

– Jak możesz? – warknął Jack. Aż trząsnął się, jakby miał się rozpaść na kawałki. – Jak możesz nazywać się moją matką i kupczyć życiem moich przyjaciół?

Cofnęła się o krok pod wrażeniem siły jego gniewu.

– To dla twojego bezpieczeństwa! Mam tylko chwilę, żeby cię stąd zabrać. Chodź. Cokolwiek o mnie myślisz, więcej zdołasz zrobić dla swoich przyjaciół, jeżeli nie będziesz zakuty w łańcuchy razem z nimi.

– Nie – odparł Jack. – Nie pójdę z tobą. Nie ma mowy.

– Uczyń tak – wtrącił Severin. – Idź, nie będzie w tym żadnego wstydu, jeżeli odejdziesz. Bez Heartsworna nie możemy zwyciężyć.

Jack jednak tylko pokręcił głową.

Hazel musiała coś zrobić, ale przychodziło jej na myśl tylko jedno możliwe wyjście. Pamiętała opowiedzianą przez Leonie historię – o tym, jak Jack kazał Mattowi bić siebie samego po twarzy, a Matt to zrobił. Pamiętała, jak Jack zawiązał supełek w jej włosach, szepcząc zaklęcie, dzięki któremu nie płakała.

– Jack – powiedziała Hazel, chwytając go za ramię, żeby spojrzeć w jej stronę. – Czy możesz mnie uspić?

Spoglądał na nią nieprzytomnie, chyba nie rozumiał, o co jej chodzi.

Jego elfowa matka zmarszczyła brwi.

– Jack, musisz odejść ze mną.

– Czy możesz mnie uspić? – powtórzyła pytanie Hazel, podnosząc głos, niemal krzyżąc. – Wiesz, zrobić takie czary. Jak wtedy, kiedy sprawiłeś, że nie płakałam. Jest jeszcze noc, więc jak usnę i potem znów się obudzę, nie będę sobą. Będę nią, tą drugą Hazel. Ona wam wszystko powie.

Patrzyli na nią, nic nie rozumiejąc, nie mogli jednak wyjawić więcej wobec stojącej przed nimi Eolanthe, gotowej powtórzyć wszystko Królowi Olszyn.

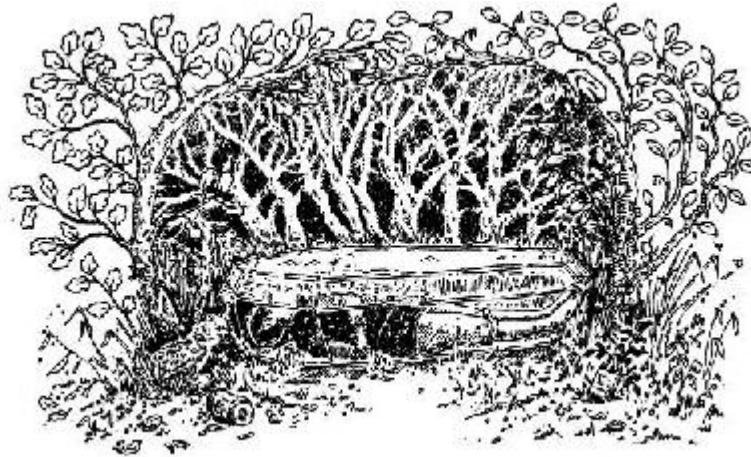
– A co, jeśli nocna Hazel nie jest tak całkiem po naszej stronie? – spytał Severin, unosząc jedną brew. – Nasza Hazel przynajmniej będzie walczyć u naszego boku.

Hazel uśmiechnęła się, słysząc, że ich królewicz mówi o niej „nasza Hazel”. Zupełnie jak w którejś z ich baśni.

– Hazel zawsze jest po naszej stronie – stwierdził Jack. Dotknął leciutko jej czoła. Sądziła, że wyda jej jakiś rozkaz, ale zamiast tego pochylił się i ją pocałował. Poczła miękki dotyk jego ust na swoich wargach, poczuła uśmiech jego ust. Potem cofnął się odrobinę i przemówił. – Śpij – powiedział. – Śpij.

Magia owiała ją potężną falą; w ostatniej sekundzie, choć sama o to zakłęcie prosiła, próbowała się opierać. Usiłowała powstrzymać opadające powieki. W następnej chwili runęła do przodu. Jeszcze ostatkiem świadomości odnotowała krzyk Bena i to, że Jack chwycił ją na chwilę, zanim rąbnęła głową w podłogę.

ROZDZIAŁ 20



Między jednym a drugim zmrużeniem oka Hazel się obudziła. Maszerowała wraz z oddziałem rycerzy Króla Olszyn, właśnie wchodzili przez otwór przypominający wejście do jaskini. Nad ich głowami mleczone światło sączyło się przez liście, wiatr wprawiał gałęzie w taniec. Nastął już świt. Potem pogrążyli się w mroku Próżnego Wzgórza, szli pod płataniną korzeni zwieszających się niczym blade, bezwładne ramiona oraz pełzających po ścianach kolczastych pnączy pokrytych przedziwnym białym kwieciem. Drogę wyznaczały grzyby o sinych nogach.

Szła przed poruszającą się na wielkich, zdobnych kołach klatką z czarnego metalu, za której kratami wykutymi z żelaza na kształt pogiętych konarów przebywali Severin i jej brat. Ben siedział na podłodze klatki, był wystraszony, ale poza tym nic mu się nie stało. Severin przechadzał się tam i z powrotem jak dzika bestia w zoo, emanując gniewem. Na jego policzku dostrzegła świeżą ranę, na jego klatce piersiowej dostrzegła plamę i nawet z tej odległości domyśliła się, że to krew.

Zwolniła kroku. Dlaczego jest wolna, skoro ich pojmano, skoro wywiązała się walka? Co takiego zrobiła? Dlaczego nie walczyła po ich stronie? Dlaczego również nie znalazła się w klatce?

– Rycerzu Hazel? – usłyszała nieznany sobie głos.

Wtedy do niej dotarło, że znajduje się pośród rycerzy Króla i jest ubrana jak oni, ma na sobie sztywny kaftan, który znalazła tam, gdzie zazwyczaj przechowywała swój miecz. Kaftan, który znajdował się w kufrze razem z

książką. Patrząc na rycerza, który do niej przemówił, zdała sobie sprawę, że odziana jest tak samo jak on, z tym że tamten miał jeszcze ramię okryte złoto lśniącymi płytami pancerza, wraz z wielkim nałokietnikiem, a dolną szczękę osłoniętą złotą blachą. Wyglądało to dziwnie, groźnie i przepięknie.

Marcan, tego imienia użył Jack, zwracając się do niego. Wtedy, podczas biesiady z okazji pełni księżyca. Nie, nie tylko stała pośród rycerzy Króla Olszyn, nie tylko była ubrana jak oni. Była jedną z nich. Właśnie dlatego Marcan zwrócił się do niej po imieniu, z wyraźną troską w głosie. Znał ją, to znaczy znał Hazel nocną, rycerza Hazel, Hazel pełniącą służbę u Króla Olszyn – od lat i także teraz; tę, która zapewne znajdowała się w jej miejscu zaledwie chwilę wcześniej. Pamiętała z biesiady słowa Marcana, że Hazel nie ma nic przeciwko temu, by z nim pójść ze mną. I że nieraz już krzyżowali ostrza.

– Tak? – odezwała się w odpowiedzi na jego pytanie. Odruchowo sięgnęła lewą dłonią do pasa, ale nie miała u boku miecza. Nie, oczywiście, że nie. Przecież go schowała.

– Król gniewa się na ciebie – rzekł Marcan półgłosem. – Bądź ostrożna.

Korowód zatrzymał się przed tronem, na którym zasiadał w otoczeniu swych dworzan Król Olszyn. Obok niego Hazel ujrzała trumnę z czarnego metalu i kryształu, jeszcze kunsztowniej wykutą niż ta, która znajdowała się na leśnej polanie. Przy niej, opierając dłoń na szklistym wieku, stał pomarszczony stwór w szkarłatnym kaftanie, jego głowę okalała chmura srebrzystych włosów. Na nadgarstkach miał wyłożone klejnotami bransolety, a w koszulę wpiętą broszę poruszającą skrzydełkami, tak jakby ćma ze złota i masy perłowej, z diamentowymi oczami, mogła żyć. Grimsen – przypomniała sobie kowala czarownika z opowieści Severina. Mistrz tak w swojej sztuce niedościgniony, że Król Olszyn skradł go z dawnego dworu.

Grimsen, który z braćmi wykuł Heartseekera i Heartsworna. Grimsen, który umiał zakłąć metal w każdy kształt. Chyba zbyt uporczywie mu się przyglądała, bo spojrzał w jej stronę i posłał obłudny uśmiezek. Jego czarne oczy lśniły.

Zaczęła rozglądać się gorączkowo, szukając Jacka pośród dworzan. Dostrzegła go, dosiadał wraz z matką nakrapianego elfowego rumaka. Miał dziwny wyraz twarzy – wyraz, który nie wyrażał niczego oprócz nieprzeniknionej pustki. Wpatrywała się w niego, aż w końcu ją dostrzegł. Wtedy jego oczy rozszerzyły się, otworzył dłonie i ostentacyjnie się w nie wpatrzył.

Zdezorientowana, zrobiła to samo. Jej puls gwałtownie przyspieszył. Na prawej miała wypisane tuszem czarnego flamastra i takim samym pismem jak tamte wiadomości słowa „marchewki” oraz „żelazne pręty”. Na lewej, jej zwyczajnym pismem, krótkie „pamiętaj uklęknąć”.

Pierwsze dwie wskazówki odnosiły się do baśni o rolniku i boggarcie – tej, która wydawała jej się pozbawiona sensu. Te same słowa zaznaczyła w książce, ale nadal nie rozumiała, dlaczego mają być takie ważne. Co do trzeciej wskazówki – czy to było przypomnienie o zasadach etykiety? Podniosła wzrok, rozglądając się za Jackiem. Tam, gdzie przed chwilą się znajdował, dostrzegła zgarbioną kobietę z sękatym kosturem, długonosego zielonego człowieczka o gęstych czarnych włosach, złotą istotę o długich nogach, przypominających odnóża konika polnego.

Nie napotkała spojrzenia Jacka. Zniknął.

– Rycerzu Hazel – przywołał ją Król Olszyn. – Słońce wzeszło, nie jesteś już moją małą marionetką.

Kilkoro dworzan, niektórzy z nich okryci strzępkami misternych koronek, niektórzy nie okryci niczym, zaczęło chichotać, przysłaniając usta dłońmi lub wachlarzami. Jakiś puk zarechotał tak głośno, że przypominało to rzenie żrebaka.

Hazel zacisnęła dłonie w pięści, próbując opanować przerażenie.

– Twoja twarz! – wrzasnął puk, przewracając dziwnymi złotymi, kozimi oczami z wielkim ukontentowaniem. – Żebyś mogła zobaczyć swoją twarz!

Hazel zerknęła na Bena. Stał, trzymając się krat. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się do niej, cokolwiek niepewnie, ale chyba starał się być dzielny. Nie czuła, by zasłużyła na ten uśmiech.

– Jednak nadal do mnie należysz – ciągnął Król Olszyn. – Lepiej, żebyś o tym nie zapomniała, Hazel. Podejź no tutaj i uklęknij przede mną.

Podeszła, uklęknęła. Kant zimnego kamiennego stopnia wpił się w przypominającą tkany metal materię jej spodni.

Pamiętaj uklęknąć.

– Spójrz na mnie – polecił król.

Ujrzała trującą zieleń jego oczu i długą pelerynę z połyskujących granatem pośród czerni kruczych piór. Był drapieźnie piękny, tak jak piękne mogą być noże i skalpele. Próbowwała tak nie myśleć, przecież był ojcem Severina i to nie było słuszne, żeby dorównywał urodą swojemu synowi, jednak patrząc na niego, nie sposób było tego piękna nie dostrzec. Był królem z baśni,

wspaniałym i strasznym. Coś w niej pragnęło mu służyć, a im intensywniej się w nią wpatrywał, tym silniejsze stawało się to pragnienie.

Zmusiła się, żeby odwrócić wzrok od jego oczu, wpatrywać się zamiast tego w jego usta.

– Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy dowiedziałem się, że to w twoim domostwie ukrywa się Severin. Nie tylko nie wykonałaś zadania, lecz zlekceważyłaś też moją dobrą wolę.

Milczała ze schyloną głową.

Król wyraźnie tego właśnie się po niej spodziewał.

– Czy zaprzeczysz, przewrotna, mała istotko? Zechcesz udawać, że zamierzałaś go zdradzić? Śmiesz może rzec, iż nadal wiernie mi służysz?

– Nie – odpowiedziała, starając się nie okazywać strachu. – Nie śmiem.

Coś chyba go zaniepokoiło w jej głosie, bo pierwszy raz, odkąd stanęła przed jego obliczem, spojrzął na nią uważnie.

– Podejź tu, Eolanthe – odezwał się. – Powiedz swojemu władcy, co ci wiadome.

Elfowa matka Jacka zbliżyła się, niosąc w ręce liść.

Hazel od razu go rozpoznała. Elfka odczytała słowa zapisane krwią jej syna, a gdy padło imię Heartsworn, szmer konwersacji umilkł, pośród elfowego dworu zaległa cisza, jakby sama nazwa miecza była zaklęciem.

Eolanthe drżała, Król Olszyn wpatrywał się w nią lśniącem, władczym wzrokiem. Patrzył na nią tak, jakby pamiętał, że wzbudziła jego gniew, a teraz wspomnienie tego gniewu wprawiało go w ekscytację. Hazel rozumiała teraz lepiej, dlaczego Eolanthe nie chciała, by Jack zwracał na siebie uwagę Króla Olszyn.

W następnej chwili cała moc tego spojrzenia zwróciła się ku Hazel.

– Powiedz, dlaczego w twoim mniemaniu ktoś z moich dworzan ma Heartsworna?

Hazel z trudem przełknęła ślinę.

– Bo ktoś musi go mieć. Tylko w ten sposób można było rozbić trumnę, tylko tak mógł zostać uwolniony Severin.

Król pochylił się nieco w jej stronę.

– A kto ci to wyjawiał, skąd znasz naturę klątwy?

Hazel skinęła głową. To akurat było łatwe.

– Severin mi powiedział.

Król Olszyn skinął, klatkę przytoczono bliżej. Przyglądał się synowi z dziwną zachłannością, patrząc tak, jak podziwia się wyjątkowo cenne malowidło odstawione do pakamery, bo ktoś je zarysował. Malowidło, którego nie chcemy już wieszać na ścianie, gdzie ujrzą go inni, ale też i szkoda nam się z nim rozstać.

Severin wytrzymał jego spojrzenie. Ben schował się w cieniu, tak że prawie nie było widać jego twarzy. Co myślał w tej chwili?

– Kto cię uwolnił? – spytał Król Olszyn swojego syna. – Wyjaw mi, gdzie jest miecz, a ja ci wybaczę. Zasiądziesz u mego boku jako mój następca. Co na to powiesz? Mam teraz środki, by wyrzucić zemstę na Dworze Wschodu. Odkąd zapanowałem nad twoją siostrą, brak mi tylko drugiego z bliźniaczych mieczy. Kiedy go dostanę, nic już nie zdoła mnie powstrzymać. Rozprawimy się z Fairfold, unicestwimy wszystkich, którzy gapili się na ciebie przez te długie, przespane przez ciebie lata. Pokażę ci potęgę okiełznanej Rozpaczy. Przekonasz się, jak łatwo odbijemy Dwór Wschodu, odbierzemy tron samozwańczemu władcy, który nim rządzi.

Hazel wstrzymała oddech. Napomknął o unicestwieniu Fairfold, jakby to było zupełnie nic, drobiazg do załatwienia przy okazji.

W klatce Ben szepnął coś do Severina, rogaty chłopiec pokręcił głową. Kiedy odwrócił się znów ku ojcu, jego oczy lśniły dziwnym blaskiem.

– Pozwól odejść śmiertelnikom, a wtedy siądę u twego boku, ojcze. Wypuść mnie z klatki, a zajmę swe miejsce obok ciebie.

Na obliczu Króla Olszyn pojawił się uśmiezek.

– Gdzie jest Heartsworn?

Severin potrząsnął głową.

– Najpierw ty. To mnie zamknięto w klatce.

Przez chwilę Hazel przeraziła się, że jeśli król uwolni Severina, królewicz może ich zdradzić. Jednak Król Olszyn tylko zaśmiał się, skinął na istotę w czerwonej zbroi trzepiącą ogonem na prawo i lewo, o lisich uszach.

– Wypuść śmiertelnika, sprowadź też Kościaną Dziewę z jej nożami.

Kilkunastu rycerzy otoczyło klatkę, Ben krzyknął, gdy dobytymi mieczami sięgając przez metalową kratę, zmusili Severina do pozostania w miejscu. Drzwi klatki zostały otwarte, brata Hazel wywleczono na zewnątrz. Severin chwycił jednego z rycerzy za rękę i szarpnął gwałtownie w bok, prawie wciągając go między pręty. Elfowy rycerz krzyknął dojmująco, rozległ się trzask łamanej kości.

Hazel postąpiła krok w tamtą stronę.

– Stój, rycerzu Hazel – nakazał król. – Pozostaniesz tu, bo inaczej przetnę gardziel młodemu Benjaminowi.

Hazel zamarła. Trzej rycerze przytknęli klingi do szyi Severina. Oddychał szybko i płytko, ale już nie stawiał oporu. Dwaj zbrojni pochwycili Bena, powlekli go po kamiennej podłodze i rzucili u stóp wiedźmy o twarzy ciemnej jak indygo, w czarnej postrzępionej sukni. To ją król przyzwał. Dotknęła długimi palcami, chudymi jak nagie kości, czoła Bena, musnęła znamię.

– A teraz ty lub mój syn powiecie mi, co stało się z Heartswornem. Jeśli nie, chłopiec będzie cierpiał.

Uśmiech Króla Olszyn był obmierzły i straszny.

– Błogosławiony i przeklęty, przeklęty i błogosławiony – wyszeptła sina jędza, po czym chwyciła Bena za palec i mocno szarpnęła.

Wydał z siebie rozdzierający okrzyk bólu.

– Przestań – krzyknęła Hazel. Gdyby w tej chwili wiedziała, gdzie jest miecz, wyjawiałaby mu natychmiast, nie mogła jednak myśleć, nie mogła rozwiązywać zagadek, gdy w jej umysł wdzierał się rozpaczliwy krzyk Bena. Mogła tylko być wdzięczna za supełek zawiązany przez Jacka w jej włosach. Bez tego zalałaby się łzami. – Przestań. Przestań, bo cię zmuszę.

Król roześmiał się.

– Otóż to. Oto na jaw wychodzi twoja prawdziwa natura. Zgrywasz posłuszną, ale co to za posłuszeństwo, skoro wypełniasz tylko te rozkazy, które ci się podoba wypełniać. Całkiem jak mój syn.

Ben znowu krzyknął. Drugi palec.

Król Olszyn miał Heartseekera po swej prawicy, tkwił w pochwie pokrytej futrem jakiegoś stworzenia. Czy Hazel zdoła zaopatrzyć się w inną broń i podciąć mu gardło, zanim zdąży go dobyć? Wydawało się to mało prawdopodobne, spostrzegła jednak elfkę o kozich kopytkach, która u pasa miała nóż. Oczyma wyobraźni widziała, jak go chwytą; liczyła, ile stopni prowadzi do tronu i jak prędko zdołałaby je pokonać. Palce ją świerzbiły. Musiała coś zrobić.

– Nie da się uleczyć palców muzyka inaczej, niż je łamiąc – stwierdził król.

– Twój brat cierpi, lecz to cierpienie może się okazać dla niego zbawienne. Jednak jeśli dalej zechcecie się upierać, będzie gorzej. Istnieją katusze tak straszne, że odmieniają na zawsze umysł ofiary. Istnieją katusze tak

potworne, że umysł ich nie wytrzyma. Już lepiej powiedzcie mi, co wiecie i lepiej powiedzcie mi to od razu.

– Ojcie, zostaw Benamina w spokoju – zawołał Severin. – Do mnie masz sprawę, nie do niego, ojcie. Zostaw go!

Hazel musiała coś zrobić. Musiała jakoś powstrzymać cierpienie Bena.

– To ja – odezwała się. – Ja uwolniłam Severina. Ja. Więc zostaw Bena w spokoju. Ja to zrobiłam i nikt inny.

– Ty? – Król Olszyn wstał, jego oczy płonęły. – Ty, która przybyłaś z własnej woli pod nasz święty głóg i prosiłaś nas o pomoc? Czyż nie oddałaś dobrowolnie siedmiu lat swojego życia, by nie rzec, że uczyniłaś to ochoczo? Mogłem je sobie odebrać wedle swojego upodobania, lecz przecież postąpiłem wielkodusznie. Więcej, bo dałem ci nie tylko to, o co prosiłaś, lecz także wszystko inne, o co nigdy byś się nie ośmieliła prosić. Gdy do mnie przyszłaś, byłaś dzieckiem, miałaś jedenaście lat; my zabieraliśmy cię z łódeczka, nieśliśmy przez powietrze na trzcinię i łądygach krwawnika. Wyuczyliśmy cię, jak władać mieczem, zadawać i odpierać ciosy. My nauczyliśmy cię dosiadać naszych wierzchowców o chyżych nogach, jakbyś była Tam Linem we własnej osobie. Jakaś częśćka twej jaźni to pamięta, pozostało ci wspomnienie wiatru we włosach i wycia nocnego nieba; pamiętasz nauki dwornych manier. I pamiętasz, jak śmiałaś się, gdy pędząc gościńcem, naparłaś swym wierzchowcem na dziewczkę z Fairfold, aż się stoczyła do rowu, inni zaś jeźdźcy, których wyprzedziłaś, podążali twoim śladem...

– Nie. Mylisz się, królu. Nie zrobiłam tego – odparła Hazel, starając się powstrzymać drżenie głosu, ale oni nie kłamią, nie mogą kłamać, więc część z tego musiała być prawdą. Pamiętała przecież ten sen, w którym wraz z innymi elfami dręczyła jakichś nieszczęsnych ludzi i śmiała się, gdy zostali zakłęci w kamień. Jak bardzo służba u elfowego króla ją odmieniła? Na ile może ufać swojej nocnej postaci?

– Ja spełniłem twoje życzenia. – Król Olszyn rozpostarł ramiona w geście przywołania i przyzwolenia, z uśmiechem na okrutnej twarzy. – Prawda to, że nasze dary są różami niepozbawionymi kolców, lecz dość dobrze znasz naszą naturę, by to pojąć. A więc teraz zdradź, kto cię pouczył, co trzeba zrobić, by uwolnić mojego syna? Już czas na odpowiedź. Kto dał ci Heartsworna? I gdzie podział się mój miecz?

– Nie wiem! – stęknęła Hazel; ogarnęło ją przerażenie, bo naprawdę tego nie wiedziała, natomiast on nie miał żadnego powodu, by jej uwierzyć.

Król skinął na Kościaną Dziewę, która posłusznie podeszła do tronu, dobyła długiego kindżału o zębatym ostrzu, na którym czerwieniła się rdza lub zakrzepnięta krew.

– Śmiertelnicy rodzą się z piętnem kłamstwa – stwierdził Król Olszyn. – I to jedyny talent, którym wyróżnia się twój rodzaj.

Hazel odetchnęła cicho, skupiła się. Pozwoliła sobie na strach, na zatracenie się w tu i teraz, byle tylko za dużo nie myśleć. Potrzebowała swojego instynktu. Liczyła, że Kościana Dziewa oczekuje jej biernego przerażenia, zalęknionego poddania torturom, wrzasku i jęków, i żadnego oporu. A kiedy stwora zbliżyła się do Hazel na tyle, by do nozdrzy dziewczyny dotarł bijący od niej aromat skruszonych sosnowych igieł, by dojrzała dziwne lśnienie rubinowych ślepi, wtedy Hazel sięgnęła po rdzawy nóż.

Ostrze musnęło jej przedramię, nim dłoń zacisnęła się na klindze. Wbiło się w dłoń, lecz bez trudu wyrwała je z ręki wiedźmy, by w następnym ułamku sekundy przeciąć gardziel stwory. Trysnęła czarna krew. Kościane palce czarownicy sięgnęły do krtani, lecz jej oczy już zaszły mgłą, czerwony blask zgasł bezpowrotnie.

Któryś ze zbrojnych pochwycił brutalnie Bena, wykręcił mu ręce, nie zważając na połamane palce. Ben zawył z bólu.

Trzech rycerzy podbiegło do Hazel; byli czujni, sprężyści, gotowi stawić czoło rdzawej klindze. Cofnęła się o pół kroku, przybierając bojową postawę.

– Nie, nie – zarządził król. – Niech ma sobie ten kozik. Chyba rozumiesz, rycerzu Hazel, że dopóki twój brat jest w moich rękach, w moich też rękach są wszystkie noże.

– Lecz ręka twoja jakby się omsknęła, królu – odpowiedziała; ciało jędy znieruchomiało, przestały nim wstrząsać drgawki. Hazel przez chwilę zakręciło się w głowie od morderczego szału i poczucia tryumfu. Czowała się znowu tak samo niebezpieczną Hazel, która przemierzała niegdyś lasy wokół Fairfold i dzierżyła w dłoniach miecz, którym zamierzała obronić wszystko, wszystkich. Wokół znów zapadła cisza, elfowy dwór milczeniem uszanował śmierć, którą sprowadziła w ich pradawny i nieśmiertelny świat. Spoglądali na nią szeroko rozwartymi, zdumionymi oczami.

– O, tak, spozierajcie i przyglądajcie się – przemówił król, jakby zwracał się do małych dzieci. – Jednak teraz, Hazel, będziesz tak posłuszną, by wyrecytować wierszyk, którym należy przyzwać moją córeczkę z serca lasu. Znasz go przecież, nieprawdaż? Mów, bo inaczej on wypatroszy twojego brata.

Hazel wahała się tylko przez chwilę, ale wiedziała, że skoro nie zna wyjścia z tej pułapki, tylko wróg może ją do niego doprowadzić.

– Jak każesz, królu – odpowiedziała, po czym wzięła wdech i przywołała wspomnienie z dzieciństwa, skakanek, bosych stóp w letni dzień na gorącym asfalcie oraz ostatniego słowa, które tak kusiło, a którego przenigdy nie wolno było wymówić.

*W naszym lesie jest potwora,
przyjdzie, wrzuci cię do worka,
pod suche liście zawlecze
i nikt przed nią nie uciecze;
brudny kołtun, żzuta kość,
nigdy, nigdy nie ma dość.
I nie mów, nie mów nikomu
bo nigdy nie wrócisz do... domu!*

Hazel znów poczuła przypływ magii, powiew przenikający wydrążone wzgórze, a przy tym towarzyszący mu śmiertelny ziąb. Rozpacz była już w drodze, nadchodziła, a jeśli rzeczywiście król potrafił zawładnąć jej mocą, oznaczało to kres wszelkiej nadziei.

Król Olszyn skinął głową.

– No, doskonale. A teraz przekonajmy się, do czego jeszcze jesteś zdolna. Masz nóż, tnij nim swoją rękę już. Inaczej mój rycerz ostrzem poiska twarzyczkę twojego braciszka. Przekonajmy się, jak gorliwie spełnisz mój rozkaz. Spiesz się, spiesz!

Hazel drżącymi palcami podwinęła rękaw koszuli. Zamachnęła się krzywym ostrzem nieboszczki Kościanej Dziewy, przytknęła sztych do skóry, nacisnęła, aż trysnęła świeża, jasnoczerwona krew, spływając strugą wzdłuż jej ramienia aż do dłoni, skapując na granit. Król Olszyn uśmiechnął się z niejakim ukontentowaniem.

– Hazel, co ty wyprawiasz – krzyknął Ben. – Przestań...

– Dość tego, ojciec! – zawołał Severin głosem twardym jak skała. – Przecież ona nie ma Heartsworna.

– Ona jest kłamcą – odpowiedział król. – Oni kłamią! Wszyscy śmiertelni kłamią.

– To mnie próbuje chronić ta dziewczyna – zakrzyknął Jack, który wyszedł z tłumu dworzan, uniósł dumnie głowę, jego oczy lśniły srebrem. Eolante

wyciągnęła do niego ramiona, lecz ją odepchnął. Dworzanie znów zamilkli, a on podszedł pod sam tron Króla Olszyn, po czym skłonił się nisko i dwornie; Hazel nie spodziewała się, że kumpel jej brata posiadał znajomość dworskiej etykiety do tego stopnia. – Spiskowałem, by cię zdradzić. Pozwól jej odejść. Niech ona odejdzie, mnie zaś w zamian pokaraj.

– Nie! – zawołała jego matka. – A co z przysięgą? Dałeś, panie, słowo, że go nie skrzywdzisz.

– Jack – rzuciła Hazel, marszcząc brwi. Trochę jej się kręciło w głowie, może dlatego, że wzdłuż jej ramienia spływała krew. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie ma w tym jakiegoś żdźbła prawdy, albo czy wręcz nie zdradza nieznaną jej dotąd tajemnicę. Potem jednak przyjrzała się uważniej jego twarzy, dostrzegła w niej lęk, który słyszała już przedtem w jego głosie.

On tylko chciał zyskać na czasie. Ścisłej, dać jej czas, żeby rozgryzła, rozpoznała, rozwiązała zagadkę na podstawie wskazówek, które sama sobie zostawiła.

Marchewki. Żelazne pręty.

Pamiętaj uklęknąć.

Co to mogło znaczyć? Był sobie wieśniak, który przechytrył demona w tak prosty sposób, że zasiał marchewkę, a potem tak, że zakopał w ziemi żelazne pręty.

Czyli co? Zakopała gdzieś ten miecz?

– Ty? Chłopczyk, który bawi się w śmiertelnika? – Król Olszyn spoglądał na Jacka spod zmrużonych powiek, wciąż nie wstając ze swojego tronu, lecz poprawił swą kruczą pelerynę, poruszył się niespokojnie. – Czego chcesz? Jaki masz powód, by stawać przeciwko mnie? Twe narodziny były dowodem zdrady twojej matki, a przecież stoisz przede mną żywy i nietknięty.

Pamiętaj uklęknąć.

– Na cóż ci wiedzieć, dlaczego to robię? – odpowiedział Jack, a w jego głosie pobrzmiwało coś jakby wyzwanie, jakby sam się prosił, żeby Król Olszyn poddał go jeszcze cięższej próbie.

– Zbyt pewny siebie jesteś, podmieńcze – odrzekł król, unosząc brwi. – Ja co prawda obiecałem twojej matce, że cię nie tknę ani nie wydam takiego rozkazu, lecz Rozpacz się tobą zaopiekuje, jej zaś opieka to cierpienie i śmierć, bo ona nie zna niczego oprócz śmierci i żałoby. Do klatki z nim, niech dołączy do mojego syna.

Jack wziął głęboki wdech, a potem niespodziewanie uśmiechnął się, bez oporu pozwolił się odprowadzić zbrojnym. Hazel ogarnęła rozpacz. Wszyscy umrzemy – pomyślała. Pragnęła już tylko paść na zimny kamień i błagać, zapewnić, że odda wszystko, wszystko. Nie miała jednak nic do oddania.

Marchewki. Żelazne pręty.

Pamiętaj ukłęknać.

Wtedy zrozumiała, jakie jest rozwiązanie zagadki. Już wiedziała, gdzie ukryła miecz Heartsworna, o klindze, która przetnie wszystko, klindze tak ostrej, że można wbić ją w kamień. Właśnie w kamieniu trzeba jej szukać, tak ukryła miecz, jak go znalazła, gdy tkwił wbity w ziemię i piach u brzegu jeziora Naci. Przecież Król Olszyn nie spodziewałby się go znaleźć u stóp swojego kamiennego tronu, prędzej szukałby go pośród chmur.

Pamiętaj ukłęknać.

Jej wzrok skierował się ku kamiennym płytom, w poszukiwaniu najdrobniejszego choćby odblasku w pyłe pomiędzy nimi. Dostrzegła, lecz przecież wzrok mógł ją mylić. Miała tylko jedną szansę, żeby odnaleźć miecz.

Trzech zbrojnych okrytych lśniącym złotem odprowadziło Jacka do klatki. Otworzyli ją, a wtedy Severin dał nura pod mieczami tych rycerzy, którzy próbowali trzymać go w szachu za pomocą swoich ostrzy. Był szybki jak błyskawica, na tyle szybki, że gdy się cofnęli, by stawić mu czoło, zdążył już się wyprostować.

Odniósł rany już w walce, która musiała się rozegrać wcześniej, nadgarstek miał owinięty zakrwawionym strzępem koszulki, T-shirtu Jacka, jak uświadomiła sobie Hazel.

Rycerze pilnujący jej pobiegli, wymachując mieczami, w stronę Severina. To była ta chwila, na którą czekała Hazel. Podeszła prędko do miejsca, gdzie, jak sądziła, dostrzegła błysk rękojeści.

Potem jednak mimo woli spojrzała w stronę klatki. Zbrojni otoczyli Severina, lecz żaden z nich nie śmiał go zaatakować, choć mieli do czynienia z bezbronnym. Severin przemówił.

– Daj mi swój miecz – rozkazał Marcanowi. Wyglądał jak królewicz z dzieciństwa Hazel, ten, który miał się przebudzić i naprawić wszelkie zło. – Oddaj mi swój miecz, niech umrę z bronią w ręce. Nie chcę walczyć przeciwko żadnemu z was, a mój ojciec ma Heartseekera. Nie musicie się lękać o jego los. Z pewnością zechce skrzyżować ze mną ostrza, choćby dlatego, że nie mogę w tej walce zwyciężyć.

Dworzanie spojrzeli po sobie, ogarnięci niepokojem.

Król Olszyn powstał z tronu, dobył Heartseekera, czemu towarzyszył złowrogi brzęk i świst. Spojrzał po zgromadzonych; wpatrywali się w niego z wyczekiwaniem i czymś jeszcze – Hazel rozpoznała w ich spojrzeniach nienawiść. Dzierżąc w dłoni zaklęty miecz, Król Olszyn nie mógł przegrać, lecz nikogo nie ucieszy jego tryumf.

– Jest twój – rzekł Marcan, wręczając swój miecz Severinowi.

– Nie pozwoliłem ci na to – syknął Król Olszyn.

– Książę nie powinien umierać bez broni – stwierdził Marcan i zacisnął usta. Wiedział, jak się naraża, pouczając swojego króla.

Władca elfów zaśmiał się krótko.

– A tak wielu książętom jednak się to przydarza.

Choć z wykutym przez elfowych kowali orężem w dłoni, Severin szedł na spotkanie pewnej śmierci. Nawet gdyby był najwprawniejszym fehmistrzem na całym świecie, musiał umrzeć. Najlepszego szermierza nic nie uchroni przed klingą, która nigdy nie chybia celu. Jeśli Hazel nie zdoła dać mu do ręki Heartsworna, jego los jest już przesądzony.

Wypatrzyła błysk, w którym doszukiwała się główicy rękojeści, padła na kolana. Sięgnęła palcami, namacała ją, pociągnęła. Jej palce osunęły się. Nikt jeszcze nie zwrócił na nią uwagi, ale nie miała wiele czasu. Musiała działać prędko.

Severin i jego ojciec powoli okrążali się nawzajem. Heartseeker zadał cios w ramię Severina. Rogaty chłopiec próbował zasłonić się mieczem, który dostał od Marcana, lecz magiczne ostrze było od niego szybsze. Zagłębiło się w jego ciało, aż krzyknął. Już mniej pewnie dzierżył swój miecz. Metal dźwięczał o metal w mgławicy zajadłych cięć. Severin nie dość szybko się zasłaniał. Raz po raz Heartseeker rozcinał jego skórę. Już po krótkiej chwili Severin krwawił z wielu drobnych ran.

A jednak Hazel nie mogła nie dostrzec, że Król Olszyn czuje się nieswojo. Bez wątpienia Severin był lepszym szermierzem. Własny miecz wciąż wytrącał króla z równowagi, szarpiąc nim w taki sposób, żeby wymusić właściwą pozycję, niezbędną do celnego uderzenia. Zadawał cięcia niezdarnie, magiczny miecz zaś je poprawiał. Severin tymczasem uwijał się, atakował i próbował osłon, chociaż nie miał nadziei na zwycięstwo, chociaż jego klęska była pewna. Król Olszyn mógł go zabić, lecz nie zdoła go złamać.

– Przednia to zabawa – odezwał się król, ciężko dysząc – lecz dłużej tak nie można. Ukorz się. Twoja siostra nadchodzi. Rozedrze cię na strzępy, o ile ja najpierw nie utnę ci głowy. Tak czy inaczej, gdy tym razem legniesz w szklanej trumnie, naprawdę nie będziesz żył, martwego będą podziwiać mieszkańcy lasu.

Severin trafił ojca w bok, ostrze rozcięło tkaninę, pojawiła się plama krwi. Król popatrzył na syna, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– Heartseeker nigdy nie chybia – rzucił Severin, odskakując – ale to nie znaczy, że ja chybiam zawsze, mój ojciec.

Król Olszyn z rykiem runął do ataku. Nie zważając na zasady eleganckiego fechtunku, brutalnie pchnął syna prosto w brzuch. Rogaty chłopiec jęknął głucho i padł na kolana, przyciskając dłoń do rany; Król Olszyn trafił go tam, gdzie już przedtem ciekła krew.

Jednak kiedy władca cofnął się, by znów wziąć zamach, zabrakło mu sił w ramieniu. Tryskała z niego krew, okryła jego dłoń niczym rękawica. Zadał kolejny cios synowi, lecz i Severin znów go ranił.

– Dostyc tego! – zawołał król, z trudem chwytając oddech, rzucił: – Dobić go.

Rycerze stali jednak jak wmurowani, jakby nie usłyszeli rozkazu. Wywodzili się co prawda z okrutnego i kapryśnego rodu elfów, gardzili śmiertelnikami, lecz przecież byli rycerzami, takimi jak ci, o których Hazel czytała w książkach, kiedy była małą dziewczynką. Rycerzami takimi jak ci z baśni Bena. To, czego żądał od nich król, sprzeciwiało się rycerskiemu kodeksowi honorowemu. Nie po rycersku byłoby dobić rannego, pokonanego w nierównej walce.

Po chwili wystąpił Marcan, któryś ze zbrojnych podał mu miecz. Bez słowa podjęli decyzję, że skoro muszą wykonywać rozkazy króla, uczynią to tak, by stanąć do uczciwej walki z Severinem, tak jak nakazuje honor.

Hazel zdołała wreszcie pochwycić miecz. Wcisnęła dłoń tak głęboko, jak tylko się dało, wsunęła palce pod metal tak daleko, aż zdołała zaczepić nimi za jelec. Ostrożnie wydobyla miecz spomiędzy kamieni, gdzie czekał na nią, gdzie go pochowała w głębokiej skalnej szczelinie. Jeszcze chwila i dzierżyła go w dłoni.

Jej miecz, połyskujący złotem, bo czarna farba starła się o kamień. Ten, który nosiła na plecach. Ten, który uczynił ją rycerzem. Heartsworn.

Ledwo dowierając, że udało jej się tego dokonać, ruszyła w stronę Severina i natychmiast zdała sobie sprawę, że już jest za późno. Zbyt obficie krwawił ze zbyt wielu ran. Gdy Marcan postąpił krok w jego stronę, Severin się zachwiał. Z trudem utrzymywał się na nogach. Nie mógł już włączyć broni i pokonać ojca, tym bardziej nie zdołałby niczego wskórać w starciu ze swoją złowrogą siostrą.

Hazel spóźniła się, zawiodła.

– Ben – zawołał Severin, osuwając się na kolana. – Benjaminie Evans, mylisz się, lecz to nie znaczy, że jesteś głupi.

– Co takiego?! – zakrzyknął Ben zza krat, na których zaplótł palce poranionych dłoni. Spoglądał na przemian ku Severinowi i ku Hazel, nie wiedząc, o kogo bardziej ma się lękać.

– Kocham cię – oznajmił Severin, spoglądając w górę zamglonym wzrokiem, z natchnioną twarzą. – Kocham cię, jak kocha się w baśniach. Kocham cię jak w balladach. Kocham cię jak grom i błyskawica. Kocham cię od trzeciego miesiąca twych odwiedzin u mojej trumny i twoich przemów do mnie. Kocham to, że dzięki tobie zachciało mi się znowu śmiać. Pokochałem twoją dobroć i kochałem chwilę, gdy brakło ci słów, gdy milkłeś, jakby dając mi czas na odpowiedź. Kocham cię i gdy cię całuję, to nie kpina z nikogo, całkiem z nikogo!

Ben szarpnął za kraty, jeden z rycerzy odepchnął go brutalnie w głąb klatki.

– Ty chyba oszalałeś! – krzyknął Ben, a Severin się roześmiał.

Hazel zmierzała prosto ku tronowi. Nie była pewna, czy inni rycerze nie zdołają rozpoznać, jaki miecz trzyma w dłoni, czy nie zdołają jej powstrzymać, ale wszyscy spoglądali w stronę królewicza.

Tylko Król Olszyn w porę się odwrócił, na jego twarzy odmalowało się zdumienie, które jednak postanowił czym prędzej zamaskować kpina.

– Cóż ty sobie myślisz, rycerzyku? Czy ty aby pamiętasz, jak w ogóle trzymać miecz? Sądziś może, że tak nakazuje ci honor? Nikt cię nie ocali.

– Nie – odparła Hazel. – To ja jego ocale.

Zamachnął się na nią, ale była na to gotowa. Nie próbowała zasłonić się przed cięciem, lecz zaatakowała. Nie króla, a jego miecz. Cięła ze wszystkich sił.

Heartsworn rozciął klingę Heartseekera ze straszliwym zgrzytem jakby miażdżonego szkła. Król Olszyn spoglądał na Hazel z rozdziawionymi ustami, nie dowierając własnym oczom, nie pojmując jeszcze w pełni, co uczyniła.

Potem zaś jego wzrok skierował się gdzieś za nią, a na jego ustach wykwitł uśmiech. Na ten widok Hazel zamarła z przerażenia.

Nadeszła Rozpacz.

Wielu z dworzan Króla Olszyn uniosło dłonie do ust, by stłumić okrzyk grozy. Za swoimi plecami Hazel usłyszała ciężki, dudniący krok potwory, chrobot jej gałęzi. Zadrżała, wzięła głęboki wdech.

Przytknęła ostrze Heartsworna do gardła króla. Rozcięła przy tym jego skórę, pociekła cieniutka stróżka krwi.

– Ona zbliża się, ona nadchodzi – odezwał się Król Olszyn, wyprostowując rękę, w której dzierżył święty miecz, jakby chciał się poddać, jakby chciał go upuścić. Hazel jednak doskonale wiedziała, że tego nie zrobi. – Pamiętaj, że mam kościany pierścień. Pamiętaj, że za jego sprawą mam nad nią władzę.

Hazel podjęła już decyzję.

– Jeżeli odwrócisz się, masz jeszcze szansę – syknął król. – Wystarczy, że się odwrócisz. Masz w dłoni magiczny miecz. Jednak jeśli nie uderzysz w tej chwili, wpadniesz w jej ręce. Ona zaś sprawi, że będziesz pluć pnączem i błotem i zaśniesz w łożu z własnych łez.

Hazel poczuła gwałtowny powiew, jakby coś bardzo szybko się poruszyło. Być może to strzyga wzięła zamach do uderzenia. Hazel wiedziała, co znaczy przegrać, zbyt dobrze to wiedziała, aż zapomniała smaku zwycięstwa.

A teraz nadchodziła jej ostatnia klęska.

Hazel pamiętała stworę najpierw widzianą przez matową szybę, potem w domu Jacka. Pamiętała jej przedziwne, dzikie, drzewne piękno, urodę niewyobrażalnej grozy. Przypomniała jej się pieśń Bena i jak potem Severin pogładził strzygę po twarzy.

Czy Rozpacz nadal pozostaje pod władzą Króla Olszyn? A może zbudziła się już, odzyskała świadomość, już nie włada nią okrucieństwo kości?

– No, już – rzucił Król Olszyn. – Teraz albo nigdy, bardziej ufasz mnie czy strzydze?

– Nie! – krzyknął Jack, ale Hazel nie zamierzała dłużej czekać.

Cięła prędko i celnie, tak że sztych Heartsworna rozciął kościany pierścień na pół.

– Przysięgałam kiedyś, że pokonam potworę z serca lasu i tak uczyniłam. Bo to nie ona. Bo to zawsze byłeś ty.

W tej samej sekundzie witki palców schwyciły Króla Olszyn. Zawył, wzywał jeszcze swoich rycerzy, ciskał klątwy, ale Rozpacz tylko ścisnęła coraz

mocniej, aż elfowy władca zwiotczał, ułomek miecza wypadł z jego dłoni.

Wtedy dopiero strzyga upuściła go na kamienie posadzki.

Hazel pochyliła się, by podnieść to, co zostało z Heartseekera. Gdy jej lewa dłoń zacisnęła się na rękojeści, oczy Króla Olszyn otworzyły się nagle, wyciągnął do niej rękę. Czubkiem palca musnął jej policzek, wyrzeźbił słowa ustami, z których sączyła się krew:

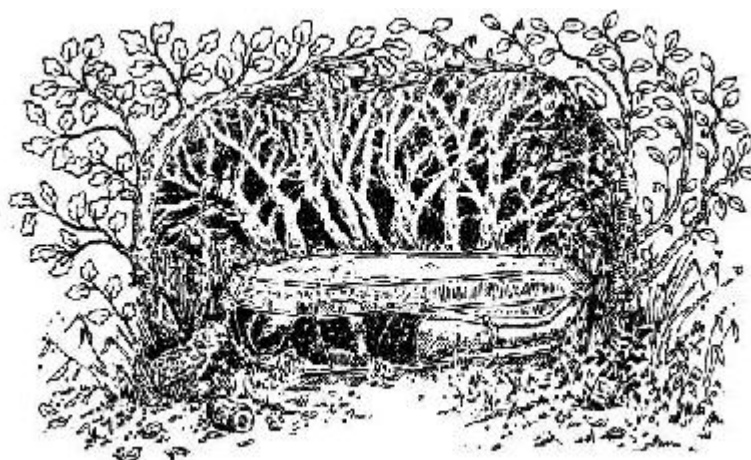
– Pamiętaj, rycerzu Hazel. Pamiętaj, zdrajczyni. Rzucam na ciebie klątwę pamięci. Przeklinam cię, byś pamiętała wszystko.

– Nie! – wykrzyknęła Hazel, potrząsając gwałtownie głową, odskakując od niego w przerażeniu. – Nie chcę tego! Nie!

Powieki Króla Olszyn opadły, jego twarz zasnuł wieczny sen.

Lecz Hazel krzyczała nadal.

ROZDZIAŁ 21



Była sobie raz dziewczynka, która znalazła w lesie miecz.

Była sobie raz dziewczynka, która weszła w układy z elfami.

Była sobie raz dziewczynka, która zgodziła się na służbę u potwora.

Była sobie raz dziewczynka, która przysięgła, że wszystkich ocali, zapomniała jednak o sobie samej.

Była sobie raz dziewczynka...

Hazel przypomniała sobie wszystko jednocześnie, wszystkie kłódki i łańcuchy puściły w tym samym momencie, wszystkie wspomnienia przybyły z mrocznych głębin, w których je pogrzebała, wszystkie się na nią zwały. Nie tylko te, które odebrał jej Król Olszyn. Elfowa klątwa jest znacznie potężniejsza. Hazel odzyskała więc wszystkie wspomnienia, które odepchnęła, odrzuciła i wyparła.



Tej nocy, kiedy Hazel zarznęła wodną wiedźmę, u jej rodziców odbywała się impreza. Trwała do późna, stawała się coraz huczniejsza z upływem czasu. Spór dotyczący funkcji dzieła sztuki, w którym przeciwstawiano zalety narracyjnej ilustracji jakością takim jak faktura i kompozycja, przerodził się

w głośną kłótnię. Ktoś komuś zarzucał plagiat, rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Ben i Hazel siedzieli na ziemi przy świeżym grobie swojego psa i nasłuchiwali odgłosów przyjęcia.

– Jestem głodny i zmęczony – wyznał Ben. – I jest mi zimno.

Nie powiedział, że nie mogą tam teraz pójść, ale Hazel przecież doskonale go rozumiała.

– No, to coś zrobmy – powiedziała.

Ben spojrzał na gwiazdy. Noc była pogodna i zimna. Oboje mieli za sobą straszny, wyczerpujący dzień. Chłopiec nie miał już ochoty na dalsze przygody.

– Ale co?

– W tej twojej książce jest napisane o ceremonii, którą trzeba odbyć, żeby się przygotować do rycerskiego stanu. To się nazywa czuwanie. To teraz powinniśmy zrobić. To będzie dla nas próba.

Książka leżała na ganku, tam gdzie ją zostawili. Hazel swój miecz ukryła w szopie, tam skąd przedtem wzięła maczetę. Poszła po jedno i drugie.

– No i co niby mamy robić? – spytał Ben. Jego oddech tworzył obłoczki pary niczym duchy w nocnym powietrzu.

Z książki wynikało, że powinni pościć. Nie jedli obiadu ani kolacji, Hazel uznała, że to już się liczy. Potem należało wziąć kąpiel, by się oczyścić, odziać w stosowne szaty i nie spać przez całą noc, tylko spędzić ją na modlitwie w kaplicy, na klęczkach. Wtedy może już odbyć się pasowanie na rycerza.

– Nie mamy kaplicy – zauważył Ben – ale możemy zrobić sobie ołtarz.

Za ołtarz posłużył im duży kamień. Znaleźli kilka świec zapachowych, które wokół niego ustawili, dzięki czemu rozświetlił go upiorny blask. Potem się rozebrali i obmyli w lodowatej wodzie z ogrodowego szlauchu. Drżąc od chłodu, owinęli się obrusami, które ściągnęli ze sznurów, gdzie się suszyły po praniu.

– No, dobra – odezwał się Ben – a jak się trzeba modlić?

Ich rodzina nie cechowała się szczególną religijnością. Gdzieś tam zachowały się ich zdjęcia z chrztu, ale na tej uroczystości się skończyło. Nie miała pojęcia, jak należy się modlić, ale przynajmniej wiedziała, jak to wygląda. Pociągnęła Bena za rękę, żeby ukląkł obok niej.

Ziemia była lodowata, ale miecz wbił się w nią jak w masło. Hazel chwyciła za rękojeść, próbowała skupić się na rycerskich myślach. Myślała więc o

śmiałości, honorze, prawości oraz prawdomówności. Kołysała się nieco w przód i w tył, mruczała pod nosem. Po chwili Ben zaczął ją naśladować. Hazel wpadła w coś przypominającego sen, dziwny trans, w którym prawie nie czuła zimna, ciężaru włosów, na których zamarzała wilgoć, niemal była w stanie kontrolować drzenie z zimna.

Jakiś czas potem zorientowała się, że Ben wstaje, mówi jej, że zmarzł i namawia ją, by ona też wróciła do domu, razem z nim. Potrząsnęła tylko głową.

Nadszedł czas, kiedy goście zaczęli wychodzić z domu. Słyszała silniki uruchamianych samochodów, podniesione głosy, słyszała też, jak ktoś w krzakach puszcza pawia. Nikt jednak nie zauważył, że mała dziewczynka klęczy w ogrodzie.

Nadszedł czas, gdy wstało słońce, ozłacając trawę swoim blaskiem.

Rodzice znaleźli Hazel klęczącą na trawniku późnym rankiem, kiedy wyszli z domu na potwornym kacu, przerażeni, bo gdy zajrzeli do jej pokoju, łóżko dziewczynki było puste. Mama nie zdążyła się przebrać od poprzedniego wieczoru, miała rozmazany makijaż. Tata był w T-shircie i w szortach, szedł boso przez pokrytą szronem trawę.

– Rany, co ty wyprawiasz? – odezwał się, chwytając Hazel za ramiona. – Jezu, skąd się tu wzięłaś, co cię napadło?

Próbowała wstać, lecz nie potrafiła, jej nogi zanadto zesztyniały. Straciła czucie w palcach. Kiedy ojciec wziął ją na ręce, nawet chciała mu to wszystko wytłumaczyć, ale szczękanie zębów nie pozwoliło jej wypowiedzieć ani słowa.



Przypomniała sobie również inny wieczór, kiedy zakradała się do domu po nocy spędzonej na służbie Króla Olszyn. Nocy, której nigdy tak naprawdę nie zapomniała.

W gronie elfów przemierzała konno las, razem z nimi śmiała się z cierpienia śmiertelnych istot; udając, że dzieli z elfami ich okrucieństwo podobnie jak wszystko inne, czego się od nich nauczyła.

Przeklnijmy ich, przemieńmy w kamienie, dopóki jakiś śmiertelnik nie rozpozna ich prawdziwej natury.

To był sposób, by łatwo przełamać klątwę, ona sama mogła tego dokonać. Gdy leżała już w łóżku na chwilę przed świtem, czekając, aż przypląw światła zmyje wspomnienia, rozważała, co należy zrobić. Wystarczyło wrócić na tę polanę i rozpoznać kamienie jako zaklęte istoty.

Mogła jednak dokonać tego tylko jako nocna Hazel. Jej dzienna postać nic o tym nie wiedziała.

Myślała przez chwilę, żeby zostawić kartkę Benowi. Gdyby użyła właściwych słów, jej brat mógłby przełamać zaklęcie. Jednak jakkolwiek by sformułowała zdania, prawdopodobnie przekazałaby swojej dziennej jaźni coś niewłaściwego – tej jaźni, której nie do końca ufała.

Dzienna Hazel była tą samą osobą, lecz o stępionym ostrzu. Dzienna Hazel nie wiedziała, jak to jest, gdy z rozwianym na wietrze włosem galopuje się na grzbiecie wierzchowca razem z elfami. Dzienna Hazel nie pamiętała świstu srebrzystego miecza tak dźwięcznego, jakby śpiewało samo powietrze. Nie wiedziała, co znaczy przechytrzyć i być przechytrzoną. Nie widziała przedziwnych stworów i zdarzeń, których świadkiem była nocna Hazel. Nie wypowiedziała tak wielu, wielu kłamstw.

Dzienną Hazel należało chronić, należało jej bronić.

Tak więc powzięła plan. Zasady jej służby były proste. *Co noc, odkąd zapadniesz w sen, dopóki znów głowa twoja nie spocznie na poduszce przed świtem, jesteś moja* – tak rzekł Król Olszyn.

Równie prosty był jej fortel, który obmyśliła, by wprowadzić w życie swoje zamysły. Przykładała głowę do poduszki, lecz nie pozwalała sobie zasnąć. Wstawała zaraz, pozostając nocną Hazel aż po świt, lecz już nie na służbie – dopóki nie zajaśniało i jej pamięć nie ulotniła się wraz z ciemnością.

Bywały takie noce, że udawało jej się skraść nawet godzinę. Czasem tylko parę chwil. Jednak dzięki temu mogła przełamywać klątwy, zażegnawać nieszczęście, naprawiać szkody.

A z czasem mogła dzięki temu uknuć swój plan.

Wiedziała, jakie zamiary żywi Król Olszyn wobec Rozpaczy. Sam się przed nią przechwalał zamiarem unicestwienia znenawidzonego Fairfold, nim zdobędzie Dwór Wschodu i wyrze swoją zemstę. Wspomniał przy tym mimochodem o mieczu, który zaginął, a który stanowił jedyny klucz do zaklętej trumny więżącej rogatego chłopca. Po jakimś czasie Hazel zdała sobie sprawę z tego, jak cenny miecz wpadł w jej ręce przed laty. Z czasem

uświadomiła sobie, że tylko ona jest w stanie powstrzymać obłąkanego króla elfów.

Ja muszę mu służyć – tak pomyślała Hazel – lecz jeśli uwolnię królewicza, on zdoła pokonać swojego ojca. Na nim nie ciąży żadne przysięgi. Ma w sobie dość woli zemsty, by dokonać tego, co stać się powinno.

Potem zaś wszystko poszło nie tak, jak zamierzała. Teraz Hazel pamiętała, jakie przerażenie ją ogarnęło, kiedy roztrzaskała trumnę, a królewicz się nie obudził. Pamiętała, jak w panice zastanawiała się, gdzie ukryć miecz, jak zostawiała sobie samej pospiesznie nagryzmolone zagadki, a potem pędziła do łóżka, by zdążyć przed pierwszymi promieniami słonecznego światła.

Sądziła, że będzie miała więcej czasu, zostało jej jednak tylko kilka minut, zanim obudziła się we własnym domu, gdy stali nad nią Jack, Severin i jej brat, a wokół budynku zgromadziła się połowa świty Króla Olszyn.

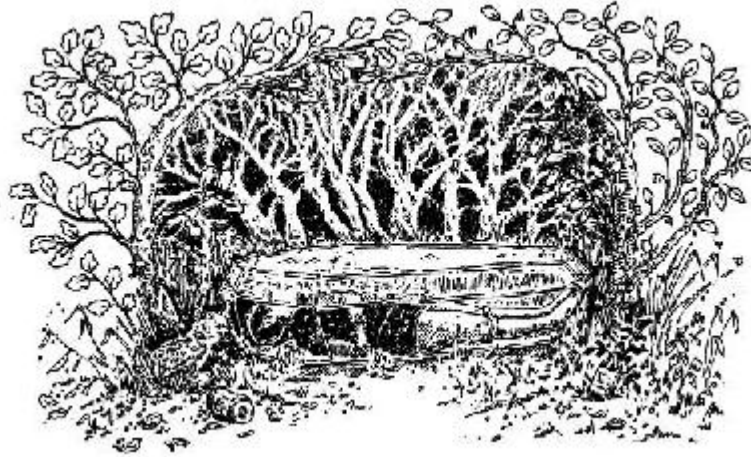
– Gdzie on jest? – spytał Ben.

W tym momencie pierwsi elfowie wpadli do środka. Hazel chwyciła flamaster i pobiegła na górę, by włożyć przechowywany w kufrze rycerski strój.

Pamiętała to wszystko, leżąc skulona na ziemi; Ben mówił, że wygrali, zwyciężyli; słyszała, jak Severin wydaje rozkaz, by ciało jego ojca zostało umieszczone w trumnie, która będzie miejscem jego spoczynku przez resztę dni. Dworski tłum gromadził się wokół potwory, a Jack powtarzał wciąż i wciąż imię Hazel, aż słowa się zamazały i rozplynęły.

Zamknęła oczy i pozwoliła, by ogarnęła ją ciemność.

ROZDZIAŁ 22



Hazel obudziła się w obcym miejscu, owiewała ją woń wiciokrzewu, z oddali dobiegało brzdąkanie harfy. Leżała na wielkim, kunsztownie cyzelowanym łożu, przykryta szarym kocem lżejszym od jedwabiu, lecz cieplejszym od gęsiego puchu. Miała ochotę zagrzebać się pod nim i spać dalej, ale wiedziała, że z jakiegoś powodu nie powinna.

Przewróciła się na bok, zobaczyła Jacka; siedział profilem do niej na fotelu na biegunach, przechylony do tyłu, oparty butem o ścianę. Na jego kolanach leżała otwarta książka, ale nie czytał jej, nie przewracał stron. Aureola blasku świec okalała jego twarz, coś w jego długich rzęsach i miękkości ust było zarazem znajome i nieskończenie obce w swoim pięknie.

Hazel uświadomiła sobie, że choć tyle razy już go widziała, nigdy jeszcze nie patrzyła na niego oczami nocnej Hazel.

Kim właściwie była, ta nocna ona? Wiedząc, czego dokonała; wiedząc, co wiedziała... Czy taka Hazel Evans spodobałaby się Jackowi? Ba, czy taka Hazel Evans podoba się samej Hazel Evans?

Zapewne po zakończeniu służby dla Króla Olszyn, o ile władca nie przechytrzyłby jej jakoś i nie zmusił do służby przez całe życie, o ile by jej nie uśmiercił, przypuszczalnie na zawsze odebrałby jej wspomnienia czasu spędzonego pośród jego dworzan. Być może nigdy by się nie dowiedziała o istnieniu swojej nocnej postaci lub pozostałyby jej tylko przelotne sny, których wspomnienie znikłoby po krótkim czasie.

Teraz wiedziała, że to nie sny i że nie znikną nigdy. Jednak Król Olszyn hojnie ją obdarował i to musiała przyznać. Zawdzięczała mu wiele umiejętności i niemałą wiedzę.

Tyle razy słyszała historię Jacka jako podmieńca, będąc swoją dzienną postacią, lecz teraz, gdy na niego spoglądała, przypomniła sobie, że mówiono też o nim po wielokroć na elfowym dworze. Słyszała tę opowieść z ust jego matki, która mówiła, jak wybrała sobie Cartera, dlatego że był takim pięknym dzieckiem, cieplutkim i słodkim, i jak śmiał się u niej w ramionach. Opowiadała o grozie jaka ją przejęła, gdy białe żelazo paliło skórę Jacka, gdy czuła swąd żarzącego się ciała i słyszała jego rozpaczliwy wrzask, tak potworny, że przejąłby na wskroś zgrozą nawet banshee. Powiadano sobie wśród elfów, że śmiertelnicy nie umieją go docenić ani zrozumieć jego cierpień, a trzymają go sobie z zawziętości jako ciekawostkę, by się nim chełpić przed przyjaciółmi. Hazel słyszała, jak Eolanthe wyraża swoje obawy, że bezmyślne ludzkie istoty uczynią go sługą swojego ludzkiego syna. Słyszała też opowieści o tym, jak chochliki zaglądały przez okno, by sprawdzić, czy Jack dobrze się miewa; jak gromadziły stosy orzechów laskowych i kasztanów, na wypadek, gdyby zgłodniał w nocy; jak bawiły się z nim w ogródku, kiedy jego ludzka matka nie patrzyła i jak wtedy szczypały i kłuły Cartera, dopóki się nie poryczał.

Myśląc o tym wszystkim, Hazel odetchnęła głęboko, gotowa dać znak życia i zacząć rozmowę, usłyszała jednak, że do komnaty wszedł ktoś jeszcze.

– Słałam ci wieści jedną za drugą – odezwał się głos Eolanthe. – A ty nie raczyłeś odpowiedzieć na żadną z nich.

– Jestem tu cały czas. – Jack zatrzasnęła książkę, odłożył ją na bok. – A ty wiedziałaś, że tu jestem. Mogłaś przyjść do mnie, skoro chcesz porozmawiać. No i właśnie przyszłaś.

Hazel zmrużyła oczy, by elfka nie zorientowała się, że nie śpi.

– Rozumiem twój gniew, masz mi za złe układ zawarty z Królem Olszyn, ale chyba nie pojmujesz, dlaczego to było konieczne...

– Dlaczego tak sądzisz? – przerwał jej Jack. W jego głosie słyhać było ostrzeżenie.

Hazel oczywiście wiedziała, że nie należy podsłuchiwać, zwłaszcza udając, że się śpi i pozwalając, żeby prowadzili tę rozmowę, jakby jej przy tym nie było. Co jednak miała zrobić? Przerwać im i powiedzieć, żeby przestali, bo ona

już nie śpi? To by znaczyło, że ich oskarża o jakieś tajemne knowania, a przecież tylko rozmawiali przy jej łóżku.

A poza tym wahała się zbyt długo, teraz już stało się całkiem jasne, że matka i syn będą omawiać tajemne sprawy.

– Kiedy zawiesiłeś głos, przemawiając do Króla Olszyn... To dało mi do myślenia, bo jakbyś zamilkł, mając coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili zmieniłeś zdanie – powiedziała Eolanthé.

– Kiedy zastanawiałem się, czy to ty masz Hearthsworna, zacząłem też się zastanawiać nad wieloma innymi sprawami, bo nagle przestałem cokolwiek rozumieć.

– Wiem, wiem. Sądziłeś, że ja to wszystko uknułam. Pod tym względem się myliłeś, ale miałeś rację, bo miałam swój plan. Gdy się dowiedziałam, że Hearthsworn został odnaleziony, uznałam, że my, a więc ty i ja, możemy odczekać, niech się pozabijają. – Gdy przechadzała się po pokoju, rozlegał się miękki szelest szlachetnej materii jej sukni. – Gdyby szczęście i król, i jego syn, pozostałby tylko jeden spadkobierca, jedyny następca. Gdybyś się do niego tak nie odezwał, gdyby jeszcze przez kilka chwil walczył ze swoim synem, wszystko mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Nie chcesz mnie spytać jak?

– Nie. Nie chcę – odpowiedział.

– Boisz się, że wyjawię ci, kim jest twój...

– Powiedziałem, że nie pytam – przerwał jej Jack. – A więc nie pytam i nie chcę wiedzieć. Nawet jeśli mi powiesz, będę udawał, że nie usłyszałem.

– A to znaczy, że nie muszę ci mówić – stwierdziła. – Już wiesz.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Taki jest twój dar – podjęła elfka – że wiesz, co kryje się w czyimś sercu. Severinowi będzie potrzebny ktoś, kto posiada taką umiejętność i przyda mu się ktoś, kto znać będzie tak dobrze śmiertelników, jak ty ich znasz. I już nie będziesz musiał się ukrywać.

– Nic się nie zmieniło – odpowiedział Jack. – Wracam do domu, do mojego ludzkiego domu, do mojej ludzkiej rodziny. Nieważne, kto był moim ojcem.

Hazel znów usłyszała szelest tkaniny.

– Oni cię nigdy nie pokochają. Oni zawsze będą się ciebie bać.

– To bez znaczenia. Opuść mi ten czas ludzkiego życia – powiedział. – Powtarzasz mi wciąż, że nigdy nie będę śmiertelnikiem, że czas ludzkiego życia jest tak krótki, że jest bez znaczenia. Doskonale, w takim razie ten czas ludzkiego życia zechciej mi pozostawić. Niech umrą wszyscy śmiertelnicy,

których kocham, niech zmieniają się w proch. Pozwól, by moją matką była Nia, Charles moim ojcem, a Carter moim bratem. Niech będę Jackiem Gordonem, a kiedy to przeminie, kiedy wszystko stanie się prochem i pyłem, wrócę do ciebie, by się nauczyć, jak być twoim synem.

Milczała.

– Pozwól mi na to, matko, bo kiedy umrą, nigdy już więcej ich nie będzie.

Hazel słyszała w jego głosie ten przedziwny przydźwięk wieczności, który dotąd kojarzył jej się z Severinem i Królem Olszyn. Był jednym z nich, był wieczny i nieludzki. Ale ona, Hazel, zajmie mu nieco z tej wieczności.

– Niech tak się stanie – rzekła Eolantie. – Bądź sobie Jackiem Gordonem. Jednak pamiętaj, że świat śmiertelników to świat gorczy.

– I zamierzam jej zakosztować w całej pełni – odpowiedział.

Hazel wciąż nie otwierała oczu, starała się panować nad oddechem, by żadne z nich nie odkryło, że już nie śpi. Jednak po kilku minutach regularnych wdechów i wydechów naprawdę zasnęła.

Gdy znowu się obudziła, na brzegu jej łóżka siedział Ben. Opierał się wygodnie o stos poduch piętrzących się u jej nóg. Jedną z jego dłoni była oplątana bandażami i nie do użytku, jednak drugą wystukiwał SMS-a.

Zmusiła się, choć jej się nie chciało, dźwignęła się do siedzącej pozycji.

– Jesteśmy w krainie elfów? – spytała brata.

– Nie wiem, pewnie tak – odpowiedział Ben. – O ile takie miejsce w ogóle istnieje. No, bo ten, jeżeli wszyscy zajmujemy ten sam wymiar, to by znaczyło, że zawsze jesteśmy u elfów. Natomiast i filozofia, i fizyka na ten temat jeszcze ostatecznie się nie wypowiedziały.

Przytomnie zlekceważyła jego dywagacje, skupiając się na pierwszych słowach odpowiedzi.

– To znaczy, że można od elfów wysłać esemesy? Nieźle. A do kogo piszesz? A w ogóle, to jakiej sieci masz zasięg?

– Piszę do mamy i taty. Mama kompletnie ześwirowała, tak samo jak każdy, kto był wtedy u Gordonów. Z tego co pisze, wszyscy z miasteczka stłoczyli się w tym starym kościółku na Main Street, bo tam są te ochronne czary, wiadomo. Wmurowane w fundamenty. Wiesz. Zamknęli się tam, mają amulety i ryby w puszkach, no, wiadomo. Mama myślała, że my też tam wylądowaliśmy, no ale wiadomo, że nie, bo jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Ojciec przyjechał z miasta, żeby się nami zająć. Właśnie jej napisałem, że wrócimy dziś na noc, jeżeli dasz radę. Myślisz, że dasz radę?

– Ja? – spytała Hazel, przeciągnęła się. – A gdzie jest Jack?

– Wybrał się do szpitala, żeby przekazać kolejną dawkę krwi Sorrel. Pewnie tego nie kumasz, ale musiał nieźle się namęczyć, żeby ich przekonać, że to jest antidotum. W końcu jednak chyba coś im szepnął po swojemu, zastosowali i zorientowali się, że to działa. Sorrel pozwoliła Severinowi naciąć się Heartswornem i upuścić sobie krwi.

– Ale czy ona dalej jest...?

– Wielgachną, drzewną potworą? – Ben zamachał rękami, wyciągając je w stronę Hazel. – Jasne, jasne, że tak. A jej krew ma zielony kolor. Ale rozmawialiśmy z nią, no i nie wiem, w zasadzie była spoko. Nawet miła. Severin powiedział, że jest uleczona czy coś.

Hazel ziewnęła, ale jednocześnie po raz pierwszy rzeczywiście rozejrzała się po pokoju, w którym się znajdowała. Dywan na podłodze układał się w dziwny wzór, niezwykle kunsztowny, zmieniał się przy tym, im bardziej się w niego wpatrywała; zielone linie wiły się niczym żmije, przyprawiając ją o zawrót głowy. Zamrugła, spojrzała na nocną szafkę z drewna rzeźbioną w dębowe liście, na której stała miedziana miseczka. Obok niej znajdowały się trzy szklane karafki zawierające rozmaite płyny oraz kubek.

Nieco dalej ujrzała szeroką ławę pokrytą zielonym aksamitem ozdobionym złotymi pręgami na krańcach, stała opodal paleniska, na którym buzował wesoły ogień. Na ławie leżały poskładane ubrania.

– A tak poza tymi wszystkimi wymiarami, to gdzie konkretnie jesteśmy? – spytała Hazel.

– W pałacu Króla Olszyn. – Ben odłożył telefon, wstał z łóżka, na którym leżała.

Miał na sobie zupełnie inne ciuchy niż przedtem: czarne dżinsy i pomarańczowy sweter pod kolor włosów, ten z czarnym jednorożcem. Hazel rozpoznała ciuch, bo pamiętała, że brat był wyjątkowo zadowolony, kiedy go kupił, natomiast była całkowicie pewna, że nie miał go na sobie poprzedniego dnia.

W sekundę skumał, na co patrzy, zaśmiał się cicho.

– Tak, Severin posłał jednego chochlika, żeby wziął trochę moich rzeczy. Dla ciebie też coś tam jest, no a dla mnie, wiesz...

Ben zawiesił głos, czekając na jej reakcję.

Hazel nagle poczuła na sobie brzemię odpowiedzialności z całkiem innego wymiaru, więc mimo woli odpowiedziała:

– Zaraz, zaraz. To znaczy, że właśnie napisałeś starym, że ja wrócę wieczorem, a ty wcale nie, zgadza się?

Skinął głową.

– Zostaję u elfów.

Hazel wyplątała się z pościeli. Cokolwiek trzeba będzie zrobić, z kimkolwiek walczyć i jak, zrobi to. Nie ma już w dłoni Hearthsborna, ale zrobi, cokolwiek trzeba będzie zrobić.

– Co ci obiecali? Co ty im obiecałeś w zamian?

Ben z wolna pokręcił głową.

– Nie o to chodzi.

– A o co? O Severina?

Ben skrzywił się.

– Nie, nie o niego. W każdym razie niezupełnie.

Jego twarz i szyja przybrały odcień głębokiej czerwieni.

– No nie ściemniaj, przecież on się w tobie kooocha – rzuciła kpiąco-przeciągłym tonem Hazel, jednocześnie oddychając z ulgą. – Przecież oświadczył ci się przed wszystkimi pojebanymi elfami.

– Hazel – stęknął jej brat.

Tak fajnie było się znęcać nad swoim bratem. Przez to znowu czuła się sobą.

Chwyciła go za ramiona, potrząsnęła nim, po czym oboje padli na łóżko, zanosząc się śmiechem.

– Trzeba było go pocałować! Trzeba było go pocałować tak, żeby się zakrztusił twoim językiem. A jeżeli wtedy tego nie zrobiłeś, to na co czekasz, leć całować go teraz.

– Zamknij się. – Ben próbował udawać, że nie powstrzymuje uśmiechu. – Rany kota. Ale ty jesteś, normalnie.

Hazel pchnęła go znów na materac.

– Dobra, dobra. Wcale mi jeszcze nie wytłumaczyłeś, dlaczego nie chcesz wrócić do domu.

Ben westchnął.

– Nie mogę ciągle się rozwodzić o tym, że ta cholerna muzyka jest we mnie jak jakaś bomba. Muszę się tego nauczyć i w końcu zacząć nad tym panować. A w ludzkim świecie tego nie ogarnę, nie ma mowy. Tylko tutaj coś skumam.

– Ale... – zaczęła Hazel.

– Muszę przestać fantazjować o życiu, które mogłoby gdzieś tam, kiedyś tam zaistnieć. Muszę skupić się na tym życiu, które mam.

– Jasne, spoko. Ale mógłbyś to wytłumaczyć mamie i tacie, no nie? – zaproponowała Hazel. – Szkoła to bez znaczenia, wiadomo. Ale oni?

– Nie wiem, pewnie tak – przytaknął Ben, jakby uznając, że to, co mówi Hazel, ma sens, ale też i całkiem się z tym nie zgadzając. – Jednak tak jest we wszystkich baśniach, że masz tylko jedną szansę, a jeżeli ją przegapisz, to koniec. Nie ma drugiej. No i to jest właśnie moje zaproszenie na bal Kopciuszka. Moja szansa, kumasz?

Hazel miała ochotę się z nim kłócić, ale przecież to nie była jej sprawa. Może teraz znów muzyka dla niego ożyje. Może pokocha ją tak, jak nigdy przedtem sobie na to nie pozwolił, dlatego że przerażała go miłość do żywiołu, nad którym nie był w stanie zapanować, bo za jego pomocą ranił tych, których kochał i kochał tych, których ranił.

– Strasznie będzie mi ciebie brakowało – powiedział, spoglądając na nią poważnie. Odgarnął włosy z twarzy. – Szkoda, że wcześniej nie mieliśmy okazji tak szczerze pogadać.

– Nie mów takich rzeczy – odpowiedziała. – Mieliśmy osobne łazienki, ale przecież od jakiegoś czasu chyba się znamy, no nie? Ja akurat spędziłam pięć ostatnich lat mojego życia u elfów, więc troszkę wiem, jak tu jest. Może nie wiem za dużo o twoim nowym chłopaku, ale przynajmniej jest jednym z nich, więc jednak coś kojarzę.

– Coś, jednak, mniej lub więcej – odpowiedział Ben. – Jasne, jasne, że będziemy się widywać. Nie chciałem powiedzieć, że jakoś się całkiem zmywam z naszego świata. Tyle że... wszystko... będzie inaczej. Tylko obiecaj mi, że spróbujesz być szczęśliwa.

Hazel uznała, że spróbować zawsze może. Nawet nie układając kolejnych bajek, ale tak naprawdę, w rzeczywistości. Odwróciła się na bok i uściskała brata z całej siły, aż wszystko ją zabolalo. Jednak wiedziała, że i tego było za mało.

– Obiecuję – wyszeptała. – Naprawdę się postaram.



Ben wyszedł, żeby mogła się swobodnie przebrać. Hazel zrzuciła kaftan, a jej oczom ukazała się mapa ran na jej ciele. Nalała wody do metalowej wanny,

spłukała z siebie krew i brud. Przemyła usta eliksirem o smaku sosnowej żywicy i przeczesła włosy złotym grzebieniem, za sprawą którego ułożyły się w rude loki.

Usłużny chochlik dobrał dla niej legginsy oraz czarny T-shirt z wizerunkiem parującego kubka herbaty, do tego nieco za duży zapinany z przodu szary sweter i parę jasnozielonych chucksów. Hazel ubrała się w to wszystko, zadowolona, że dostało jej się zwykłe, nie magiczne ubranie. Szczątki swojego rycerskiego stroju pozostawiła na łóżku; choć na pewno dałoby się je naprawić, nie wyobrażała sobie, żeby kiedykolwiek jeszcze go na siebie włożyła.

Skoro nie miała dokąd iść, ruszyła w stronę domu.

Wyszła z pokoju; przemierzała długie, rozgałęziające się korytarze, mijała drzwi o przedziwnych kształtach, masywne i maleńkie, wąziutkie i szerokie. Gałki i kołatki były rzeźbione w srebrne twarze goblinów o złowrogim uśmiechu, ze spiczastymi uszami lub w złote gałęzie obwieszane jagodami. Czasami dochodziły ją dźwięki muzyki lub śmiech; czasem wydawało się, że w oddali szepczą głosy. Wkrótce doszła do schodów, które wiły się spiralnie w zagłębieniu masywnego drzewa, i znalazła drogę przez długi, wąski otwór, którym wyszła na przestrzeń przypominającą paszczę jaskini. Niebo nad jej głową jaśniało, powietrze, które wdychała, było chłodne. Hazel zacisnęła mocniej kołnierz swetra, myśląc, że głupi sługa, chochlik od siedmiu boleści, mógł pomyśleć o porządnej kurtce dla niej.

Przebrnęła przez stosy suchych liści, krzaki i splątane liście paproci, nim dostała się do domu. Drzwi frontowe zwisały na jednym zawiasie, pęknięte w miejscu, gdzie kopnął je elfowy but. Kiedy weszła do kuchni, ojciec i matka wstali, ruszyli w jej stronę.

– Mała. Rany. Jesteś wreszcie – powiedział ojciec, obejmując Hazel ramionami. – Rany, jak dobrze, że już wróciłaś.

– Ben odszedł – wyrzuciła z siebie od razu Hazel, bo nie chciała, żeby się ucieszyli, skoro czeka ich takie zmartwienie. – Nie wróci. Zostanie tam, z nimi.

– Siadaj, siadaj – powiedział tata. – Wiemy. Dzwonił do nas i wszystko wyjaśnił. Powiedział, że to jakby pojechał do szkoły gdzieś w Szwajcarii. Ja mu na to odpowiedziałem, że chyba raczej w piekle.

– I co, pogodziliście się z tym? – spytała Hazel, usiadła. Pewnie im wytłumaczył, że to z powodu muzyki, że tak będzie dla niego lepiej. To by

zrozumieli, nawet gdyby im się to nie spodobało.

– Nie, wcale się nie pogodziliśmy – stwierdził tato – ale co możemy zrobić? Powiedzieliśmy, że nie jesteśmy zachwyceni i tyle.

Mama, marszcząc brwi, dotknęła palcem śladu wypalonego na drewnianym blacie stołu.

– Ale czekaj, musimy zapytać cię o parę rzeczy. Walczyłaś u boku tego rogatego chłopca, który zmartwychwstał, bo to ten sam, co leżał w trumnie, prawda? Wy go znacie, to znaczy ty i twój brat? No i gdzie się nauczyłaś tak walczyć, bo to wyglądało jak na jakimś filmie.

– Oj, to stara historia – odpowiedziała Hazel. Jej rodzice bardzo się zmienili od czasu, kiedy znalazła w lesie trupa i miecz. Stali się takimi rodzicami, którzy nie całkiem już pasowali do takiego dziecka jak Hazel.

I może właśnie dlatego trudno im było wytłumaczyć, jak i dlaczego właśnie takim dzieckiem się stała.

– No tak, no tak. Całe szczęście, że nic wam nie jest. Strasznie się o was martwiliśmy.

– O mnie nie ma co się martwić, ze mną zawsze jest wszystko w porządku.

Rodzice mogli się zmienić, ale jej już zmienić nie mogli. Zbyt wiele czasu i sił sama na to poświęciła.

– Zawsze można się martwić – stwierdziła mama – na to nigdy nie jest za późno.

Wzięła Hazel za rękę.

Kiedy uścisnęła jej dłoń, Hazel odpowiedziała tym samym.



Szkołę otworzono kilka dni później. Dyrekcja powiadomiła wszystkich rodziców, że z powodu awarii gazu nastąpiła przerwa w nauczaniu, że należy ją potraktować jak ferie zimowe, które w związku z tym zostaną odwołane, bo w przeciwnym razie rok szkolny musiałby trwać aż do końca czerwca. Niektóre ściany dalej były popękane, na dachu wciąż widniały zielone plamy mchu, czasem też gwałtowny powiew wiatru przywiewał na korytarz czarne pióro lub suchy liść paproci, ale większość pnączy i listowia udało się uprzętnąć.

Carter i Amanda wrócili do szkoły. Amanda robiła z siebie gwiazdę, rozповідаła wszystkim, co usłyszała, kiedy była pogrążona w magicznym śnie. Nie spotykała się już z Carterem.

Wszystko tak jakby wróciło do normy.

Wszystko tak jakby wróciło do normy, pomijając to, że kilka razy dziennie ktoś chciał pogadać z Hazel na osobności. Różni ludzie, nawet Robbie, chcieli się od niej dowiedzieć, co to właściwie za koleś, ten rogaty chłopak, czy to rzeczywiście ona go uwolniła i co ją do tego skłoniło. Tom Mullins chciał, żeby mu pokazała, jak się walczy na miecze, przyniósł w tym celu kij od mopa gwizdnięty sprzątacze. Leonie kazała sobie trzy razy powtórzyć historię o tym, jak Ben i Severin zostali parą, a biedną Molly trzeba było raz po raz zapewniać, że Rozpacz już po nią nie wróci.

Każdy miał coś do powiedzenia Hazel, natomiast mało kto chciał rozmawiać z Jackiem. Ludzie odsuwali się od niego, schodzili mu z drogi na korytarzu, jakby ich lęk i poczucie winy czyniły go obcym. Zawsze jednak towarzyszył mu Carter, nieodłączny brat bliźniak, zawsze w dobrym humorze, rozśmieszając przyjaciół, pilnując, żeby wszystko było jak przedtem. Paplał głośno o studiach, nadchodzącym meczu i o tym, co będą robili w następnym weekend.

Normalnie, jak to w szkole – wiadomo było, że prędzej czy później ludzie się pogodzą z tym, że koleś jest trochę inny niż wszyscy, że w jego żyłach płynie trochę inna krew.

Wszyscy, ale nie Hazel. Gdy napotykała jego spojrzenie, było w nim coś, co sprawiało, że chciała się w nim zatopić. Jego usta krzywiły się w uśmiechu, a ona odbierała to jak cios.

Jak to było? Coś tam z sercem na srebrnej tacy...

Jack Gordon. Dobry chłopak, który pójdzie do dobrej szkoły, daleko stąd. Będzie sobie żył zwykłym, ludzkim życiem, zanim zacznie żyć zupełnie inaczej, życiem nieśmiertelnych.

– Hazel – zaczepił ją pod koniec ostatniej przerwy. Podbiegł do niej ni stąd, ni zowąd. Nie rozmawiali od trzech dni, więc pilnowała się, by nie dać po sobie poznać, jak się cieszy, słysząc jego głos. Wyglądał inaczej niż przedtem, przed klęską Króla Olszyn. Jego uszy stały się jakby bardziej spiczaste, twarz pociągłejsza, włosy przybrały zielonkawy odcień – lecz jego uśmiech był taki sam jak dawniej, był tym samym uśmiechem, który całkiem go różnił od Cartera, który był jego i tylko jego. – Hej, zaczekaj. Chcę z tobą pogadać. Zastanawiałem się, czy może byś nie chciała...

Uśmiechnęła się mimo woli, tylko dlatego, że z nim rozmawiała. Ogarnęła ją radość tak wielka, że niemal bolesna.

– Nie wiem, chyba nie mogę – odpaliła.

– Ale czego nie możesz? – Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

Nie zatrzymała się, szła dalej. Nie wiedziała, co właściwie chce powiedzieć, ale też nie zamierzała milczeć.

– Nie wiem. Nie czuję się w porządku. Wiesz, jako osoba. Właśnie zaczyna do mnie docierać, że nie jestem w porządku. Rozumiesz? Ciągłe przypominam sobie, co narobiłam, i co mi się przydarzyło, a z tego wszystkiego tworzy się obraz kogoś, z kim nikt normalny nie chciałby mieć do czynienia.

– No, to fajnie, że akurat nie jestem normalny – zauważył Jack.

– Przecież ja wszystko popsuję – odpowiedziała. – Nigdy nie miałam faceta. Nigdy się z nikim nie spotykałam, nie umawiałam. Straszny ze mnie tchórz, jeżeli chodzi o te sprawy – mówiła dalej. – Chyba wspominałam, że dla mnie faceci zawsze byli tematem do rozpracowania, no a kiedy tak naprawdę czegoś się dowiedziałam o tobie, to mam ochotę zwać.

Wyciągnął do niej dłoń, splełli palce. Odetchnęła, spoglądając na ich zaciśnięte dłonie.

– Rany. Czego się boisz? To w ogóle możliwe, żebyś ty się czegoś bała? – spytał.

– Jasne, że się boję – odpowiedziała. – Boję się ciebie i boję się mnie.

Skinął głową, bo to brzmiało całkiem sensownie. Po chwili milczenia rzekł:

– Wiesz co? Ja nie chcę być z nikim normalnym. Sam nie jestem normalny, wiadomo. Nie potrzebuję poczucia bezpieczeństwa, potrzebuję ciebie. Zakochałem się w tobie właściwie od pierwszej chwili, kiedy tylko cię zobaczyłem. Byłaś jak nie z tego świata, byłaś dzika, dzielna, nieokiełznana. Biegałaś po lesie i pamiętam, że miałaś na ustach plamy od jeżyn. Wiem, że wszyscy inni też się w tobie kochają i mają rację, no ale przecież to nie znaczy, że ja mam się w tobie nie kochać.

Zaczerwieniła się.

– Dobra, dobra. A co z Amandą? Mówisz, że kochasz się we mnie od pierwszego wejrzenia, ale jak dotąd, to do niej wzdychałeś.

Jack zaśmiał się, ale zaraz potem z jego twarzy znikł uśmiech.

– Wiesz, ja jestem podmieńcem, nie pasuję ani tu, ani tam, właściwie to jestem nikim znikąd. A Amanda pasuje doskonale do tego właśnie świata. Myślałem, że jeżeli jej się spodoba, jeżeli mnie polubi, to będzie znaczyło,

że i ja do czegoś pasuję. Ale nic z tego, ona się mnie bała. Niektórzy się mnie boją, wyobraź sobie.

– No co ty? – zdziwiła się Hazel. – Ja też się boję, ale nie w ten sposób.

– No właśnie – stwierdził Jack. – A ja na przykład nie boję się tego, że przez jakiś czas, nie wiem jaki, będziesz próbowała pogodzić ze sobą swoje dwie osobowości. Wiadomo, że to musi potrwać. Pewnie, że nie będzie łatwo, ale przez to trzeba przejść. Musisz przez to przejść, musimy przez to przejść. Ludzie chodzą ze sobą, spotykają się, przestają ze sobą chodzić. Jasne, ale z nami jest trochę inaczej. My nie jesteśmy normalni. Z nami może być, jak tylko zechcesz. I będzie, jak tylko zechcesz, wszystko to jakoś razem ogarniemy. Opowiemy naszą własną baśń, no nie?

– A od czego zaczniemy? – spytała Hazel.

Zerknął na nią, mrużąc powieki, aż rzęsami musnął policzek.

– Od czego tylko zechcesz. Może na przykład pójdziemy gdzieś razem po szkole? A może będziemy pisać do siebie długie listy? Możesz na przykład zażądać, żebym wypełnił jakąś misję i w ten sposób zyskał twoje względy.

– No co ty – odpowiedziała z uśmiechem, bo przecież to był jej kumpel, najlepszy przyjaciel, który był taki fajny i zawsze miał takie fajne pomysły. – Jeżeli ktoś ma z czymś walczyć, to przecież chyba raczej ja, co nie?

Jack zaśmiał się.

– Niech ci będzie. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś zabiegała o moje względy. Kto wie, czy zdołasz dla mnie zdobyć kubek kawy i pączka, i wyróżnić w pień wszystkich moich wrogów. Właściwie nawet nie wiem, co z tego jest ważniejsze.

– No, tak. Tego rzeczywiście jakoś się nie boję. W zasadzie ani trochę. A wiesz, czego jeszcze się nie boję?

Potrząsnął głową.

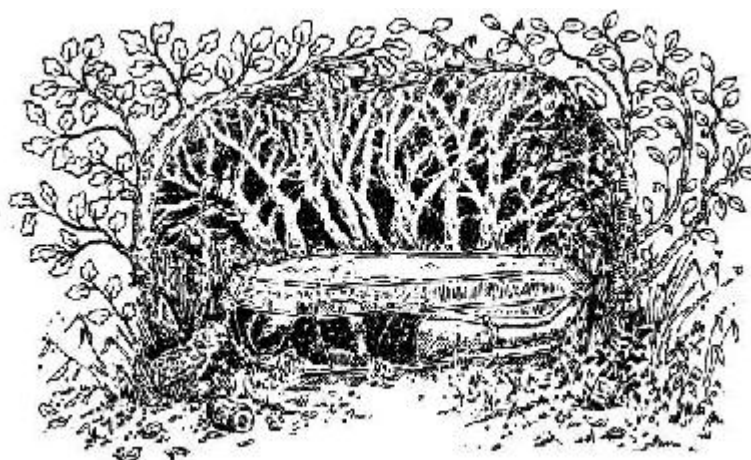
– No, to chodź – powiedziała, oparła się o ścianę i przyciągnęła go do siebie, aż ich wargi się zetknęły. Mruknął cicho, niby zaskoczony, ale oboje wiedzieli, że tak się stać musiało.



Kiedy otworzyła szafkę, żeby wrzucić do niej książki, wypadł z niej orzech owinięty srebrną nicią. Przykucnęła, żeby go podnieść; rozsypła kokardkę i wydobyła ze środka zwitek woskowanego papieru. Odczytała wiadomość napisaną ręką jej brata: *Za trzy dni pełnia. Może byś wpadła? Jakoś nie do rymu mi to wyszło, no nie wiem.*

Uśmiechnęła się do swej dłoni zaciśniętej na karteczce.

EPILOG



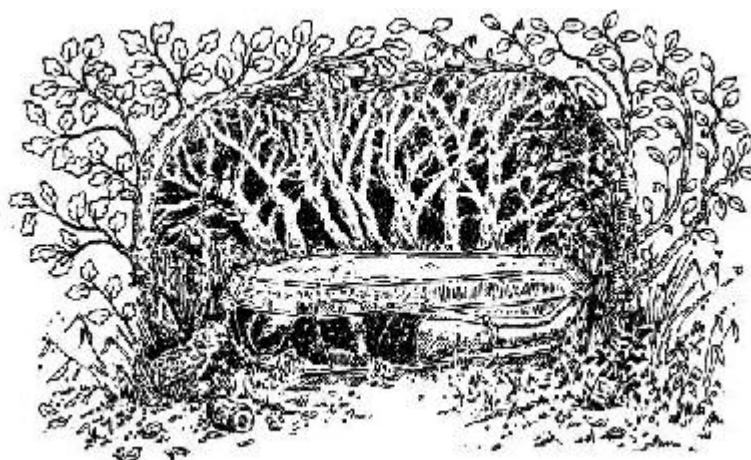
Gdy podążymy ścieżką przez las, minjemy strumyk i wydrążony pień, w którym roją się żuki i termyty, dojdziemy do szklanej trumny. Trumna stoi na ziemi, a w niej spoczywa elf; na głowie ma złotą koronę, a uszy spiczaste jak noże.

Ludzie z miasta pamiętają, że kiedyś leżał tam kto inny, kiedyś spoczywał tam rogaty chłopiec o kędzierzawych lokach, piękny jak z baśni. Mieszkańcy Fairfold już trochę o nim zapomnieli, teraz w trumnie spoczywa całkiem inny elf, który nie obudzi się, nawet gdyby ktoś zdołał skruszyć jego trumnę. Gapią się na niego chłopcy i dziewczyny, imprezują przy jego trumnie, chuchają na kryształowe tafle. Nie obudzi się i nie poskromi turystów, którzy upierają się, że to wszystko jakiś fejk w 3D, ale i tak robią komórką zdjęcie. Ten elf nie uniesie powiek, nie spojrzy na nich bladozielonymi oczami i w niczym nie będą mu przeszkadzać dzikie tańce dziewczyn na jego trumnie, zniesie obojętnie wesołe toasty wznoszone piwem i whisky czy nawet zwykłym bimbrem, wznoszone kpiąco na jego cześć i na zdrowie wszystkich innych leśnych stworów.

A gdzieś daleko, w głębi lasu, odbywa się całkiem inna impreza, na którą nie tak łatwo trafić, bo trzeba wiedzieć, jak dostać się do wnętrza pewnego wzgórza, w którym kwitnie nocne kwiecie. Tam pewien chłopiec o bladej, piegowatej skórze gra na skrzypcach, muskając struny czarodziejsko uleczonymi palcami, a jego ruda siostra tańczy z jego najlepszym przyjacielem. Dźwiękom jego muzyki nikt nie może się oprzeć, więc tańczy też

drzewna stwora i macha witkawatymi palcami w rytm szalonej melodii. Elfowy królewicz jest tam teraz królem, podmieniec jest dla niego jak brat, chłopiec ludzkiego rodu jego towarzyszem, a dziewczyna pierwszym rycerzem.

PODZIĘKOWANIA



Zaczęłam pisać tę książkę z myślą, że będzie to okazja, żeby powrócić do mojego ukochanego świata elfów; okazało się jednak, że jest to powieść także o wielu różnych innych rzeczach. Niełatwo było ją napisać, ulegała bowiem bezustannym przemianom i wciąż wymykała mi się z rąk. Chyba to Gene Wolfe powiedział: „Nigdy się nie nauczysz pisać powieści; możesz tylko nauczyć się pisać tę powieść, którą właśnie piszesz”. Nic prawdziwszego, jeśli chodzi o mnie i tę książkę!

Wiele zawdzięczam badaczom folkloru i autorom, których dzieła pozwoliły mi lepiej zrozumieć świat elfów. Jeżeli chodzi o niniejszą książkę, są to w szczególności: W.Y. Evans-Wentz: *The Fairy-Faith in Celtic Countries*; A.B. Ellis: *Yoruba-Speaking Peoples of the Slave Coast of West Africa*, rozdział dotyczący podmieńców; Johann Wolfgang von Goethe, poemat *Der Erlkönig* [po polsku *Król Olch* lub *Król Olszyn*]; Walter Gregor: *Notes on the Folk-Lore of the North-East of Scotland*; Joseph Jacobs: *English Fairy Tales*, baśń „Kate Crackernuts”; Gutch i Mabel Peacock: *County Folk-Lore Vol. V*, baśń *The Farmer and the Boggart*; w wielu fragmentach Lowry Charles Wimberly: *Folklore in the English and Scottish Ballads*.

Muszę również podziękować wielu ludziom, którzy pomagali mi, odpowiadali mi i wspierali mnie oraz cierpieli mnie – a zwłaszcza tym, którzy ścierpieli liczne początkowe wersje książki. Dziękuję tym z Was, którzy byliście w Arizonie podczas warsztatów pisarskich, gdzie zaczęłam tę książkę; wszystkim w San Miguel de Allende, którzy bardzo mi dopomogliście

stworzeniu początkowego zarysu narracji, choć być może trudno się jej dopatrzeć w obecnej wersji; oraz wszystkim w Kornwalii, którzy pomogli mi wymyślić, co dalej, kiedy cofnęłam się do samego początku i zmieniłam tonację książki.

Są to: Delia Sherman, Gwenda Bond i Christopher Rowe – za Wasze światłe rady. Steve Berman, za pomoc w lepszym zrozumieniu Benjamina. Paolo Bacigalupi, za kontrolowanie mnie i zarazem wyrozumiałość, co do dedlajnow. Cassandra Clare – za nieustanne zapewnianie mnie, że książka ta w końcu jednak powstanie, a rozpacz jest częścią procesu twórczego. Sarah Rees Brennan, za rady dotyczące struktury powieści i wielokrotne jej przeczytanie. Kelly Link, również za to, że tyle razy książkę przeczytała i za radę, gdzie umieścić całowanie. Libba Bray, za to, że dzięki niej zyskałam jeszcze tydzień, by popracować nad szkicem powieści. Robin Wasserman, za wysiadanie ze mną i z nowo narodzonym w Starbucksie i wysłuchiwanie moich jęków w sprawie narracji a jego płaczu domagającego się posiłku, tudzież dzięki za brutalną i niezbędną wigilijną redakcję. Joshua Lewis, za pomoc w wymyśleniu zakończenia. Leigh Bardugo, za zmagania, dzięki którym narracja stała się płynniejsza – cenię sobie tę pomoc bardziej, niż potrafiłabym wyrazić słowami i zapewne bardziej, niż na to wyglądało. Cindy Pon – za omówienie ze mną tej historii przy wyborach rosyjskich potrawach i korzennym imbirowym piwie. Kami Garcia, za to, że pozwoliła mi przesiadywać w swoim pokoju hotelowym i że wyjadłam jej wszystkie gumy, kiedy obie pracowałyśmy nad wstępnymi wersjami swoich książek. Ally Carter, za omówienie kwestii rozwiązania i zakończenia.

Winna jestem specjalne, wielkie podziękowania z całego serca wszystkim w wydawnictwie Little, Brown Books for Young Readers, a zwłaszcza mojej wspaniałej redaktorce, Alvinie Ling, która wierzyła w ten tekst, nawet kiedy był już bardzo spóźniony i jeszcze w kompletnej rozsypce. Dziękuję Bethany Strout za to, że jest wspaniałą, wyrozumiałą czytelniczką oraz Amber Caraveo z Orion Books w Anglii za to, że wiedziała, co jest nie tak. Dziękuję Lizie Moraleda, nadzwyczajnej rzeczniczce prasowej, która zawsze wie, co będziemy jadły, i Ninie Douglas, mojej brytyjskiej rzeczniczce, dzięki której podróż okazała się świetną zabawą.

Rzecz jasna, dziękuję Victorii Stapleton, za to, że jest wspaniałą i również za trunki.

Wyrazy wdzięczności zechce przyjąć mój agent, Barry Goldblatt, za wsparcie, rady i pomoc w pisaniu tych podziękowań oraz za wiarę, iż jednak kiedyś rzeczywiście skończę tę książkę.

Poważnie, dziękuję Wam wszystkim, którzy wierzyliście, że ją skończę, ponieważ ja akurat wcale nie byłam tego taka pewna.

Przede wszystkim dziękuję mojemu mężowi, Theo i synkowi, Sebastianowi, którzy godzili się z moją nieobecnością, kiedy spędzałam długie godziny przed komputerem i którzy wysłuchali, jak im czytam całą tę książkę na głos (no, Sebastianek jednak większość przespał). Dziękuję za Waszą cierpliwość i miłość.

¹ Hazel – *ang.* leszczyna (przyp. tłum.).

² J.W. Goethe, *Król Olszyn*, tłum. Ludwik Kondratowicz (Władysław Syrokomla).

SZUKAJ W KSIĘGARNIACH
BESTSELLEROWEJ TRYLOGII
HOLLY BLACK

